Państwo Polskie '44



SPECJALNY DODATEK
NA ROCZNICĘ
WYBUCHU
POWSTANIA

CO KOGO BOLI:
FIJOŁEK PRZEPYTUJE
MARCINA MELLERA

CELNIK OSKARŻA:
MAFIA MIAŁA LUDZI
W RZĄDZIE PO

WICEPREMIER SASIN:
IM WYŻEJ WYGRAMY,
TYM WIĘCEJ ZMIENIMY



SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 30 (348) 2019
29 lipca–4 sierpnia
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

IDZIE POTĘŻNY ATAK NA POLSKĘ

TO, CO WIDZIMY, TO DOPIERO POCZĄTEK. MARZENA NYKIEL UJAWNIA ŚMIERTELNIE NIEBEZPIECZNY SCENARIUSZ.

ZROBIĄ WSZYSTKO, ŻEBY ZŁAMAĆ OSTATNI KRAJ W EUROPIE, KTÓRY STOI IM NA DRODZE

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

NOWOŚĆ!

CYFROWY POLSAT

TELEWIZJA INTERNETOWA Z DEKODEREM



Na start ponad 100 kanałów 3 miesiące bez opłat!

OTT

Włączaj pakiety, kiedy chcesz.
Płać tylko za te programy, które wybrałeś.
Oglądaj wybrany kontent nawet do 7 dni wstecz.

Oferta telewizji internetowej dla nowych Klientów dostępna przy umowach pisemnych z okresem podstawowym składającym się z 24 okresów rozliczeniowych, z opłatą podstawową 10 zł/mies., nieuwzględniającą opłat za dokupywane przez Klienta pakiety i usługi dodatkowe. Usługa wymaga łącza o prędkości min. 8 Mb/s na jeden dekoder. Opłata za transmisję danych zgodna z taryfą operatora usługi Internet. „Bez opłat" nie dotyczy opłaty jednorazowej za aktywację dekodera oraz opłat za transmisję danych w usłudze Internet. Funkcja oglądania wybranych programów do 7 dni wstecz (CatchUP) jest dostępna dla określonych audycji i przekazów na wybranych kanałach, które Klient posiada w ramach wykupionego pakietu usługi telewizji internetowej. Szczegóły w Regulaminie Promocji i „Regulaminie świadczenia usług telewizji internetowej", dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl. LaLiga Santander w ELEVEN SPORTS. „Czarnobyl" © 2019 Home Box Office, Inc. „The Brave" © 2017 Universal Television LLC. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Zwycięstwo przyszło po latach

Obchodzimy kolejną, 75. rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego. Polacy chyba jak żaden inny naród powstawali wiele razy, bijąc się o wolność i niepodległość. Licząc od 8 stycznia 1656 r., kiedy król Jan Kazimierz w czasie szwedzkiego potopu ogłosił „Manifest wzywający chłopów do walki", na zrywie Armii Krajowej i niepodległościowego podziemia latem 1945 r. kończąc. W tym czasie rzucali się na Moskali konfederaci barscy, Kościuszko, listopadowi i styczniowi powstańcy. Krwawili Wielkopolanie w 1806, 1848 i 1919 r. Nawet Suwalszczanie rzucili się z bronią w ręku na Litwinów w sejneńskim zrywie roku 1919. Trzy razy chwytali za oręż dzielni Ślązacy, a raz za to w pełni skutecznie Lwowiacy spod znaku Orląt, wypierając Ukraińców. Sam już straciłem rachubę, czy któregoś z bohaterskich zrywów nie pominąłem.

Z militarnego punktu widzenia część została przegrana, ale zdarzały się też sukcesy. Udało się Wielkopolanom, Lwowiakom, Suwalszczanom. Udało się za Szweda i częściowo na Śląsku. Ale jedno łączyło je wszystkie. Pamięć o nich pomagała przetrwać narodowi i zabory, i okupacje, aż w końcu dominację sowiecką. Wróg wiedział i był tego w pełni świadomy, że w chwili jego słabości Polacy rzucą mu się do gardła, by wyrwać, często krwawo – wolność. Wolność na swoich warunkach, bo innej nie znamy.

Wiedzieli to Hitler i Stalin, czując przed tą powtarzającą się prawdą historyczną respekt. Bo przecież mocarstwa nie bały się naszej militarnej siły. Czuły strach przed tym momentem własnej słabości, który mogą wykorzystać Polacy. To była nasza najsilniejsza broń. I dlatego dziwią mnie kontestacje tzw. przedstawicieli realpolitik, którzy z lekkością piórka podważają sens wybuchu warszawskiego zrywu podczas II wojny światowej. Panowie kontestatorzy, analizowanie Sierpnia '44 pod kątem realpolitik jest kompletnie pozbawione sensu. To myślenie kończy się kilka lat po wojnie, a może nawet wcześniej. A tu Powstanie Warszawskie odniosło swoje zwycięstwo dopiero po ponad 50 latach. Widać to dopiero z naszej perspektywy. Gdyby nie pamięć o nim, pokolenia patriotów nie miałyby swojego etosu. Armia Krajowa wykoślawiona przez komunistyczną propagandę przeszłaby do historii jako siła, która stała z „bronią u nogi". Zostałaby w pamięci Polaków jak „zapluty karzeł reakcji". Upadłaby legenda polskiego stylu walki do końca. Kraj zapomniałby o swoich bohaterach. Górę wzięłyby w Polsce siły zgniłego kompromisu, a armia rosyjska najprawdopodobniej siedziałaby do dziś w swoich bazach w Legnicy i Drawsku Pomorskim. Nie bylibyśmy w NATO ani w Unii, a z nami kraje bałtyckie wraz z resztą dawnych demoludów. Zgasłby duch, spsiałby naród.

Kiedy widzę każdego kolejnego 1 sierpnia morze zniczy na cmentarzu Powązkowskim, które płoną na grobach bohaterów '44, kiedy codziennie możemy obserwować tłumy młodzieży odwiedzające Muzeum Powstania, kiedy z roku na rok coraz więcej warszawiaków i przyjezdnych zaludnia z płonącymi racami w dłoniach centrum stolicy – serce roście. Im więcej wody upływa w Wiśle, tym wyraźniej jawi się zwycięstwo chłopaków z „Pałacyku Michla, Żytniej i Woli", choć dawno już ich nie ma wśród nas. Panowie polityczni realiści, a może wam się wydaje, że będziecie żyć wiecznie?

Andrzej Rafał Potocki



58/0319/F

SIECI spis treści



36 *Kampania wojenna*
Stanisław Janecki



55--78 Nie tylko z bronią w ręku
Dodatek z okazji 75. rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego



97 Matka Europy?
Aleksandra Rybińska

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **WSZYSTKO PRZEZ PiS**
Krzysztof Feusette

12 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

14 **BYŁA KIEDYŚ DZIURA OZONOWA…**
Jan Pietrzak

15 **MOJE KOMPLEKSY**
Bronisław Wildstein

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **ŚWIĄTYNIE Z DUCHEM CZASU**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

19 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

20 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

22 **OPERACJA „BIAŁYSTOK”**
Marzena Nykiel

KRAJ

26 **Z JACKIEM SASINEM**
rozmawia Jacek Karnowski

30 **PRAWDA PRZECIW ROSYJSKIEJ PROPAGANDZIE**
Jakub Maciejewski

32 **ZE SŁAWOMIREM SIWYM**
rozmawia Wojciech Biedroń

36 **KAMPANIA WOJENNA**
Stanisław Janecki

39 **NORMALNIEJ**
Jan Rokita

42 **EKOLOGIA TOTALNA**
Konrad Kołodziejski

45 **TROSKA O WSPÓLNY DOM**
rozmowa ze Sławomirem Mazurkiem

48 **Z MARCINEM MELLEREM**
rozmawia Marcin Fijołek

52 **MARIA SOKOŁOWSKA PIĘĆ LAT PÓŹNIEJ**
Dorota Łosiewicz

SIECI KULTURY

79 **W RYTMACH SIERPNIA**
Jolanta Gajda-Zadworna

82 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

84 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

86 **POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

OPINIE

88 **CZAS NA DRUGĄ ODSIECZ WIEDEŃSKĄ, BY OCALIĆ KOŚCIÓŁ**
rozmowa z Anthonym Murphym

92 **P JAK PROGRAM PO**
Hanna Karp

ŚWIAT

94 **WSZYSTKIE CHWYTY DOZWOLONE**
Marek Budzisz

97 **MATKA EUROPY?**
Aleksandra Rybińska

100 **WOLNOŚĆ PRZYSZŁA Z POLAKAMI**
Marcin Wikło

104 **CUD NA DACHU ŚWIATA**
Jaromir Kwiatkowski

GOSPODARKA

106 **CZY PO ROZDA DZIAŁKI NA KSIĘŻYCU?**
Janusz Szewczak

WAKACJE

108 **WĘDRÓWKI ZA PIĘKNEM**
rozmowa z ks. Andrzejem Ziółkowskim

111 **WĄSKIM TOREM Z PRZEWORSKA DO DYNOWA**
Jaromir Kwiatkowski

NATURA DLA LUDZI

116 **OGRÓD Z PESTEK I RESZTEK**
Anna Monicka

PODRÓŻE

118 **MOJE SZLAKI: ARKADIUSZ GOŁĘBIOWSKI**
Jolanta Gajda-Zadworna

119 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

120 **NAPRAWDĘ JAKA JESTEŚ?**
Maciej Pawlicki

122 **CHYBA DRUGI LUTER**
Wojciech Reszczyński

123 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

124 **TYKOCIN FOREVER!**
Aleksander Nalaskowski

125 **SKECZE Z KOMSOMOŁU**
Wiktor Świetlik

126 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

128 **DÉJÀ VU DLA MASOCHISTÓW**
Ryszard Makowski

129 **Z LICEUM KRZEMIENIECKIEGO**
Leszek Długosz

130 **ZGOŁA NIEWAKACYJNIE**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

13/0419/F

eprasa.pl e7683f73ec

GRUPA CEDROB®

Największy polski producent mięsa

Lider w produkcji drobiu i trzody chlewnej oraz uznany producent wędlin.







www.grupacedrob.pl

eprasa.pl e7683f73ec



Sygnalista nadaje

Najważniejszy komunikat po wydarzeniach w Białymstoku zamieściła „Gazeta Wyborcza", dramatycznie pytając piórem Michała Nogasia, dlaczego milczą artyści, „ci, których na Facebooku, Instagramie i w innych rejonach mediów społecznościowych śledzą miliony". A więc muzycy, aktorzy, sportowcy. „Skąd bierze się to milczenie? Z niedostrzegania problemów? Bo nawet nie chcę dopuścić do siebie myśli, że z obawy przed hejtem, utratą fanów czy dobrych kontraktów" – martwi się Nogaś. Czyżby kolejne lejce wymykały się z rąk?

Ważny komunikat wystosował ***Grzegorz Schetyna***, który zdecydował, że Platforma nie weźmie udziału w marszu przeciw przemocy w Białymstoku. Owszem, marsz organizuje lewica, ale do tej pory lider PO bardzo pilnował, by być w pierwszym szeregu nawet najgłupszych protestów, nawet tych, które teoretycznie mu zagrażały (np. KOD). Teraz robi unik. Wniosek: Platformie musi wychodzić z badań, że nakręcanie sporu wokół LGBT mocno jej nie służy.

Skoro wie to Platforma, wie to także „Wyborcza". Ale Czerska w tej sprawie nie myśli nawet hamować i konsekwentnie zamienia swój dziennik w ideologiczny biuletyn zafiksowany na sprawie seksualności człowieka. Czyżby gazecie ***Michnika*** nie zależało na zwycięstwie? Możliwe, że ona też już nie wierzy w szybkie zdobycie władzy. Teraz inwestuje już w rok 2023, próbując przerobić całą opozycję na swoje podobieństwo – co zawsze było jej celem.

Nasz „Napoleon" (raczej ten III), czyli Lech Wałęsa, zaoferował ćwierć miliona złotych osobie, która udowodni fałszerstwo ws. teczek „Bolka". „Wyznaczam 250 tys. zł nagrody (które zamierzam wypłacić przy pomocy moich sympatyków) dla świadka, który brał udział w perfidnej prowokacji wrabiającej mnie w agenturalną działalność i dostarczy dowodów wykazujących, kto za tym stoi" – ogłosił na Facebooku, dodając, że jego zdaniem „to bracia Kaczyńscy". Wpis jednak szybko skasował. Może ktoś mu powiedział, że są na tym świecie rzeczy, których nie da się kupić? Zwłaszcza gdy to coś już raz się sprzedało.

Czerska przeżywa trudne chwile, ale czasem przez gęste chmury przebije się promyczek słońca. „Redakcyjni koledzy i koleżanki o sercu po lewej stronie ukradkiem wycierali łzy wzruszenia, wpatrując się w telewizor. Kto uwierzyłby dwa lata temu, że Biedroń, Zandberg i Czarzasty ogłoszą wspólny start lewicowej koalicji?" – tak Krzysztof Pacewicz, syn Piotra, opisał reakcję redakcji na wieść o wspólnym starcie SLD, Wiosny i Razem. W tej historii okazji do łez z pewnością będzie jeszcze wiele.

Zdaniem Pacewicza lewicowej koalicji „przy bardzo dobrych wiatrach i udanej kampanii może uda się zbliżyć do 15 proc., a wtedy realne jest odebranie władzy PiS". Ale jest warunek: „Lewica może być jak dobrze zbilansowany koktajl – o ile każda z sił odda innym to, co ma najlepsze, a schowa to, co ma najgorsze". Oczywiście możliwe, że będzie odwrotnie – dadzą, co najgorsze, a schowają, co najlepsze. A wówczas znów będą łzy. Wielkie jak groch. Jak w 2015 r.

Do wydarzeń w Białymstoku odniosła się również ***prof. Jadwiga Staniszkis***, której zdaniem PiS celowo podgrzewa takie spory. „Zdemoralizowani dają przyzwolenie. Ta bardzo postępująca degrengolada przypomina w pewnym stopniu powojenne lata 40., zanim nastała na dobre twarda faza komunizmu. […] To są wstępne kroki, bo nie ma jeszcze wsadzania ludzi do więzień" – stwierdziła socjolog. Ale to nieprawda. Jeśli już, to mamy rok 1956, czyli za chwilę możemy wejść w fazę niemal powszechnej akceptacji nowego systemu.

eprasa.pl e7683f73ec

A może jednak to nie władza prowokuje? ***Janusz Palikot*** napisał wprost: „Robić Marsze Równości non stop. I dać się pobić. Stać i czekać, aż cię zjedzą biciem. Zero reakcji. Milczenie. Być pobitym w milczeniu. To da zwycięstwo". Czy jednak nawet tak jednoznaczne deklaracje coś zmienią w opinii prof. Staniszkis i jej obecnych towarzyszy drogi? Bardzo wątpliwe. To są takie tory, z których nie da się zejść, trzeba jechać aż do końca trasy.



Sędzia Igor Tuleya ogłosił na łamach „Gazety Wyborczej", że jego znajomi sędziowie z Turcji, którzy uciekli przed reżimem Erdoğana, dostrzegają podobieństwa w działaniu tureckiego satrapy i rządu Prawa i Sprawiedliwości. Zareagowała prezydent Gdańska Aleksandra Dulkiewicz: „Niestety... Jedynym wyjściem, by ten scenariusz się nie powtórzył, jest demokratyczne odsunięcie PiS od rządzenia jesienią!". Proroczo nie dodała którego roku.



Władza siedzi w siodle naprawdę mocno. Oto przykład: mimo wieloletniej nagonki na reformę edukacji opozycja i jej media wciąż nie zdołały nakłonić Polaków do masowego potępienia zmian w systemie szkolnym. Według badania pracowni Social Changes 38 proc. badanych popiera likwidację gimnazjów i przywrócenie ośmioletniej szkoły podstawowej oraz czteroletniego liceum; przeciw jest 36 proc. Niby przewaga niewielka, ale jak na moment przeprowadzenia badania – w pewnym sensie imponująca.



W kontekście edukacyjnych sporów internauci przypomnieli wypowiedź prof. Jana Hartmana sprzed pięciu lat: „Masowe kształcenie na poziomie średnim jest utopijne i jest hipokryzją. Nie można udawać, że te 80 proc. młodych ludzi, którzy dostają matury, rzeczywiście realizuje pewne wyobrażenie o absolwencie liceum. Program szkolny jest adresowany do ludzi ponadprzeciętnie inteligentnych". Zabawne słowa w kontekście histerii rozpętanej przez opozycję wokół tego, że nie wszyscy absolwenci dostali się do „wymarzonych liceów".



Hartmanowi odpowiedział wówczas prof. Andrzej Nowak: „Powrót do tego rodzaju darwinizmu społecznego, jaki reprezentuje prof. Jan Hartman, nie jest wynikiem postępowej wizji przyszłości naszego społeczeństwa. Oferuje on wizję: większość do łopat, do prostych technicznych spraw przy obsłudze autostrad, które będą przecinały Polskę z Rosji do Niemiec. Do tego minimum tożsamości europejskiej, znajomość martyrologii Holokaustu i żadnej pamięci lokalnej". Doskonała definicja programu opozycji, który – nie miejmy złudzeń – wciąż obowiązuje.

I jeszcze jedno sondażowe pytanie: „Politycy której z partii są Pani/Pana zdaniem najbardziej pracowici?". Odpowiedzi (badanie Social Changes): Prawo i Sprawiedliwość – 33,9 proc., Platforma Obywatelska – 13,1 proc., Wiosna Roberta Biedronia – 7,4 proc., Kukiz '15 – 6,7 proc. wskazań. Dalsze miejsca zajęły: PSL – 4,5 proc., Razem – 4 proc., SLD – 3,7 proc., Nowoczesna – 3,2 proc. oraz Wolność – 2,4 proc. Trzeba przyznać, że Polacy wciąż są bardzo łaskawi dla opozycji.

Pod wrażeniem dokonań formacji Kaczyńskiego jest także Sławomir Sierakowski. „Prawo i Sprawiedliwość to oczywiście nie tylko 500+, ale to właśnie ten socjalny transfer zrewolucjonizował polską politykę i stał się punktem odniesienia dla wszystkiego, co dziś polityczne" – ocenia na łamach „Polityki", dodając: „Przeciwników PiS do dzisiaj irytuje świadomość, jakie to banalnie proste rozwiązanie, jeśli się już na nie wpadnie". Oni nie mogli na to wpaść, bo już dawno odzwyczaili się od myślenia. Gdzieś tak na przełomie tysiącleci. A może dużo wcześniej.

PAP informuje, że Tatry przeżywają prawdziwy najazd turystów. Chętni do wjechania kolejką linową na Kasprowy Wierch muszą stać po bilet nawet sześć godzin. Nie jest także łatwo dotrzeć nad Morskie Oko – już w godzinach rannych parkingi na Palenicy Białczańskiej i Łysej Polanie, gdzie zaczyna się popularny szlak, są zapełnione. W sumie – koszmar, lepiej nie jechać. Czekamy na hasło: 500+ niszczy polską przyrodę. Kto rzuci to pierwszy? Stawiamy na „Newsweek".

Emmanuel Macron ogłosił, że 14 państw członkowskich wyraziło zgodę na francusko-niemiecki dokument dotyczący migracji. W ramach umowy otwarte dla migrantów miałyby zostać m.in. włoskie porty. Prezydentowi Francji odpowiedział szef włoskiej Ligi Matteo Salvini. „Włochy nigdy nie będą twoim obozem dla uchodźców. Chcesz otwartych drzwi? Jest port w Marsylii, są porty na Korsyce, jest cała wielka Francja. [...] Nie sprzedam mojego kraju, mojej godności, mojej przyszłości". Gdyby nie putinofilia, Salvini byłby naprawdę OK.

Fot. Fratria, Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk

eprasa.pl e7683f73ec

Wszystko przez PiS



KRZYSZTOF FEUSETTE

Do was się zwracam – towarzysze i towarzyszki, panie, panowie i nieokreśleni, znani nielubiani i ci nieznani zupełnie, koleżanki, które były kolegami, i koledzy, którzy wolą być koleżankami, młodzi wykształceni i starzy kształceni na Wschodzie, ateiści, postkomuniści, liberałowie i liberałki, działacze, redaktorzy, panie posłowie i panowie posłanki, czas uderzyć zaciśniętą jak zęby naszego kandydata na prezydenta pięścią – w stół! Czas wskazać winnych naszych nieszczęść i bolączek, schorzeń i fobii, chamstwa, kłamstwa i sobiepaństwa, czas powiedzieć to głośno, choćbyśmy to mieli wykrzyczeć po raz tysiąc pierwszy: wszystko, co dobre za rządów PiS, to nasza zasługa, wszystko, co złe – wina PiS!

Tak, tak, to przez PiS grupka kretynów w Białymstoku rzucała kamieniami w grupkę innych kretynów. To przez PiS podleśne aktywistki i homoseksualni dewianci (w odróżnieniu od normalnych gejów i lesbijek) drwili z Matki Boskiej. To przez PiS pan Tusk kpił z uczuć katolików po przerobieniu świętej aureoli w tęczową szmatę, a jego support nazywał katolików „świniami". Przez PiS temat LGBT zaczął drążyć (fuj) polską politykę, bo to PiS podpisało w Warszawie kartę LGBT, nie pytając nawet jej mieszkańców o zdanie. To przez PiS pan Schetyna mówi, że to nie ma nic wspólnego z PO, bo to była obietnica kandydata Trzaskowskiego złożona w kampanii i to przez PiS dziennikarz „wolnych mediów" nie pyta pana Schetyny, czyim w takim razie kandydatem był pan Trzaskowski? To przez PiS pan Schetyna zmienia poglądy częściej niż pan Biedroń bieliznę, od kwestii imigrantów, przez wiek emerytalny, aż po to, czy mierzy w 38,6 proc. czy w 45 i czy lepiej będzie dla PO iść w koalicji czy nie. To wina PiS, że Koalicja Ojropejska rozpadła się na trzy koalicje: Obywatelską, Tęczową i „Polzkom". A w każdej ze trzy partie. Bo przecież to przez PiS pan Biedroń wypiął się na własny elektorat już dwukrotnie i z tego samego powodu pan Czarzasty nie widzi list SLD bez najczerwieńszego betonu.

Wszystko przez „pisiorów", jak mawia pan Tusk. Nawet on sam – wyłącznie przez PiS – blokował kiedyś unijne pakiety klimatyczne, a dziś już by nie blokował, gdyż sytuacja planety się zmieniła. Wiadomo, Platforma nie rządzi, to i świat się kończy. Jeszcze chwilę, a przez PiS życie na Ziemi wygaśnie, jak wygasnąć miały kopalnie za rządów pani Kopacz. Bo to PiS zrywa banany, żeby już nigdy żaden orangutan nie zapisał się do Nowoczesnej. I to PiS pod osłoną nocy zasypało Puszczę Białowieską kornikami drukarzami. To przez PiS w obronie drzew stanąć musieli drewniani aktorzy i plastikowi celebryci, którzy wciąż bronią Polańskiego, ale potępiają pedofilię i są za życiem, ale wyłącznie dla karpia.

To przez PiS polskie społeczeństwo straciło wiarę w polskie sądy i to przez PiS, a w zasadzie – przez ministra Ziobrę, polscy sędziowie dali się wciągnąć Platformie w polityczne bagno. To przez PiS kradną narzędzia, spodnie i pendrive'y, to przez PiS zapowiadają, że za rok będą już siedzieć w więzieniu i to przez PiS żaden biegły takiego sędziego nawet nie przebada. To przez PiS nie ma leków w zachodniej Europie i przez Kaczyńskiego Chińczycy pozamykali fabryki środków niezbędnych do ich produkcji. Przez PiS hiszpańska policja pałowała Katalończyków, francuska „żółte kamizelki", a niemiecka nikogo, bo tam mocniej pałują imigranci Niemców niż policja bandytów. Bo to przecież przez PiS Niemcy zalewa dziś fala nowego antysemityzmu, choć ludzie z PO biegną do niemieckich mediów przekonywać, że ani dzisiaj, ani w 1939 r. to nie była do końca wina Niemców. Już bardziej Polaków. Wtedy zaczęli oni wojnę od „złego słowa przeciwko innemu", a dziś mordują na paradach najpiękniejsze męskie fryzury. I to przez PiS dawny polityk PO Paweł Śpiewak twierdzi, że w Białymstoku narodził się polski faszyzm, plując tym samym na pamięć o polskich i żydowskich ofiarach nazistowskich Niemiec. To przez PiS żadna z „ofiar" zajść w Białymstoku nie zgłosiła się na policję ani w dniu zadymy, ani nawet dzień po niej. Wiadomo – boją się. Nie pytajcie kogo.

I cóż ten PiS ma teraz zrobić? Całkiem niedawno i najzupełniej poważnie niejaki pan Skubiszewski, działacz PO-KO, ba – jej ekspert od śledzenia telewizji publicznej, zapowiadał, że po wyborach wygranych przez totalnie totalnych pozabiera się pisowcom mandaty poselskie, gdyż, cytuję z głowy, której u Skubiszewskiego nie dojrzałem, „zdobyli oni te mandaty wskutek oszustwa i propagandy TVP". Jacek Kurski będzie już wtedy wisiał na haku w gabinecie prezesa Misiły, który tak przebiera nóżkami, że aż mu się grzywka w lewo kręci. Bo i on, właśnie przez PiS, znalazł się na obrzeżach polityki, wespół w zespół z całą resztą wielkiej Nowoczesnej ze szczególnym uwzględnieniem pani Scheuring-Wielgus, z pieskiem lub bez, ale zawsze nieszczęśliwej. Przez PiS.

Wszystko to bywa zabawniejsze nawet od pojękiwań pana Rabieja, gorzej, że naprawdę żyją w Polsce wyborcy, którzy ten toporny przekaz, polegający na stałym obrzucaniu błotem wszystkiego, co robi PiS, i to często przez ludzi, którzy nie zdążyli z siebie zmyć rzeczy znacznie gorszych, łykają jak ryba robaki. Na szczęście prawda o gigantycznej przewadze medialnej „przyjaciół Platformy", a także o ich manipulacjach i kłamstwach powoli zaczyna do rodaków docierać. Nie zmienią tego zaklęcia przytulonych do medialnego „salonu" listonoszy. I to jest największa wina PiS.

8/0719/F

eprasa.pl e7683f73ec

Kibicujmy Polsce!

Historyczny sukces polskiej koszykówki.
Nasza reprezentacja
wśród najlepszych drużyn na świecie!
Polska Kadra Narodowa zagra
na Mistrzostwach Świata w Chinach!

Dzięki ogromnej pracy, pasji i energii nasza kadra narodowa po 52 latach awansowała do Mistrzostw Świata. Partnerem strategicznym polskiej koszykówki jest Grupa Energa. Wierzymy, że Biało-Czerwoni dadzą z siebie wszystko. My na pewno będziemy im dumnie kibicować. Niech polska reprezentacja poczuje naszą dobrą energię, a podczas mistrzostw w całym kraju zabrzmi hasło: #DawajPolska.

Dumny sponsor polskiej koszykówki

Energa



eprasa.pl e7683f73ec



Premier Boris, czyli twardy brexit?

Europejskie media nie przestają szydzić z nowego lidera Partii Konserwatywnej i premiera Wielkiej Brytanii Borisa Johnsona. „W bogatej historii brytyjskiego parlamentaryzmu niewielu było kandydatów, którzy na pierwszy rzut oka, pod względem fachowym i charakterologicznym, tak bardzo nie nadawali się do tej roli" – ironizuje „Süddeutsche Zeitung". A „The Guardian" ostrzega nowego lokatora Downing Street no. 10, że żarty się skończyły i nadszedł czas na rozwiązanie problemów, które pozostawiła po sobie Theresa May. Jak choćby brexit czy bezpieczeństwo brytyjskich statków w cieśninie Ormuz, a co za tym idzie – stan brytyjskiej marynarki wojennej.

To, co zaproponował nowy premier, nie spodoba się zapewne redaktorom „Guardiana". W czwartek podczas exposé w Izbie Gmin Johnson obiecał bowiem, że albo wynegocjuje z UE nowy deal, w którym nie będzie już mowy o tzw. irlandzkim backstopie, albo Londyn wyjdzie 31 października z Unii bez żadnego porozumienia. Jednocześnie obiecał obywatelom UE żyjącym na Wyspach Brytyjskich „pełnię praw". „Mogą zostać. Dziękuję im za wkład w naszą gospodarkę i społeczeństwo" – podkreślił.

A gdy brexit już się stanie rzeczywistością, Johnson chce, by Wielka Brytania została liderem w rozwoju żywności GMO oraz baterii do samochodów elektrycznych. Na to pierwsze nie pozwalają dziś unijne przepisy, a w to drugie Wielka Brytania jak dotąd niewiele inwestowała.

Lider laburzystów Jeremy Corbyn zarzucił Johnsonowi, że „przecenia swoje możliwości". Irlandzki premier Leo Varadkar zasugerował, że „nowego dealu z UE nie będzie". A wyrzucenie kwestii backstopu wymagałoby jego zdaniem zupełnie nowej umowy.

Plany Johnsona są ambitne, ale – jak zaznacza dziennikarka „The Economist" Anne McElvoy – „Boris bywa bardzo sprytny i elastyczny". Może mu się udać to, co nie udało się jego poprzedniczce. Jeśli nie, to premierem będzie bardzo krótko. Ma on za sobą bowiem tę samą niewielką większość, jaką miała May w Izbie Gmin. W każdej chwili może zostać skonfrontowany z wotum nieufności. A parlament jest przeciwny bezumownemu brexitowi. Nie jest więc wykluczone, że zamiast brexitu jesienią odbędą się w Wielkiej Brytanii przedterminowe wybory.

Aleksandra Rybińska

eprasa.pre7833173ec



eprasa.pl e7683f73ec

Zełenski ma wolną rękę

Ukraina

Na Ukrainie po przeliczeniu 90 proc. głosów oddanych w trakcie niedzielnych wyborów wszystko jest już jasne. Partia prezydenta Wołodymyra Zełenskiego uzyskała większość w Radzie Najwyższej i po raz pierwszy w historii niepodległego państwa powstać może gabinet, którego zapleczem jest tylko jedna frakcja w parlamencie. Czy taki powstanie, to osobna kwestia, bo liderzy Sługi Ludu publicznie mówili, że dopuszczają możliwość, niezależnie od końcowych, oficjalnych wyników (te będą znane na początku sierpnia), zawarcia koalicji z formacją Głos Światosława Wakarczuka, lidera grupy rockowej Okean Elzy, uznawanego za jednego z najbardziej prozachodnich polityków Ukrainy.

Za tego rodzaju aliansem przemawiają przynajmniej dwa argumenty. Po pierwsze, mogłaby powstać koalicja młodych sił Ukrainy – obydwie partie zostały bowiem powołane w tym roku – opowiadających się za szybką modernizacją kraju, reformami gospodarczymi i integracją ze strukturami Zachodu. Po drugie, partia Głos cieszy się sporym poparciem na Ukrainie Zachodniej, przede wszystkim we Lwowie i okolicach (w samym mieście klęskę poniósł tamtejszy „mocny człowiek" Andrij Sadowy), gdzie relatywnie słabsza jest formacja Zełenskiego.

Niezależnie jednak od tego, czy koalicja nowych sił Ukrainy powstanie, już obecnie zaczynają się dyskusje na temat kształtu przyszłego rządu i następnych posunięć politycznych zwycięzców. Dmitrij Razumkow, kierujący w przeszłości sztabem wyborczym Zełenskiego, typowany na przyszłego przewodniczącego Rady Najwyższej, już zapowiedział, że w 2020 r. odbędą się wybory lokalne.

Teraz trwają spekulacje, kto zostanie premierem i kto zajmie stanowisko prokuratora generalnego. Na to ostatnie miejsce typowany jest Rusłan Riabopaszka, również pracujący w sztabie wyborczym Zełenskiego, w przeszłości wiceminister sprawiedliwości.

Jeśli idzie o przyszłego premiera Ukrainy, to prezydent Zełenski już po wyborach opowiedział się za kandydatem, który w przeszłości nie pełnił żadnych funkcji rządowych ani parlamentarnych, a jest przy tym technokratą, ekonomistą i człowiekiem cieszącym się dobrą reputacją w państwach Zachodu. Tej charakterystyce najlepiej odpowiada Władysław Raszkowan, obecny przedstawiciel Ukrainy w Międzynarodowym Funduszu Walutowym. Ale mówi się również o tym, że może to być Andrij Koboliew, kierujący ukraińskim Naftohazem, Ajvaras Abramovičius, będący w przeszłości ministrem gospodarki, czy dobrze oceniany Maks Nefedow, reformujący służbę celną. Posadę w rządzie utrzyma też najprawdopodobniej obecna minister finansów Oksana Markarowa czy zwolenniczka refom ochrony zdrowia Uliana Suprun.

Niezależnie od tego, kto ostatecznie zasiądzie w ławach rządowych, będzie to młoda, technokratyczna ekipa reformatorów, której zadaniem ma być zerwanie z dominacją oligarchów w gospodarce, energiczne reformy, zmniejszenie biurokracji i obniżenie podatków. Ukraina musi się stać liderem zmian rynkowych w regionie po to, aby zagraniczny kapitał zaczął płynąć, a gospodarka rozwijała się w tempie co najmniej 5 proc. rocznie. Za takimi zmianami opowiedział się w swym opublikowanym w przeddzień wyborów artykule Raszkowan twierdzący, że kolejnej szansy na przyspieszony wzrost Ukraina nie może stracić.

Komentatorzy przestrzegają, że wybór innej opcji, polegającej na wyłonieniu gabinetu złożonego z polityków lub zaufanych tychże, o mniejszym samozaparciu w reformowaniu kraju, doprowadzić może Ukrainę na skraj przepaści. To, którą drogą pójdzie nasz wschodni sąsiad, będzie już wiadomo za kilka tygodni.

Marek Budzisz



Fot. Alexandros Michailidis/Shutterstock.com

Słowacja

Bratysława przed testem lojalności

Chociaż wybory parlamentarne na Słowacji odbędą się dopiero wiosną przyszłego roku, to już się zaczynają przygotowania do tego wydarzenia. Część elit unijnych i zachodnie środowiska lewicowo-liberalne wiążą duże nadzieje ze zbliżającą się elekcją. Słowacja od dawna postrzegana jest bowiem przez nie jako najsłabsze ogniwo w Grupie Wyszehradzkiej. Już podczas ostatniego szczytu UE liczono, że uda się rozbić jedność V4, wyłuskując z niej Słowaków. Premier Peter Pellegrini, mimo olbrzymiej presji, pozostał jednak lojalny wobec swych sąsiadów.

Teraz na horyzoncie majaczy perspektywa zmiany. Wynika ona z tego, że ostatnie wybory w tym kraju wygrali lewicowi liberałowie: prezydenckie – Zuzana Čaputová, europarlamentarne zaś – partia Progresywna Słowacja. Ich największym sojusznikiem w Europie pozostaje prezydent Francji Emmanuel Macron. W Paryżu i Brukseli liczą więc na zwycięstwo swych faworytów. Może się bowiem okazać, że w obliczu konfliktu lojalności bliskość ideowa z zachodnimi towarzyszami będzie ważniejsza niż regionalna solidarność z krajami sąsiedzkimi.

Zaniepokojenie nadchodzącymi wyborami na Słowacji wykazuje również tamtejszy Kościół katolicki. Zarówno Čaputová, jak i partia Progresywna Słowacja opowiadają się za przywilejami małżeńskimi dla par homoseksualnych, łącznie z adopcją dzieci. Pod tym względem sytuacja u naszych południowych sąsiadów przypomina to, co dzieje się teraz w Polsce. Nieustanna presja lobby LGBT sprawia, że postulaty środowiska gejowskiego znalazły się w centrum słowackiej debaty publicznej. Wiele wskazuje na to, że będzie to jedna z osi sporu podczas najbliższej kampanii wyborczej.

Międzynarodowe organizacje promujące idee rewolucji obyczajowej nie ukrywają, że zamierzają w najbliższym czasie rzucić swe siły na Słowację, by zmienić podejście obywateli tego państwa do ideologii gender i postulatów LGBT. Stawka wiosennych wyborów będzie więc bardzo duża. Szykuje się ostra kampania.

Grzegorz Górny

Trump jak Obama?

USA

Nic tak nie bawi ani nie irytuje jednocześnie jak hipokryzja lewicy. Widać ją szczególnie na uczelniach, które nie tylko w USA zostały przejęte przez rewolucjonistów z pokolenia '68, kreujących „słuszne ideowo" postawy kolejnych pokoleń. Dowodem jest prowokacja, jaką przeprowadziła telewizja Fox News na kampusie Uniwersytetu Georgetown.

Reporter porannego programu „Fox & Friends" zacytował studentom takie oto słowa: „Nielegalni pracownicy łamią nasze prawo i muszą ponosić odpowiedzialność za swoje czyny. Szczególnie ci, którzy mogą być niebezpieczni. Dlatego przez ostatnie sześć tygodni deportacje kryminalistów wzrosły o 80 proc., a my nadal musimy zwracać uwagę na zagrożenia dla naszego bezpieczeństwa". Studenci, którzy usłyszeli od reportera te słowa, zagotowali się z oburzenia. Przekonani, że wypowiedział je Donald Trump, zwymyślali go od białych separatystów. „Myślę, że taka polityka ma podłoże nacjonalistyczne. To biały amerykański nacjonalizm" – dzielił się swoimi wrażeniami jeden ze studentów. Inny stwierdził, że to retoryka „rasistowska i ksenofobiczna", a podekscytowana studentka przekonywała, że w Białym Domu rządzi „biały nacjonalizm". Wszyscy byli bardzo zaskoczeni, gdy się okazało, że te „ksenofobiczne i rasistowskie" słowa wypowiedział w 2014 r. prezydent Barack Obama.

Zmieszanie, szok i niedowierzanie na twarzach obnażonych intelektualnie studentów było najzabawniejszą częścią programu. Smutniejsze są jednak wnioski płynące z ich wypowiedzi. Okazuje się bowiem, że przyszła część elity narodu (Georgetown to jedna z prestiżowych uczelni) nie potrafi samodzielnie myśleć i zamiast tego kieruje się ideologią. Cytowane powyżej zdanie zostało przez nich automatycznie uznane za rasistowskie. Czy następnym razem uwierzą, gdy im ktoś powie, że Barack Obama jest białym nacjonalistą?

Łukasz Adamski



Składamy wyrazy naszego serdecznego współczucia

PANI MINISTER HALINIE SZYMAŃSKIEJ

Szefowi Kancelarii Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej

łącząc się w głębokim smutku po odejściu

Ojca

Wieczny odpoczynek racz Mu dać, Panie!

Prezydent RP Andrzej Duda
z Małżonką Agatą Kornhauser-Dudą

42/07/19/F

eprasa.pl e7683f73ec

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Była kiedyś dziura ozonowa...



Jan Pietrzak

Nie tak dawno dziura ozonowa wisiała nad światem. Przeczytałem w gazecie i zacząłem się zastanawiać, jak dziura może wisieć? Chyba może, bo co ma wisieć, nie utonie, a jak dziura ma utonąć?

Przez tę dziurę znaki zodiaku dają każdemu znak, jak ma żyć według swego znaku... Głównie Barany. W Polsce nie ma gazety bez horoskopu. Niektóre gazety padły, bo nie czytały swoich horoskopów i nie wiedziały, co je czeka. Człowiek rano przeczyta w horoskopie: „Kłopoty w pracy znikną, choć nie wszystko pójdzie dobrze...", i wie, czego się trzymać cały dzień! To skutkuje. Na modę ma wielki wpływ.

Młodzież chodzi ubrana „na cebulę": trzy podkoszulki, kamizelka po wujku, narzutka po ciotce... Jak byłem młody, to się „dziadostwo" nazywało. Z kolei moja żona twierdzi, że moda mini wraca. Moda tak, wymiary nie! Natomiast moda na żony mija. Europejski parlament uchwalił, że obecnie mężczyzna może mieć męża. A jak ja byłem młodym, ponętnym blondynem, nie mogli tego uchwalić? I człowiek przez całe życie z inną płcią musiał się męczyć jak zboczeniec! A były okazje, były...

Byłem wiele lat w wojsku. Pamiętam taką zbiórkę... „Baczność! Kolejno odlicz! Raz! Dwa! Trzy! Cztery! Pięęęęć... Wróć! Spocznij! Baczność! Kolejno odlicz! Raz! Dwa! Trzy! Cztery! Pięęęć... Piąty wystąp! Jak się nazywacie? Miecio, a ty?". Wyobrażacie sobie minę sierżanta?!

Ten przykład świadczy o tym, jak mężczyźni wyzwolili się z uprzedzeń i przesądów... Kobiety też. Jedna niewiasta w Ameryce tak się wyzwoliła, że obcięła mężowi, bo ją gwałcił. Oni byli kilka lat po ślubie – on ją gwałcił. Jakiś szaleniec. Ale żeby zaraz obcinać? Do czego to podobne? Ja tam akurat jeździłem. Oni mają duże społeczeństwo. Wszyscy żyli tą sprawą. Pierwsze strony w gazetach. Wszystkie kanały telewizji o jednym. Znam każdy szczegół. Co zrobiła, jak obcięła? Pojechała dwie mile od domu i rzuciła w krzaki. Przejeżdżał tamtędy cowboy, znalazł i zawiózł do szeryfa. Szeryf ruszył po okolicy, by znaleźć tego, komu brakuje. Po wielu przymiarkach wykrył... i zawiózł ich obu do szpitala: to znalezisko i tego skróconego. Nastąpił cud medycyny: udało się jedno do drugiego przyszyć. Od razu z całej Ameryki zgłosiły się ochotniczki, żeby z nimi wypróbował, czy będzie działać. No i się działo...

Niepowtarzalne doświadczenie

Z aktorką Beatą Fido rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Ździebłowskie to twarde kobiety?

Ale też z wielkim sercem. I powołaniem. Doktor Magda Ździebłowska ma się od kogo uczyć.

Być ekranową córką Anny Seniuk to aktorskie marzenie czy wyzwanie?

Dla mnie spełnienie marzenia. Pani Ania jest fantastyczną aktorką i czarującą energetyczną osobowością. Spotkanie jej w pracy, zwłaszcza w relacji matka-córka, to ogromna przyjemność i doświadczenie na pewno niepowtarzalne.

Czy lekarki z „Leśniczówki" mają misję do spełnienia? Pamiętamy, jak grana przez Annę Seniuk dr Czesia namawiała pacjentki do skorzystania z badań w mammobusie.

W realizowanym właśnie trzecim sezonie „Leśniczówki" też pojawi się temat profilaktyki. To ważne, by ludzi ośmielać, oswajać. Niestety przedstawiciele służby zdrowia nierzadko muszą się konfrontować z pokutującym przeświadczeniem, że idzie się do lekarza, by znaleźć chorobę, a to nieprawda. Diagnoza daje szansę. Zwłaszcza na wczesnym etapie, więc i ten wątek pojawi się w serialu. Oczywiście obok wielu innych (uśmiech).

W „Leśniczówce" sporo się będzie działo. A jak radzi sobie pani bohaterka w „Komisarzu Aleksie"?

Mam pełną świadomość, że – może poza Krystianem Wieczorkiem, który gra główną męską rolę – widzowie oglądają ten serial dla psa, który jest tytułowym komisarzem Alexem. Jednocześnie akcja niesie całkiem sporo wyzwań, nie tyle aktorskich, ile sprawnościowych. W ubiegłym tygodniu musiałam biegać z bronią. Jak będzie to wyglądało na ekranie, zobaczymy jesienią.



Fot. East/News/Mateusz Jagielski

eprasa.pl e7683f73ec

BRONISŁAW WILDSTEIN

Moje kompleksy



III RP kruszeje, ale jej nomenklatura trzyma się nieźle

Robert Mazurek napisał „List otwarty do Danuty Holeckiej", adresatka odpowiedziała mu (zresztą nie tylko ona), on jej znowu. Publiczna epistolografia kwitnie i mojego udziału nie potrzebuje. Chciałbym tylko wyrazić zdziwienie jednym, ale istotnym wątkiem z drugiego listu Mazurka.

„Jakiegoż znowu salonu? Dajcie wy sobie z nim spokój, nie ma już żadnego salonu. Są żałosne niedobitki. Przyjaciele zostawcie swoje kompleksy, wygraliście. Zastanówcie się raczej, co z tym zwycięstwem zrobicie".

Jak nie ma salonu, kiedy jest? Czy dlatego, że Mazurek trafił do niego, przestał go zauważać? Czy gigantyczne pieniądze, wpływy, międzynarodowe układy wyparowały po dojściu PiS do władzy? Nawróciły się? Wypowiedź Mazurka przypomina mi sławną deklarację Jolanty Szczepkowskiej. Owszem, komunizm upadł, ale nie komuniści. III RP kruszeje, ale jej nomenklatura trzyma się nieźle.

W czasach afery Rywina pewna znana profesor socjologii w dyskusji z Zybertowiczem na pytanie o to, kto rządzi w Polsce, odpowiedziała: „W Polsce rządzi rząd, który wyłaniany jest przez większość parlamentarną wybraną w wyborach".

Socjologowie zajęci czytaniem prac innych socjologów nie mają czasu, aby obserwować to, co dzieje się poza murami instytutów. Ale Mazurek? Dziennikarz?

Demokracja liberalna polega na tym, aby coraz mniej spraw pozostawało do rozstrzygnięcia dla wyłonionej w wyborach władzy, czyli coraz mniej zależało od obywateli. To także porządek, w którym ci, którzy nie zgadzają się na ten stan rzeczy, są eliminowani z życia publicznego jako populiści, czyli prawie (a niekiedy wręcz) faszyści. W systemie tym prawica została skutecznie skolonizowana przez liberalną lewicę i niczym się od niej nie różni, a wybór społeczeństwa ogranicza się do opakowania. Rządzi oligarchia, czyli dominujące ośrodki w swoim interesie, a władze polityczne są tylko jej, nie najważniejszym, elementem. Liczą się wielki biznes, potężne korporacje z prawniczą na czele, media czy centra opiniotwórcze. Ten personalno-instytucjonalny splot, którego liderzy doskonale się znają, nazwać można salonem.

Wszystkie te ośrodki jako legitymacją swojej władzy posługują się ideologią emancypacji, a na straży tego porządku stoi UE. III RP wcielała ten model, z tym że ze względu na historyczne uwarunkowania rewolucja obyczajowa przebiega u nas z pewnym opóźnieniem, chociaż z równie nieubłaganą konsekwencją.

I Mazurek chce mi powiedzieć, że wszystko to zostało unieważnione, dlatego że PiS wygrało wybory i potrafiło utrzymać władzę przez całą kadencję, a nawet, co prawdopodobne, wygra wybory kolejne? Że wystarczyło to, aby sędziowie zarzucili ambicje bycia nadrządem i nadparlamentem, media prywatne zaczęły bezstronnie relacjonować wydarzenia, międzynarodowe korporacje zrozumiały, że Polska nie będzie ich tanim zapleczem, potęgi europejskie z Niemcami na czele zaczęły traktować nas po partnersku, a wyznawcy nowej ideologii przestali z pogardą podchodzić do podludzi, którzy jej nie akceptują?

Czy wszystkie te ośrodki utraciły moc i zaakceptowały demokrację bezprzymiotnikową? Czy walec ideologii, po przetoczeniu się którego wszyscy mamy być wyemancypowani jak spod jednej sztancy, przestał się poruszać? Czy elity wielkich miast zrozumiały, że pluralizm to więcej niż debata Lisa z Żakowskim?

Zapędziłem się. Nie przesadzajmy i nie oczekujmy niemożliwego, czyli uczciwości, zrozumienia i odrzucenia ambicji do panowania. Wystarczy, aby prawica posiadała porównywalne środki z siłami III RP.

Gdyby tak się stało, mógłbym się zgodzić z Mazurkiem i wspólnie (?) świętować zwycięstwo. Ale do tego stanu jeszcze daleko, a władza PiS, choć usiłuje odbudować demokrację, możliwości ma ciągle ograniczone, tak jak współcześnie każdy polityczny ośrodek.

Żeby nie było nieporozumienia: w przeciwieństwie do moich (salonowych) antagonistów, nie nawołuję do ich anihilacji. Niechże nadają TVN i „GW", Onet i „Newsweek" oraz legion im podobnych, choć nie widzę powodów, aby spółki skarbu państwa miały im płacić haracz, ale oczekiwałbym, że powinna działać równorzędna wobec nich ideowa konkurencja. A ciągle tego nie widzę i – w tej kwestii przypuszczalnie również różnię się z Mazurkiem – jestem przekonany, że nie z powodu nieudacznictwa po prawej stronie.

Nie twierdzę, że taka chwila nie nadejdzie, ale jeszcze dużo czasu musi upłynąć i sporo pracy nie tylko na politycznej niwie musi zostać wykonane. Pewnie to moje kompleksy.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl e7683f73ec

OGNIEM NA WPROST

Lwowska taksówka



Kanadyjski transseksualista Jonathan „Jessica" Yaniv generalnie jest facetem podającym się za kobietę. Kiedy stał się już kobietą, to zdeklarował się natychmiast jako lesbijka. Po czym udał się do salonu piękności i zażądał od zszokowanych kosmetyczek depilacji jąder. Kiedy te pogoniły Yaniva, ów wytoczył im proces o dyskryminację. W rzeczywistości „wyczyny" tego cwaniaczka miały ukryty cel. Jak informuje Lifesitenews.com, złożył on ostatnio w radzie miejskiej Langley wniosek o wydanie zezwolenia na zorganizowanie w jednym z komunalnych basenów imprezy topless. Wstęp na „Jessica party" miały mieć bezpłatnie osoby od 12. roku wzwyż, pod warunkiem że przyjdą bez rodziców. Okazało się, że zrzuty z jego postów w mediach społecznościowych pokazujące niepokojące zainteresowanie 10- i 12-letnimi dziewczętami krążą w sieci od ponad roku. Wyszło na jaw, że za tymi wszystkimi kombinacjami płciowymi stała pospolita pedofilia. Kanadyjczykiem powinno się natychmiast zainteresować wschodzące w Polsce lobby LGBT. Wszak to wymarzona kandydatka (kandydat?) na gwiazdę Parady Równości pod hasłem Pedofil Pride.

Tymczasem w Belgii rozkwita miejska partyzantka. Po wybuchach w Willebroeck przyszła kolej na Antwerpię. W ostatnim tygodniu doszło tam do trzech detonacji granatów ręcznych. W wyniku eksplozji uszkodzeniu uległo sześć samochodów oraz fasady dwóch domów. Zdaniem policji nie były to spontaniczne obchody 20 czerwca – Dnia Uchodźcy – tylko porachunki tzw. mocromafii złożonej z imigrantów marokańskich. Konflikty między gangami prowadzą do gwałtownych starć, zamachów bombowych i strzelanin. Pojawiły się apele do rady miasta Antwerpii o twarde podejście do sprawy. Pierwsze posiedzenie rady ma się odbyć dopiero pod koniec września. Marokanesy zacierają z zadowolenia ręce. Szykują się na niezłe wakacje z handgranatem w dłoni.

Znajomy znajomego był ostatnio we Lwowie i przejechał się taksówką. Za kółkiem siedział facet w haftowanej rubaszce i po skończonym kursie w ramach reklamy dał pasażerowi wizytówkę. Okazało się, że Ukrainiec powozi w Prywatnym Przedsiębiorstwie Socjalnym „Służba Hałyczyna" (Galicja), a jego gablota, jak stało napisane na wizytówce, to „SS – Galychyna Taxi Lviv". Gwoli zachęty obok nazwy „SS Galizien Taxi Lwów" wyjaśniono: „speak English", choć powinno być raczej: „speak German". Dla zainteresowanych wakacyjną przejażdżką ulicami Lwowa SS Galizien Taxi: „info 0673756100". Tego jeszcze nie grali. Nawet na Ukrainie.

Ksiądz Wojciech Lemański tym razem zabrał głos w dyskursie o LGBT w kontekście wydarzeń białostockich. „Ludzi podatnych na propagandę lęku przed LGBT łatwo znaleźć w każdym kraju. W jednych krajach jest ich mniej, w innych więcej. W Rosji sporo, zaś w Polsce takich niestety nie brakuje. Często to ludzie biedni, skołowani, podatni na manipulacje i gotowi nawet swe życie złożyć w obronie zagrożonej cywilizacji. Groźniejsi od nich są jednak ci, którzy szepczą im do ucha i palcem pokazują cel ataku – rozkręca się duchowny. – To ci, co szczuli na Adamowicza. […] To ci, którzy z modlitwą na ustach obrali sobie wroga w tęczowym środowisku. Niech ta śmierć przemówi do nich wszystkich. Ku opamiętaniu". Księże Wojciechu! Po co się tak szarpać? Opamiętaj się! Zrób wreszcie comming out. Ulży od razu.

Minister obrony Francji Florence Parly poinformowała o odnalezieniu wraku zaginionego 51 lat temu francuskiego okrętu podwodnego „Minerve", który zatonął wraz z całą 52-osobową załogą (w tym sześciu oficerów) na Morzu Śródziemnym 27 stycznia 1968 r. Sprawa była o tyle trudna, że stalowe szczątki leżały w odległości 45 km od największej europejskiej bazy marynarki wojennej Tulon na głębokości 2 230 m. Prawie niemożliwością jest prowadzić poszukiwania poniżej magicznej bariery 2 tys. m. Odkrycia dokonała amerykańska firma Ocean Infinity – ta sama, która odnalazła zaginiony w 2017 r. argentyński okręt podwodny ARA „San Juan". Najprawdopodobniej przyczyną zatonięcia jednostki było zablokowanie tylnych sterów i niekontrolowane zejście poniżej dopuszczalnej głębokości 300 m. Konstrukcja po prostu uległa implozji, miażdżąc załogę. „Minerve" miała wady fabryczne, które doprowadziły do utraty drugiego okrętu tego samego typu – „Eurydice". Ta z kolei zatonęła wraz z 57-osobową załogą 4 marca 1970 r. na wysokości Saint-Tropez – około 50 km na zachód od miejsca utraty „Minerve". Dzielni marynarze starali się wiernie strzec francuskiego akwenu, ale zły los położył ich z honorem na dnie.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl e7683f73ec



Świątynie z duchem czasu

Przez setki lat świątynie były prekursorami architektonicznych stylów i miejscami, w których artyści realizowali swoje odważne, pełne rozmachu wizje. Kościół był mecenasem sztuki na najwyższym poziomie i dźwignią życia kulturalnego pokoleń chrześcijan.

Dziś wiele zabytkowych świątyń na zachodzie Europy zamieniane jest na kluby, hotele, sklepy. Najbardziej zlaicyzowanymi krajami Europy są Estonia, Czechy i Francja. Miejsca kultu religijnego zastępowane są przez lokale usługowe, które swoją oryginalną lokalizacją przyciągają zapewne znacznie więcej klientów niż uprzednio wiernych. Zdarza się również, że burzy się świątynie, które są położone w atrakcyjnych miejscach, a inne skazuje na zniszczenie wskutek wieloletnich zaniedbań.

W Polsce obiekty architektury sakralnej zdają się nierzadko pozostawać poza opieką konserwatorów, których zadaniem jest dbałość o zachowanie ich piękna

W Polsce obiekty architektury sakralnej zdają się nierzadko pozostawać poza opieką konserwatorów, których zadaniem jest dbałość o zachowanie ich piękna. Wystrój wnętrz kościołów charakteryzuje niejednokrotnie dowolność, która przez lata nawarstwień elementów o wątpliwej wartości artystycznej powoduje, że świątynie o pierwotnie ciekawej architekturze tracą swój wyjątkowy styl.

Jedno z biur architektonicznych przygotowało projekt rewitalizacji wnętrza kościoła z początku XX w. położonego w pewnej niewielkiej miejscowości. Założeniem twórców było przekształcenie wnętrza tej skromnej świątyni zgodnie ze współczesnymi kanonami designu przy zachowaniu jego oryginalnych, najstarszych elementów. Kościół ten początkowo służył protestantom, następnie został przystosowany do potrzeb parafii katolickiej. Z czasem jego wnętrze zostało wypełnione przypadkowym wyposażeniem, zmieniano jego kolorystykę, polichromie kilkukrotnie zamalowano, ławki zostały zniszczone przez szkodniki, a ściany zyskały niepasujące do reszty dekoracji oświetlenie. Kościół w nowej odsłonie ma przyciągać ascetycznym stylem, podkreślającym zabytkowe elementy sprzyjając modlitwie i skupieniu.

Kilka lat temu klasztor na Jasnej Górze, klasztor ojców Dominikanów w Lublinie oraz szlak drewnianych kościołów diecezji kaliskiej otrzymały dotacje unijne na renowację i konserwację zabytków, które znajdują się w kościołach. Miejsca te, podobnie jak wiele innych w Polsce, zmieniają swój wygląd. Przedmiotem renowacji mogą się stawać jednak nie tylko popularne zarówno wśród turystów, jak i wiernych powszechnie znane obiekty sakralne, lecz także lokalne parafie, np. te, których istnienie zapoczątkowano w okresie dwudziestolecia międzywojennego i których modernistyczna architektura może przyciągać fanów współczesnego designu, który do niej nawiązuje.

Marta Kaczyńska



Pani Minister

HALINIE SZYMAŃSKIEJ

wyrazy głębokiego żalu i współczucia

z powodu śmierci

Ojca

składa

Prezes Trybunału Konstytucyjnego

41/0719/F

eprasa.pl e7683f73ec

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***



Wieprzowina surowo zakazana



Jedno z niemieckich przedszkoli postanowiło wycofać wieprzowinę z menu maluchów. Wszystko w trosce o zbawienie dusz muzułmańskich dzieci. O sprawie pisze dziennik.pl. Chodzi o przedszkole i żłobek w Lipsku. Część rodziców protestuje. „Z szacunku dla zmieniającego się świata od 15 lipca zamawiane i wydawane będą tylko potrawy niezawierające wieprzowiny" – taką informację, którą za „Bildem" cytuje dziennik.pl, dostali rodzice dzieci ze wspomnianych żłobka i przedszkola. To jednak nie wszystko. W owym przedszkolu dzieci nie będą także dostawały słodyczy ani innych artykułów spożywczych, które zawierają składniki pochodzenia wieprzowego, np. żelatynę. Chodzi m.in. o żelki. Warto zauważyć, że do obu placówek uczęszcza w sumie 300 dzieci, a menu zostało zmienione ze względu na dwie dziewczynki. Dlaczego nie można było zmienić menu tylko dla dwójki dzieci? Najwyraźniej asymilacja muzułmanów w Niemczech przebiega z sukcesami. Nic to, że w odwrotnym kierunku.

544
mln zł
– tyle wydał NBP na wynagrodzenia w 2018 r. To o 57 mln zł więcej niż w 2017 r. Tak wynika z raportu NIK.

710
tys. zł
– tyle brutto zarobił łącznie prezes NBP Adam Glapiński w 2018 r. To daje ponad 59 tys. zł miesięcznie.

800
tys. zł
– tyle zarobił w 2015 r. ówczesny prezes NBP Marek Belka. To daje prawie 67 tys. zł miesięcznie.



Tatuś czy mamusia?

Nowoczesność wciąż zaskakuje. Jak informuje portal pch24.pl, 32-letnia transseksualna kobieta z Wielkiej Brytanii urodziła syna. Ze względu na swoje zaburzenia tożsamości płciowej oraz to, że od kilku lat jest zarejestrowana jako mężczyzna, chce być uznana za „ojca" swego dziecka, a nie za jego matkę. „Freddy McConnell to bohaterka brytyjskiego filmu dokumentalnego »Seahorse«, opisującego losy osób z dysforią płciową, czyli zaburzeniami płci. Już w wieku 25 lat kobieta rozpoczęła »leczenie« farmakologiczne i przyjmowała testosteron. Rok później zdecydowała się usunąć tkankę piersi, ale odmówiła zabiegu histerektomii, który uniemożliwiłby jej w przyszłości posiadanie dzieci. Teraz transseksualistka urodziła syna i rozpoczęła batalię o to, aby mogła być uznana za »ojca« dziecka". Gdyby Freddy identyfikowała się dodatkowo jako 60-latka, mogłaby od razu żądać wpisania jej do dokumentów, że jest dziadkiem dziecka. Jak szaleć, to szaleć!

Sprawa równości a ZSRR

Skoro o tzw. równości mówimy, nie można nie wspomnieć żalu, jaki z okazji 50. rocznicy lądowania człowieka na Księżycu wylał „The New York Times". Gazeta nie mogła się pogodzić z tym, że ZSRR wyprzedziło USA w kwestiach równościowych. Publikację odnotował portal nczas.com. „Amerykański dziennik przypomina, że to ZSRR jako pierwszy wysłał w kosmos kobietę, Azjatę i czarnoskórego i pokonał Stany Zjednoczone na polu polityki równościowej" – czytamy. Na szczęście Amerykanie robią wszystko, by swoje niedociągnięcia naprawić. „Od 2016 r. prowadzony jest w NASA LGBTQ Special Emphasis Program, tworząc przy kierownictwie agencji stanowisko LGBTQ special emphasis managera. Celem programu jest prowadzenie edukacji z zakresu LGBTQ pośród pracowników NASA" – czytamy na portalu. Uff, ale ulga. Jednak USA mają szansę dogonić ZSRR.

eprasa.pl e7683f73ec



Niech żyją nurkinie!

„W #Miedzyzdroje trwa odprawa nurkiń i nurków przed akcją sprzątania dna Bałtyku. #BezPlastiku" – poinformował na Twitterze Greenpeace. Chwilę później organizacja tłumaczyła: „Zależy nam na podkreśleniu, że w akcji biorą też udział kobiety. Gdybyśmy napisali »nurków«, ktoś mógłby pomyśleć, że to grupa samych mężczyzn". Nie zmieniło to jednak tego, że internauci mieli z powodu „nurkiń" niezły ubaw. „To dobrze. Śmieci są zagrożeniem dla fok i foków, śledzi i śledzic" – skomentował jeden z nich.

> Oczywiście jest to rozczarowujące, jeśli nie zostało się wybranym na stanowisko szefa Komisji Europejskiej" – powiedział Frans Timmermans, niedoszły przewodniczący KE. Ale nie od dziś wiadomo, że kto sieje wiatr, ten zbiera burzę.



Fot. Engelbrecht/AKPA, Shutterstock

Wrogini

Nieco wcześniej Manuela Gretkowska wyznała na łamach „Magazynu Świątecznego Gazety Wyborczej", że nie podaje ręki pisowcom, bo niszczą jej kraj. Feministka przyznała także, że jest „wroginią pisowskiego narodu". Pisarka zdradziła także żal do mediów, które o niej piszą. „Stwierdziłam, że to »napuszczanie chama na inteligenta«". Jednak śledząc kolejne publiczne wypowiedzi pani Gretkowskiej, można nabrać przekonania, że owym chamem jest sama pisarka.

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Słomiany odpał



Dominik Zdort

Można żyć bez plastikowych słomek? Nie tylko można, ale będzie trzeba – Unia Europejska zakazała ich sprzedaży od 2021 r. Wspominałem tu kiedyś, że „bardziej unijna od Unii" okazała się Warszawa – miasto już zakazało słomek na swoich imprezach. Tą samą drogą usiłuje iść amerykański stan Kalifornia. Kalifornijczycy są jednak Amerykanami, więc dali sobie (i turystom) szansę na wyrażenie swojego indywidualizmu. Kelner wprawdzie nie ma prawa z własnej inicjatywy podać klientowi napoju z plastikową słomką, ale będzie mógł to zrobić, jeśli gość sobie tego zażyczy.

Donald Trump już ruszył z pomocą dla represjonowanych Kalifornijczyków – na jego stronie internetowej, oprócz mnóstwa czysto politycznych gadżetów, pojawiły się czerwone (w barwach republikanów) plastikowe słomki z laserowym nadrukiem „Trump". „Liberalne papierowe słomki się nie sprawdzają. Wesprzyj prezydenta Trumpa i kup opakowanie 10 słomek nadających się do recyklingu" – pisze sprzedawca i zapewnia, że prezydenckie słomki są wolne od szkodliwych substancji, nadają się do wielokrotnego użytku i zostały wyprodukowane w USA. Cena za sztukę – niemal 6 zł – godna celu, jakim jest akcja zbiórki funduszy na kampanię wyborczą.

Oczywiście – jak napisałem na wstępie – bez plastikowych słomek można żyć. Ekolodzy proponują zastąpienie ich papierowymi – gdy idzie o szczytne idee, to nie żal puszczy – które jednak, jak twierdzą użytkownicy, nazbyt szybko nasiąkają. O czym zresztą wiadomo było od dawna, bo słomki z papieru wymyślono w XIX w. i szybko z nich zrezygnowano, uznając za niepraktyczne. Alternatywą są metalowe, mogą się jednak nie przyjąć, bo już odnotowano kilka przykładów, gdy taka „słomka" zabiła nieostrożnego użytkownika (zaoszczędzę tu drastycznych szczegółów, każdy może sobie to wyobrazić).

Ostatecznie można w ogóle radzić sobie bez słomek, choć warto przypomnieć, że towarzyszą one ludzkości dłużej niż koło, bo od 6 tys. lat. Skoro żyjemy w czasach, gdy na piedestale stawia się jakość życia, to z czystym sumieniem mogę stwierdzić, że akurat ten wynalazek moje życie wzbogaca i nie zamierzam z niego rezygnować.

Nie wiem, czy zakazowi sprzedaży słomek w UE towarzyszyć będzie zakaz importu. Na wszelki wypadek już niebawem zamierzam zakupić duży worek, który starczy mi do śmierci, a po niej na dłuższy czas także moim dzieciom.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl e7683f73ec

RZECZY POSPOLITE

Pamiętać o Niej



Tomasz ***Łysiak***

Przy okazji wszystkich rocznic – zrywów patriotycznych, bitew, wojen, zwycięstw, porażek, szarż, bohaterskich czynów jednostek – ciągle myśl wraca do Niej. Mówi się o konkretach, faktach, postaciach, datach, wyrokach, decyzjach, rozkazach i siłach armii, ale pod tym wszystkim, tam głęboko, pośród samych fundamentów jest ONA. To Ją symbolizują orzeł i biało-czerwone sztandary – proporce nad rycerstwem i proporczyki na lancach, amaranty i karmazyny, orzełki na czapkach, pieczęcie naczelników i dowódców.

Każdy, kto chwytał za broń – szablę czy powstańczą kosę, granat czy VIS-a – na ustach, w sercu, w głowie, w pamięci, w duszy, miał Ją tylko.

Gdy skrzydlaci nasi rycerze ruszali ze wzgórz pod Wiedniem, to pęd koni i krzyk nad głowami skierowany nie był jedynie w mrowie pohańskie, które znać było w dali, ale i dalej ponad czas i wieki: potem pędzili szwoleżerowie pod Somosierrą i ten sam okrzyk podchwycili, a gdy tętent ich koni ucichł już prawie, to się do boju zrywali kolejni ułani, by pod Rokitną Ruskim pokazać, że Ona nie zginie. Kiedy my żyjemy. Kiedy my czujemy. Kiedy my kochamy. Kiedy my pamiętamy. O Niej.

Ktoś przyjedzie z innego kraju i spyta w godzinę „W": „Cóż robią ci Polacy, że nagle, pośród zgiełku codziennej zawieruchy, pośród gonitwy zwykłych ludzkich spraw, zamierają bez ruchu, na kilka minut? Że stoją jak zaczarowani, jak olśnieni, skamieniali, wpatrzeni gdzieś w niebo, w siebie, w dachy kamienic, w ściany odbudowanych po wojnie budynków?

Dlaczego to robią? Czy dlatego, że tak wypada, że może to modne?".

A może mamy w głębinach pamięci, w zakamarkach duszy, ukryte takie przestrzenie, które na słowa „Powstanie Warszawskie" sięga ponad fakty i czas? Coś, co łączy wieki i lata? Co wiedzie splot uczuć związanych nie jedynie z 1944 r., lecz i z datami przeszłymi, z nocami listopadową i styczniową?

I może wreszcie jedyne wyjaśnienie tego fenomenu jest takie, że mamy w naszym łańcuchu DNA taki chromosom. Taki gen. Ten gen nam sączy już o dzieciństwa nakaz duchowy, z którym potem przychodzi nam żyć – Pamiętać o Niej. I dlatego to wszystko.

Pomnik umlałtów



Piotr ***Cywiński***

Nasze stosunki z Niemcami są dobre. Tak dobre, że dobrze nam tak... Nowa szefowa eurokomisji Ursula von der Leyen była w Warszawie. Niby Niemka, ale... Co z niej za Niemka, skoro urodziła się w Brukseli, krewnych ma obcego pochodzenia, no i siedmioro dzieci z jednym i tym samym mężem? „Typisch deutsch" to to nie jest. Zresztą sami Niemcy niezbyt dobrze się o niej wyrażali, że kierowany przez nią wcześniej resort obrony był „ministerstwem wpadek", że jakieś tam przewałki finansowe, że jej doktorat to plagiat i takie tam kalumnie. Wybór pani Leyen na premier Europy poprzedziły cichotajne uzgodnienia naszego premiera z panią kanclerz, które nie wypaliły, bo kandydatura naszej pani premier Beaty Szydło do objęcia jakiejś tam funkcji w europarlamencie nie przeszła. Może to zemsta za to, że nasi poparli tę „von", a Niemcy sądzili, że nie poprą? Ponoć Angela Merkel przepraszała Mateusza Morawieckiego za Szydło, ale co do tego wersje są sprzeczne, gadają w Berlinie, że świat jeszcze nie widział, żeby niemiecka kanclerz przepraszała polskiego premiera... Nic tak nie kala jak nie ta skala!

Co do Merkel, niby to wnuczka Ludwika Kaźmierczaka, żołnierza generała Józefa Hallera, ale zarówno jej dziadek, który wyemigrował do Berlina i przyjął niemieckie nazwisko Kasner, i córka jego syna Kaźmierczaka vel Kasnera, ale czy coś z tego wynika? My też mieliśmy premiera Leszka Millera, szefa dyplomacji Stefana Mellera, rzecznikiem rządu jest dziś Piotr Müller, a niech ktoś spróbuje powiedzieć, że to Niemcy...! Swoją drogą nie rozumiem, w polskim alfabecie nie ma „umlautów": niemieckie „ä", „ö" „ü" – po naszemu powinno być pisane „ae", „oe" i „ue", mamy nawet ustawę o ochronie języka, i co?! G...! Dla dobra stosunków, ma się rozumieć. Że Niemcy nie piszą „ń", np. w nazwiskach Kaczyński czy Cywiński, ani „ś", „ć", „ź" itd.? Furda z nazwiskami, gdy trza, wstawiają się za nami, a co, nie wstawiła się Merkel za premierem Donaldem Tuskiem w sprawie fuchy w Brukseli?

Nasze stosunki z Niemcami są dobre. Tak dobre, że dobrze nam tak. Niemieccy politycy popierają ideę postawienia pomnika polskich ofiar w Berlinie. Żydzi go mają i Rosjanie, i Cyganie, i homoseksualiści, nawet kilka, my – nie! Od ćwierćwiecza znają ten pomysł, od ćwierćwiecza go popierają. Poseł Bundestagu Manuel Sarrazin z Zielonych uspokaja, że teraz to pójdzie „tak szybko, jak to możliwe". Czyż nie pyszne? Jak w kawale: „Panie doktorze, świetnie się czuję... Lekarz: W przypadkach różnych schorzeń chorzy czują się doskonale...".

eprasa.pl e7683f73ec

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00, (22) 718 30 61, (22) 463 49 95
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA:
ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa mediaina

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL
BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR, ZBYSZEK KACZMAREK/REPORTER/EASTNEWS, HERMANN BREDEHORST/POLARIS/EASTNEWS, MAREK BARCZYŃSKI/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl e7683f73ec



Operacja „Białystok”

Najpierw bluźnierstwa i profanacje na Marszu Równości w Warszawie, potem próba „zdobycia Jasnej Góry” i kpiny z katolicyzmu, wreszcie rozróby w Białymstoku, mające pokazać całemu światu, że za rządów PiS prześladowane są seksualne mniejszości. Tyle wystarczyło, by puścić w świat krzyk o polskim faszyzmie i wmontować awanturę w kampanię wyborczą. Strategia homopropagandy rozgrywana jest sprawnie przez polityków opozycji według starych scenariuszy



MARZENA NYKIEL

Wydarzeń w Białymstoku nie można czytać bez kontekstów. Po fali antyklerykalnych prowokacji na paradach LGBT+, gdy sprzeciw społeczny wobec agresywnej promocji ideologii gender został doprowadzony do granic wytrzymałości, wydano zgodę na konfrontację dwóch skrajnych ideowo grup: homoseksualnych aktywistów i kibiców, jawnie walczących z ideologią LGBT. Czy można było nie przewidzieć, że dojdzie do starć? Mimo to nie wyznaczono tras, które uniemożliwiłyby konfrontację. Zupełnie tak jakby właśnie na starcia liczono. Natychmiast zostały zresztą podłapane przez polityków lewicy i sprawnie wykorzystane do politycznej walki.

Prezydent Białegostoku Tadeusz Truskolaski, startujący w wyborach z poparciem PO, wydał zgodę na przeprowadzenie w jednym miejscu i czasie dwóch skrajnych światopoglądowo manifestacji. Tyle wystarczyło, by doszło do prowokacji. I choć nie ma najmniejszej zgody na przemoc w przestrzeni publicznej, motywacja kibiców Jagiellonii jest jasna: nie godzą się na infekowanie ich terenu skrajnie lewicową ideologią, której celem jest demoralizacja dzieci i osłabianie rodziny. Zwłaszcza że duża część uczestników Marszu Równości to

eprasa.pl e7683f73ec

ludzie spoza miasta, jeżdżący po tęczowych paradach w całym kraju.

W tym samym czasie w mieście odbywał się piknik rodzinny i modlitwa przy katedrze. Takie nagromadzenie wydarzeń niosło z sobą niebezpieczeństwo prowokacji. I tak się stało. Doszło do kilku – niegroźnych mimo wszystko – bójek wywołanych przez grupkę agresywnych kiboli, kilkadziesiąt osób zatrzymano. Jednak lewica wpadła w histerię, jakby co najmniej zginęli ludzie. Porównania do pogromów na Żydach i opowieści o polskim faszyzmie poszły w świat. O szerzenie nienawiści oskarżono PiS oraz biskupów broniących katolickich wartości i rodziny.

Trudno nie nazwać wydarzeń w Białymstoku „operacją". Zwłaszcza gdy weźmiemy pod uwagę polityczne następstwa. Robert Biedroń jako jeden z pierwszych zaczął pisać o Kościele, który „cynicznie nakręca spiralę nienawiści". Działacz Wiosny Patryk Janczewski stwierdził, że to biskupi skrzykują bojówkarzy. Barbara Nowacka z Koalicji Obywatelskiej osiągnęła szczyt manipulacji, pisząc: „I co, biskupi, PiS i panie Kaczyński? Dumni jesteście z efektów budowania nienawiści i pogardy? Bijecie brawo, oglądając agresję i wyzwiska, które lecą na Marsz Równości w Białymstoku. Tak rozumiecie patriotyzm i chrześcijańską miłość? Takiej Polski chcecie? Hańba, ot co". Marta Lempart z Ogólnopolskiego Strajku Kobiet, stwierdziła wprost, że „Kościół ma krew na rękach". Posługiwano się przy tym zmanipulowanym zdjęciem pobitej kobiety z zakrwawioną twarzą, przekonując, że jest uczestniczką Marszu Równości. Choć się okazało, że jest partnerką jednego z najbardziej agresywnych kiboli, to kłamstwo powielano nadal.

Do chóru oskarżycieli, obciążających odpowiedzialnością PiS, dołączyli Grzegorz Schetyna, Bartłomiej Sienkiewicz, Sławomir Neumann, Leszek Jażdżewski i inni. Przekonywali, że przemoc, agresja, homofobia to wina obecnej władzy.

W nagonkę włączył się sam Donald Tusk. „Kibole, antysemici, homofobia – nic nowego. Tragedią jest władza, która jest ich patronem. Wszyscy przyzwoici Polacy, niezależnie od poglądów, muszą powiedzieć: dość przemocy!" – napisał na Twitterze.

Pomarszowa narracja trwa w najlepsze do dziś. Głucha na fakty i zdecydowaną postawę potępienia przemocy zarówno ze strony Kościoła, jak i polityków Prawa i Sprawiedliwości. Dlaczego? Bo ukazanie środowisk LGBT jako prześladowane ofiary to element szerokiej strategii, gwarantującej przeprowadzenie celów założycielskich. Właśnie dlatego Janusz Palikot napisał: „Robić Marsze Równości non stop. I dać się pobić. Stać i czekać, aż cię zjedzą biciem. Zero reakcji. Milczenie. Być pobitym w milczeniu. To da zwycięstwo".

> Inżynierowie nowego ładu społecznego są już mocno zniecierpliwieni, że przez Polskę nie mogą domknąć ostatniego etapu rewolucji kulturowej w Europie. Organizacje LGBT+ mają więc przyspieszyć procesy demoralizacji. Teraz przyszedł czas na wywoływanie zamieszek i budzenie litości poprzez stawanie w roli „pobitej ofiary"

NAPASTLIWOŚĆ I PRZESUWANIE GRANIC

Niechęć wobec ideologii gender zaczęła w społeczeństwie narastać w chwili, gdy tęczowi aktywiści stali się jawnie antyklerykalni, brutalni i siłą próbowali się wedrzeć w przestrzeń edukacji, nie bacząc na prawa rodziców. Skutki tej indoktrynacji widać doskonale na Zachodzie. Trudno więc przekonać Polaków, że edukacja seksualna według standardów WHO to ochrona ich dzieci. Widzą, że walka o prawa dawno zamieniona została w walkę o przywileje, które środowiska LGBT+ regularnie poszerzają. W Stanach Zjednoczonych i w zachodniej Europie mniejszość narzuciła większości własną wizję świata, zindoktrynowała masy i doprowadziła do zmiany prawa. Polska, jako ostatni bastion Europy opierający się ideologii gender, stała się więc celem numer jeden w toczącej się wojnie cywilizacyjnej. Za rządów PO-PSL szło całkiem nieźle. Podpisywano dokumenty międzynarodowe, które otwierały wszystkie przestrzenie życia publicznego na proces ideologicznej genderyzacji. Zmiana władzy zastopowała nieco ten trend. Sprzeciwiono się wprowadzeniu zideologizowanej edukacji seksualnej do szkół i postawiono na promowanie rodziny.

Organizacje LGBT+, zobowiązane statutami i grantami do efektywnego wdrażania ideologii, stają się coraz bardziej bezwzględne w forsowaniu swoich pomysłów. Politycy lewicowej opozycji, zainteresowani przejęciem władzy, chętnie im w tym pomagają. Wciąż nie ma na to jednak przyzwolenia społecznego. Zdecydowana większość Polaków nie chce promocją ideologii LGBT. Z sondaży wynika, że 70 proc. badanych sprzeciwia się przyznaniu parom homoseksualnym takich samych praw jak małżeństwom, a aż 78,5 proc. uważa, że w zajęciach z edukacji seksualnej w szkołach powinny uczestniczyć tylko te dzieci, których rodzice wyrażą na to zgodę.

Aktywiści LGBT+ próbują więc zrobić wszystko, by stworzyć wrażenie większości. Wszystko po to, by wzbudzić w opinii publicznej poczucie, że to nie mniejszościowy trend, ale powszechnie obowiązująca norma. Właśnie dlatego niemal co tydzień Marsze Równości odbywają się w różnych miastach Polski. Z jednej strony, by opowieść o tęczowej społeczności nigdy nie ustawała w mediach, z drugiej,

Fot. Marek Maliszewski/REPORTER/EastNews

eprasa.pl e7683f73ec

by dostarczyć na marsz odpowiednią liczbę uczestników. Na kolejnych paradach pojawiają się wciąż ci sami ludzie. Kolorowy cyrk obwoźny nie mógłby się odbyć we wszystkich miastach Polski jednego dnia, bo frekwencja wypadłaby dość marnie. W przeciwieństwie do Marszów dla Życia i Rodziny, które potrafią zgromadzić ogromne rzesze ludzi w kilkudziesięciu miastach jednocześnie. Trudno się więc dziwić, że frustracja środowisk LGBT i sprzyjających im organizacji politycznych narasta. Właśnie dlatego granice przesuwane są coraz wyraźniej, a tęczowi aktywiści stają się coraz bardziej napastliwi.

Inżynierowie nowego ładu społecznego są już mocno zniecierpliwieni, że przez Polskę nie mogą domknąć ostatniego etapu rewolucji kulturowej w Europie. Organizacje LGBT+ mają więc przyspieszyć procesy demoralizacji. Teraz przyszedł czas na wywoływanie zamieszek i budzenie litości poprzez stawanie w roli „pobitej ofiary".

SZEŚĆ WYTYCZNYCH STRATEGII LGBT

„W krótkim czasie zręczna i bystra kampania medialna może przemienić wspólnotę gejowską w matkę chrzestną cywilizacji zachodniej" – pisał Marshall Kirk w 1987 r. na łamach gejowskiego pisma „Guide Magazine". Swoje abecadło homopropagandy rozwinął w wydanej dwa lata później książce „After the Ball. Jak w latach 90. Ameryka pokona swój strach i nienawiść wobec gejów". Strategia obliczona na zawładnięcie mas przetoczyła się ze Stanów, poprzez zachodnią Europę, aż do Polski.

Kirk doskonale wiedział, że nie sposób zmienić ludzkiej mentalności z dnia na dzień. Namawiał do spokojnego i cierpliwego oswajania opinii publicznej z homoseksualizmem tak, by społeczeństwa na problem zobojętniały. „Chodzi o to, aby ułatwić im spoglądanie na homoseksualizm z obojętnością, a nie z żywym zaangażowaniem. Byłoby najlepiej, gdyby zwykli ludzie zauważali różnicę w preferencjach seksualnych w ten sam sposób, w jaki zauważają fakt, że można mieć różne ulubione smaki lodów albo dyscypliny sportu" – pouczał Kirk, przestrzegając jednocześnie aktywistów LGBT przed stosowaniem zbyt nachalnej propagandy. „Darujcie sobie przekonywanie mas, że homoseksualizm to coś dobrego. Ale jeśli tylko potraficie sprawić, by pomyślały, że to coś innego, i wzruszyły ramionami, to właściwie już wygraliście bitwę o prawa" – pisał. Jak to zrobić? Trzeba umiejętnie przeprowadzić kampanię społeczną i medialną, skrojoną według następujących zaleceń:

1. URUCHOMIĆ TUBĘ PROPAGANDOWĄ LGBT+

Bez zbędnych emocji, ale wytrwale. Mówić przy każdej okazji, ale nie szokować, np. nie pokazywać czynności seksualnych i traktować je jak abstrakcję. Celem jest przełamanie granic oburzenia, zniechęcenia czy jakichkolwiek innych poruszeń. „Żeby stłumić przewrażliwienie na punkcie homoseksualizmu, konieczne jest, aby wiele ludzi poruszało ten temat w sposób neutralny lub życzliwy. Nieustanne mówienie o nim tworzy wrażenie, że opinia publiczna jest przynajmniej podzielona i że istotny jej segment akceptuje lub wręcz praktykuje homoseksualizm" – pouczał Kirk. Aby skutecznie przebić się z przekazem, trzeba dotrzeć do najbardziej konserwatywnych struktur za pomocą mediów i „pożytecznych idiotów". Jak to zrobić? Bardzo prosto: „wykorzystać film i telewizję, atakować Kościoły".

Przepisy szczegółowe mówią o tym, by wplatać wszędzie wątki homoseksualne, zwłaszcza w filmach, reklamach, literaturze, programach telewizyjnych, pismach kolorowych. Przy rozmiękczaniu przekazu medialnego należy budować front walki z Kościołem – ośmieszać, pomawiać, kompromitować, lekceważyć, mówić o zacofaniu i zaściankowości. Gdy już uda się osłabić jego autorytet, oddawać głos pseudokatolikom, którzy będą mówić o źle pojętej tolerancji.

Lobby LGBT systematycznie podkopuje autorytet Kościoła, wyciąga na wierzch bolesne, ale jednostkowe skandale i rozdmuchuje je do monstrualnych rozmiarów. Regularnie przedstawia się też Kościół jako średniowieczny zaścianek, który nie nadąża za nowoczesną psychologią.

2. UKAZAĆ HOMOSEKSUALISTÓW JAKO NIEWINNE OFIARY

Kirk zalecał, by nie pokazywać homoseksualistów jako agresywnych działaczy walczących o swoje prawa. Znacznie skuteczniejsze jest manifestowanie niedoli, jakiej rzekomo doświadczają w heteroseksualnym społeczeństwie. Społeczne masy mają uwierzyć, że homoseksualizm jest wrodzony, a osoby LGBT nie ponoszą żadnej moralnej odpowiedzialności za swoje seksualne wybory. Następnym krokiem jest przedstawianie homoseksualistów jako „ofiary losu i społeczeństwa".

3. WZBUDZIĆ WYRZUTY HETEROSUMIEŃ I NAMÓWIĆ DO WALKI W DOBREJ SPRAWIE

Finalnym aktem kroku poprzedniego ma być skonfrontowanie dwóch wartości: prawa człowieka i wolności sumienia. Należy wmówić masom, że ich zasady, które wyznają prawo do wolności sumienia, w rażący sposób naruszają prawa człowieka, którego domagają się homoseksualiści. Dzięki staraniom ONZ wszelkie prawa homoseksualistów zostały podpięte do praw człowieka, więc sfinalizowanie tego kroku staje się wyjątkowo proste. Teraz wystarczy wzbudzić pragnienie walki z dyskryminacją i nowe zaplecze poparcia społecznego gotowe.

4. POKAZAĆ HOMOSEKSUALISTÓW JAKO ATRAKCYJNYCH LUDZI SUKCESU

Aktywiści LGBT robią wszystko, by pod żadnym pozorem nie kojarzyć homoseksualizmu z patologią, brzydotą, chorobą czy uzależnieniem. Prezentowani w mediach homoseksualiści mają być atrakcyjni, a nawet wybitni. Model ten ma też zostać przeniesiony do edukacji. W wydanym przez Kampanię przeciw Homofobii podręczniku dla nauczycieli „Lekcja równości" mamy szczegółowy instruktaż. Jeden z jego punktów brzmi: „Afirmuj obecność osób LGBT w społeczeństwie i ich

eprasa.pl e7683f73ec



wkład w naukę oraz kulturę". Wielkie nazwiska wskazane w podręczniku to m.in. Sokrates, Szekspir, Aleksander Wielki, Michał Anioł, Walt Whitman, Safona. Aktywistki uprawiające pseudonaukę na gender studies dokładają wszelkich starań, by ją poszerzyć o nowe nabytki. Swego czasu nawet bohaterowie „Kamieni na szaniec" zostali ogłoszeni parą gejów.

5. ZMIESZAĆ Z BŁOTEM PRZECIWNIKÓW

Gdy już spowszednieją gejowskie reklamy, gdy masy oswoją się z coming outami i wszechobecnością homoseksualistów, nadejdzie czas na rozprawienie się z uporczywymi przeciwnikami. „Mówiąc bez ogródek – trzeba ich zmieszać z błotem. Mamy przy tym dwojakie cele. Po pierwsze, chcemy zastąpić pewną siebie homofobię ogółu wstydem i poczuciem winy. Po drugie, chcemy sprawić, by wrogowie gejów wyglądali tak paskudnie, że przeciętny Amerykanin będzie chciał się od nich trzymać z daleka" – pouczał Kirk. Zalecał, by pokazywać przeciwników środowisk LGBT w sposób budzący odrazę. „Opinii publicznej trzeba pokazywać zdjęcia bluzgających homofobów, którzy mają poza tym cechy i poglądy budzące niechęć zwyczajnej Ameryki. Mogą to być zdjęcia [...] bandycko wyglądających chuliganów i kryminalistów opowiadających z ubawem o »pedałach«, których chętnie by pozabijali. I wreszcie obrazki z nazistowskich obozów zagłady, gdzie torturowano i gazowano homoseksualistów". Skąd my to znamy? Czy nie w tym miejscu lokuje się właśnie przekaz totalnej opozycji przeciwko Kościołowi i partii rządzącej?

6. ZGROMADZIĆ FUNDUSZE

Aby osiągnąć zamierzone cele, trzeba mieć wypchaną skarbonkę. Kirk wychodził z założenia, że w każdym społeczeństwie żyje 10–15 mln zwolenników środowisk homoseksualnych. Jeśli każdy z nich wrzuci do skarbonki po dwa dolary na kampanię, będzie czym rządzić. Dziś, gdy za interesami środowisk LGBT wstawiają się międzynarodowe organizacje, firmy i instytucje, finansowanie ich interesów jest o wiele prostsze.

ULICA I ZAGRANICA

Totalna opozycja od samego początku nakreśliła plan przejęcia władzy. W obaleniu rządów PiS miała pomóc ulica i zagranica. Plan stary jak świat. Ćwiczony był już za czasów rewolucji bolszewickiej. W wersji ulepszonej zaczęto go realizować w latach 60., tocząc falę rewolucji kulturowej. Jednym z etapów było doprowadzenie sytuacji państwa do etapu destabilizacji, w którym walka staje się wartością. Celem rewolucjonistów jest to, by walka zajęła jak największe przestrzenie życia. Manipuluje się więc opinią publiczną w taki sposób, by skutecznie zbudować barykady pomiędzy dziećmi a rodzicami, między uczniami a nauczycielami, między wiernymi a duchownymi, obywatelami a rządzącymi, pomiędzy homo- i heteroseksualistami. Same grupy wykorzystane do walki nie mają większego znaczenia. Chodzi o to, by wywołać podziały, zniszczyć autorytety, podsycić emocje i wyprowadzić ludzi na ulice, burząc w efekcie porządek publiczny.

Polska, jako ostatni bastion tożsamości kulturowej i katolicyzmu w Europie, znalazła się pod szczególnym ostrzałem wielu międzynarodowych podmiotów, których interesy nie mogą zostać w pełni rozwinięte. Środowiska LGBT są dla nich ważnym narzędziem w walce mającej zmienić struktury społeczne i zaprowadzić nowy ład. W międzynarodową rozgrywkę wyjątkowo dobrze wpisują się też politycy polskiej opozycji, która za wszelką cenę chce przejąć stery władzy. Wszystko to sprawia, że żyjemy jak na eksperymentalnym polu minowym. Narastające ataki na Kościół, na wiarę katolicką, na tożsamość narodową, na rodzinę, brutalizacja życia publicznego i manipulacje będą coraz częstsze. Jedyne, co można zrobić, by efektywnie się temu przeciwstawić, to pogłębiać świadomość, nie dać się prowokować, nie ulegać manipulacjom, nie zezwalać na szerzenie ideologii, zabezpieczać interes rodziny, formować niezależne media i konsekwentnie dbać o polską tożsamość.

Fot. Marek Maliszewski/REPORTER/EastNews

eprasa.pl e7683f73ec



Zmieniliśmy reguły gry

Nie godzimy się na „plan Rabieja", a więc najpierw związki partnerskie, później małżeństwa homoseksualne, a na końcu adopcja dzieci. My wiemy, że gdy raz wejdziemy na tę drogę, to już z niej nie zejdziemy

Jacek Karnowski rozmawia z Jackiem Sasinem, wiceprezesem Rady Ministrów w rządzie Mateusza Morawieckiego

Który scenariusz, z perspektywy PiS, był korzystniejszy: opozycja idąca w jednym bloku czy też podzielona, walcząca o głosy pod trzema różnymi szyldami?

Jacek Sasin: Sprawa jest złożona. Ordynacja wyborcza premiuje duże bloki. Z tego punktu widzenia nie możemy narzekać. Ale z drugiej strony, gdy opozycja startowała pod jednym sztandarem, sprawa była jasna, wszystko stało się nagle czytelne i przejrzyste. Wybory powinny mieć charakter rzeczywisty, nie powinny być teatrem.

Trzy komitety po stronie opozycji to teatr?

Tak, bo to jest dzielenie się taktyczne, wynikające wyłącznie z klęski w wyborach majowych i bieżących kalkulacji. Uznali, że wyborcy źle przyjęli formułę Koalicji Europejskiej, także ich wyborcy, często mocno się od siebie różniący. Mamy tam zarówno skrajną lewicę, popierającą rewolucję obyczajową, ideologię LGBT, jak i wyborców tradycyjnie głosujących na PSL, w pewnej mierze z przyzwyczajenia, czy resztki letnich konserwatystów wciąż trwających przy Platformie. To nie mogło zagrać.

Nie było premii za zjednoczenie, było za to specyficzne spięcie, które wszystkich po trochu zablokowało?

Na pewno formuła zjednoczonej opozycji bardzo wielu wyborcom nie pasowała, źle się w niej czuli. Z kolei wyborców prawicy taka sytuacja mobilizowała, byli także mniej skłonni do głosowania na inne prawicowe ugrupowania. W sumie więc scenariusz zjednoczonej opozycji nie był dla nas zły, może nawet był lepszy.

Także dlatego, że jeżeli walczą tylko dwa bloki, to wystarczy wygrać, choćby o włos, by mieć większość.

To pewnie też, ale najważniejsza była czytelność tej sytuacji. Dziś opozycja próbuje przekonać Polaków, że jest realnie zróżnicowana, że ma różne pro-

eprasa.pl e7683f73ec

pozycje dla różnych grup wyborców. Ale przecież wiemy, że te trzy komitety i tak planują wspólne rządzenie. Te różnice są wtórne, wyłącznie taktyczne. Jeśli PiS nie uzyska większości, to premierem będzie Schetyna, a jego zastępcami Kosiniak-Kamysz, Czarzasty i Biedroń. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

Ten brak westchnienia ulgi po stronie PiS po tym, gdy opozycja jednak się podzieliła, nie był więc jedynie sztucznym pokazem skromności?

Nie, bo jeden blok opozycji, już raz pokonany, był dla nas atrakcyjną propozycją. Oczywiście, nie wiemy, czy PSL wejdzie do parlamentu, czy lewica przekroczy 8-procentowy próg, jeśli wystartuje jako koalicja. Czy więc znów powtórzy się rok 2015, gdy mieliśmy mnóstwo szczęścia, nie tylko dlatego, że zmarnowały się głosy SLD i Korwina, lecz także dlatego, że wiele mandatów zdobyliśmy przewagą kilkudziesięciu głosów? To możliwe, ale trudno opierać na tym swoje nadzieje. Liczymy przede wszystkim na to, że kampania przyniesie, tak jak w maju, bardzo wyraźne starcie dwóch różnych wizji Polski. Starcie spokojnego rozwoju ze światem wojen ideologicznych. Starcie troski o ludzi z obojętnością na krzywdę.

Czy wynik z maja – 45,38 proc. głosów – jest do powtórzenia jesienią?

Jest do powtórzenia, bo ci ludzie przecież już raz na nas zagłosowali, przy bardzo wysokiej frekwencji. Dostaliśmy bardzo dużo głosów nie tylko procentowo, lecz także w liczbach bezwzględnych.

Czy są jakieś badania, które odpowiadałyby na pytanie, komu będzie sprzyjał dalszy wzrost frekwencji?

Nie sposób tego przewidzieć. Nikt dziś odpowiedzialnie nie powie, kto do tych wyborów pójdzie, a kto nie. Wszystko zależy od kampanii, od tego, czy przekonamy Polaków sympatyzujących z nami, że warto pójść. Osobiście jestem przekonany, że wysoka frekwencja będzie nam służyła. Widzę jednocześnie niebezpieczeństwo demobilizacji naszego elektoratu, co może być wynikiem przekonania, że wszystko jest już rozstrzygnięte, pozamiatane, skoro w maju wygraliśmy, a teraz wyraźnie prowadzimy. Musimy im jednoznacznie powiedzieć: „Nic nie jest rozstrzygnięte, trzeba wielkiego wysiłku, żeby wygrać".

Liczymy przede wszystkim na to, że kampania przyniesie, tak jak w maju, bardzo wyraźne starcie dwóch różnych wizji Polski. Starcie spokojnego rozwoju ze światem wojen ideologicznych. Starcie troski o ludzi z obojętnością na krzywdę

Przekonanie, że PiS i tak wygra, najbardziej demobilizuje zwolenników opozycji. Słychać stamtąd różne głosy, ale utrata wiary w sukces jest łatwo dostrzegalna. To, że Schetyna zdecydował się na samodzielny start, oznacza, że gra już raczej o pozycję w opozycji, a nie o władzę.

To rzeczywiście widać i to wynika także z różnych badań. To jest nie tylko demobilizacja, lecz nawet akceptacja, że opozycja wybory przegra. Pytanie jednak pozostaje, choć być może precyzyjnie powinno ono brzmieć tak: kto się bardziej zmobilizuje, a kto mniej zdemobilizuje. To zdecyduje o wyniku. Kampania będzie więc nastawiona na przekonanie ludzi, że nie wystarczy nas popierać, ale trzeba pójść na wybory i zadbać o to, by jak najwięcej krewnych, znajomych i sąsiadów też poszło. Musimy wyraźnie podkreślić: nie wystarczy zwykłe zwycięstwo PiS, żeby rządzić, w tym celu musimy uzyskać samodzielną większość w parlamencie, bo tylko to zapewni realizację naszego programu. W przeciwnym wypadku będzie rządził antypis, czyli totalna opozycja, bez różnicy, w jakich blokach idzie dzisiaj do wyborów. Ponadto im wyżej wygramy, tym będziemy mieli silniejszy demokratyczny mandat do rządzenia.

Powiększenie przewagi PiS nad opozycją w Sejmie byłoby też bardzo ważnym sygnałem dla zagranicy.

To jest niezwykle ważne. Trzeba pokazać naszym partnerom i adwersarzom, że zwycięstwo sprzed czterech lat to nie był efekt jakiegoś przypadku, ale że ono wyrastało z poważnych, trwałych przesłanek. To byłby jasny przekaz, że nie jesteśmy jakimś wybrykiem natury, jakąś anomalią, którą można zignorować i przeczekać.

Co pan sądzi o pojawiających się tu i ówdzie sugestiach, że w razie braku większości PiS może zawrzeć koalicję z PSL? Ludowcy są tak organicznie zrośnięci z resztą opozycji, że musieliby chyba dostać premiera, żeby w ogóle rozważyli taką propozycję?

Ja sobie tego nie wyobrażam. PSL robi wszystko, żeby przekonać wszystkich, także nas, że taka koalicja jest wykluczona. Prawdziwe PSL to nie są te pojedyncze, rozsądne, konserwatywne głosy. Moim zdaniem to raczej partia, która po wyborach bez żadnego problemu podpisze się pod bardzo lewicowym programem w sferze światopoglądowej. To po pierwsze. A po drugie, PSL wyrasta z PRL i wciąż ma ten garb patologii, również z okresu transformacji, gdy Polska stała się folwarkiem, zasobem do przejęcia. Moim zdaniem nie da się z PSL dobrze rządzić.

Co z Kukizem? Tu PiS ma chyba dylemat. Dopóki było to ugrupowanie z poparciem oscylującym wokół 7–10 proc., można było widzieć w nim potencjalnego koalicjanta. W chwili gdy spadło do poziomu 3–4 proc., Kukiz '15 raczej marnuje głosy szeroko pojętej prawicy.

Zdjęcia Andrzej Wiktor

eprasa.pl e7683f73ec

Pojawia się dylemat: reanimować czy nie?

Trudno reanimować kogoś, kto sam chce popełnić polityczne samobójstwo. Pomysł aliansu z PSL jest przecież szalony. Paweł Kukiz, który całą swoją karierę budował na odrzuceniu establishmentu, na walce z sitwami, na obietnicy nowej jakości, wpada w objęcia partii, która jest modelowym przykładem tego, z czym Kukiz chciał walczyć. Nazwał PSL „organizacją przestępczą", a teraz przeprasza. To wszystko jest tak skrajnie niewiarygodne, że wywołuje ogromne napięcia w jego ugrupowaniu. Paweł Kukiz ma chyba jakiś gen politycznej autodestrukcji.

Co rzuca także ważne światło na ewentualną koalicję z jego ugrupowaniem?

Gdybyśmy mieli Kukiza za koalicjanta, to byłaby to bardzo trudna koalicja, mogąca się skończyć klęską wyborczą. Byłyby spory, kłótnie, niekończące się negocjacje w każdej sprawie. Wyborcy szybko by nas mocno ukarali. Jeśli teraz dostajemy premię, to nie tylko za naszą wiarygodność, lecz także za skuteczność. To, co obiecujemy, wprowadzamy szybko i sprawnie. Ludzie nie lubią, gdy mają wrażenie, że politycy zajmują się sami sobą.

Czy PiS nie jest dziś blisko pozycji partii ogólnonarodowej? Takiej partii, która jest w pewnym sensie poza sporem lewicy z prawicą? Platforma też zajęła swego czasu to miejsce, choć na krótko.

Podziały na lewicę i prawicę stają się coraz bardziej archaiczne. W sensie obyczajowym jesteśmy jak najdalsi od lewicy, ale gdy chodzi o troskę o wsparcie dla najsłabszych i politykę społeczną, co historycznie zwykło się uważać za domenę lewicy, to jest to przecież również nasz program. Dzisiaj lewica w Polsce ten tradycyjny program społeczny porzuciła, skupia się tylko na sprawach obyczajowych. Tu jest między nami przepaść. My chcemy trafiać do jak najszerszych grup społecznych i do wsi, i do małych miasteczek, i do średnich miast, i do metropolii. W tym sensie jesteśmy partią ogólnonarodową. A to, że dziś w wielkich miastach nie odnosimy dużych sukcesów, nie znaczy, że sobie odpuszczamy. Cały czas myślimy, jak dotrzeć do tych wyborców.

Może PiS powinno raczej mówić o zmaksymalizowaniu wyniku w dużych miastach? Bo być może jest tak, że owszem, można wygrać w metropoliach, ale za cenę takich ustępstw i zmian programowych, które przyniosą klęskę w skali kraju.

Na coś takiego PiS nigdy nie pójdzie, takich pokus nie ma. Zresztą w dużych miastach mamy poparcie na poziomie między 30 a 40 proc., więc to nie jest tak, że tam nie istniejemy. Ale nie ukrywam, że toczymy dyskusje o tym, co zrobić, żeby zbliżyć się do konkurencji. Dlaczego? Bo nie chcemy ulec pokusie machnięcia ręką, zadowolenia się tym, co jest, odwrócenia się od problemu. Chcemy wygrywać również tam, bo kiedyś PiS wygrywało nawet w Warszawie; Lech Kaczyński zdobył tu w pierwszej turze 49,58 proc. głosów, a w drugiej ponad 70 proc.

To był wielki sukces, to było jednak, zanim ta lawa zastygła, zanim konflikt wszedł w fazę strukturalną.

Zgoda, ten konflikt jest, ale przecież my jako PiS się nie zmieniliśmy. Lech Kaczyński przedstawiał identyczną wizję państwa, którą do dziś prezentuje nasze ugrupowanie.

Wyborcy zostali jednak poddani od tego czasu takiemu praniu mózgów, że już tej diagnozy nie przyjmują. Nawet nie słuchają.

To jest być może sedno sprawy. To nie my się zmieniliśmy. Trzeba stawiać pytanie, dlaczego wielkie miasta tak często głosują przeciwko własnym interesom, przeciwko interesom własnych rodzin. Choćby w tym najbardziej czytelnym wymiarze socjalnym, bo przecież Prawo i Sprawiedliwość znacząco podniosło poziom życia wszystkich Polaków, również tych w wielkich miastach. Mówię tu nie tylko o programach społecznych, lecz również o rekordowym wzroście płac.

Dla wielu ludzi interesy ideologiczne są być może ważniejsze niż interesy materialne.

Dla części na pewno tak. Ale duże znaczenie ma też to, że walczymy z patologiami, przerywamy pewne powiązania; to godzi również w różne interesy. Część wyborców jest jednak po prostu zdezorientowana. Jeśli porówna się to, co pokazuje TVP, z tym, co widać w TVN, to rzeczywiście mamy dwa różne światy. W TVN jest to świat bardzo czarny.

Czy zgadza się pan z opinią, że rola TVP jest w ostatnich latach kluczowa? Że bez tego kanału komunikacji z Polakami rząd już dawno by upadł?

Kluczowy jest pluralizm medialny. Przez ostatnie 30 lat, z krótkimi przerwami, mieliśmy do czynienia z niemal domkniętym, pełnym monopolem medialnym; były pewne różnice i szczeliny, ale nie łamały one jednej, zasadniczej narracji. Od czterech lat każdy może sobie wyrobić pogląd na podstawie różnych informacji i różnych punktów widzenia. Bez telewizji publicznej w obecnym kształcie tego monopolu medialnego nie dałoby się przełamać. I nie chodzi tylko o bezpośrednich odbiorców tego, co nadaje TVP; do części odbiorców ważne informacje docierają za pomocą echa w portalach internetowych i w innych mediach. Nawet ostre polemiki z przekazem TVP też spełniają pożyteczną funkcję, bo iluś ludziom uświadamiają, że są inne punkty widzenia.

Tu jednak pada zarzut, że TVP ma obowiązki wynikające z roli nadawcy publicznego i nie może być używana do równoważenia nawet skrzywionego krajobrazu medialnego. I dlatego nie można z niej robić „tuby PiS".

Rzeczywiście, opozycja bywa surowo oceniana w „Wiadomościach" czy w TVP Info. Czy jednak nie zasługuje na taką ocenę? Nie uważam, że media powinny być surowe wobec rządu i łagodne wobec opozycji bez względu na to, co się dzieje. Media muszą pokazywać rzeczywistość taką, jaka jest. Jak pokazywać niewiarygodną,

eprasa.pl e7683f73ec

kwestionującą mechanizmy demokratyczne, ciągle zmieniającą zdanie opozycję? Jak o tym mówić w sytuacji, gdy media komercyjne starają się tego nie zauważać, gdy sympatyzują z tymi, którzy stracili władzę? Musi być medium, które nazwie rzeczy po imieniu. Musi być elementarny balans. Nie da się przecież twierdzić, że Polska jest zalana rządową propagandą. Mamy pełen pluralizm. Tego nie było nigdy w ciągu 30 lat III RP.

Może opozycja ma z tym problem, bo wyrosła pod kloszem faktycznego monopolu medialnego i nie umie inaczej działać? PiS umie, bo „od dziecka" było poddane ostrej tresurze, to był zimny chów.

My rzeczywiście zostaliśmy ostro przećwiczeni, musieliśmy się tłumaczyć ze wszystkiego, z każdej wypowiedzi, z każdego działania, zawsze byliśmy chłopcem do bicia. Ale także w tych warunkach potrafiliśmy wygrywać, co pokazuje, że przewaga medialna, nawet miażdżąca, nie o wszystkim decyduje. Ludzie mają swój rozum i tłumaczenie przez polityków opozycyjnych naszych sukcesów wyłącznie przekazem mediów publicznych jest wyrazem braku szacunku dla wyborców.

Czy pana zdaniem po ewentualnym kolejnym zwycięstwie PiS opozycja zrezygnuje ze słynnej „totalności", a establishment stanie się mniej wściekły?

Sądzę, że pod tym względem kolejna kadencja PiS będzie spokojniejsza. Także dlatego, że Polacy naprawdę oczekują spokoju. Jeśli opozycja tego nie zrozumie, będzie dalej szła od klęski do klęski. Przecież dziś wizja zwycięstwa Platformy to wizja armagedonu, wizja zemsty i rewanżu, a nie rozwoju i współpracy. I wyborcy to czują.

W naszej rozmowie przewija się kwestia sporu światopoglądowego, ostatnio koncentrującego się na aktywności tzw. środowisk LGBT. Majowe wybory pokazały, że ten spór służy PiS. Czy jednak jest to uniwersalny mechanizm dający sukces, czy też wiążą się z nim jakieś ryzyka?



Na pewno nie da się wygrać wyborów wyłącznie sporem ideologicznym. W naszym wypadku decyduje oferta odnosząca się do życia Polaków. Gdybyśmy nie zmienili reguł gry, gdybyśmy nie byli pierwszym rządem, który dotrzymał obietnic, który naprawdę myślał o wszystkich obywatelach, który przywrócił wielu ludziom godność, to żaden spór ideologiczny by nam nie pomógł. Byłby kolejny zawód.

To na pewno. Ale spór światopoglądowy PiS służy?

To nie jest tak, że my się w tej kwestii spieramy z naszymi konkurentami tylko dlatego, że uważamy, iż to daje nam głosy. My się spieramy, bo uważamy, że to, co proponuje Polakom opozycja, jest złe, jest nie do przyjęcia. Nie godzimy się na „plan Rabieja", a więc najpierw związki partnerskie, później małżeństwa homoseksualne, a na końcu adopcja dzieci. My wiemy, że gdy raz wejdziemy na tę drogę, to już z niej nie zejdziemy. To dotyczy także polityki migracyjnej. Wiemy, do czego doprowadziło to na Zachodzie, i możemy się przed tym ustrzec.

Padają też zarzuty, że w sferze sporu z LGBT PiS dużo mówi, a stosunkowo mało robi. Te środowiska realnie wchodzą do szkół.

Musimy wzmocnić rolę państwa w edukacji. Musimy dopilnować, aby ideologia LGBT nie wchodziła poprzez zajęcia pozalekcyjne. Szkoła musi być wolna od ideologii, na dzieciach nie można eksperymentować.

Macie władzę, zróbcie to.

Zrobimy. W Ministerstwie Edukacji Narodowej trwają prace nad odpowiednimi mechanizmami, kuratorzy dostaną nowe narzędzia. Nigdy nie zgodzimy się na to, by łamano prawa dzieci. A ideologiczna presja w szkole ze strony środowisk LGBT te prawa łamie.

Czy relatywne słabnięcie Kościoła w Polsce wpływa na sytuację PiS?

Nasi konkurenci od lat próbują zrobić z nas polityczną przybudówkę Kościoła. To obraz nieprawdziwy. Oczywiście nie odcinamy się od Kościoła, uznajemy jego uniwersalny system wartości, doceniany ogromną rolę, jaką odegrał w naszych dziejach. Bez Kościoła i bez chrześcijaństwa nie byłoby Polski. Ale nie jesteśmy partią ideologiczną. Mamy też świadomość, że Kościół, mimo że popełnia pewne błędy, bo Kościół to ludzie, potrafi się oczyszczać i zmieniać na lepsze. Na pewno próba złamania Kościoła w Polsce, do czego dążą środowiska lewicowe, to ważny element planu, który ma umożliwić przeformatowanie społeczeństwa na ten wzór, który widzimy na Zachodzie. Brak chrześcijańskiego kręgosłupa to więcej przestrzeni dla nowych ideologii. Tak postępowali komuniści i tak samo postępują dzisiaj ideolodzy LGBT.

eprasa.pl e7683f73ec

Prawda przeciw rosyjskiej propagandzie

Obecne władze Rzeczypospolitej nie zaproponowały prezydentowi Władimirowi Putinowi udziału w nadchodzących obchodach 80. rocznicy wybuchu II wojny światowej na Westerplatte. Dziesięć lat temu przywódca Rosji, wówczas jako premier, przyjechał na uroczystości zaproszony przez ówczesnego szefa rządu Donalda Tuska. Polska uniknęła wtedy wstydu i kompromitacji dzięki wystąpieniu śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego – uznanemu za jedno z jego najlepszych przemówień





JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

Dziesięć lat temu tylko częściowo udało się zademonstrować Władimirowi Putinowi, że w wolnym świecie nie ma miejsca dla prowodyrów wojen. Gdy na uroczystości przemawiał prezydent Lech Kaczyński, cytowany później przez światowe i polskie media, Władimir Władimirowicz wyglądał na niezadowolonego. W typowej dla siebie rozkraczonej pozie, ze słuchawką w uchu, odbierał słowa głowy polskiego państwa jako sprzeciw wobec narzucanej przez siebie narracji.

A przecież tak niewiele brakowało, a uroczystości na Westerplatte z 2009 r. byłyby całkowitym sukcesem moskiewskiej propagandy, formułującej przekaz, że Rosja była nie tylko zwycięzcą i ofiarą II wojny światowej, lecz także ofiarą wcześniejszego traktatu wersalskiego – tego samego, który dawał niepodległość Polsce i krajom Europy Środkowo-Wschodniej.

PRZYJACIELE PUTINA W POLSCE

Rządząca wtedy Platforma Obywatelska nie pierwszy i nie ostatni raz postawiła na wewnątrzkrajowe rozgrywki polityczne, kosztem interesu państwa. Donald Tusk chciał być gospodarzem obchodów, co miało konsekwencje międzynarodowe. Mimo że Kreml już od dłuższego czasu pracował nad wykorzystaniem historii pierwszej połowy XX w. do przywracania pozycji Rosji we współczesnym świecie, rząd przyjął formułę zaproszenia szefów rządów z różnych stron świata – a więc do Polski przyjechał właśnie Władimir Putin, a nie pozbawiony charyzmy i postrzegany jako postać drugorzędna ówczesny prezydent Dmitrij Miedwiediew.

Gdy w tym samym czasie prezes PiS Jarosław Kaczyński krytykował obecność Putina w Gdańsku, szef gabinetu politycznego prezesa Rady Ministrów Sławomir Nowak nazywał to „żałosnym piskiem nienawiści". Pamiętajmy, że wówczas – przed wydarzeniami

Fot. ZBYSZEK KACZMAREK/EAST NEWS

eprasa.pl e7683f73ec

na kijowskim Majdanie z 2014 r. – społeczność międzynarodowa była bardziej przychylna Federacji Rosyjskiej, a polski rząd był prymusem w ocieplaniu wizerunku Moskwy. Być może to zaproszenie Putina na Westerplatte sprawiło, że przywódcy Francji, Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych nie przybyli na uroczystości.

To zresztą czarna karta najnowszej historii Polski, bo polityka Donalda Tuska stawiająca na ocieplenie relacji z Rosją prowadziła jednocześnie do brutalizacji stosunków z opozycją.

Nie tylko lider Platformy Obywatelskiej współgrał z intencjami szefa rosyjskiego rządu – w przeddzień obchodów „Gazeta Wyborcza" opublikowała list premiera Putina do Polaków. Tekst był wyrazem sympatii dla Donalda Tuska (sic!) i realizował imperialną narrację Rosji o świecie i o relacjach polsko-rosyjskich. „Gdy Premier Polski Pan Donald Tusk skierował do mnie zaproszenie na uroczystości poświęcone rocznicy wybuchu II wojny światowej, przyjąłem je bez wahania. Po prostu nie mogłem postąpić inaczej" – przekonywał Władimir Władimirowicz, przybierając pozę szczerego męża stanu. „Ponieważ ta wojna zabrała życie 27 mln moich rodaków [...] z pokolenia na pokolenie jest u nas przekazywana duma z Wielkiego Zwycięstwa, z bohaterskich czynów ojców i dziadów, którzy przebyli szlak frontowy. Dlatego że Rosja i Polska były sojusznikami w tej sprawiedliwej bitwie" – czytamy dalej na łamach „GW" z 31 sierpnia 2009 r. Przywódca kraju, który był zarzewiem II wojny światowej na równi z III Rzeszą, nieomal narzucił narrację o tamtych wydarzeniach, sugerując z udawanym oburzeniem, że znana nam historia opiera się na „półprawdach". Putin umniejszał odpowiedzialność ZSRR m.in. słowami: „Proponują więc nam dzisiaj, byśmy bez zastanowienia i bez wahania przyznali, że jedynym »spustem« II wojny światowej stał się radziecko-niemiecki pakt o nieagresji z 23 sierpnia 1939 r.".

ODPOWIEDŹ POLSKIEGO PREZYDENTA

Nie jest tajemnicą, że Lech Kaczyński długo przygotowywał się do tamtego wystąpienia. Choć pewne tezy proponowali jego bliscy współpracownicy i doradcy, to do końca nie było wiadomo, do której wersji prezydent się przychyli. Jak się okazało, na Westerplatte padły słowa, które w pewnym stopniu co prawda czerpały z sugestii otoczenia, ale były innym, autorskim ujęciem problemu. Wobec całego prorosyjskiego kontekstu obchodów jedynie to przemówienie było szansą na zniwelowanie kremlowskiej propagandy i właściwie ocalenie honoru Rzeczypospolitej, której przeszłość byłaby sprowadzona do roli podrzędnego sojusznika Stalina. Tak często bagatelizowana polityka historyczna okazuje się ważnym narzędziem w kształtowaniu stosunków międzynarodowych – z tej pespektywy także 1 września 2019 r. może się okazać bardzo ważnym krokiem do dalszego budowania podmiotowości Polski.

Oskarżeniom Władimira Putina, że w okresie międzywojennym spiski i surowość wobec Niemiec i Rosji utrudniały porozumienie w Europie, przeciwstawił się jedynie Lech Kaczyński. Prezydent wskazał, że przeciwnie, to polityka ustępstw wobec III Rzeszy i niemiecko-rosyjskie dążenia do zbudowania imperiów, zwłaszcza pakt Ribbentrop–Mołotow, były przyczyną największej w dziejach świata wojny. Lech Kaczyński zaprzeczył tezom Władimira Putina, że „ten traktat uznał zasadę niezależności narodów, uznał też w sposób jednoznaczny prawa mniejszości". Gdy mówił, że „nie wolno ustępować imperializmowi ani nawet skłonnościom neoimperialnym", odwoływał się m.in. do konferencji w Monachium z 1938 r., ale jego słowa wybrzmiewały jako uniwersalna zasada potępiająca naruszanie integralności terytorialnej – także wobec o rok wcześniejszej agresji Rosji na Gruzję.

TRZEBA ZMIENIĆ JĘZYK

Nic dziwnego, że fragmenty przemówień śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego były i są często przytaczane jako wskazówki do formułowania polskiej polityki historycznej. Choć najsłynniejsze pochodzą z Westerplatte oraz z Katynia – ostatnie nie zostało wygłoszone z powodu śmierci pary prezydenckiej – to także na wielu pomniejszych uroczystościach słowa głowy państwa niosły z sobą przesłania o ciągłości narodowej historii. Choćby to z 28 stycznia 2009 r., gdy w podczas wizyty w I Liceum Ogólnokształcącym Carolinum im. Jana III Sobieskiego w Nysie Lech Kaczyński wskazywał na rozwój i wstrząsy w dziejach naszej demokracji. Wychodząc od dziejów patrona szkoły, śp. prezydent wskazywał, że ewolucja systemu politycznego może prowadzić do stabilności lub destabilizacji państwa, i łączył opowieść z czasów monarchii elekcyjnych ze współczesną Polską. Wręcz przydałoby się książkowe wydanie wybranych przemówień Lecha Kaczyńskiego, które układają się w opis tożsamości narodowej, zagrożeń dla niej oraz analizy obecnej rzeczywistości.

Właśnie osobiste publiczne wystąpienia mają mocniejszy przekaz, gdyż oficjalne pisma wysokich urzędników państwowych często nie są przez nich opracowywane osobiście. U większości z nich nawet przemówienia są przygotowywane przez współpracowników. W przypadku śp. prezydenta wystąpienia były planowane i przygotowywane osobiście, odbijał się w nich temperament Lecha Kaczyńskiego i bieżący kontekst polityczny. Ich wartość znamy przecież nie tylko w Polsce, wszak w sierpniu 2008 r. słowom przywódcy polskiego państwa dały się porwać tłumy w stolicy Gruzji. Nic dziwnego, że w sierpniu 2008 r. prezydent z satysfakcją wspominał „Newsweekowi" swoją obecność w Tbilisi: „To było przemyślane wystąpienie. Rosja do tej pory triumfowała w sferze werbalnej. Wreszcie trzeba zmienić język, dlatego to przemówienie musiało być ostre".

Tym razem dopełni się konsekwentna polityka obozu niepodległościowego – agresora Putina nie będzie 1 września 2019 r. na Westerplatte. Nie będzie tam przekonywał świata o niewinności swojej ani swojego kraju. Jednak nawet obecnym polskim władzom trudno będzie sformułować tak przekonujący i dosadny przekaz, jaki usłyszeliśmy dziesięć lat temu z ust śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego.

eprasa.pl e7683f73ec



Sławomir Siwy zeznaje przed komisją śledczą ds. VAT

Jak PO przegrała walkę z mafiami

– Nakazano nam skierować nasze działania na legalnie działające podmioty, a nie na grupy przestępcze i oszustów – mówi Sławomir Siwy, przewodniczący Związku Zawodowego Celnicy Pl, który już w 2008 r. alarmował, że w Polsce panoszą się mafie VAT-owskie, w rozmowie z Wojciechem Biedroniem. Za swoją walkę z nieprawidłowościami i przekrętami został wyrzucony z pracy



WOJCIECH BIEDROŃ

Pana zeznania dotyczące mafii VAT-owskiej i akcyzowej wstrząsnęły komisją śledczą. Nie boi się pan o swoje życie?

Sławomir Siwy: Nie boję się konsekwencji mojej działalności, którą prowadzę od dekady. Moja ocena tej sytuacji może być jednak subiektywna, ponieważ od 10 lat jestem pod stałą presją tej walki i zdążyłem już przywyknąć do szykan i gróźb. Po zeznaniach przed komisją dzwonili do mnie ludzie, którzy wyrażali swoje obawy o moją przyszłość, i to głównie skłoniło mnie do skierowania formalnego wniosku do MSWiA o ochronę. Toczymy walkę z wyjątkowo niebezpiecznymi ludźmi. Nie chcę jednak kreować się na ofiarę. Robię swoje. Zawsze działałem pro publico bono, niezależnie od okoliczności.

Jednym z najważniejszych zarzutów, które stawia pan poprzedniej władzy, jest blokowanie przez KPRM w czasach Donalda Tuska zmian i wsparcia dla celników. Dlaczego komuś zależało na tym, by Polska stała się rajem dla przemytników i oszustów VAT?

To nie jest tak, że stawiamy zarzut tylko poprzedniej władzy. Działamy od lutego 2008 r., dlatego nasza korespondencja dotyczy tego okresu. Problem jest jednak szerszy. Skoro pan pyta o te lata, to w 2008 r. pojawił się projekt ustawy o Służbie Celnej (SC). Jednym z najważniejszych jej zapisów była możliwość prowadzenia przez celników działań operacyjnych i śledczych. Minister finansów uzasadniał, że bez tego SC nie realizuje niektórych zadań ustawowych, a inne realizuje częściowo. To poważna sprawa, gdy zwierzchnik stwierdza, że formacja nie realizuje zadań, do których została powołana, bo nie ma narzędzi prawnych. To niezwykle wzmocniłoby naszą formację i pozwoliłoby na skuteczniejszą walkę z mafiami.

eprasa.pl e7683f73ec

To był czas doskonałego funkcjonowania mafii, które pojawiły się w naszym kraju. Także początek prosperity grup przestępczych, które wykorzystywały dziurawy system fiskalny.

Ówczesna władza nie miała świadomości istnienia tych patologii?

Skądże! Wszyscy o tym wiedzieli. Doskonale zdawano sobie też sprawę ze słabości SC, jej niedofinansowania i braku narzędzi do ścigania przestępców. Mimo to właśnie w kancelarii premiera Donalda Tuska oraz na kolegium do spraw służb specjalnych zapadła decyzja, by wykreślić te czynności operacyjno-rozpoznawcze z uprawnień celników. Nakazano nam skierować działania na legalnie działające podmioty, a nie na grupy przestępcze i oszustów.

Zaczęliście dręczyć uczestników pikników, którzy sprzedawali domowe nalewki, lub tych, którzy uczciwie płacili podatki?

Niestety tak i do dziś wielu ma żal do celników za tego typu działania. Zadecydowano więc, że wzmocnienia służby nie będzie. W kuluarach mówiono nam, że te wszystkie decyzje osobiście podejmował premier Donald Tusk, bo Ministerstwo Finansów (MF) wtedy chciało wzmocnienia SC. Warto byłoby sprawdzić, w jakich okolicznościach były premier podejmował te decyzje. Należałoby przesłuchać w tej sprawie ministra Jacka Kapicę oraz szefów służb specjalnych. Jak ta decyzja była przekazana, jak i czy argumentowali premierowi jej szkodliwość dla interesu publicznego?

Przecież władza miała już informacje i raporty, także zagraniczne, dotyczące przekrętów, które trawiły wtedy polską gospodarkę.

Były także polskie opracowania, jak choćby słynny raport z MSW, który jasno definiował problemy i zagrożenia. CBŚP i szerzej MSW tworzyły strategie walki z przestępczością ekonomiczną, które były wstrzymywane z poziomu KPRM i nie wchodziły w życie. Blokowano walkę z tą przestępczością na każdym kroku i na szerokim polu. Poprzez działania i zaniechania.

Gdzie to blokowano: w prokuraturach, w służbach?

Przede wszystkim na poziomie MF, ale w sytuacji, gdy nieoczekiwanie minister chciał wzmocnienia służby, to z poziomu KPRM. Taka sytuacja miała też miejsce wcześniej, że z poziomu KPRM blokowano uszczelnianie systemu podatkowego. To był czas dziwnych zbiegów okoliczności. Zlikwidowano cały pion w ABW, który zajmował się przestępczością fiskalną, Trybunał Konstytucyjny wydał orzeczenie, które wiązało ręce służbom. Obiektywnie należy ocenić, że gdyby nie KPRM i część urzędników MF, służby, w tym Służba Celna, nie pozwoliłyby na rozwój mafii w sferze przestępczości ekonomicznej, która doprowadziła do wielomiliardowych strat i grabieży nas wszystkich Polaków. Niestety służbom ograniczano możliwości działania.

> Osoby na wysokich stanowiskach w Ministerstwie Finansów dbały o interesy mafii. Premier Donald Tusk nie reagował

Mafia miała w aparacie państwowym swoich ludzi?

Ulokowano w SC, w MF i w innych urzędach osoby na wysokich stanowiskach, które dbały o interesy mafii. To się zaczęło jeszcze w latach 90. Grupa ta działała głównie w resorcie finansów. Np. mafie paliwowe były przecież od dawna. Dzisiaj widzimy jednak determinację rządu, który za wszelką cenę chce zatrzymać i zlikwidować tę przestępczość. Na tym polega różnica. Dzisiaj KPRM nic nie blokuje, ale problem tkwi wciąż w MF i administracji, gdzie działa owa grupa nieuczciwych urzędników.

Skąd oni się wzięli?

Myślę, że to ludzie, którzy zostali tam ulokowani jeszcze w okresie przemian, po latach 80., to często ludzie dawnych służb specjalnych. Potem dochodzili nowi, są następcy.

Jak działał i działa ten system?

Widzimy urzędników resortu finansów, którzy tworzą luki prawne albo te luki zasypują, ale niezwykle wolno, nawet gdy wszyscy alarmują o przekrętach. Gdy zamkną jedną lukę, to natychmiast otwierana jest inna. Tak działo się przez całe lata. Na początku bezczelnie, „na rympał". Ci ludzie potrafili zwolnić z cła na kilka godzin! Potem to ewoluowało w stronę inteligentnych, przemyślanych i zakamuflowanych działań. „Białe kołnierzyki" zaczęły robić wielkie interesy. Nikt się nie interesował tym, że do Polski wjeżdżała gigantyczna ilość niemieckiego paliwa. Nikt nie zadał sobie pytania, jakim cudem się tak dzieje, skoro niemieckie paliwo było droższe? To lata 2003–2004. Funkcjonariusze oddolnie próbowali z tym walczyć. Informowali swoich przełożonych, ale bez żadnego odzewu, wręcz byli zniechęcani do interesowania się wwozem paliwa z Niemiec. Celnicy zgłaszali ten problem już wtedy w MF. Uważali, że to jawny przekręt. Zatrzymywali cysterny, by w jakikolwiek sposób przeciwdziałać.

Robili to wbrew przełożonym?

Ci kazali im jednak zwalniać te cysterny. Celnicy nie odpuszczali i za pomocą innych formacji zatrzymali więcej cystern. Dzięki temu, że zaangażowano inne służby, udało się rozdmuchać sprawę i nie dało się już jej zamieść pod dywan przez naszych przełożonych. Okazało się, że wszystkie transporty miały lewe dokumenty, do nieistniejących firm. Kierowcy przyznali się, że tylko w jednym dniu było ok. 50 transportów lewego paliwa, ale reszta, dowiedziawszy się przez CB-radio o kontroli, zmieniła trasę. Takie transporty były regularne i szły w setki, jeśli nie w tysiące. Potem przyszedł niepłacony VAT, produkcja olejów smarowych wykorzystywanych do „zlewania" na stacjach paliw.

Fot. Tomasz Jastrzębowski/REPORTER

eprasa.pl e7683f73ec

VAT niepłacony od paliw mógł się pojawiać już wcześniej. Wymyślano bajki, że Unia nie pozwala wprowadzać pewnych rozwiązań, np. monitoringu przewozu towarów. Alarmowaliśmy, że za wszystkimi działaniami stoją osoby, które na zlecenie zorganizowanej przestępczości mają wpływ na kształtowanie przepisów, dzięki którym ten proceder staje się zgodny z prawem, lub uniemożliwiają skuteczne działanie służb kontrolnych. Dotyczyło to wielu obszarów: hazardu, paliw, wszystkich wyrobów akcyzowych.

Politycy głusi i ślepi?

Chciałbym, żeby wybrzmiało to bardzo mocno, że pilnowaniem interesów mafii zajmowali się ludzie z różnych opcji i okresów politycznych. Oni działają w MF i KPRM niezależnie od opcji politycznej. Mateusz Morawiecki, najpierw jako minister finansów, a dzisiaj premier, rozpoczął jako pierwszy rozbijanie tego systemu. Morawiecki zwracał na to uwagę już po wprowadzeniu tzw. pakietu paliwowego, pod koniec 2016 r. Wskazuje na to także jego korespondencja do Służby Celnej. Po raz pierwszy w historii wicepremier i minister finansów wykazują taką determinację w walce z mafiami i jest to zachowane w korespondencji.

Pan informował o tym ministra Jacka Rostowskiego i premiera Donalda Tuska?

Tak, w pismach informowaliśmy o powrocie procederu przemytu alkoholu, wskazując, że mechanizm tego nadużycia dotyczy także paliw, hazardu, wyrobów tytoniowych. Tak samo zawiadomiliśmy Prokuratora Generalnego. Nic się nie zmieniło. Tymczasem to minister Jacek Kapica zniósł szczególny nadzór podatkowy w przypadku paliw i tytoniu. Nadzór pozostał jedynie w kwestii spirytusu. Potem zniósł jeszcze obowiązek informowania o wyrobach akcyzowych, jakie znajdują się w składzie podatkowym.

Zaczęło się eldorado dla oszustów?

Jeden z funkcjonariuszy powiedział, że po zniesieniu stałych nadzorów w składach już dosłownie „zaczął się Meksyk", inny, że zatrzymanie cysterny z paliwem to jak „wyrok śmierci". W składach podatkowych rozpoczęła się już totalna samowolka, w paliwach i w tytoniu.

Za to, że alarmował pan o patologiach i nieprawidłowościach, „podziękowano" panu wyrzuceniem z pracy.

Po mojej wizycie w KPRM jesienią 2008 r. u minister Julii Pitery tak zbiegły się daty, być może przypadkowo, że zaraz po tej wizycie wszczęto wobec mnie postępowanie zwolnienia ze służby. Byłem w szoku, nie miałem szans się obronić. Chodziło o moją wypowiedź dla jednej z rozgłośni radiowych, w której ująłem się za celnikami uwięzionymi na przejściu granicznym, którym zniszczono pojazdy prywatne oraz narażano zdrowie i życie w drodze na służbę. Odwrócono kota ogonem i zarzucono mi, że wspieram „mrówki" graniczne. Historia przyznała mi rację, bo po lekkim ograniczeniu ruchu mrówkowego cały ten rynek przejęły zorganizowane grupy przestępcze i mafia. Nawet MF przyznało, że rynek przejęły gangi. Jakoś w 2012 r. postawiono mi kolejny zarzut za to, że alarmowaliśmy, iż minister finansów wprowadza „ułatwienia dla przemytu". To był jeden z zarzutów, po którym wyrzucono mnie ze służby. Drugi zarzut w tym postępowaniu dotyczył mojego udziału w protestach celników w 2012 r. Zarzut dostałem tylko ja, choć uczestniczyłem w tym wraz z pięcioma innymi związkami zawodowymi. Zwolnienie ze służby doszło do skutku. Wróciłem do pracy po wyroku sądu administracyjnego, po dwóch latach. Miałem też postępowanie dyscyplinarne za to, że wnioskowaliśmy jako związek o dymisję ministra Kapicy, które także wygrałem. Obecnie jestem poza służbą, bo nie dostałem propozycji od Krajowej Administracji Skarbowej. Do dzisiaj nie otrzymałem od dyrektora izby informacji dlaczego? Walczę w sądzie.

Donald Tusk i Ewa Kopacz kreowali jednak ministra Kapicę na wspaniałego fachowca, który, niemal z narażeniem życia, bezkompromisowo walczył z mafiami. Dziś okazuje się, że to fikcja.

Już w 2010 r., chyba w listopadzie, związek na podstawie działań i zaniechań szefa Służby Celnej doszedł do wniosku, że minister Kapica działa na szkodę interesu publicznego i poprosiliśmy ministra, by podał się honorowo do dymisji. Nie zrobił tego, a wiemy, że finalnie niczego nie uszczelnił. Twierdził, że walczy z hazardem, ale hazard miał się świetnie po ośmiu latach jego rządów. Walczył więc bezskutecznie, bo automaty do gier można było spotkać w niemal każdym sklepie, gdy kończył „walkę". Wcześniej wpuścił na rynek automaty, które grały o wysokie stawki, a wchodziły jako automaty do niskich wygranych. Oczywiście to oznacza ogromną różnicę w podatkach. Podobnie było z tytoniem, gdzie ministerstwo nie podjęło natychmiastowych działań uszczelniających. Szara strefa wzrastała, zyski dla mafii wzrastały, a Polacy tracili miliardy. Co robiono? Podnoszono akcyzę, tworząc jednocześnie luki w prawie lub zamykając luki opieszale. Mówił o uelastycznianiu działalności składów podatkowych, a tam w tym czasie rozwijała się produkcja olejów smarowych, na których wyłudzano VAT i akcyzę. Do tego znikający podatnicy i cała masa innych patologii. Z szarej strefy pochodziła 1/3 obrotu paliwem i tytoniem.

A może najwyższe władze nie miały o tym wszystkim pojęcia?

Wiedzieli ministrowie i wiceministrowie, wiedziały Służba Celna i aparat skarbowy, ale działania, jakie podejmowano, nie miały szans na sukces i wszyscy, którzy się na tym znają, o tym wiedzieli. Ktoś jednak dbał, by prowadzono działania pozorne, bo inaczej tego wytłumaczyć się nie da. Stała za tym ta grupa urzędników, o których mówiłem. Dzisiaj to się poprawiło, dzięki determinacji rządu, choć ci urzędnicy wciąż są i wciąż są aktywni. Szara strefa nadal jest dość silna i wiele jest do zrobienia. Polska ma ogromny potencjał, który wspólnie i ponad podziałami politycznymi musimy wykorzystać. Apeluję o to do wszystkich Polaków.

48/0619/F

eprasa.pl e7683f73ec

PGNiG DZIĘKUJE

POWSTAŃCOM WARSZAWSKIM



RACHUNEK WDZIĘCZNOŚCI PGNiG DLA POWSTAŃCÓW WARSZAWSKICH TO WSPARCIE W WYSOKOŚCI DO 900 ZŁ ROCZNIE NA RACHUNKI ZA GAZ. ZAINTERESOWANI POWSTAŃCY MAJĄ TRZY PROSTE MOŻLIWOŚCI ZGŁOSZENIA:

01 W dowolnym **Biurze Obsługi Klienta** PGNiG

02 **Poprzez infolinię** 22 589 41 27

03 **Listownie** ul. Jana Kazimierza 3 01-248 Warszawa

Wystarczy tylko dowód osobisty.

Więcej informacji: www.pgnig.pl

Materiał informacyjny PGNiG Obrót Detaliczny i Fundacji PGNiG

eprasa.pl e7683f73ec



Kampania wojenna

Nastawienie różnych odłamów opozycji do protestu lewicy pod hasłem „Polska przeciw przemocy” (28 lipca w Białymstoku) dobrze pokazuje cele przeciwników rządu Prawa i Sprawiedliwości w zbliżającej się kampanii parlamentarnej. Jedni (Sojusz Lewicy Demokratycznej, Wiosna, Lewica Razem) chcą reagować szybko i przy każdej okazji. Inni (Koalicja Obywatelska) wyciągnęli nauki z kampanii europejskiej, więc obawiają się przegrzania i znalezienia po tej stronie, która jest ekspansywna, głośna i roszczeniowa. Jeszcze inni (Polskie Stronnictwo Ludowe) unikają jakiegokolwiek angażowania się w wojny ideologiczne. Nieprzypadkowo „rewolucyjna” wcześniej Barbara Nowacka z Koalicji Obywatelskiej na wezwania bliskiej jej ideowo, ale nie politycznie lewicy, by demonstrować w Białymstoku, odpowiedziała po Schetynowemu, że po zadymach 21 lipca (w związku z Paradą Równości i kontrmanifestacją) mieszkańcy Białegostoku najbardziej potrzebują spokoju. Różnica taktyki nie oznacza, że lewica będzie w kampanii zaczepna, a Koalicja Obywatelska skupiona na kwestiach programowych.



STANISŁAW JANECKI

Kampania parlamentarna w 2019 r. może być dla rządzących najtrudniejsza z dotychczasowych, a najbardziej totalna ze strony opozycji

Gdy Grzegorz Schetyna po kampanii europejskiej powiedział, że nie wystarczy być antypisem, nie obwieścił zakończenia wojny z PiS. Antypis to za mało, jeśli to jedyna treść kampanii. Gdy ta taktyka zostanie wzmocniona innymi elementami, każda dawka antypisu jest za mała. Co oznacza jeszcze więcej anty-

eprasa.pl e7683f73ec



pisu pod hasłem, że antypis to za mało. W kampanii opozycji do Sejmu i Senatu nie będzie żadnej strategii pozytywnej, lecz wojna z rządzącymi na wszystkich możliwych polach, czyli przede wszystkim w obrębie ulubionych tematów: ksenofobii, antysemityzmu, homofobii, rasizmu, faszyzmu, dyskryminacji kobiet, niszczenia praworządności i wolnych sądów, klerykalizacji Polski, pedofilii księży, izolacji Polski, korupcji władzy, drożyzny, upadku służby zdrowia i edukacji, niszczenia samorządności czy rozwalania finansów publicznych i zadłużania przyszłych pokoleń. To wszystko już było, ale nie chwyciło, więc będzie w jeszcze większej dawce, tylko inaczej podawanej.

ILUZJA I DORZYNANIE WATAHY

Schetyna jest wystarczająco doświadczony, by potrafić stosować iluzję w polityce. Iluzja to dwie fale wielkiego objazdu Polski – przed konwencją programową KO i po niej oraz tzw. szóstka Schetyny czy w innej nomenklaturze sześciopak: zmiany pod hasłem „Wolność i demokracja, reforma systemu płac, zmiany w służbie zdrowia, polityka senioralna, sanacja edukacji i czyste powietrze oraz woda". Objazdy będą kontynuowane aż do ciszy wyborczej, żeby pokazać, jak blisko Koalicja Obywatelska jest z ludźmi. Politycy KO wychodzą z prostego założenia, że każdy, komu uścisnęli dłoń lub z kim zamienili kilka słów, będzie miał więcej oporów przed odrzuceniem kandydatów KO niż wtedy, gdy nie widział ich na oczy. To stara sztuczka wyborcza, podkreślająca, że politycy przychodzą do ludzi słońce, deszcz czy słota i wiatr w oczy, czyli że im zależy. To samo będą robić politycy lewicy oraz PSL, choć ci z KO będą mieli przewagę kilku wcześniejszych rund tego tournée, czyli zostaną lepiej zapamiętani. Z kolei pakiet programowy jest potrzebny, żeby kampania nie była pusta. Przy okazji objazdu coś trzeba promować, tak jak się promuje film, książkę, serię kosmetyków lub jakiś nowy rodzaj usług. I żeby rządzącym zamknąć usta, że nie ma się żadnego programu. Ale ten program nie musi być w ogóle realistyczny, gdyż i tak nie będzie podstawą rządzenia. Po prostu na półce „Program" musi coś stać. Tyle iluzja.

Podczas występów iluzjonistów liczy się wrażenie i takie oszukanie zmysłów widza, żeby iluzję uznał za rzeczywistość, ale dla samego sztukmistrza najważniejsze jest to, co kryje się za iluzją. W kampanii europejskiej sfera iluzji była wątła, natomiast zaplecze co rusz wychodziło na wierzch. Dlatego przegrzano w atakach na Kościół i z ofensywą, a wręcz szturmem ideologii LGBT. Z tego powodu kampania była głośna, lecz nieefektywna. Przez nadgorliwość i przekonanie, że wystarczy tylko „dorżnąć watahę" nominalne ofiary stały się agresorami. A to, co zawsze działało na niekorzyść zjednoczonej prawicy, czyli „zaglądanie pod kołdrę" i ingerencja w prywatność, stały się cechami wojowniczej opozycji. Ale przynajmniej Schetyna i KO oraz Kosiniak-Kamysz i PSL wyciągnęli z tego wnioski. Wiedzą, że w kampanii parlamentarnej nie wolno do takiego odwrócenia dopuścić. PSL chce się zresztą całkiem odciąć od wszelkiej identyfikacji z LGBT i antyklerykalizmem. Lewica może na tym popłynąć, ale KO tego nie wolno i o tym Schetyna dobrze wie. Stąd m.in. słowa Barbary Nowackiej o spokoju, którego potrzebują mieszkańcy Białegostoku. Cel jest jeden – powrót do stanu sprzed kampanii europejskiej, czyli obsadzenie PiS w roli agresora, tego, kto zagląda pod kołdrę, i obyczajowego policjanta. Opozycja czy grupy, których ona broni, mają być ofiarami. Metody osiągnięcia tego celu nie są jeszcze przećwiczone, więc eurodeputowanemu PO Radosławowi Sikorskiemu wymknęło się porównanie Białegostoku do Jedwabnego, a sympatyzujący z opozycją prof. Paweł Śpiewak ogłosił narodziny faszyzmu w Białymstoku. Cel był „słuszny", czyli wykreowanie ofiar porównywalnych z tymi historycznymi, lecz zrobiono to zbyt nachalnie.

W kampanii europejskiej antypis ma być rozpowszechniany inteligentniej, w sposób bardziej zniuansowany. Różnica ma być taka jak przy uwalnianiu substancji czynnej z leku: nie od razu, lecz powoli, ale tak żeby cały zasób znalazł się w organizmie. Dlatego nie będzie mniej antypisu, tylko inny sposób „uwalniania". Jak to może wyglądać, widać obecnie po działaniach polityków KO w sprawie braku niektórych leków. Masowo odwiedzają oni apteki, wyciągają tam informacje o tym, których preparatów brakuje (nie w ogóle, a w konkretnych dawkach) i listy tych leków od wielu dni umieszczają w mediach społecznościowych, przeplatając to konferencjami i wypowiedziami do kamer i mikrofonów. Tak, by powstało wrażenie, że kryzys nie został w ogóle zażegnany, pacjenci muszą się liczyć z zagrożeniem zdrowia, a rządzący nie potrafią sobie z tym poradzić. Podobną metodę zastosowano wcześniej w sprawie przyjęć do szkół średnich. Codziennie pojawiała się lawina informacji o tym, ilu uczniów nie dostało się do „wymarzonych" szkół, były dramatyczne głosy rodziców i samych uczniów, wzmacniane przez samorządowców oskarżających rządzących o rozwalenie systemu i niszczenie przyszłości dzieci. Chodziło o wywołanie wrażenia totalnego chaosu i wielkiej krzywdy wyrządzanej uczniom. Nieważne, że się okazało, iż do szkół średnich w pierwszym etapie naboru

Fot. Shutterstock

eprasa.pl e7683f73ec

dostało się 89 proc. uczniów, czyli o 3 pkt proc. więcej niż w poprzednim roku, gdy żadnego zamieszania nie było. W Warszawie, gdzie były największe awantury, ten odsetek wyniósł w 2019 r. 93 proc., w Katowicach zaś nawet 96,5 proc., w Łodzi – 95,5 proc. Już w kampanii parlamentarnej, a konkretnie we wrześniu, będzie akcja pokazywania horroru w klasach, czyli liczenia dzieci w pierwszych klasach szkół średnich i licytacji w kwestii późnego kończenia zajęć. Taka sama akcja ma dotyczyć służby zdrowia, np. czasu oczekiwania w SOR oraz do lekarzy specjalistów. Gdy do tego dodać zapowiadanie na wrzesień protesty nauczycieli, pracowników służby zdrowia czy generalnie budżetówki, ma powstać wrażenie wielkiego kryzysu państwa, że jest ono w permanentnym chaosie i tylko opozycja może coś na to poradzić, jeśli wygra wybory.

BÓJ OSTATNI

Poza atakami „sektorowymi", czyli dotyczącymi służby zdrowia, edukacji, policji, armii, sprawiedliwości, środowiska czy rolnictwa, będą prowadzone kampanie nienawiści wobec konkretnych ministrów, przede wszystkim Zbigniewa Ziobry, Elżbiety Witek, Mariusza Błaszczaka, Piotra Glińskiego, Dariusza Piontkowskiego, Łukasza Szumowskiego, Henryka Kowalczyka, Marka Gróbarczyka, Krzysztofa Tchórzewskiego oraz wobec premiera Mateusza Morawieckiego. Odpowiedzialnym za całość będzie oczywiście Jarosław Kaczyński. Z takim przesłaniem, że albo ci ministrowie robią, co chcą, czyli premier i szef partii są słabi, albo resortami kierują nieodpowiedni, niekompetentni ludzie. Ataki na ministrów mają służyć temu, żeby plany ich resortów prezentowane podczas kampanii były niewiarygodne. Rządzący mają być odpowiedzialni nawet za suszę czy samobójstwa młodzieży, z czym jeszcze przed kampanią wyrwała się prezydent Gdańska Aleksandra Dulkiewicz. Lotne brygady opozycji, przede wszystkim KO, mają jeździć po składowiskach odpadów przemysłowych, w tym toksycznych, i tworzyć obraz Polski zatruwanej dla marnego zysku za rządów PiS. Poza atakami na ministrów na celowniku mają się znaleźć także europosłowie PiS uczestniczący w kampanii. Ich podróże i spotkania w kampanii, szczególnie Beaty Szydło, mają być zakłócane i komentowane „porażkami" w Parlamencie Europejskim. Chodzi o zneutralizowanie popularności eurodeputowanych zdobytej podczas kampanii do Parlamentu Europejskiego. W ich miejsce mają być prezentowani i zachwalani ludzie sukcesu opozycji, np. Jan Olbrycht, Bartosz Arłukowicz, Ewa Kopacz (na razie niepotrzebnie wyrwała się z entuzjazmem dla wiązania unijnych środków z praworządnością, skoro nie powstała jeszcze nowa Komisja Europejska) czy Elżbieta Łukacijewska (już brała udział w objazdach polityków KO po różnych częściach Polski, podobnie jak Arłukowicz).

> Cel jest jeden – powrót do stanu sprzed kampanii europejskiej, czyli obsadzenie PiS w roli agresora, tego, kto zagląda pod kołdrę, i obyczajowego policjanta

Każda rocznica do czasu wyborów, każdy marsz, manifestacja, parada czy zgromadzenie będą okazją do prowokacji, konfrontacji, także z siłami porządkowymi, nawet gdyby miały to robić marginalne czy małe grupy bądź nawet kilka osób. Wszystko po to, by stworzyć obraz pełzającego stanu wyjątkowego, gdzie przeciętni ludzie powinni się bać i chować po domach, zamiast cieszyć się życiem. Oczywiście opozycyjne partie same nie będą wywoływać zadym, lecz tylko solidarnościowo staną po stronie ofiar (jak po wydarzeniach w Białymstoku) i pokażą całemu społeczeństwu, jak opresyjna staje się polska rzeczywistość. A ktoś, czyli opozycja, musi bronić społeczeństwa oraz jego podstawowych praw i wolności. Bronić także we „wrażej" Telewizji Polskiej, bo jednak się okazuje, że jest ona ważna i wpływowa. Dlatego politycy PO mają wrócić do TVP. I będą wszelkimi sposobami, np. za pomocą plansz, pokazywać grzechy obecnej władzy oraz krytykować samą TVP lub polemizować z jej materiałami z „Wiadomości" bądź programów publicystycznych. I będą się kreować na ofiary „rządowej" oraz „partyjnej" propagandy. Politycy PO już przechodzą specjalne szkolenia w związku z powrotem do TVP w roli nieprzejednanych krytyków rządzącej partii oraz samej TVP. Przy okazji, także na antenie TVP, krytykowane mają być niezależne media konserwatywne – jako współgrające z publiczną telewizją. Politycy opozycji mają się też często powoływać na media zachodnie, pokazując na planszach nagłówki materiałów najbardziej krytycznych wobec rządzącej zjednoczonej prawicy (nieważne, że dużą część tych materiałów przygotowują opozycyjni dziennikarze z Polski). Opozycja będzie chciała zademonstrować, że jest bardzo pracowita (w kampanii mają się pojawić materiały ze sztabów, gdzie praca wre całą dobę), wszechstronnie przygotowana, ma wszystko udokumentowane, na bieżąco reaguje na wszelkie nieprawidłowości (jak w wypadku braku leków) i bardzo jej zależy na wygranej.

Biorąc pod uwagę, że stawką wyborów parlamentarnych jest z jednej strony fundamentalne (czyli nawet ustrojowe) umocnienie władzy zjednoczonej prawicy na kolejne lata, a z drugiej – pogrzebanie szans opozycji, przynajmniej w wypadku PO, na utrzymanie wcześniejszych przewag i przywilejów, trzeba się spodziewać kampanii totalnej. Prowadzonej innymi środkami, ale bardzo ostrej, agresywnej, na wielu polach. A podział opozycji na trzy bloki nie uspokoi sytuacji, lecz będzie prowadził do specjalizacji i synergii w atakach na państwo, rządzących, media publiczne i konserwatywne. Politycy opozycji i opozycyjne partie wiedzą, że może to być ich „bój ostatni". Dlatego rządzący nie mogą sobie odpuścić. Tegoroczna kampania parlamentarna może być bowiem dla nich najtrudniejsza z wszystkich dotychczasowych.

eprasa.pl e7683f73ec



Fot. Jacek Dominski/REPORTER

Normalniej

Rozpad wielkiego antypisowskiego sojuszu, jakim miała być Koalicja Europejska, przywrócił polskiej polityce walor zwyczajności



JAN ROKITA

Wyborcze kohorty władzy i opozycji są dziś mniej więcej tak samo liczne. Majowe wybory europejskie pokazały nawet, iż trzy ukształtowane ostatnio formacje opozycyjne otrzymały łącznie minimalnie więcej głosów od obozu władzy. Głęboko myliłby się jednak ktoś, kto z tego statystycznego faktu chciałby wyciągać jakieś poważniejsze polityczne wnioski. Naprawdę bowiem niecały kwartał przed wyborami parlamentarnymi polityczna przewaga PiS jest wyraźna i bezdyskusyjna. I choć urokiem polityki jest jej nieustanna zmienność oraz niepewność politycznego jutra, to racjonalna przedwyborcza prognoza może dziś być tylko jedna. Obóz Jarosława Kaczyńskiego wygra jesienne wybory i utrzyma po nich władzę nad krajem. Choć zapewne nadal nie będzie mieć dość sił, aby podjąć reformę wymagającego naprawy ustroju konstytucyjnego.

ZMIANA LIDERÓW

Zarazem w ciągu następnych czterech lat następować będzie stopniowe odchodzenie z pierwszej politycznej linii potężnego dziś przywódcy PiS, być może podobne do kontrolowanego procesu transferu przywództwa, jaki obserwujemy obecnie w niemieckiej chadecji. Z kolei całkiem odmiennie niż np. na Węgrzech Polska po jesiennych wyborach pozostanie krajem z silną polityczną opozycją, utrzymującą przede wszystkim zdolność do aktywnej mobilizacji licznych i wpływowych grup przeciwników władzy, z lobby prawniczym i show - biznesowym na czele. Jednak dotychczasowi przywódcy partii opozycyjnych będą mieć olbrzymie trudności z utrzymaniem swoich pozycji i wpływów. Nawet więcej: racjonalna prognoza musi zakładać polityczny upadek większości z nich, najpóźniej

eprasa.pl e7683f73ec

w ciągu pierwszych dwóch lat następnej kadencji parlamentarnej. Oznacza to więc, że tak dla władzy, jak i dla opozycji okres kolejnej kadencji będzie czasem istotnych wewnętrznych przekształceń i wstrząsów.

Statystyczne zestawienia liczebności zwolenników nie przekładają się wprost na polityczne efekty, gdyż obóz władzy jest cały czas w natarciu, opozycja zaś w widocznej defensywie. Dwa silne ciosy, jakie spadły na opozycję, zadziałały wyraźnie na spadek mobilizacji, motywacji i ambicji, zarówno pośród jej liderów, jak i potencjalnych wyborców.

Pierwszym okazał się zaskakujący, aż siedmioprocentowy dystans dzielący PiS i zjednoczoną podówczas opozycję w rezultatach majowych wyborów europejskich. Pokłosiem tego ciosu była gdańska mowa Donalda Tuska z okazji rocznicy pierwszych wyborów 4 czerwca, w której realistycznie, acz niemal kapitulancko wzywał on do połączenia opozycyjnych sił w wyborach do Senatu, gdyż tylko tam – jak mówił – „możemy im zrobić powtórkę z rozrywki z 1989 r.". Mowa ta, wyczekiwana i mocno rezonująca w szeregach zwolenników opozycji, musiała zadziałać niemal jak nagłe opuszczenie bezradnych rąk. Wkrótce zresztą miało się okazać, że nawet tak mało ambitny cel postawiony przez Tuska był – w obliczu skali majowej porażki – dla opozycji nieosiągalny.

Cios drugi przyszedł kilka tygodni później, gdy wysiłki Grzegorza Schetyny podporządkowania sobie dwóch istotnych partii opozycyjnych – PSL i SLD – zakończyły się kolejno niepowodzeniem. Tym razem znamienna była atmosfera politycznej żałoby, jaka co najmniej na chwilę ogarnęła opiniotwórcze opozycyjne media i wspierających opozycję publicystów (Lis, Wołek, Żakowski, Jarosław Kurski etc.). To tylko dopełniło miary przedwyborczej demobilizacji po stronie opozycji.

Trudno nie odnieść wrażenia, że postulat natychmiastowego odsunięcia PiS od władzy budził daleko mocniejszy emocjonalny odzew społeczny latem 2017 r., gdy tłumne demonstracje antyrządowe zmusiły prezydenta Andrzeja Dudę do złożenia weta wobec zamierzonej czystki w Sądzie Najwyższym. Albo nawet kilka miesięcy temu, gdy przez moment mogło się wydawać, iż strajk nauczycielski, odbywający się przy huku wszystkich propagandowych armat opozycji, wywoła efekt społecznego zniecierpliwienia wobec władzy, której nie uda się przeprowadzić wiosennych egzaminów szkolnych. Teraz tamte spory przygasły. Opozycja próbowała jeszcze ostatnio wzniecić jakąś głębszą emocję protestu przy okazji krytycznego jednoczesnego naboru do szkół średnich dwóch roczników uczniów, ale odzew okazał się słaby, wobec widocznej przesady, z jaką przedstawiano „dramat młodego pokolenia".

PROBLEM PIS I „TRÓJLEWICA"

Kwestia reformy sądowej wisi jednak ciągle nad PiS niczym miecz Damoklesa, gdyż obóz władzy (łącznie – jak się wydaje – z prezydentem) nie wie, co zrobić z ewentualnym wyrokiem unijnego sądu luksemburskiego, który tuż przed terminem wyborów może urządzić spektakularną „delegalizację" Krajowej Rady Sądownictwa oraz Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego. Zarówno uznanie takiego wyroku, jak i odmowa jego uznania byłyby – choć z różnych powodów – wyborczym osłabieniem PiS. Pierwsze, bo zmuszałoby władzę do wycofywania się z całości reform z podwiniętym ogonem, drugie – bo otworzyłoby na nowo kwestię polexitu, dostarczając opozycji wysokiej klasy amunicji propagandowej do ostrzeliwania władzy. Wygląda na to, że wobec tej diabelskiej alternatywy przywództwo PiS kombinuje, jakby tu nic nie robić w razie takiego wyroku, udając, iż to „nie sprawa polityków, ale wymiaru sprawiedliwości". I w ten sposób odsunąć dalszy kryzys na czas powyborczy, z bardziej przyjazną dla Warszawy nową Komisją Europejską pod wodzą Niemki, która tylko dzięki rządom Polski i Węgier może objąć swój urząd.

Poza tym na horyzoncie nie widać (przynajmniej na razie) niczego, co by poważnie mogło odmienić do października obecny trend. Patrząc z gospodarczej perspektywy, wybory odbędą się mniej więcej na szczycie dobrej koniunktury, a ściśle mówiąc (jak wiele na to wskazuje), w punkcie, w którym krzywa koniunktury dopiero co zmieniła kierunek i zaczęła zjazd w dół. To oznacza być może nawet całkiem spore kłopoty z deficytem finansów oraz wypłacalnością licznych i przyznanych wielu grupom społecznym materialnych przywilejów, ale najwcześniej za rok albo i nawet później. A więc całkiem bez związku z tym, kto jesienią zyska na cztery lata władzę nad krajem.

Z kolei powracające jak bumerang do debaty publicznej konflikty ideologiczne i skandale wokół kwestii obyczajowych, a także afery wokół kolejnych duchownych czy napaści nacjonalistów na manifestacje libertynów (jak w Białymstoku) nie mają istotnego wpływu na zasadniczy układ przedwyborczych sił. Owszem, w razie ostrego nasilenia, mogą one napędzać wyborczą klientelę lewicowemu blokowi Biedroń-Czarzasty-Zandberg, tyle tylko że byłby to i tak proces bez znaczenia dla rozstrzygnięcia jedynego istotnego pytania politycznego: kto dalej będzie rządzić Polską? Dotyczyłby on bowiem przepływu wyborców pomiędzy formacjami opozycyjnymi, przede wszystkim między PO i lewicowymi „trzema tenorami". A to może mieć znaczenie dla Schetyny i Biedronia, ale na krótką metę nie ma znaczenia dla Polski.

To nie znaczy jednak, iż wyborczy los bloku „trójlewicy" jest mało ważny na dłuższą metę. Przeciwnie. Jest to bowiem pierwsza, a przez to niesłychanie ciekawa próba sprawdzenia, czy w polskich warunkach symboliczna synteza trzech głównych nurtów lewicowości wyborczo się sumuje? Jeśli bowiem tak, to by znaczyło, że co prawda nie w roku 2019, ale za cztery albo i nawet za osiem lat możliwe jest w Polsce wyborcze zwycięstwo ideologicznej lewicy i nastanie władzy „polskiego Zapatero", z wszystkimi daleko idącymi tego konsekwencjami.

Lewicowi „trzej tenorzy" tak się bowiem zręcznie dobrali (nawiasem mówiąc, przypadkiem, jak zwykle bywa w polityce), że w warstwie politycznej symboliki doskonale się uzupełniają, wypełniając pełne spektrum współczesnej lewicy. Biedroń – to walka z religią i przywileje dla gejów, Zandberg – to polska wersja „oburzonych" na

eprasa.pl e7683f73ec

kapitalizm, Czarzasty zaś to „Lord Vader" afery Rywina (jak mawiał Tomasz Nałęcz), twardy i zasłużony aparatczyk starej formacji komunistycznej.

Wbrew temu rzecz jasna, co buńczucznie głosi teraz Biedroń, dla całej trójki obecne wybory są tylko (albo i aż) sprawdzianem możliwości sztucznego wysyntetyzowania na nowo jakiejś istotnej polskiej lewicy, po tym jak półtora dekady temu formację tę skasowała wojna na górze między Leszkiem Millerem i Aleksandrem Kwaśniewskim, która wybuchła na skutek korupcyjnej afery Rywina. Dla „trzech tenorów" prawdziwym znakiem nadziei byłby wynik w granicach 10 proc. Czy to możliwe, w znacznym stopniu będzie zależeć od tego, czy potrafią (zwłaszcza możliwości ma tu Biedroń) rozpalić w Polsce do czerwoności front walki ideologicznej. Taki scenariusz byłby z kolei krytyczny dla Platformy i zapewne zrujnowałby doszczętnie szanse na utrzymanie partyjnego przywództwa przez Schetynę. Jeśli jednak sztucznie teraz przywoływana do życia „trójlewica" się nie uda, to przynajmniej będzie wiadomo, że istotnej formacji lewicowej w Polsce przez najbliższą dekadę nadal nie będzie. A szczątkowo jej ideologiczne funkcje będzie musiała pełnić (chcąc nie chcąc) Platforma.

PSL, CZYLI POLITYCZNA HYBRYDA

Ciekawy jest w końcu także los jeszcze jednej formacji o genezie z „ancient regime'u", czyli PSL. W tych wyborach partia ta narobiła sporego galimatiasu, faktycznie rozbijając blok Koalicji Obywatelskiej, zmontowanej przez Schetynę na wybory europejskie. Praprzyczyną owego zamętu, który z natury rzeczy dotknął przede wszystkim Platformę, stał się Tusk, a ściślej mówiąc, antyreligijne, ideologiczne ekscesy towarzyszące jego trzeciomajowej mowie warszawskiej. Można odnieść ostatnio wrażenie, iż kolejne mowy Tuska sprowadzają na PO jedynie następne kłopoty. Wiosną wielu analityków miało wrażenie, że szef PSL Władysław Kosiniak-Kamysz jest lansowany przez Tuska jako alternatywny (zamiast Schetyny) kandydat na koalicyjnego szefa rządu w razie zwycięstwa opozycji. Jednak majowe wybory rozwiały nadzieje na takie zwycięstwo, sam zaś szef PSL najwyraźniej przeraził się perspektywy wspólnego ze Schetyną, Biedroniem i Czarzastym siedzenia przez cztery lata w ławach opozycji walczącej z PiS i Kościołem.

> Blok „trójlewicy" to pierwsza, a przez to ciekawa próba sprawdzenia, czy w polskich warunkach symboliczna synteza trzech głównych nurtów lewicowości wyborczo się sumuje

Bunt w szeregach PSL dopełnił swego i Kosiniak został w zasadzie zmuszony do podjęcia ryzyka samodzielnego wystawienia swej partii do wyborów. Miary śmieszności dopełniły jego negocjacje z Pawłem Kukizem i dolnośląskim ruchem samorządowym, aspirującym bez żadnych przesłanek do grania roli w krajowej polityce.

Widać wyraźnie, jak politycznie bezsensowne okazały się realne skutki teoretycznych dywagacji nad transformacją nomenklaturowej partii wiejskiej o peerelowskiej proweniencji, istniejącej przez lata dzięki aparatowi kółek rolniczych czy wiejskich straży pożarnych, w miejską formację centrum, kierowaną przez krakowskiego doktora i grającą w wyborach nazwiskami dzieci Tadeusza Mazowieckiego i Władysława Bartoszewskiego. Dziś PSL już „zjedzony" na wsi przez PiS oraz pozbawiony przez twardogłowego ministra Krzysztofa Jurgiela setek synekur w agencjach rolnych, nie jest ani partią wiejskich aktywistów, ani tym bardziej nowym ruchem ogólnonarodowym. Jest już tylko hybrydą, która walczy o przetrwanie, a z tego, czy owo przetrwanie okaże się po wyborach realne, czy też nie, tak naprawdę na przyszłość niewiele już wynika.

Cudowne zmartwychwstanie mogłoby nastąpić jedynie wówczas, gdyby PiS nagle popadło w jakieś tarapaty i nieoczekiwanie nie zdobyło większości sejmowej. Przeflancowanie partii do PiS w charakterze przystawki zapewniłoby działaczom jeszcze jakieś posady na cztery lata. Ale prawdę mówiąc, tego rodzaju scenariusz sytuuje się raczej w sferze politycznej fikcji.

Tak więc rozpad wielkiego antypisowskiego sojuszu, jakim miała być Koalicja Obywatelska, przywrócił polskiej polityce walor zwyczajności. Międzypartyjny konflikt władzy i opozycji jest co prawda nadal werbalnie bardzo ostry, a rzeczowo niemal „totalny" (w tym sensie, że nie ma w nim miejsca na pola kompromisów), to jednak brak wielkiego bloku walczącego z PiS „w obronie demokracji" odbiera obecnej kampanii i jesiennym wyborom cechy absolutnej wyjątkowości i bezwarunkowego dramatyzmu. Widać, że choć walka o władzę to zawsze rzecz bardzo poważna, jednak nie idzie już o jakąś „wojnę światów", a PiS nie występuje tym samym w roli burzyciela demokratycznego porządku. Gdyby tak było, to jasne przecież, że opozycja zjednoczyłaby swoje siły w walce z władzą. Tym bardziej przecież, że polskie wybory rządzą się proporcjonalnym systemem d'Hondta, co znaczy, że ten, kto wygrywa dużo, dostaje jeszcze więcej. Dzieląc się, opozycja bezapelacyjnie oddała ten przywilej PiS. Co znaczy, że wbrew obowiązującej propagandzie nie traktuje dzisiejszego obozu władzy jako zła absolutnego. Dzięki temu rysuje się w tych wyborach bardziej normalna partyjna scena.

Dominuje na niej silny obóz centroprawicy dowodzony przez Kaczyńskiego. Dużo niżej sytuuje się centrolew Schetyny, a na dole lewica Biedronia-Czarzastego-Zandberga, która sprawdza, czy jej istnienie jest w Polsce ogóle możliwe. Reszta, nawet gdyby jej się udało jakoś zaczepić w nowym Sejmie, i tak jest milczeniem.

eprasa.pl e7683f73ec



Ekologia totalna

Współczesna zideologizowana ekologia ma coraz mniej wspólnego z troską o przyrodę. Nie prowadzi się debat, jak pogodzić ochronę środowiska z potrzebami gospodarczymi. Nie szuka się kompromisu. Zamiast tego mamy coraz głośniejszy wrzask radykalnych fanatyków, którzy widząc w człowieku największe zagrożenie dla planety, całkiem konsekwentnie dochodzą do obłędnego wniosku, że jedyną drogą do ocalenia natury będzie eliminacja ludzi



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Kiedyś troska o przyrodę ograniczała się przede wszystkim do wszechobecnych wbitych w ziemię tabliczek ogłaszających, że nie wolno deptać trawników lub nawołujących do szanowania zieleni. Nie było w tym nic z polityki ani ideologii. To, co dziś nazywamy wrażliwością ekologiczną, miało podłoże kulturowe: deptanie trawników, złe traktowanie zwierząt czy wyrzucanie śmieci w lesie było uznawane za objaw nieokrzesania tak samo jak publiczne przeklinanie, pijaństwo lub brak higieny. Cham nie szanował przyrody i chamskie było komunistyczne państwo, które zatruwało środowisko, emitując z kominów tysiące ton toksycznych substancji i wylewając do rzek chemikalia.

Dziś ekologia stała się cepem do walenia w prawicę. Troska o środowisko naturalne została w ostatnich dekadach zawłaszczona przez lewicę, która nadała jej ideologiczny wymiar. Walka w obronie przyrody to teraz walka z „prawicowym chamem" – mizoginem, homofobem, rasistą, faszystą i – jak się okazuje – również trucicielem i sadystą.

Oczywiście można się zżymać na to, że prawica oddała swoim przeciwnikom pole praktycznie bez bitwy, a pojedyncze głosy konserwatystów – takich jak Roger Scruton – którzy widzą w środowisku naturalnym dziedzictwo przeszłości, są powszechnie nieznane. Jednak byłaby to tylko w części prawda. Bo prawica – czy szerzej ludzie o konserwatywnych poglą-

eprasa.pl e7683f73ec

dach – nie jest przeciwna trosce o środowisko. Nikt tu nie nawołuje do śmiecenia w lasach, betonowania przestrzeni, zatruwania rzek, a najsłynniejszym miłośnikiem zwierząt jest w Polsce nie Robert Biedroń, lecz Jarosław Kaczyński.

Na czym więc rzecz polega? Przede wszystkim na tworzeniu kolejnego fikcyjnego frontu, tym razem wokół ochrony przyrody. Na wmówieniu opinii publicznej, że troska o środowisko nijak się nie da pogodzić z prawicowym światopoglądem, że jeśli lubisz pieski lub kochasz jeziora, to nie możesz jednocześnie sprzeciwiać się aborcji czy ideologii LGBT. Albo-albo. A że większość z nas lubi pieski i kocha jeziora, to powinniśmy dokonać wyboru. Bo jeśli kogoś uwiera wizja dwóch mężczyzn adoptujących dziecko, to z pewnością jest – wręcz musi być – troglodytą sikającym w bramach i wyłupującym oczy zwierzętom.

> Nie da się wykluczyć, że wkrótce pojawią się pomysły ograniczenia dzietności w drodze „podatku klimatycznego" rosnącego z każdym narodzonym dzieckiem. Takie 500 minus dla rodziców

Dobrze skomentował ten schemat myślenia lewicowy dziennikarz Rafał Woś, który niedawno zapytał na Twitterze: „A co jeśli cały antydemokratyzm PiS i rzekoma homofobia są tylko politycznym spinem ich zatwardziałych wrogów? Bo ja dymiącej broni nie widziałem". Woś nie odnosił się tu wprawdzie do ekologii, ale trafnie obnażył mity i fobie radykałów. Oni po prostu głęboko wierzą w swoje urojenia i wbrew faktom przypisują drugiej stronie najgorsze cechy i motywy. Przytomne słowa Wosia wzbudziły ogromną falę agresji na liberalnej lewicy, a sam dziennikarz został brutalnie zaatakowany za swoje „bluźnierstwa".

ŻADNYCH KOMPROMISÓW

Podstawowa różnica między prawicą i radykalną lewicą polega właśnie na radykalizmie. I to nie tylko w przypadku ekologii, lecz również innych punktów ideologicznego sporu. Dla owładniętych fanatycznym amokiem radykałów takie kwestie jak: ochrona klimatu, prawa mniejszości seksualnych, wielokulturowość, nabierają quasi-religijnego wymiaru, a jakiekolwiek wątpliwości są poczytywane za świętokradztwo.

Oczywiście nie oznacza to, że rzeczywistość jest czarno-biała. Że zmian klimatycznych nie ma, że mniejszości seksualne należy pozbawiać praw, a inne kultury są z definicji złe. Problem polega na tym, że – według radykalnej lewicy – te kwestie nie podlegają żadnej dyskusji. A już na pewno nie należy dyskutować ich z ludźmi o przeciwnych poglądach. Skoro tak, to oczywiście tej dyskusji nie ma. I o żadnym, nawet minimalnym zbliżeniu stanowisk nie może być mowy. Ale przecież radykałom nie chodzi o zgniłe kompromisy. W świecie, który chcieliby zaprowadzić, nie ma miejsca dla inaczej myślących. Inaczej myślący powinni być – bolszewickim wzorem – poddani przymusowej reedukacji.

Rezultat jest taki, że i druga strona mocno usztywnia swoje stanowisko. Bo im mocniej radykałowie z lewicy narzucają innym swój światopogląd, tym silniejszy i powszechniejszy napotykają opór. Z politycznego punktu widzenia prawicy nawet się to opłaca, bo niepohamowany fanatyzm drugiej strony jedynie napędza jej wyborców. Z pewnością jednak nie służy to rozwiązywaniu problemów, przed którymi stoi dziś państwo. W tym także tych, o które hałaśliwie upomina się sama lewica. Doskonałym przykładem mogą być losy Puszczy Białowieskiej, zżartej już częściowo przez korniki. Nie rozstrzygając nawet, gdzie były rozłożone racje w tym sporze, trudno zaprzeczyć, że puszczę wykorzystano instrumentalnie jako kolejny pretekst do walki z PiS, a głosy nawołujące do umiarkowania i rzeczowej debaty zostały zakrzyczane.

500 MINUS

Współczesna zideologizowana ekologia ma coraz mniej wspólnego z troską o przyrodę. Nie prowadzi się debat, jak pogodzić ochronę środowiska z potrzebami gospodarczymi. Nie szuka się kompromisu. Zamiast tego mamy coraz głośniejszy



HALINIE SZYMAŃSKIEJ

Szefowi Kancelarii Prezydenta RP

Wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci

Ojca

składa

Minister Cyfryzacji Marek Zagórski

44/07/19/F

Fot. Shutterstock

eprasa.pl e7683f73ec

wrzask radykalnych fanatyków, którzy widząc w człowieku największe zagrożenie dla planety, całkiem konsekwentnie dochodzą do obłędnego wniosku, że jedyną drogą do ocalenia natury będzie eliminacja ludzi. Czym innym jest bowiem pojawiające się już wśród radykałów stwierdzenie, że rodząc dzieci, przyczyniamy się do ocieplenia klimatu? Czy naprawdę ktoś sądzi, że nawołując do samozagłady gatunku, zdoła przekonać wątpiących do konieczności walki o klimat? Nic dziwnego, że przy takich „argumentach" trudno rozpocząć jakąkolwiek rozmowę.

Problem w tym, że dziś to fanatycy zaczynają nadawać ton. I jakkolwiek na razie brzmi to absurdalnie, nie da się wykluczyć, że już wkrótce pod ich wpływem pojawią się pomysły ograniczenia dzietności nie tylko za pomocą aborcji, lecz również w drodze „podatku klimatycznego" rosnącego z każdym narodzonym dzieckiem. Takie 500 minus dla każdego rodzica.

> Dla fanatyków takie kwestie jak: ochrona klimatu, prawa mniejszości seksualnych czy wielokulturowość, mają wymiar quasi-religijny, dlatego wszelkie wątpliwości są bluźnierstwem

Ten fanatyzm bywa naprawdę groźny. Byłem świadkiem rozmowy dwóch znanych mi osób, które przeszły na weganizm i przyznały się, że bardzo brakuje im smaku mięsa. Moje zatrwożenie wzbudziło to, że pomimo odczuwanego dyskomfortu żadna z nich nie brała pod uwagę zmiany diety i powrotu do dań mięsnych. Jak się bowiem okazało, gotowe były dożywotnio pościć, byleby tylko powstrzymać ocieplenie klimatu. Poświęcenie w imię tak abstrakcyjnych celów wskazywało, że w przypadku tych osób radykalizm wziął górę nad rozumem. Nie wiem, na ile to zjawisko jest powszechne, ale wiem, że po przekroczeniu pewnej masy krytycznej może się stać społecznie niebezpieczne.

Na razie – jak sądzę – mamy ciągle do czynienia głównie z modą, która jest silnie związana z antypisowskim nastawieniem. A więc z postawą Mai Ostaszewskiej – aktorki znanej ostatnio głównie z memów w internecie, na których smutno wpatrzona w obiektyw trzyma w rękach kartkę z wezwaniem do ocalenia pszczół i karpi. Albo z Katarzyną Lubnauer, która przekonywała niedawno, że każdy zjedzony banan oznacza śmierć jednego orangutana. A także z infantylizmem w rodzaju „wakacyjnego strajku klimatycznego", w ramach którego nastoletnia Inga Zasowska tkwi od pewnego czasu pod Sejmem, gdzie naśladując swoją koleżankę ze Szwecji, próbuje „ratować" planetę. Ostatnio dołączył do niej 11-latek z Gdyni, którego przyjął prezydent miasta Wojciech Szczurek. Prezydent Szczurek – jak można przeczytać w oficjalnym komunikacie – „oczekuje na konkretne propozycje" ze strony chłopca. Jakie „konkretne propozycje" zgłosi 11-letni Mateusz, tego nie wiem. Zastanawia mnie tylko, że prezydent Gdyni w tak podobno ważnej dla niego sprawie, jaką ma być ratowanie całego świata, oczekuje porad od dziecka. Chyba że wszystko to zwykły pic na wodę i zagranie pod otumanioną lewicowymi hasłami publikę.

ZIELONA HIPOKRYZJA

Prezydent Gdyni nie jest jedynym samorządowcem, który „troszczy się" o planetę. Troska ta w całej swojej groteskowości objawiła się również w Warszawie, gdzie na asfaltowym parkingu przed Urzędem Miasta prezydent Rafał Trzaskowski ogłosił powstanie „zielonej strefy relaksu". Za cenę około miliona złotych rozstawiono tam siedzenia z drewnianych palet i kilka rachitycznych drzewek w donicach. Niestety, chętnych na wypoczynek w spalinach było niewielu, za to internet zaroił się od drwin.

Obrońcy „zielonej strefy" przekonują, że to krok w dobrym kierunku. I może – przy maksimum dobrej woli – można byłoby przyjąć ten argument, gdyby nie to, że jednocześnie tenże sam prezydent Trzaskowski zgodził się na projekt wielkiego betonowego osiedla w okolicy objętego rezerwatem Jeziorka Czerniakowskiego. I jakoś nie przejął się – jak się zdaje – losem jeziorka, które może wyschnąć, ani drzew, które pójdą pod topór, jeśli obok powstanie wielotysięczne miasteczko apartamentowców. Nikogo nie obchodzą też losy osiedla z lat 50. na pobliskich Sielcach, które jest rozdrapywane przez mafię reprywatyzacyjną. Spekulanci zacierają już ręce na widok przestronnych zadrzewionych podwórek, na których po wycięciu drzew można będzie wcisnąć nowe domy dla bogatych warszawiaków. Oczywiście na lewicy pojawiają się głosy protestu, ale gdzież im do żarliwości obrońców korników z Puszczy Białowieskiej.

Hipokryzja ma jeszcze inne oblicze. Przez wiele lat podejrzewano niektóre organizacje ekologiczne, że celowo blokują różne inwestycje, aby wymusić haracz w zamian za odstąpienie od protestów. Jednak również dziś trudno się oprzeć wrażeniu, że walka o dobro planety bywa prowadzona dość selektywnie, choć oczywiście nie sposób określić, czy chodzi tu jedynie o ideologiczne zacietrzewienie, czy jeszcze o coś innego. Ale nie ulega wątpliwości, że aktywiści nie piętnują wszystkich w równej mierze. Wielu gotowych jest głośno protestować przeciwko przekopowi Mierzei Wiślanej, ale jakoś trudno ich dostrzec na Bałtyku, gdzie miesiąc temu pojawiła się długa na 15 km plama oleju spowodowana prawdopodobnie budową gazociągu Nordstream 2. Ta zadziwiająca niekonsekwencja – bez względu na jej przyczyny – na pewno nie wzmacnia wiarygodności organizacji ekologicznych.

Ekologia ma dziś różne twarze. W zależności od potrzeb jest ideologią, polityką lub biznesem. Jej wyznawcy potrafią niekiedy porażać infantylizmem lub niepokoić fanatyzmem. Coraz trudniej dostrzec w niej dążenie do budowy harmonii między człowiekiem a środowiskiem naturalnym. A jeszcze trudniej zauważyć zdrowy rozsądek.

eprasa.pl e7683f73ec

Troska o wspólny dom

Dominujący dziś publicznie nurt ekologii cierpi na coś, co nazwałbym błędem antropologicznym. W tej wizji przyroda jest ważniejsza od człowieka. Tymczasem w naszej cywilizacji, która wyrosła na fundamencie Biblii, to człowiek jest koroną stworzenia

Ze Sławomirem Mazurkiem, wiceministrem ochrony środowiska, rozmawia Grzegorz Górny



Fot. Ministerstwo Środowiska

Ekologia uchodzi dziś w świecie zachodnim za domenę lewicy. Funkcjonuje właściwie jako jej swoisty protektorat ideowy. Czy jesteśmy skazani na takie rozumienie ekologii?

Sławomir Mazurek: Współczesna cywilizacja, zwłaszcza w dzisiejszej erze postprawdy, cierpi na problem z definicjami. Zauważmy, że kiedy słyszymy o ekologach, to natychmiast myślimy o aktywistach ekologicznych dokonujących właśnie kolejnej akcji. A przecież to nieporozumienie...

No dobrze, zacznijmy więc może od definicji.

Wyraz ekologia pochodzi od greckich słów „oikos logos", co oznacza literalnie „naukę o domu", ale lepiej jego sens oddaje sformułowanie „troska o wspólny dom". Musimy pamiętać, że ten wspólny dom obejmuje trzy ekosystemy. Człowiek jako jedyna istota funkcjonuje bowiem w trzech ekosystemach naraz: przyrodniczym, kulturowym i tym, który składa się na jego ludzką niepowtarzalność egzystencjalną, duchową i psychiczną. Naszym zadaniem powinno być

eprasa.pl e7683f73ec

utrzymanie harmonii między tymi ekosystemami. Dominujący dziś publicznie nurt ekologii cierpi natomiast na coś, co nazwałbym błędem antropologicznym. W tej wizji przyroda jest ważniejsza od człowieka. Tymczasem w naszej cywilizacji, która wyrosła na fundamencie Biblii, to człowiek jest koroną stworzenia, a jednocześnie kimś, kto bierze na siebie odpowiedzialność za przyrodę.

W tym kontekście pojawiają się jednak oskarżenia pod adresem chrześcijaństwa o odpowiedzialność za spowodowanie kryzysu ekologicznego. W Księdze Rodzaju Bóg mówi bowiem do prarodziców w ogrodzie Eden: „Czyńcie sobie ziemię poddaną". Krytycy tego przekazu biblijnego utrzymują, że jest on zachętą do bezwzględnego eksploatowania przyrody.

Skoro Biblia jest słowem ponadczasowym, to znaczy, że owo użytkowanie ziemi, o którym mówi Księga Rodzaju, musi trwać w czasie, a więc dotyczyć wielu pokoleń. To zakłada troskę o zachowanie przyrody, a nie zachętę do jej niszczenia. Nieprzypadkowo już na samym początku Pisma pojawia się wizja ogrodu jako miejsca idealnego do życia dla człowieka. Adam i Ewa otrzymują zadanie panowania nad ogrodem, czyli muszą przejąć na siebie obowiązki ogrodnika, a więc kogoś, kto dba o powierzony mu obszar przyrody, by zachować go w jak najlepszym stanie.

Proszę zauważyć, jak w niezwykły sposób język biblijny nasycony jest słownictwem przyrodniczym. Poprzez zjawiska przyrody, siłę żywiołów czy majestat gór objawia się potęga Boga jako Stwórcy. Ale to nie wszystko. W księgach biblijnych odnajdujemy nie tylko przykłady troski człowieka o środowisko naturalne, ale także opisy, jak ono troszczy się o niego, jak zapewnia mu byt i przedłuża życie. Można więc odczytywać te fragmenty jako wyraz Bożej miłości do człowieka, która przejawia się poprzez przyrodę. W świetle tradycji Kościoła słowa „Czyńcie sobie ziemię poddaną" są więc zachętą do odpowiedzialnej troski o nasze środowisko, której figurą jest postać ogrodnika. Człowiek jako istota rozumna ponosi za to szczególną odpowiedzialność, ponieważ tylko on ma możliwość zmieniać i kształtować przyrodę na tak wielką skalę, poczynając od rzeczy najmniejszych, a kończąc na największych.

Oczywiście, gdy w wielu miejscach mamy do czynienia z dramatyczną degradacją i niszczeniem środowiska naszej planety, pojawia się silna pokusa wyznaczenia kandydatów na winnych tych zjawisk i procesów. Nic dziwnego, że radykalne ruchy lewicowe skwapliwie z tego korzystają – przypisywanie chrześcijaństwu odpowiedzialności za różnego rodzaju kryzysy nie tylko pozwala im na ustawienie się w pozycji rzekomej moralnej wyższości, ale – pamiętajmy – jest też całkowicie zbieżne z tradycyjnymi celami politycznymi lewicy sięgającymi samych jej początków. Rola rzeczywistych sprawców i mechanizmów kryzysu schodzi tu często całkowicie z pola widzenia.

> Nie można więc powoływać się na głos natury i występować przeciw prawu naturalnemu

Te motywy pojawiały się często w nauczaniu Jana Pawła II.

W 1999 r. byłem w Zamościu, gdy Jan Paweł II wygłaszał homilię poświęconą właśnie ochronie środowiska. Opowiadał wówczas o swym zachwycie pięknem ziemi ojczystej i o jej kontemplacji. Przywołał wspomnianą już Księgę Rodzaju, która mówi o stworzeniu człowieka, stawiając przed nami zadanie troszczenia się o otaczające nas środowisko. Ale papież przypomniał też, że człowiek poprzez swój grzech zakłócił harmonię stworzenia. Dlatego nie wystarczy troska o przyrodę, ale potrzebna jest także troska o godność człowieka, dbanie o ekosystem jego serca. Jan Paweł II pytał, czy można skutecznie stawać w obronie środowiska, a jednocześnie usprawiedliwiać działania wymierzone bezpośrednio w samo serce stworzenia, czyli w istnienie człowieka.

Ja z kolei pamiętam homilię Jana Pawła II z 1991 r. z Olsztyna, gdy omawiając siódme przykazanie Dekalogu, powiedział, że niszczenie środowiska naturalnego to wykroczenie przeciw zakazowi „nie kradnij".

To dobry przykład, który pokazuje, że ekologia integralna ma wsparcie w nauce Kościoła. Punktem wyjścia są bowiem pytania: kim jest człowiek, dokąd zmierza, co chce po sobie pozostawić: pogorzelisko czy dom dla swoich dzieci? Żeby były dzieci, musi być jednak najpierw dom, rodzina, wspólnota. Musi być współistnienie wspomnianych przeze mnie trzech ekosystemów we właściwych proporcjach. Jan Paweł II krytykował m.in. cywilizację konsumpcyjną, w której „mieć" jest ważniejsze niż „być", w której pogoń za zyskiem potrafi doprowadzić do niszczenia przyrody, a więc w konsekwencji do okradania przyszłych pokoleń z czystej wody, zdrowego powietrza itd. Ta troska o zachowanie środowiska wymaga jednak wiedzy, pracy nad sobą, oparcia się na prawie naturalnym.

À propos prawa naturalnego. Bardzo często ci sami ludzie, którzy z jednej strony stawiają naturę na piedestale, nawet wręcz ją ubóstwiają, nagle gdy mowa jest o prawie naturalnym, zaczynają się oburzać.

Tu wracamy do problemu z definicjami, o którym mówiłem na początku. W epoce postprawdy słowa straciły swój sens i oderwały się od swych rzeczywistych desygnatów. Odcięci od prawdy obiektywnej funkcjonujemy w różnych narracjach. W ten sposób prawo naturalne zostało oderwane od pojęcia natury

eprasa.pl e7683f73ec

i dziś wielu ludzi nie widzi między nimi żadnego związku. Nie mają oni całościowej wizji ekosystemów, nie mają całościowej perspektywy, jaką daje np. chrześcijaństwo. Przejawia się ona m.in. w myśli św. Franciszka z Asyżu czy św. Hildegardy z Bingen. Ta ostatnia pisze, że człowiek dla swojego rozwoju potrzebuje harmonii, także harmonii z przyrodą. Powinien więc poznać naturę, żeby lepiej zrozumieć jej prawa. Nie można się więc powoływać na głos natury i występować przeciw prawu naturalnemu.

Często kryje się za tym zwykła niewiedza.

Odpowiedzialność ogrodnika polega na tym, że może on dokonywać określonych wyborów. Żeby jednak takich wyborów dokonywać, musi mieć rzetelną wiedzę. To nie może być tylko wiedza biologiczna o funkcjonowaniu jednego gatunku, ale całościowa wiedza o ekosystemach, o dynamice populacji, o relacjach między gatunkami i siedliskami. Dziś natomiast często mamy do czynienia z ignorancją i niewiedzą, które połączone są z silnymi emocjami uruchamianymi na poziomie kulturowym.

Bo też ekologia stała się dziś potężnym orężem w wojnie kulturowej.

I w walce politycznej. Często za szczytnymi hasłami ekologicznymi stoją konkretne grupy interesów sterujące pewnymi procesami lub zachowaniami. W Niemczech można np. wycinać całe hektary starych lasów, by budować na ich miejscu kopalnie lub fermy wiatraków, natomiast w Polsce aktywna ochrona drzewostanu poprzez usunięcie chorych drzew od razu budzi gwałtowny sprzeciw niektórych organizacji międzynarodowych. Gdy w Niemczech dokonano masowego odstrzału dzików, panowała cisza. Gdy w Polsce z powodu wirusa ASF postanowiliśmy zredukować część populacji dzików, od razu podniósł się krzyk na cały świat, że dokonujemy krwawej rzezi.

Widzimy więc, że ekologia jest wykorzystywana do ataków na Polskę z powodów ideologicznych. A przecież jako kraj – o czym mówią konkretne liczby – mamy niezwykłe zasoby przyrodnicze w skali całego kontynentu. Dzięki tradycyjnym formom uprawy ziemi, dzięki naszym rolnikom, leśnikom i myśliwym, użytkujemy nasze zasoby w sposób zrównoważony. Naprawdę polska szkoła ekologii może być dobrym przykładem do naśladowania dla wielu innych krajów.

Wiele mediów przedstawia dziś jednak czarno-biały obraz: Unia Europejska jest za ochroną środowiska, a Polska ma z tym kłopot.

To nie jest takie proste. Polityka Unii sprzyja np. komasacji wielkich monokulturowych upraw, które likwidują kolejne siedliska zwierząt. Nasze rozdrobnione rolnictwo sprzyja z kolei różnorodności gatunkowej. Są też w UE środowiska, które wywierają bardzo silną presję na produkcję taniej żywności, z którą wiąże się używanie roślin modyfikowanych genetycznie, dużej liczby pestycydów czy nawozów sztucznych. Nam się to z kolei nie podoba. Pamiętajmy też, że czystość ekologiczna Zachodu często osiągana jest kosztem degradacji środowiska w innych częściach świata. Mamy przecież do czynienia na masową skalę z przenoszeniem szkodliwych emisji do krajów rozwijających się, z wywożeniem odpadów do biednych państw czy z rabunkową gospodarką w ubogich regionach, związaną np. z niehumanitarnymi warunkami pracy czy zatruciem rzek.

Dziś niewielu wie, że nowoczesna świadomość ekologiczna narodziła się pod koniec XIX w. w środowiskach konserwatywnych krytycznych wobec manchesterskiego modelu kapitalizmu. Była reakcją na gwałtowne uprzemysłowienie nieliczące się z degradacją środowiska naturalnego. Dla ówczesnej lewicy nie stanowiło to żadnego problemu – wręcz przeciwnie: forsowna industrializacja oznaczała bowiem wzrost liczby proletariatu, a więc przybliżała zwycięstwo świetlanego ustroju przyszłości. Nie było niczego bliższego sercu socjalisty niż pejzaż pełen dymiących kominów. Jeszcze w latach 50. Simone de Beauvoir pisała, że prawica od lewicy różni się tym, że ta pierwsza wierzy w powrót do natury, a druga w produkcję i przemysł. Potem się to zmieniło.

Rzeczywiście, zmiana nastawienia lewicy do ochrony środowiska zaczęła się w latach 60. Proces ten nabrał później dynamiki, zwłaszcza za sprawą Partii Zielonych. Problematyczna jest jednak koncepcja antropologiczna, jaka stoi za aktywnością wielu lewicowych środowisk ekologicznych. W tej wizji człowiek jawi się nie jako ogrodnik, lecz jako szkodnik. Następuje wspomniane przeze mnie na początku odwrócenie hierarchii wartości, gdy przyroda staje się ważniejsza od człowieka. W efekcie staje się on niepożądanym elementem, który należy wyeliminować jako zagrożenie. To sprawia, że miliarderzy i celebryci wydają dziś naprawdę grube miliony dolarów na działania antynatalistyczne, na tzw. walkę z przeludnieniem, czyli de facto na aborcję i sterylizację, a nie na rzeczywistą ochronę środowiska naturalnego, np. odtwarzanie siedlisk przyrodniczych.

Wrogie przejęcie ekologii przez lewicę jest faktem. Czy prawicy uda się odwojować ten teren?

Niedawno udzielałem wywiadu pewnemu dziennikarzowi, któremu opowiadałem o swoich osobistych nawykach i praktykach ekologicznych. Słuchał tego zdziwiony i w końcu powiedział, że miał wrażenie, jakby rozmawiał z działaczem lewicy. To pokazuje, jak dalece nastąpiło utożsamienie ochrony środowiska z postawą lewicową. Tymczasem ekologia rozumiana jako „troska o wspólny dom" powinna być domeną nas wszystkich, niezależnie od barw politycznych. Strona, która definiuje siebie jako konserwatywną, powinna powrócić do swych ideowych korzeni razem z ich bogatym dziedzictwem ekologicznym. Jest naprawdę do czego się odwoływać i skąd czerpać inspirację.

eprasa.pl e7683f73ec

Musimy nauczyć się z sobą rozmawiać

Powiem szczerze: moje subiektywne poczucie jest takie, że od czterech lat jesteśmy – jako szeroko rozumiana „druga strona" – dojeżdżani na całego, że głównym motorem dobrej zmiany jest chęć, by nas bolało – mówi Marcin Meller, dziennikarz, historyk, prowadzący „Drugie śniadanie mistrzów" na antenie TVN24, w rozmowie z Marcinem Fijołkiem

Czy gość z „Sieci" z facetem z TVN mają jeszcze coś wspólnego w naszym kraju, czy to już dwie alternatywne rzeczywistości?

Marcin Meller: Mamy zapewne wspólne emocje przy golach Lewandowskiego w kadrze, a na meczach Legii są i ostrzy panowie z krzyżami celtyckimi, są politycy PiS i PO, ale są i Andrzej Saramonowicz czy ks. Kazimierz Sowa. Są też momenty kruchej wspólnoty przy pogrzebach i wspomnieniach, gdy umierają ważne osoby: jak ostatnio premierzy Jan Olszewski i Tadeusz Mazowiecki, Karol Modzelewski. I chyba tyle.

Trochę mało.

Skandalicznie mało. Może jeszcze łączy nas to, że cokolwiek się złego dzieje w naszym kraju, to obie strony widzą w tym rękę Putina i Rosji. I wspólne jest to, co najlepiej wyraził Szczepan Twardoch: że Polacy kochają Polskę jako abstrakcję, ale nienawidzą tej konkretnej. Raz liberałowie tej nacjonalistycznej, kiedy indziej prawicowcy tej lewackiej itp., itd.



Masz pomysł, jak zmienić ten brak wspólnego mianownika? A może tego nie trzeba zmieniać?

Jestem optymistą i zakładam, że większość ludzi po jednej i po drugiej stronie kieruje się dobrymi intencjami, jakimś rodzajem miłości do kraju. Wiem też, że świat nie jest czarno-biały. Znam wielu porządnych ludzi, z którymi nie zgadzam się poglądami, którzy są dziś po stronie PiS, i wielu niedobrych, z którymi wyznaję wspólne wartości lub światopogląd. Problem jest gdzie indziej.

Gdzie?

Poziom konfliktu politycznego jest tak silny, że schodzi bardzo nisko i bardzo głęboko. Nie mówię tego, by porównywać czas roku 2019 z tym, co działo się w 1981, ale mam poczucie, że poziom napięć jest dziś wyższy niż w stanie wojennym. Powtórzę, żeby później nie wycinano bezmyślnie z kontekstu: nie porównuję sytuacji, lecz to, co dzieje się między ludźmi. Moi rodzice zrywali kontakty z osobami, które były po stronie pezetpeerowskiej i Jaruzelskiego, jednak mam wrażenie, że potencjał do wojny domowej jest większy niż wtedy.

Przesadzasz.

Być może, ale ten podział jest bardzo silny. Znam te porównania, że to tylko wojenka plemion, ale to bagatelizowanie – czasem szlachetne – problemu z poważnymi podstawami. To podstawy cywilizacyjne, kulturowe, religijne, emocjonalne – i dlatego tak trudno przełamywać podziały.

Ale może to normalne, że mamy podział. Od tego jest demokracja, żebyśmy się wzajemnie wkurzali, przekonywali, czasem kłócili.

To prawda, to zresztą nie tylko polska specyfika. Mieszkałem przez rok na południu USA, w Georgii, i czasami miałem wrażenie, że wojna secesyjna skończyła się pięć lat temu. Nie chodzi o arkadię ani budowę raju na polskiej ziemi, zdaję sobie

eprasa.pl e7683f73ec



sprawę, że w Polsce od kilkuset lat mamy podział, który na przełomie kolejnych dekad różnie się nazywał, ale poziom napięcia jest duży. Za duży.

Patosu i wielkich słów padło w ostatnich latach sporo, ale powtórzę: masz jakiś pomysł, by te dwie strony żyły jednak we względnej zgodzie, kłócąc się, ale umiejąc pójść na piwo?

Specjalnie nie używam wzniosłych słów, tylko kieruję się intencjami pragmatycznymi: musimy nauczyć się rozmawiać, ponieważ będziemy żyć w tym samym kraju. Bo jakie są alternatywy: wojna domowa, emigracja drugiej strony? Więc trzeba rozmawiać. Także z bardziej pragmatycznych powodów: nawet jeśli opozycja wygra wybory, to i tak będzie miała naprzeciw siebie PiS czy post-PiS, który zaspokaja autentyczne potrzeby przynajmniej jednej trzeciej narodu. I co z tymi ludźmi? Co więcej, w którymś momencie może wyjść taki pat, że trzeba będzie się dogadywać z częścią dzisiejszego obozu pisowskiego. Jeśli siebie nawzajem traktujemy na co dzień jak zło wcielone, to potem trudno będzie rozmawiać, a będzie trzeba.

Co powiedziawszy, dodam jednak, że to rządzący mają więcej narzędzi, by wykonywać odpowiednie gesty. Mam na to papiery, a archiwa nie płoną: za rządów Platformy i Hanny Gronkiewicz-Waltz apelowałem, by zbudować godny pomnik Lecha Kaczyńskiego na Krakowskim Przedmieściu. Jak mówiono, że pomnik światła to nawiązanie do nazistowskich pomysłów i dlatego nie można tego zrobić, to myślałem, że ktoś tu po prostu oszalał.

No właśnie. I wówczas nic z tego nie wyszło.

Tak, bo ówcześni rządzący – tak jak dzisiejsi – byli przekonani, że są władzą na zawsze. Przytaczam tamtą sprawę, by może ktoś z obozu PiS przemyślał, co się stało z tymi, wydawało się, wszechmocnymi platformersami. Jedno jest dla mnie oczywistą oczywistością: pewnie przerżniemy te najbliższe wybory, ale w końcu wahadło odbije, a władza się zmieni. A mam wrażenie, że nikt sobie z tego w tym kraju, w moim kraju, nie zdaje sprawy. Będę pierwszy, który będzie bronił przed szalonymi rozwiązaniami, ale mam poczucie, że w końcu pójdzie wahadło antykościelne, przy którym zapateryzm to mały pikuś. I z czysto pragmatycznego punktu widzenia to PiS już dziś powinno obniżać ten poziom emocji i podziału, a piłka jest dziś po drugiej, waszej stronie.

To czego byś oczekiwał jako gestu dobrej woli drugiej strony?

Nie mam bladego pojęcia, ale może to raczej unikanie pewnych kwestii. To często są drobiazgi, sprawy środowiskowe, małe gesty. Powiem szczerze: moje subiektywne poczucie jest takie, że od czterech lat jesteśmy – jako szeroko rozumiana „druga strona" – dojeżdżani na całego. To też pytanie, czy po jesieni PiS – jeśli wygra – wyluzuje, czy doda gazu i pójdzie w kierunku Budapesztu. Jeżeli liberał „dobrozmianowy" Gowin zapowiada dekoncentrację mediów, to dla nas jest to sygnał: „Idziemy po was, ci, którzy jeszcze ocaleliście".

Mówisz podobnie jak Adam Bodnar, że lada chwila będzie Budapeszt albo Ankara. Ale perspektywa domkniętego układu to rzeczywistość sprzed jesieni 2015 r. To po tym czasie sporo Polaków wreszcie zaczęło mieć udział w państwie. I nie mam na myśli tylko finansowych korzyści...

...chodzi o dystrybucję szacunku, godności. Rozumiem.

Mniej więcej tak. I teraz jest trochę radochy, że Meller czy Żakowski się tam poirytują w TOK FM, ale generalnie problem jest szerszy.

eprasa.pl e7683f73ec

Wiem, o czym mówisz. Pamiętam przemówienie Jarosława Kaczyńskiego z porównaniem państwa do stawu i sugestią, że są wielkie rybki, ale trzeba sprawić, by te mniejsze zaczęły być chociaż średnie. Rozumiem to. Tylko czy trzeba było rozjeżdżać sądownictwo albo tak ustawiać media publiczne, by wyrównywać te szanse? Przecież to były środki bez mała rewolucyjne.

Nie będę bronił konkretnej ustawy, sposobu jej wprowadzania ani jakości jednego lub drugiego serwisu informacyjnego, ale sądy działają, a zamiast trzech głównych telewizji mówiących jednym głosem masz względny pluralizm. Jest TVP, ale jest i TVN, jest i Polsat...

Taki pluralizm, że media teoretycznie „publiczne" są pałką i kastetem władzy. Tu nie ma żadnego porównania do sytuacji sprzed 2015 r. To, co robi TVP, telewizja utrzymywana z podatków wszystkich, staje w szeregu z propagandą stanu wojennego, tylko jest jeszcze bardziej prostackie. A Polsat jest już spacyfikowany.

Spacyfikowany?

Oczywiście. Proszę cię...

To ciekawe, że tak twierdzisz, ale chodzi mi nie o poszczególne drzewa, a o las: rynek medialny jest szerszy niż przed rokiem 2015. Przy wszystkich ułomnościach mamy raczej wyrównanie, a nie lustrzane odbicie rzeczywistości, w której prawica miała raptem dwa portale i gazetę, której urżnięto łeb, bo nie podobała się władzy.

Zgoda, jeśli chodzi o stan sprzed roku 2015, przy zaznaczeniu różnicy roli mediów „publicznych", specjalnie używam cudzysłowu. Przed 2015 r. można było TVP zarzucić, że jest zbyt miła dla władzy, a teraz mamy do czynienia z bojówką na wojnie, kiedy trzeba atakującą politycznych wrogów za pomocą dzieci. A po drugiej stronie dzisiaj mamy TVN, „Wyborczą", „Newsweeka", „Politykę" i w zasadzie niewiele więcej.

Proszę cię... A Onet, a media elektroniczne, rozgłośnie radiowe?

Duża część z nich się ładnie ustawia.

I co, stają się pisowskie?

Nie pisowskie, ale wiedzą, skąd wieje wiatr. Zostawmy konkretne redakcje. Przyjmując twoje argumenty, po prostu uważam, że jesteśmy gdzieś pomiędzy tym, co było w roku 2015 a rynkiem medialnym na Węgrzech, gdzie nie ma de facto opozycyjnych mediów.

Sądy to temat rzeka, ale i tam uważasz, że nie ma wolności?

Nie twierdzę, że tak jest. Ale chodzi o kontrolę nad kluczowymi sprawami: dla przykładu masz sprawę Kaczyńskiego i dwóch wież. Być może tam jest wszystko czysto, lege artis i prawnie tip-top, ale dla mnie jest oczywistością, że to powinna sprawdzić prokuratura. Tak się nie dzieje i w tym sensie mam wrażenie, że zostały wyjęte bezpieczniki.

Z tymi sądami to zresztą kolejne potwierdzenie tezy: Jarosław Kaczyński stawia dobre diagnozy, ale metodologię przyjmuje od czapy. Ma naprawić zamek w drzwiach i żeby to zrobić, wysadza je laską dynamitu. Przecież świadomość tego, że trzeba reformować polskie sądownictwo, była dość powszechna. Nawet Gowin mówił, że rozmawiali o tym z Tuskiem, są cytaty z Andrzeja Rzeplińskiego. Więc nie chodziło o to „czy", tylko „jak". Więc dobra zmiana zamiast poprawić, wysadziła system w powietrze.

Zostawmy sądy. Mówiłeś o tym, że czujecie się dojeżdżani. W czym się to przejawia?

Zapytałem kiedyś znajomego z okolic dobrej zmiany, po co iść na kolejne bezsensowne wojenki: a to o puszczę, a to o jakieś inne kwestie. Odpowiedział mi szczerze: „Żeby was bolało". Dla mnie za dużo jest w dobrej zmianie przekonania i determinacji, które mógłbym sprowadzić do krótkiego przekazu: „Żeby was bolało", żeby bolało drugą stronę. Nawet to rozumiem – trzy czwarte mojego świata dyszy żądzą, żeby to was zabolało. Na razie nie ma szans na jakąkolwiek odpłatę, ale przyznaję, że te nastroje są po obu stronach i coś z tym, cholera, trzeba zrobić.

Rozmawiamy i nic się nie dzieje.

To prawda, prywatnie się znamy, może dlatego jest łatwiej, ale pierwsza reakcja części moich znajomych na pomysł, by zgodzić się na wywiad do „Sieci", była mniej więcej taka: „Poj...ało cię?!". Do tego sugestie, że to jakaś forma zdrady etc.

Bo czują się dojeżdżani? Namawiam cię do spojrzenia szerzej niż tylko ostatnie cztery lata; przed 2015 r. to inne grupy społeczne czuły się dojeżdżane. Mieliście tego świadomość?

Bardzo rzadko. Mieliśmy nastawienie takie jak dziś u was, że chcecie, to sobie zmieńcie rząd, wygrajcie wybory. I tak jak dzisiaj władza mówi, że opozycja jest totalna i to sami obrońcy status quo, tak po naszej stronie traktowano was wyłącznie jako kiboli, zadymiarzy itd. To absolutnie identyczne przekonanie, że jak masz władzę, to wolno ci wszystko, że pójdzie czystka – do sprzątaczek włącznie. Dziś jest tak, że im opozycja jest słabsza, tym częściej słychać odgrażanie się, że jak już wygramy, to wyciągniemy konsekwencje i zamkniemy drugą stronę, co powoduje w obozie władzy usztywnienie stanowisk. Także wśród tych, którzy zawdzięczają dobrej zmianie awanse, pieniądze.

Strzelaliście od początku z armat wielkich słów, porównań. To i usztywnienie pojawiło się szybko.

Tak. Pamiętam, jak sam robiłem sobie jaja z oporników podczas pierwszych marszów KOD. Ale powtórzę – piłka jest dziś po stronie obozu rządzącego.

Co jeszcze sprawia, że w ocenie tego rządu pojawiają się tak duże emocje?

Choćby to, że w puli międzynarodowej trafiliśmy do szuflady z Węgrami, Turcją, Rosją...

W czym się to przejawia? Premier Morawiecki jeździ na posiedzenia Rady Europejskiej, rozmawia z szefami rządów całej UE, prezydent Duda dogaduje się z Amerykanami.

Jeżdżą do Brukseli i co załatwiają? Wybór von der Leyen jako nasz sukces? Błagam cię.

eprasa.pl e7683f73ec

Lepsza von der Leyen i jakaś tam otwarta furtka do dyskusji niż Timmermans. To jest pytanie o skuteczność lub możliwości Polski, niezależnie kto dziś rządzi.

Bo jeszcze jesteśmy w Unii Europejskiej. Według mnie pozycja naszego kraju jest katastrofalna. Gdyby nie rynek i 40 mln obywateli, to nas nie ma, bo jako państwo w Europie nie istniejemy, a jeśli już, to jako Czarny Piotruś.

Wybacz, ale mam wrażenie, że to kalki z prasy – także tej zagranicznej – które są ważne, ale potem Morawiecki, Szymański w Brukseli czy Magierowski w Izraelu siadają do stołów i dogadują się co do konkretów. Czasem trzeba się przesunąć, pójść na kompromis, zbudować koalicję, wygrać, przegrać głosowanie. Klasyka.

Z mojej perspektywy skonfliktowaliśmy się z całym zachodem Europy. Postawiliśmy wszystko na Donalda Trumpa, który ma nas gdzieś, a po prostu chce załatwić parę finansowych deali. I po prostu się boję, że w przypadku, nie daj Boże, jakiejś agresji ze strony Rosji, jesteśmy bez gaci i z wypiętym tyłkiem. Módlmy się, kto wierzy, by nie było weryfikacji.

Nawet przyjmując twój punkt widzenia, mamy NATO, wspólne, wciąż wyraźnie rosnące interesy z Niemcami, konkretne gospodarcze deale z innymi krajami UE.

To, że z nami muszą się dogadywać, to jedno, ale mam wrażenie, że pokazaliśmy symbolicznie wszystkim fucka. Po roku 1989 nasza sytuacja nie była tak zła, jak jest teraz. Najlepszym przykładem najbliższe obchody rocznicy wyzwolenia Auschwitz, które Izrael robi u siebie z resztą świata, kompletnie nas olewając. Co w dużej mierze jest pokłosiem absurdalnej wojny rozpętanej w sprawie IPN. PiS wdało się w awanturę na arenie międzynarodowej, a konsekwencje Polska będzie ponosić przez długie lata.

Trzeba tu będzie spisać protokół rozbieżności. Wróćmy na poletko krajowe. Często się mówi, że w tym TVN jesteście oderwani od rzeczywistości. Że nawet jak jedziesz do Portugalii, to musisz gadać o Kaczyńskim.

Sytuacja była taka: byliśmy z żoną w Lizbonie, poznaliśmy Polkę, rozmawiamy przy zachodzie słońca i kieliszku białego wina. To ona zaczęła temat polityczny. (śmiech) Ale coś w tym jest: gdyby się trójka Belgów spotkała w Krakowie, to nie gadałaby o systemie prawnym ani sytuacji w Walonii. To, że my koniec końców weszliśmy na temat polityki, jest takie...

...polskie?

Też. Wschodnioeuropejskie, postkomunistyczne. Jest w tym pewien urok. Ale z tym oderwaniem od rzeczywistości to oczywiście gruba przesada. Żyję na co dzień drugą nogą w gminie Reszel na pograniczu Warmii i Mazur. Bynajmniej nie w dworku. (śmiech) Mam większe przeloty po mej ojczyźnie niż większość polityków w kampanii. Między innymi za sprawą spotkań autorskich zapieprzam przez kolejne powiaty, a „Drugie śniadanie mistrzów" jest najpopularniejsze właśnie w małych i średnich miastach. Oglądają i lubią nas przedstawiciele lokalnej inteligencji, lekarze, urzędnicy, nauczyciele, emeryci, mały biznes, klasa średnia. Mogę powiedzieć krytykom, że oni nie znają tej Polski.

Może to podział nie tyle geograficzny, ile mentalny: nie na Polskę A i B, ale na Polskę B i Polskę AĘ.

Nie sądzę. Oczywiście, jeśli chcesz przyłożyć, kij się znajdzie. Czasem to zjawisko, o którym mówisz, się zdarza, ale i u mnie w programie była ostatnio dysputa między Stefanem Chwinem, który mówił wielkimi literami o demokracji, a Justyną Suchecką, która zwracała uwagę na problemy mieszkaniowe młodych Polaków. Nasz program to kawiarniana dyskusja w swoim sosie, ale to świadomy wybór, a nie jakiś papierek lakmusowy świadomości drugiej strony sporu w Polsce.

> Zapytałem kiedyś znajomego z okolic dobrej zmiany, po co iść na kolejne bezsensowne wojenki: a to o puszczę, a to o jakieś inne kwestie. Odpowiedział: „Żeby was bolało"

A ten argument, że nie czujecie bazy w Polsce małomiasteczkowej, że nabijacie się z ludzi pobierających 500+? Sporo było i jest tej pogardy.

Przeczytałem w ostatniej weekendowej „Wyborczej" wywiad z Manuelą Gretkowską i pomyślałem, że gdybym był zwolennikiem dobrej zmiany, to chciałbym czytać te głupoty codziennie. To tak jakby zebrać wszystkie stereotypy oderwanego od życia człowieka z warszawki, który żywi pogardę do 90 proc. osób wokół siebie. Kosmos. Ale to nie są przykłady oddające istotę stanu ducha po naszej stronie. Myślę, że istotna różnica polega na tym, że u nas większość ma w sumie neutralny stosunek do świata, na zasadzie „żyj i daj żyć innym, jak chcą", a dla was świat to arena ostrej walki ideolo. I jest kłopot.

Powiedzmy sobie też szczerze: ludzie sięgają w większości po media, by się utwierdzić w swoich emocjach i intuicjach. Jeżeli sięgasz po „Sieci" czy „Newsweeka", to raczej po to – pomijając patologiczne jednostki jak my, które czytają wszystko – by pobrać argumentację potwierdzającą własną wizję świata.

To trochę tym wywiadem namieszamy?

Podejrzewam, że sporo twoich czytelników się obruszy, po co z takim typem jak Meller w ogóle rozmawiać, a sporo moich widzów i znajomych zapyta, po cholerę rozmawiam z tygodnikiem „Sieci". Czy skórka jest warta wyprawki? Nie wiem, ale w świetle tego, co mówiłem na początku o szukaniu przestrzeni do wspólnej rozmowy, niech to będzie dobry sygnał. W najgorszym razie takie kontakty mogą się nam przydać prywatnie: będę do ciebie dzwonił, żebyś załatwił mi dobrą piwnicę, jak już PiS zrobi tu Budapeszt albo Ankarę. Albo ty do mnie, jeśli wahadło odbije w drugą stronę. (śmiech)

eprasa.pl e7683f73ec



Fot. archiwum prywatne Marii Kobylińskiej/Mateusz Majdosz

Maria Sokołowska pięć lat później

Pamiętają państwo Marysię Sokołowską? Tę, która publicznie zbeształa Donalda Tuska? Nie ma już panny Sokołowskiej, jest pani Kobylińska. Sprawdziłam, jak się miewa ta piękna młoda dziewczyna pięć lat później



DOROTA ŁOSIEWICZ

„Dlaczego udaje pan patriotę, a jest zdrajcą Polski?" – zapytała pięć lat temu Maria Sokołowska ówczesnego premiera Donalda Tuska. Następnie wprawiła szefa rządu w jeszcze większą konsternację – nie przyjęła od niego kwiatów. I tak zaczęło się szaleństwo wokół jej osoby.

Do państwa Sokołowskich napływały setki listów z poparciem, dzwoniły dziesiątki ludzi dziękujące ojcu, że tak wychował córkę. W internecie popierało ją tysiące ludzi, którzy dodawali otuchy i zachęcali do odwagi w mówieniu prawdy. Prosili, by się nie poddawała. Była nawet typowana na liderkę buntu młodych. Litości dla niej nie mieli przedstawiciele liberalnego salonu. „Jest przerażająca" – pisał o niej Tomasz Lis. „Dałabym za to w pysk, aż by się nogami nakryła" – deklarowała na TT radna PO. Trzeba było „opie...ć ją tak, żeby jej szkolne kapcie spadły" – twierdził reżyser Andrzej Saramonowicz. To wszystko opinie dorosłych o drobnej 17-latce z Gorzowa Wielkopolskiego. Dorosłych, którzy dziś chętnie walczą z mową nienawiści, potępiają przemoc. Na pohybel im wszystkim panna Maria deklarowała, że modli się za Donalda Tuska.

Dziś panna Maria jest już panią. Gdy szum ucichł, przyszło codzienne życie,

eprasa.pl e7683f73ec

z którym Maria znakomicie sobie radzi, a rodzice są bez wątpienia dumni ze ścieżki, którą wybrała. Dziewczyna wciąż mówi, a nawet pisze o Bogu, np. na łamach bloga o stylu. Bo i w takim miejscu można przemycać prawdę. „Jeśli dobrze się do niej przygotujemy, mamy szansę stworzyć głęboką, naprawdę silną relację. Możemy wówczas uniknąć wielu niepotrzebnych cierpień. Dlatego warto poszerzać teoretyczną wiedzę o miłości. Polecam tutaj przede wszystkim zapoznać się z najlepszym ekspertem ds. relacji damsko-męskich, Panem Bogiem, czyli czytać Pismo Święte (chyba najpiękniejszy tekst, z jakim miałam do czynienia pod tym kątem, to Pieśń nad Pieśniami)" – to jeden z wpisów z bloga – tak pisała o miłości Maria Kobylińska.

Na tym samym blogu znajdziemy rozmowę z szafiarką, zwaną Królową Lumpeksów, która z chęcią mówi o Marysi: „– Zdradzisz swój patent na znalezienie perełki w lumpeksie? – Z przyjemnością! Jest nim... Maryja. Jakiś czas temu moja ciocia nazwała lumpeksy sklepami Maryi. Bardzo mi się ta nazwa spodobała. Od tego czasu zawsze proszę Maryję – którą traktuję, jak mamę – o odłożenie mi czegoś ładnego. Efekt? Znajduję zaplątaną na dziale dziecięcym sukienkę z falbanką, o której myślałam od dawna, albo spodnie COS za 2 zł. Jeżeli chcę naśladować Maryję z całego serca, to dlaczego nie mam się zdawać na Jej wyczucie stylu? [...] Chodzi o skromność. Dla Maryi ubrania nie były celem. Miały być estetyczne, ale nie stawały się najważniejszą sprawą. Tak samo jest, gdy ktoś kupuje w lumpeksach. Są tam rzeczy tanie, z drugiego obiegu. Kiedyś miałam życiowe cele takie, jak np. kupienie markowej koszulki. Wyrzucałam pieniądze, szalejąc na wyprzedażach. Teraz, kiedy staram się być oddaną Maryi, uwolniłam się od potrzeby wyglądania tak, żeby ludzie mnie podziwiali i mi zazdrościli. Chcę wyglądać dobrze, bo jestem piękną córką Boga. Nie potrzebuję do tego latania po sklepach i odkładania każdego grosza na zakup plecaka z logo" – czytamy na blogu Welurowepantofle.pl. Piękne, prawda? Co słychać u Marysi? Zapytałam.

Co dziś porabia dziewczyna, która pięć lat temu publicznie powiedziała, że Donald Tusk to zdrajca?

Maria Kobylińska: Przede wszystkim nie ma już Marysi Sokołowskiej. Jest Maria Kobylińska. Ta dziewczyna sprzed pięciu lat jest dziś przede wszystkim świeżo upieczoną żoną, która wchodzi w świat dorosłości. Jest również studentką Wyższej Szkoły Kultury Społecznej i Medialnej, gdzie właśnie obroniła licencjat. Za chwilę będzie też zdawała prawo jazdy, przeprowadzała się z mężem do Warszawy i szukała pracy. Na co dzień pisze bloga dla kobiet Welurowepantofle.pl, działa w stowarzyszeniu patriotycznym Dumni z Polski i żyje własnym, zwykłym życiem.

> Uważam, że zrobiłam to, co trzeba. W tamtym momencie nie umiałam postąpić inaczej. Wynikało to z potrzeby spełnienia patriotycznego obowiązku.

Czyli się dzieje. Jak się poznaliście z mężem?

Zostałam zaproszona do wzięcia udziału w programie TV Trwam „Westerplatte Młodych". Musiałam więc przyjechać do Torunia, gdzie mieści się studio nagraniowe. Po programie podszedł do mnie starszy o siedem lat student Wyższej Szkoły Kultury Społecznej i Medialnej związanej ze środowiskiem o. Tadeusza Rydzyka. Zaaranżował ze mną wywiad do studenckiego radia. Wywiad był tylko pretekstem. Kamil (mój mąż) chciał ze mną w ten sposób po prostu porozmawiać, ponieważ gdzieś tam mnie już wypatrzył i mu się spodobałam. Tak to się zaczęło. Potem były esemesy, wiadomości na portalach społecznościowych, pojedyncze spotkania. Kamil długo się o mnie starał. Musiał walczyć jakieś półtora roku. Traktowałam go jak dobrego kolegę, potem przyjaciela. Mieliśmy identyczne spojrzenie na życie, politykę, kulturę i te same zainteresowania. Około pół roku po tamtym wywiadzie spotkaliśmy się przypadkowo na warsztatach zimowych w WSKSiM. Były walentynki. Kamil oprowadził mnie po uczelni, a na koniec podarował mi białą różę. Nie wiedział, że to mój ulubiony kwiat. Dla niego biała róża z pewnego względu również była wyjątkowa. Nieco ponad rok później Kamil i ja zostaliśmy parą. Dzisiaj jesteśmy małżeństwem, a biała róża pozostała symbolem naszej miłości. Była nawet motywem przewodnim naszego wesela.

To poniekąd tamtemu wystąpieniu zawdzięcza pani znajomość z mężem...

Wielu się śmieje, że tak, ale myślę, że nie do końca tak jest. Kamil studiował wówczas na uczelni, do której tak czy owak chciałam się dostać. Po ukończeniu studiów pracował jeszcze przez jakiś czas w murach uczelni, a później w TV Trwam. Poza tym jeszcze zanim poznałam Kamila, podjęłam decyzję o studiach w WSKSiM. Poznalibyśmy się więc nawet, gdyby wydarzenia z Donaldem Tuskiem nie było. Pokusiłabym się o stwierdzenie, że mnie i Kamila połączyło środowisko Radia Maryja.

Spotykała się pani z hejtem?

Tak... Myślę, że tego hejtu było więcej niż dobrych słów. Ludzie łatwo oceniają i obrażają innych. Często zapominają, że za określoną sytuacją, wyglądem, słowami, gestem stoi człowiek, który czuje. Na mnie hejt – mimo że na początku



eprasa.pl e7683f73ec



tego nie zauważałam – wpłynął bardzo negatywnie... zbyt negatywnie.

Żałowała pani kiedyś swoich słów?

Nie, uważam, że zrobiłam to, co trzeba. W tamtym momencie nie umiałam postąpić inaczej. Wynikało to z potrzeby spełnienia patriotycznego obowiązku. Tak to rozumiałam. Musiałam coś zrobić. Wypowiedziałam na głos to, co sądziłam ja wraz z wieloma Polakami. Moje zdanie w tej sprawie się nie zmieniło. Wciąż uważam tamte słowa za prawdziwe.

Była pani bezlitosna dla Donalda Tuska, a jak ocenia pani dzisiejszy rząd?

Pozytywnie. Rząd wiele zrobił dla polskich rodzin i polskiej gospodarki, m.in. uszczelnił luki podatkowe, zaczął wspierać – także finansowo – wielodzietne rodziny. Jest jednak łyżka dziegciu. Chodzi przede wszystkim o zaniedbanie działań na rzecz obrony życia. To dla mnie nie do przyjęcia, że w Polsce można zabijać nienarodzone dzieci. Rząd miał kilka okazji do tego, by zaostrzyć prawo antyaborcyjne, a nawet wprowadzić całkowity zakaz aborcji. Niestety nie zrobił z tym prawie nic. W Polsce nadal istnieje prawna możliwość zamordowania najmłodszych w trzech przypadkach: kiedy istnieje podejrzenie o silnej niepełnosprawności dziecka lub o nieodwracalnej chorobie zagrażającej jego życiu, jest zagrożone życie bądź też zdrowie matki oraz gdy dziecko zostało poczęte w wyniku gwałtu. Dla mnie ochrona życia jest podstawowym prawem każdego, zwłaszcza najbardziej bezbronnego człowieka. Jakim państwem jest kraj, który zabija własne dzieci?

Czego dziś chcą od rządu młodzi Polacy?

Dzisiejszej młodzieży przydałoby się większe finansowe wsparcie przy kupnie bądź wynajmie mieszkania, domu. Ceny mieszkań stale rosną. Przeprowadzam się właśnie do obcego miasta, powoli zakładam rodzinę, moi znajomi także, więc problem z pozyskaniem pieniędzy na własne cztery kąty jest mi znany aż nadto dobrze.

Jak pani sobie wyobraża swoją przyszłą rodzinę?

Jeśli Bóg da, chciałabym mieć dużą rodzinę, może piątkę dzieci. Chciałabym je wychować w taki sposób, w jaki ja oraz mój mąż zostaliśmy wychowani, czyli w duchu wiary, patriotyzmu i rozwoju własnych umiejętności. Wiem, że dzisiaj trudno jest przekazać dzieciom tradycyjne wartości, ale Bóg pomaga i jeśli zawierzę Mu moją przyszłą rodzinę, wszystko będzie w porządku.

Dziś często słychać ataki na 500+. Czy ten program może pomóc w podjęciu decyzji o dziecku?

Uważam, że ataki na 500+ są uzasadnione jedynie polityczną bezsilnością opozycji. Z obserwacji własnego otoczenia mogę śmiało powiedzieć, że 500+ jest świetnym programem, który naprawdę pomaga rodzinom. Każdemu przydają się dodatkowe pieniądze, a zwłaszcza rodzinom wielodzietnym, w których koszty jedzenia, pieluch, pomocy szkolnych czy ubranek dla dzieci są bardzo duże. Cieszę się, że taki program jest. W przyszłości z pewnością z niego skorzystam.



Fot. archiwum prywatne Marii Kobylińskiej

eprasa.pl e7683f73ec



SIECI

Dodatek z okazji
75. rocznicy wybuchu
Powstania Warszawskiego

Nie tylko *z bronią w ręku*

PARTNER MERYTORYCZNY

Muzeum Powstania Warszawskiego

PARTNERZY DODATKU

95 lat BANK GOSPODARSTWA KRAJOWEGO

FUNDACJA KGHM POLSKA MIEDŹ

ORLEN

TOTALIZATOR SPORTOWY

epras

PROGRAM OBCHODÓW 75. ROCZNICY WYBUCHU POWSTANIA WARSZAWSKIEGO – WYBRANE WYDARZENIA

30 lipca (wtorek)

godz. 8.00 – **Uroczysty apel rozpoczynający Zlot Harcerski w 75. rocznicę Powstania Warszawskiego** – park im. E. Szymańskiego

godz. 11.00 – **Spotkanie Powstańców Warszawskich z prezydentem Rzeczypospolitej Polskiej Andrzejem Dudą i prezydentem m.st. Warszawy Rafałem Trzaskowskim** – Park Wolności, Muzeum Powstania Warszawskiego, wstęp z zaproszeniem

31 lipca (środa)

godz. 10.00 – **Uroczysta sesja Rady Miasta Stołecznego Warszawy** – sala balowa, Zamek Królewski

godz. 18.00 – **Uroczysta polowa msza święta** – pl. Krasińskich, przy pomniku Powstania Warszawskiego

godz. 19.00 – **Apel Poległych** – pl. Krasińskich

godz. 20.30 – **„Tak, tęsknię": „Warszawa jest smutna bez Ciebie" i inne piosenki**, koncert – pl. Krasińskich

1 sierpnia (czwartek)

godz. 9.00 – **Złożenie kwiatów przy tablicy upamiętniającej podpisanie przez płk. Antoniego Chruściela „Montera", dowódcy Okręgu Warszawskiego Armii Krajowej, rozkazu rozpoczęcia Powstania Warszawskiego** – ul. Filtrowa 68

godz. 10.00 – **Uroczystości przy pomniku Mokotów Walczący – 1944** – park im. gen. G. Orlicza-Dreszera
po zakończeniu uroczystości: **Marsz Mokotowa** – przemarsz ul. Puławską do ul. Dworkowej

godz. 13.15 – **Złożenie kwiatów pod pomnikiem gen. Stefana Roweckiego „Grota"** – róg ul. F. Chopina i Al. Ujazdowskich

godz. 14.00 – **Uroczystości przy pomniku Polskiego Państwa Podziemnego i Armii Krajowej** – ul. Wiejska

godz. 16.00 – **Złożenie kwiatów przy grobie gen. Antoniego Chruściela „Montera"** – cmentarz wojskowy na Powązkach

godz. 17.00 – godzina „W" – **Oddanie hołdu Powstańcom** – pomnik Gloria Victis, cmentarz wojskowy na Powązkach

godz. 17.00 – **Wolność Łączy**, akcja społeczna w miejscach pamięci Powstania Warszawskiego na terenie całego miasta

godz. 19.30 – **Uroczystości przy pomniku Polegli Niepokonani**; modlitwa ekumeniczna – cmentarz Powstańców Warszawy na Woli

godz. 20.30 – **„Warszawiacy śpiewają (nie)zakazane piosenki"** – wspólne śpiewanie piosenek powstańczych z udziałem orkiestry i chóru pod kierownictwem Jana Stokłosy – pl. marsz. J. Piłsudskiego, **wstęp wolny**; wydarzenie transmitowane na antenie TVP1

godz. 21.00 – **Uroczystości na kopcu Powstania Warszawskiego** – rozpalenie Ogniska Pamięci – ul. Bartycka

godz. 24.00 – **Uroczysta premiera spektaklu teatralnego „Król Lear" Williama Szekspira w reż. Agnieszki Korytkowskiej** – Sala pod Liberatorem, Muzeum Powstania Warszawskiego, wstęp z zaproszeniem

2 sierpnia (piątek)

godz. 11.00 – **Uroczystość odsłonięcia pomnika gen. Zbigniewa Ścibora-Rylskiego** – park marsz. Edwarda Rydza-Śmigłego

2–5 sierpnia (piątek–poniedziałek)

godz. 20.00 – **„Król Lear"**, spektakl teatralny Williama Szekspira w reżyserii Agnieszki Korytkowskiej – Sala pod Liberatorem, Muzeum Powstania Warszawskiego (bilety w kasie MPW na bilety.1944.pl oraz eventim.pl, start sprzedaży 5.07.2019, godz. 15.00)

3 sierpnia (sobota)

godz. 17.00 – **Masa Powstańcza 2019** – przejazd rowerami szlakiem Batalionu „Parasol", rozpoczęcie: Park Wolności, Muzeum Powstania Warszawskiego, udział po rejestracji: rejestracja.1944.pl

4 sierpnia (niedziela)

godz. 11.00 – **„Pomagamy i chronimy – służby pomocnicze w Powstaniu Warszawskim" – spotkanie edukacyjne dla rodzin z dziećmi od 5. roku życia** – Park Wolności, Muzeum Powstania Warszawskiego, wstęp wolny

5 sierpnia (poniedziałek)

godz. 14.00 – **Uroczystość upamiętniająca rocznicę wyzwolenia obozu koncentracyjnego Gęsiówka przez żołnierzy Batalionu „Zośka"**, ul. M. Anielewicza 34

godz. 18.00 – **uroczystość w hołdzie ludności cywilnej Woli przy pomniku Pamięci 50 Tysięcy Mieszkańców Woli Zamordowanych przez Niemców podczas Powstania Warszawskiego 1944** – skwer Pamięci w rozwidleniu ul. Leszno i al. Solidarności

ok. godz. 19.00 – **Uroczyste przejście w kierunku Cmentarza Powstańców Warszawy na Woli upamiętniające mieszkańców stolicy, którzy zginęli podczas Powstania Warszawskiego**

ok. godz. 20.30 – **Zakończenie Marszu Pamięci, zapalenie zniczy w miejscu wystawy „Zachowajmy ich w pamięci"** poświęconej ofiarom cywilnym Powstania Warszawskiego – park Powstańców Warszawy

2 października (środa)

godz. 18.00 – **Zgaszenie ognia na kopcu Powstania Warszawskiego, zakończenie obchodów 75. rocznicy Powstania Warszawskiego** – ul. Bartycka

Szczegółowy plan obchodów: ***www.1944.pl***

CENTRUM INFORMACYJNE

Z myślą o Powstańcach Warszawskich, warszawiakach oraz turystach w dniach od 22 lipca do 5 sierpnia w Muzeum Powstania Warszawskiego będzie działało centrum obchodowe 75. rocznicy Powstania Warszawskiego.

Każdego dnia w Centrum Informacyjnym spotkać będzie można Powstańców, poznać bohaterów i świadków wydarzeń sierpnia 1944 r., porozmawiać lub posłuchać wspomnień z powstania. Nasi pracownicy będą gromadzić pamiątki, zbierać informacje o uczestnikach powstania.

Czynne codziennie od godz. 10.00 do 18.00 (także w soboty i niedziele).

Dnia 1 sierpnia Muzeum Powstania Warszawskiego będzie czynne w godz. 10.00–18.00.

eprasa.pl e7683f73ec



Bardzo polskie powstanie

W sensie symbolicznym Powstanie Warszawskie jest streszczeniem losu polskiego podczas II wojny światowej. Czyli wystawienie nas pomiędzy z jednej strony totalitarne Niemcy a z drugiej totalitarne Sowiety. Warszawa pomiędzy Hitlerem i Stalinem. Taki był polski los w drugiej połowie XX w., każdy Polak bez trudu powinien się w tym odnaleźć

Fot. Andrzej Wiktor

Prasa przeresłana

***Z Dariuszem Gawinem**, wicedyrektorem Muzeum Powstania Warszawskiego, rozmawia Marcin Wikło*

Powiedział pan niedawno, że Powstanie Warszawskie było warszawskie tylko z nazwy, ale jest to w zasadzie mit wszystkich Polaków. I wydaje się, że mieszkańcy stolicy to rozumieją. A jak wytłumaczyć to naszym rodakom z innych części kraju?

Dariusz Gawin: To była walka o stolicę Polski, i nie chodzi mi tutaj tylko o militarny aspekt bitwy o miasto. Przez 63 dni funkcjonowało w Warszawie niepodległe państwo polskie. Gdyby ono wygrało, to nadalibyśmy mu już wówczas numer III przy skrócie RP.

Dlatego to polityczne tło powstania przez lata PRL zostało skrzętnie przemilczane?

Rzeczywiście, w sposób naturalny naszą wyobraźnię o powstaniu angażują walka militarna i cierpienie ludności cywilnej. O tym można było mówić, bo to było zło doznane od Niemców. Ale powstanie miało przecież wymiar państwowy i o nim się nie mówiło. Działała przecież delegatura rządu na kraj, była tutaj namiastka parlamentu grupującego wszystkie partie polityczne. O tej choćby szczątkowej podmiotowości Polski komuniści konsekwentnie milczeli.

Do napisanej na nowo historii nie pasowałby epizod o tym, że wkroczenie wojsk radzieckich nie był żadnym wyzwoleniem, tylko zdławieniem budzącego się do życia samodzielnego państwa polskiego.

I to budzącym się na serio. Do rangi symbolu urasta coś, czego nas w szkole w PRL w ogóle nie uczono – że w powstańczej Warszawie zaczął np. wychodzić Dziennik Ustaw. Po raz pierwszy od 1939 r. opublikowano akty prawne, które świadczą o tym, że funkcjonowała państwowość. W tym sensie to nie była zatem tylko walka o miasto, to były 63 dni niepodległej Polski w granicach, które wytyczała linia barykad.

Od lat zadajemy sobie pytanie, czy powstanie musiało wybuchnąć, a precyzyjniej, czy mogło do niego nie dojść.

Powstanie było ostatnim aktem próby uratowania niepodległości Polski. Tak widzieli to wszyscy, którzy byli w to zaangażowani. To jedno, ale nie należy zapominać także o pewnej psychologicznej konieczności, jaką był wybuch tego zrywu. Ludzie mieli za sobą już pięć lat potwornej okupacji i chcieli walczyć. Chcieli wziąć słuszny, sprawiedliwy odwet na mordercach, na ludziach, którzy czynili tutaj i w całej Polsce skrajne zło.

> Powstanie miało wymiar państwowy. Działała przecież delegatura rządu na kraj, była namiastka parlamentu

Może więc jednak powstanie powinno nazywać się „polskie", a nie „warszawskie"?

W sensie symbolicznym Powstanie Warszawskie jest streszczeniem losu polskiego podczas II wojny światowej. Czyli wystawienie nas pomiędzy z jednej strony totalitarne Niemcy a z drugiej totalitarne Sowiety. Warszawa pomiędzy Hitlerem i Stalinem. Taki był polski los w drugiej połowie XX w., każdy Polak bez trudu powinien się w tym odnaleźć.

Wydaje się, że dosyć łatwo jest teraz tę historię opowiadać. Wystarczy zaprosić powstańca, publiczność i przekaz idzie w świat. Ale czas jest nieubłagany, a biologia bezlitosna. Jak będziemy przekazywać tę opowieść, gdy uczestników powstania zabraknie?

Od wybuchu powstania mija właśnie 75 lat. To są ostatnie chwile, gdy możemy obcować z ludźmi, którzy z bronią w ręku walczyli w Warszawie. Ówcześni Kolumbowie mają dzisiaj po 95 lat. Mając tego świadomość, cały czas pracujemy nad czymś, co w Muzeum Powstania Warszawskiego nazywamy przekazywaniem wartości, które muszą znaleźć oddźwięk w młodym pokoleniu. Wydaje mi się, że to się już w dużym stopniu udało. Powstanie Warszawskie czy Armia Krajowa stały się miarą poświęcenia, determinacji, bohaterstwa. Ta tradycja chyba na tyle się już ukorzeniła, że będzie trwała. Po reakcjach młodych widać, że ludzie odnajdą się w tym doświadczeniu i w tej opowieści.

Po to chyba potrzebne jest niesienie kultu nie tylko walki zbrojnej, ale konsekwentne przypominanie, z jakimi wartościami oni do tej walki szli?

Dlatego w muzeum staramy się akcentować te wszystkie wartości, które można rozpoznać w Powstaniu Warszawskim, ale wykraczające poza patriotyzm i poświęcenie konieczne w czasie wojny. Przyznajemy np. Nagrodę im. Jana Rodowicza „Anody" dla – jak to nazywamy – powstańców czasu pokoju. Dlatego że każdy, kto coś robi dla dobra wspólnego, kto jest gotów poświęcić swoją wygodę, swój czas, ale czasem także swoje życie, idzie drogą powstańców warszawskich.

Czy zdaje pan sobie sprawę z tego, że jeden zarzut pozostanie niezmienny, że budujemy wielki mit, jednak na militarnej klęsce, i to okupionej straszliwą ceną?

Prawdą jest, że powstanie zakończyło się militarną klęską, być może nie było innej możliwości. Spór o powstanie toczył się zresztą od pierwszego dnia. Kiedyś rozmawiałem na ten temat ze śp. marszałkiem Wiesławem Chrza-

eprasa.pl e7683f73ec

nowskim. Powiedział mi: „Proszę pana, ja byłem politycznym przeciwnikiem powstania, byłem przecież związany z ruchem narodowym, ale jednocześnie byłem żołnierzem. Mieliśmy państwo, armię i było oczywiste, że musimy walczyć, jeżeli takie są rozkazy". To być może jest odpowiedź na pytanie, dlaczego czci się klęskę.

Powstanie było swego rodzaju zakładem z losem, ostatnią próbą ratunku. Miary totalitarnego, radykalnego zła, które po nim nastąpi, ci ludzie nie byli sobie w stanie wyobrazić. Tego, że Hitler wyda wyrok zagłady miasta. Bo to nie było zwykłe przegrane powstanie, tak naprawdę w Warszawie dokonało się coś więcej. I słowa „zagłada" używam z całą premedytacją, padł bowiem rozkaz zabicia całej ludności Warszawy.

Kulminacją była rzeź Woli.

Tak, to literacka nazwa. Dlaczego tak mówię? Bo słowo „rzeź" sugerowałoby, że to był jakiś szał, jakiś orientalny wybryk. Tymczasem to był precyzyjny i zaplanowany akt totalitarnej inżynierii społecznej, jeden z największych w historii ludzkości. Potem nastąpiło wypędzenie ludności z miasta i ograbienie go na niespotykaną skalę. O tym też nas w szkole w PRL nie uczono. Z Warszawy odjechały setki pociągów, w których były meble i inne elementy wyposażenia mieszkań. Jestem przekonany, że w wielu niemieckich domach stoją one do dziś. Jednego tylko Niemcy nie brali, książek, bo były po polsku i na nic by się nie przydały. I dopiero te puste, wypatroszone kamienice specjalne komanda wysadzały w powietrze. To była metodyczna, zimna akcja poprzedzona rozkazem, który miał charakter ludobójczy. Ocena powstania i jego skutków jest oczywiście dokonywana post factum. Cena była, to prawda, straszliwa, ale przecież nikt nie miał świadomości, że zemsta Niemców sięgnie takiego pułapu.

Wkroczenie Sowietów coś by zmieniło?

To był plan B. Cała Armia Krajowa miała się zgromadzić w zachodniej części Śródmieścia i bronić do upadłego, gdyby sowieci zaczęli ich rozbrajać. Ci ludzie tak czy inaczej byli skazani na śmierć. Wybory polityczne podejmuje się do momentu, gdy jest na nie przestrzeń. Polacy w 1944 r. wylądowali w sytuacji, w której mieli tylko radykalne zło i próbę oporu wobec niego. Wybrali opór.

W ostatnich latach, gdy oddalamy się od PRL, łatwiej jest mówić o powstaniu?

Polacy w 1944 r. wylądowali w sytuacji, w której mieli do wyboru tylko radykalne zło i próbę oporu wobec niego. Wybrali opór

Pamięć o 1944 r. przetrwała i PRL i lata 90. XX w., które charakteryzowały się czymś, co ja określiłbym „leseferyzmem" w sferze wartości. To oczywiście nie było tak, że wtedy nie było akademii i nie organizowano obchodów rocznic, to się działo, ale wszystko zmieniło się 15 lat temu i nie chodzi mi tylko o otwarcie Muzeum, ale o sposób, w jaki obchody 60. rocznicy wybuchu Powstawia Warszawskiego urządził ówczesny prezydent Warszawy Lech Kaczyński. Pokazał zupełnie inne poczucie obowiązku władzy wobec konieczności prowadzenia polityki historycznej, to zmieniło Polskę na zawsze.

Jeśli mamy z przekazem o powstaniu trafiać do młodych ludzi, to dzisiaj już nikt nie wyobraża sobie tych jednak dostojnych obchodów bez imprez towarzyszących: koncertów, spektakli, gier miejskich...

Ale w jakich bólach to się rodziło... Pamiętam, jak za rządów AWS ówczesne Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego przeprowadziło taką akcję billboardową, w której dziękowało się weteranom. Dzisiaj to coś oczywistego, a forma tego wydaje się wręcz niewinna. Wówczas wzbudziło to wściekły atak, że to militaryzm, że skojarzenie patriotyzmu z walką zbrojną. Ale to było 20 lat temu. Potem przyszła 60. rocznica i zmiana była wiązana z tym, co zaczęliśmy robić w muzeum. Dzisiaj oczywiste jest, że jak jest muzeum, to jest w nim centrum kultury, które chcąc przyciągnąć młodzież, musi mówić w atrakcyjnym dla nich języku, w ich języku.

Lech Kaczyński był dosyć konserwatywnym politykiem. Czy 15 lat temu, otwierając Muzeum Powstania Warszawskiego, rozumiał, że jego forma, aby przyciągać młodzież, musi się muzealnemu konserwatyzmowi wymykać?

Lech Kaczyński był wielkim strategiem. Podjął polityczną decyzję o budowie muzeum ze świadomością, że gdyby to okazało się klapą, to on nie wygrałby wyborów. Ryzykownie, ale przecież nie tylko to było celem, również korzyść wspólna, zmiana Polski poprzez zmianę polityki historycznej. I jeszcze szerzej. On miał przekonanie, że zmiana może się dokonać poprzez instytucje kultury, które miały być rozwijane przez władzę zarówno centralną, jak i samorządową. Trzeba pamiętać, że on zainicjował nie tylko MPW. Choć brały się do tego różne grupy, to on był faktycznym inicjatorem powstania Muzeum Żydów Polskich, ale także trzeciej instytucji, która symbolizuje jego strategiczne myślenie, czyli Centrum Nauki „Kopernik". Było w tym takie podejście, że musi być i mur pamięci, na którym wypiszemy nazwiska poległych powstańców, i bardzo nowoczesne planetarium, w którym będzie można oglądać Kosmos. Tylko jedno z drugim, tylko połączenie szacunku dla przeszłości, ale bez strachu przed przyszłością, pozwoli zbudować Polskę nowoczesną. Taki był Lech Kaczyński. Sam oczywiście nie słuchał rapu ani nie czytał komiksów, ale jako wytrawny strateg polityczny wiedział, że to jest potrzebne, żeby zmieniać rzeczywistość.

eprasa.pl e7683f73ec



Sierpień 1944 r., Powiśle. Transport chleba z „Szarego Domu" prowadzonego przez siostry urszulanki

Dzielmy się ze wszystkimi

Wybuch Powstania Warszawskiego gwałtownie zahamował system aprowizacji miasta. Stolica Polski została całkowicie odcięta od jakichkolwiek dostaw z zewnątrz. Zapewnienie kilkusettysięcznemu miastu dostaw żywności stało się praktycznie niemożliwe. Warszawiacy musieli się przystosować do frontowych warunków i ograniczyć do korzystania z zapasów zgromadzonych wcześniej



KATARZYNA UTRACKA

Przed wybuchem powstania obliczono, że w Warszawie znajdowały się zapasy żywności wystarczające dla powstańczego wojska – liczącego ok. 45 tys. – na trzy dni. Szacowano, że artykuły żywnościowe zdobyte na Niemcach wyżywią oddziały przez następny tydzień. Dowództwo AK zakładało zresztą, że powstanie potrwa najwyżej kilka dni, po czym do Warszawy wkroczą oddziały Armii Czerwonej. Tak się jednak nie stało. Walki były cięższe i trudniejsze, niż przewidywano. Nikt nawet nie przypuszczał, że Warszawa będzie walczyć dziewięć długich tygodni.

Nasuwa się zatem pytanie: jak wyglądała sytuacja żywieniowa tysięcy powstańców oraz o wiele większej rzeszy cywilów, którzy raczej nie wiedzieli o mających nadejść walkach? Należy przyjąć, że ludność cywilna w głównej mierze korzystała z domowych rezerw. Pozostają one jednak trudne do oszacowania. Przezorni warszawiacy, doświadczeni okrucieństwem pięcioletniej okupacji, gromadzili w spiżarniach podstawowe artykuły typu: cukier, mąka, konserwy, alkohol, stanowiące doskonały towar wymienny.

Powstańcza Warszawa oprócz zapasów zgromadzonych przez intendenturę wojskową i rezerw domowych korzystała z magazynów, w większości niemieckich, zdobytych już w trakcie walk, przy czym wiele z nich zastrzeżono wyłącznie na potrzeby wojska i szpitali; niektóre przejęła bezpośrednio ludność cywilna, inne uległy zniszczeniu.

W pierwszym dniu powstania zdobyto rozległe niemieckie magazyny mundurów i żywności na Stawkach z pokaźnymi zapasami konserw mięsnych, cukru w kostkach i mąki. Stanowiły one podstawę wyżywienia dla oddziałów walczących na Woli, a później na Starówce. Z zapasów tych korzystała również ludność cywilna, przy czym konserwy zarezerwowano dla wojska.

eprasa.pl e7683f73ec

Kolejnym źródłem zaopatrzenia stały się składy Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych przy ul. Sanguszki z dużą ilością suszu ziemniaczanego, cennego ze względu na wartości odżywcze, ale również konserw mięsnych, owoców, czekolady, kasz, trunków, tytoniu i papierosów. Na terenie Śródmieścia Północnego przy ul. Grzybowskiej znajdowały się magazyny firmy Pluton ze sporymi zapasami cukru, mąki, kaszy, marmolady i innych artykułów spożywczych. Nieopodal, przy ul. Prostej, w zabudowaniach Stołecznego Młyna Parowego Grosberga przechowywano kilkaset ton zbóż, głównie pszenicy i jęczmienia. W Śródmieściu Południowym w ręce powstańców trafiły magazyny Spółdzielni Mleczarsko-Jajczarskich przy ul. Hożej ze sporymi zapasami masła, margaryny, serów twardych i topionych, mleka w proszku, jaj, miodu i cukru. Największy spichlerz dla głodującej stolicy stanowiły jednak magazyny Browaru Haberbuscha i Schielego przy ul. Ceglanej (obecnie Pereca) z dużymi zapasami zbóż, głównie jęczmienia, ale również cukru, soków, kawy zbożowej, mąki, suszonych warzyw, wina i spirytusu.

Powstańcza Warszawa korzystała z zapasów i magazynów organizacji społecznych i charytatywnych. Tuż przed powstaniem Rada Główna Opiekuńcza miała od 700 do 900 ton suchego prowiantu zmagazynowanego na terenie całej Warszawy. Po rozpoczęciu walk znaczna część z nich uległa jednak zniszczeniu lub została zarekwirowana przez wojsko.

Żywność otrzymywano także ze zrzutów alianckich. W paczkach i zasobnikach było m.in. mleko skondensowane, kawa i czekolada. W połowie września rozpoczęły się zrzuty sowieckie, wykonywane z niewielkich wysokości, ale bez spadochronów. W rezultacie znaczna część żywności pakowanej w płócienne worki ulegała zniszczeniu. Sowieci zrzucali głównie suchary z razowego chleba, kaszę jaglaną i amerykańskie konserwy otrzymywane od rządu USA w ramach programu Lend-Lease. Dodatkowym „urozmaiceniem" był biały tłuszcz niewiadomego pochodzenia, nazywany przez powstańców „małpim".

Jeszcze innym źródłem zaopatrzenia stały się produkty zarekwirowane ze sklepów, składów, restauracji oraz z zasobów prywatnych mieszkań, np. volksdeutschów, jak również z konfiskat przeprowadzanych w opuszczonych mieszkaniach i domach. Żywność można było znaleźć na opuszczonych przez Niemców posterunkach – ta jednak była często zatruta.

Powstańcza Warszawa korzystała także z ogródków działkowych znajdujących się na Mokotowie, Żoliborzu i Czerniakowie. Działki i pola dostarczały świeżych warzyw i owoców, często jednak trzeba było zbierać je pod ostrzałem, co niejednokrotnie kończyło się śmiercią śmiałków.

OGRÓDKI I MAGAZYNY TO ZA MAŁO

W pierwszych dniach powstania udało się uwolnić od nieprzyjaciela większą przestrzeń jedynie na Starym Mieście i w Śródmieściu. Najgorzej zaprowiantowanie wyglądało właśnie w tych dzielnicach. Nie było tu zakładów przemysłowych czy wielkich magazynów ani tym bardziej charakterystycznych dla dzielnic peryferyjnych ogródków działkowych.

Nieco lepiej sytuacja przedstawiała się na Powiślu, gdzie dużo sprawniej działały organy władz cywilnych. Stan zaopatrzenia Śródmieścia i Starówki pogarszał się wraz z napływem uchodźców z pacyfikowanych dzielnic. Dodatkowo 7 sierpnia Niemcy odcięli Starówkę od Śródmieścia, a w połowie sierpnia zamknęli pierścień okrążenia wokół staromiejskiej dzielnicy. Z dnia na dzień sytuacja aprowizacyjna oblężonej Starówki stawała się coraz bardziej dramatyczna.

Powstańcze Śródmieście składało się z dwóch części: północnej i południowej, rozdzielonych Al. Jerozolimskimi, które pozostawały pod silnym ostrzałem Niemców. Łączność między obiema częściami zapewniał przekop z barykadą wybudowany w Alejach nieopodal Kruczej. Najgorzej sytuacja żywieniowa przedstawiała się na obszarze między Marszałkowską a Towarową. Wprawdzie mieściły się tu wspomniane już magazyny Haberbuscha, ale był to najbardziej przeludniony rejon i jednocześnie najgorzej zorganizowany w zakresie wyżywienia.

Pomimo sporej liczby ogródków działkowych kłopoty aprowizacyjne dosięgły również Żoliborz, ale – jak się wydaje – nie stały się one tak dotkliwe jak w przypadku Starego Miasta czy Śródmieścia. Choć Żoliborz był odcięty od pozostałych części miasta, to nie znajdował się w całkowitej izolacji. Żywność szmuglowano tu z terenów zajętych przez Niemców. Bez większych problemów można było również przemknąć między pozycjami niemieckimi w stronę Puszczy Kampinoskiej, skąd płynęła pomoc do Warszawy.

W porównaniu z innymi dzielnicami Mokotów miał zdecydowanie najlepsze warunki żywieniowe. Dysponował ogródkami działkowymi, ponadto nigdy nie był dzielnicą całkowicie odciętą od świata. Istniało połączenie kanałowe ze Śródmieściem i, co ważniejsze, połączenie z dalekimi peryferiami Warszawy.

SZTURMOWE KOLUMNY

Z czasem dość powszechna stała się wymiana artykułów żywnościowych między poszczególnymi dzielnicami i rejonami Warszawy, niezbędna do urozmaicenia powstańczego menu. Przekopem-barykadą w Al. Jerozolimskich transportowano jęczmień z magazynów Haberbuscha do Śródmieścia Południowego.

W celu rozprowadzania zmagazynowanej żywności zorganizowano specjalne drużyny transportowe, nazywane „szturmowymi kolumnami powstańczej Warszawy" lub „karawanami". Codziennie, z narażeniem życia, postaci pochylone pod ciężarem worków i skrzyń przemierzały ulice stolicy, korzystając z systemu podziemnych przejść między piwnicami i podwórkami. Drużyny wykonywały od czterech do pięciu kursów dziennie.

W początkowym okresie powstania wiele entuzjazmu i poświęcenia powodowało, że mało kto odmawiał pomocy w dostarczaniu żywności. Z czasem jednak zaczęło brakować ochotników. Werbowano ich do transportu za obietnicę przydziału artykułów spożywczych. Wysokość wynagrodzenia wynosiła do 25 proc. przeniesionego ładunku. Zdarzało się jednak, że niektóre oddziały wypłacały nawet 50 proc. Do przenoszenia żywności i wody wykorzystywano także jeńców niemieckich

Fot. Autor nieznany, MPW

eprasa.pl e7683f73ec

OD SIÓSTR

Z problemami wyżywienia musiała się zmierzyć administracja cywilna, stopniowo obejmująca władzę na uwolnionych terenach. Zanim jednak zorganizowały się władze cywilne wraz z ich agendami, pierwsze rozpoczęły działalność komitety domowe, zwane też komitetami samopomocy. Do ich kompetencji, obok spraw obrony przeciwpożarowej i przeciwlotniczej, należały m.in. kwestie opieki społecznej w zakresie wyżywienia i zakwaterowania ludności stałej, jak również uciekinierów i pogorzelców. Każda kamienica żywiła po kilkunastu, a nawet kilkudziesięciu bezdomnych. Dla przykładu budynek przy ul. Kruczej 8 zamieszkiwało 100 stałych mieszkańców i 77 uciekinierów i pogorzelców. Z pomocy społecznej korzystało jedynie trzydzieści kilka osób, resztę żywili lokatorzy. Na początku września skończyły się jednak zapasy żywności, a mieszkańcy kamienicy zdani byli jedynie na pomoc społeczną.

Instytucjami, które aktywnie włączyły się w pomoc warszawiakom, były Rada Główna Opiekuńcza i Polski Czerwony Krzyż, działające jawnie pod okupacją niemiecką. Dysponowały one doświadczoną kadrą działaczy i pracowników, którzy samorzutnie włączali się do akcji.

Z władzami cywilnymi, samorządami obywatelskimi i organizacjami społecznymi współpracował Kościół. Od pierwszych dni powstania liczne zgromadzenia zakonne otwierały kuchnie i punkty dożywiania, korzystając głównie z zapasów własnych oraz wsparcia RGO. Przykładem takiej działalności jest aktywność Zgromadzenia Sióstr Urszulanek Serca Jezusa Konającego, zwanych też urszulankami szarymi. W gmachu zwanym potocznie „Szarym Domem", zajmującym teren między ulicami: Dobrą, Gęstą i ks. Siemca, siostry prowadziły kuchnię wydającą posiłki dla ludności cywilnej i wojska, wypiekały i rozdawały chleb, przyjmowały bezdomnych, szyły bieliznę i ubrania, utworzyły punkt sanitarny przekształcony później w szpital.

W sprawach aprowizacji z władzami cywilnymi współpracowało wojsko, które oprócz zaopatrywania szpitali dostarczało żywność władzom cywilnym, w tym organom opieki społecznej.

W prasie nieustannie pojawiały się apele wzywające warszawiaków do niesienia pomocy potrzebującym. Na łamach „Biuletynu Informacyjnego" wybitna pisarka Zofia Kossak-Szczucka apelowała: „Pierwszym na dziś obowiązkiem każdego Polaka jest okazanie pomocy bezdomnym, dziś, zaraz, natychmiast! Nie śmią istnieć domy całe, a nie mające miejsca i strawy dla bezdomnych. Dzielmy się z nimi wszystkim, co posiadamy, szczęśliwi, że się jeszcze dzielić możemy!".

KUCHNIE SPOŁECZNE

Dzięki inicjatywie społecznej od pierwszych dni powstania w wielu domach i blokach spontanicznie tworzono stołówki dla potrzebujących, wykorzystujące zapasy własne i artykuły żywnościowe przydzielane z Rejonowych Delegatur Rządu i RGO. Na Żoliborzu powstawały charakterystyczne dla tej dzielnicy kuchnie kolonijne, osiedlowe, klatkowe i prywatne, organizowane przez Samorząd Mieszkańców Osiedla.



Wrzesień 1944, Śródmieście Północ. Jedna z wielu kuchni powstańczych. Od lewej stoją: st. strz. Wiktor Boryczko „Dzierżak", Zofia Domańska „Zocha" (siostra autora zdjęć) oraz st. strz. Henryk Jagieła „Kwiatek"

Fot. E. Lokajski, MPW

Obok kuchni blokowych i domowych istniały wielkie kuchnie publiczne, prowadzone przez RGO i Delegaturę. Jedna z największych, znajdująca się przy ul. Hożej 28, wydawała przeszło 2 tys. obiadów dziennie, w tym 900 dla wojska. Kolejna, mieszcząca się przy ul. Złotej 50, przygotowywała tygodniowo do 30 tys. porcji zupy oraz znaczne ilości kaszy manny dla dzieci.

Ze względu na fragmentaryczność dokumentów trudno wyliczyć, ile kuchni funkcjonowało w całej Warszawy, tym bardziej że część nie była zewidencjonowana. W samym tylko Śródmieściu Południowym zorganizowano 178 kuchni społecznych i punktów dożywiania ludności.

Pomimo nadludzkich wysiłków dzielnych i ofiarnych kierowniczek kuchni oraz całego personelu los wielu z nich w ostatnich dniach przed kapitulacją był przesądzony. Brakowało artykułów i, co najważniejsze, wody do gotowania zup, w związku z czym większość zamknięto, a cały ciężar dożywiania ludności spadł na kuchnie blokowe i domowe, które co parę dni otrzymywały drobne przydziały żywności.

„RATUJCIE DZIECI…"

W ogarniętym walkami mieście w szczególnie trudnej sytuacji znalazły się dzieci. Codzienne bombardowania, konieczność życia w piwnicach i schronach wywoływały strach i przerażenie wśród najmłodszych. Z każdym dniem przybywało osieroconych i zagubionych najmłodszych warszawiaków. Organizowano dla nich schroniska i zbiórki żywności, otwierano kuchnie mleczne gromadzące mleko oraz odżywki dla niemowląt i małych dzieci. Prasa powstańcza wzywała wszystkich do opieki nad najmłodszymi: „Ratujcie dzieci, nasze, wasze, polskie, warszawskie dzieci…". Władze cywilne na Żoliborzu apelowały: „Nie możemy być obojętni, gdy ratować trzeba puchnące z głodu dzieci i ich matki". Na murach miasta

eprasa.pl e7683f73ec

pojawił się plakat autorstwa Mieczysława Jurgielewicza „Mleko dla dzieci – one muszą przetrwać". Wysiłki te odniosły niewielkie skutki i nie mogły zapobiec wysokiej śmiertelności wśród najmłodszych.



GŁÓD

W miarę przedłużania się walk problem wyżywienia ulegał stałemu zaostrzeniu, zwiększała się bowiem liczba bezdomnych, a zmniejszały zapasy żywności, zaczynało również brakować wody. Wielu bezdomnych koczowało w bramach, na klatkach schodowych, zajmowało schrony. Wstrząsający obraz życia w schronach zamieścił w numerze z 19 sierpnia „Biuletyn Informacyjny": „W zatłoczonym uchodźcami schronie zaduch. Wyziewy z niewynoszonych przez nikogo kubłów. Brudne legowiska, toboły, jakieś łachmany. Dookoła śmieci, odpadki. Płacz małych dzieci. Ktoś klnie, ktoś inny narzeka. Obok ludzi zdrowych – ciężko chorzy na czerwonkę. Obok młodzieży – niedołężni starcy, kobiety w ciąży. Podwórko brudne. I tu snują się bezdomni. Twarze blade, zmęczone. Oczy kobiet zaczerwienione od płaczu. Niesprzątane ustępy stanowią znakomity rozsadnik chorób epidemicznych. Brak wody. Głód".

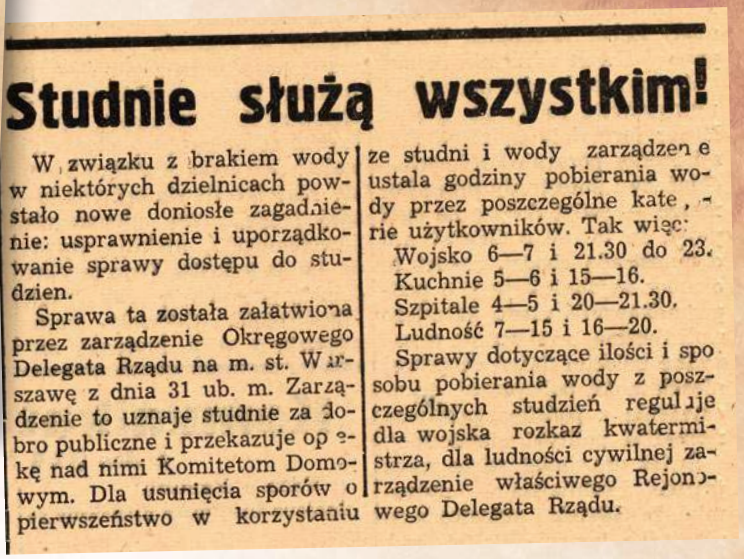
W drugiej połowie września sytuacja była katastrofalna: powstańcza Warszawa głodowała. Ludność żywiła się już praktycznie samą pszenicą oraz jęczmieniem z Haberbuscha, mielonym w młynkach do kawy i gotowanym jako tzw. pluj-zupa (nazwę potrawa wzięła od konieczności wypluwania łupin). Pod koniec września zapasy pszenicy wyczerpały się, a jęczmień nie nadawał się do użytku z powodu zawilgocenia. Zjadano więc psy, koty i gołębie.

Szef kontrwywiadu Komendy Okręgu Warszawa AK meldował: „Szerzy się głód. Są ludzie, którzy z tego powodu dostają szoku nerwowego. Powoduje to duże załamanie się ludności. Staje to się b. poważnym problemem. Ludzie ci narażeni są na wyzysk nieuczciwych handlarzy, kwitnie wprost absurdalny handel zamienny, np. za złoto czy walutę obcą wyzyskiwacze dają kilka kilo ziarna".

Problem czarnego rynku narastał z każdym kolejnym dniem powstania. Obok kina Palladium przy ul. Złotej oraz na ul. Wilczej i Kruczej istniały targowiska, tzw. bazary wymiany, które stały się centrami powstańczej spekulacji. W przerwach między ostrzałem królował na nich głównie handel wymienny, gdyż jedyną walutą mającą jakąkolwiek wartość były złote ruble i dolary. Wymieniano przede wszystkim artykuły żywnościowe, alkohol, baterie do latarek i naftę, a nawet wodę.

BRAK WODY

Kolejnym ważnym problemem, jaki stanął przed powstańczą Warszawą, było zaopatrzenie w wodę. Kłopoty z jej dostawami wystąpiły już na początku powstania. W związku z rozbiciem Warszawy na kilka odseparowanych enklaw załamało się centralne zarządzanie wodociągami miejskimi. Poszczególne stacje straciły z sobą łączność, a część znalazła się w rękach nieprzyjaciela. Ponadto nieustanne bombardowania lotnicze i ostrzał artyleryjski powodowały ciągłe uszkodzenia sieci wodociągowej. Ludzie schodzili do lejów po bombach, łapiąc w naczynia wodę z uszkodzonych rur. W prasie pojawiały się apele wzywające do gromadzenia wody. Powołano specjalne ekipy naprawcze, które zajmowały się reperacją sieci wodociągowej oraz odłączaniem tej, która doprowadzała wodę na tereny zajęte przez wroga.



Studnie służą wszystkim!

W związku z brakiem wody w niektórych dzielnicach powstało nowe doniosłe zagadnienie: usprawnienie i uporządkowanie sprawy dostępu do studzien.

Sprawa ta została załatwiona przez zarządzenie Okręgowego Delegata Rządu na m. st. Warszawę z dnia 31 ub. m. Zarządzenie to uznaje studnie za dobro publiczne i przekazuje opiekę nad nimi Komitetom Domowym. Dla usunięcia sporów o pierwszeństwo w korzystaniu ze studni i wody zarządzenie ustala godziny pobierania wody przez poszczególne kategorie użytkowników. Tak więc:

Wojsko 6—7 i 21.30 do 23.
Kuchnie 5—6 i 15—16.
Szpitale 4—5 i 20—21.30.
Ludność 7—15 i 16—20.

Sprawy dotyczące ilości i sposobu pobierania wody z poszczególnych studzień reguluje dla wojska rozkaz kwatermistrza, dla ludności cywilnej zarządzenie właściwego Rejonowego Delegata Rządu.

Należało jak najszybciej przygotować zastępcze sposoby zaopatrzenia miasta w wodę. Już 14 sierpnia w wielu rejonach Warszawy ustał dopływ wody. Trzy dni później wyszło zarządzenie o potrzebie budowy nowych studni. Podjęto wówczas akcję uruchamiania studni wyłączonych z eksploatacji oraz budowy nowych.

W Śródmieściu Południowym pod koniec sierpnia działało 25 studni, a ok. 30 pozostawało w budowie, ale już w połowie września czynne były 44 studnie, a kolejnych 48 drążono. Przy niektórych z nich zainstalowano pompy elektryczne. Największą wydajność miała motopompa uruchomiona przy ul. Hożej 51, skąd poprowadzono prowizoryczną instalację wodociągową do ul. Poznańskiej, Marszałkowskiej i Wilczej. Podobne instalacje powstawały również w innych rejonach Śródmieścia.

Niedobór wody był znacznie dokuczliwszy niż brak pożywienia. Brakowało jej nawet dla rannych. Najwięcej kłopotów przysparzało jej zdobycie, w kolejce często trzeba było stać przez całą noc. Pojawił się również problem deficytu naczyń. W celu zaprowadzenia porządku przy pobieraniu wody poszczególnym kategoriom odbiorców (wojsku, kuchniom, szpitalom i ludności cywilnej) wyznaczono godziny dostępu do studni. Mimo tych regulacji przed studniami tworzyły się gigantyczne kolejki, dochodziło do awantur i bójek.

Mimo ogromnego wysiłku władz cywilnych i wojskowych, instytucji społecznych i charytatywnych, wspartego inicjatywą społeczną, nie udało się rozwiązać problemów aprowizacyjnych powstańczej Warszawy. Trudności z wodą i głód przyczyniły się do załamania nastrojów wśród ludności cywilnej i przyśpieszyły decyzję o kapitulacji powstania.

eprasa.pl e7683f73ec



Jak błyskawica – powstańcze media

Radio, prasa, film. Środki społecznego przekazu w walczącej Warszawie oprócz informowania, podnoszenia na duchu i zagrzewania do boju miały być również głosem słyszanym za granicą. I mimo klęski wyszły z tej bitwy zwycięsko, bo nie dały się zagłuszyć przez wroga



MICHAŁ TOMASZ WÓJCIUK

W konspiracji powstał zespół radiowców – Sekcja „RA", podlegała Departamentowi Informacji i Dokumentacji Delegatury Rządu na Kraj. Opracowaniem powstańczego programu fonicznego zajmował się też referat radiowy Wydziału Propagandy Mobilizacyjnej Biura Informacji i Propagandy Komendy Głównej AK. Na jego użytek w Częstochowie została skonstruowana przez por. Antoniego Zębika „Biegłego" i Bolesława Drożdża zapasowa radiostacja Błyskawica. Przewieziono ją do Warszawy i ukryto w warsztacie samochodowym przy ul. Huculskiej na Mokotowie.

W chwili wybuchu powstania, zarówno ekipa radiowców Delegatury Rządu, jak również jej „bipowska konkurencja" nie były w stanie rozpocząć pracy. Brakowało sprzętu. Nie zdobyto radiostacji wroga. Niemcy zniszczyli polską radiostację Kalina I, a uruchomienie Kaliny II okazało się niewykonalne. Ponadto wróg przejął radiostację w mieszkaniu Marii Ponikowskiej (Krakowskie Przedmieście 7). Kilkoro pracowników Sekcji „RA" zostało osaczonych i popędzonych w grupie cywilów jako żywa tarcza osłaniająca atak niemieckich czołgów na placówki powstańcze. Udało im się uciec w rejonie pl. Żelaznej Bramy.

eprasa.pl e7683f73ec



Praca Stacji Nadawczej AK Błyskawica w gmachu PKO 20 sierpnia. Przed mikrofonem spiker Zbigniew Świętochowski „Krzysztof", nad nim pochylony ppor. Stanisław Zadrożny „Pawlicz", w głębi Olgierd Straszyński „Wesołowski". O pulpit oparty jest ppor. Jerzy Ronard-Bujański „Zwornik", a przy aparaturze siedzi inż. Roman Kitzner „Zbigniew"

Fot. Joachim Joachimczyk „Joachim", Zbiory MPW

Próba przetransportowania radiostacji Błyskawica do Śródmieścia zakończyła się fiaskiem i śmiercią konwojenta. Skrzynie z aparaturą, leżąc u zbiegu ulic Chmielnej i Wielkiej, namokły w nocnym deszczu. Odnaleziono je i odbito z rąk Niemców dopiero drugiego dnia powstania. Błyskawicą zaopiekował się zespół radiotechników, którzy w zaledwie pięć dni, doprowadzili ją do stanu użyteczności.

„WARSZAWIANKA" Z BURZY

W trzecim dniu walk wojskowy inspektor radiokomunikacji w Departamencie Poczt i Telekomunikacji Delegatury Rządu na Kraj mjr Stanisław Noworolski „Zwora" wspólnie z radiotechnikiem Włodzimierzem Markowskim „Rybką" w świeżo zdobytym przez powstańców budynku Poczty Głównej przy pl. Napoleona (obecnie pl. Powstańców Warszawy) uaktywnili radiostację Burza. Wieczorem na fali krótkiej 52,1 m wyemitowali informację o rozpoczęciu powstania. Komunikaty o przebiegu walk były nadawane przez nią kilka kolejnych dni.

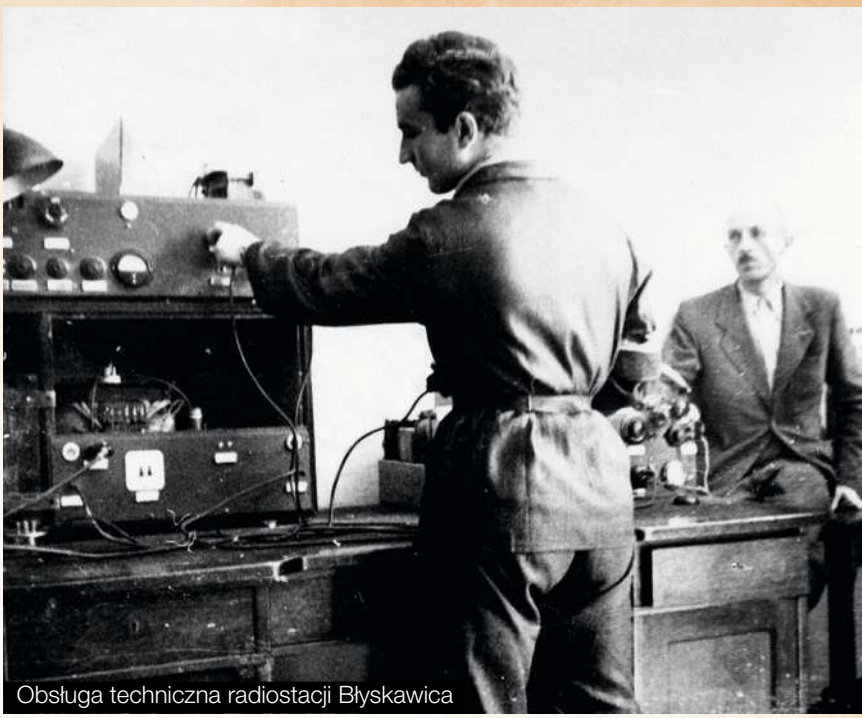
Jak ogromne pod względem moralnym miało to znaczenie, świadczy wspomnienie st. strz. Mariana Godlewskiego „Małego" z 100 kompanii sztabowej Zgrupowania „Bartkiewicz": „Spikerka stała w oknie i czytała coś o Powstaniu [...] w końcu się załamała i zapłakała. I wtedy ktoś tam podszedł, odsunął ją i puścili płytę, puścili »Warszawiankę«. Jak przez megafon szła melodia »Warszawianki«, tośmy podchwycili po drugiej stronie ulicy i zaczęliśmy śpiewać [...]. I tak szła »Warszawianka«, ten śpiew od kamienicy do kamienicy i w pewnym momencie prawie całe Śródmieście śpiewało". Wszędzie były wywieszone biało-czerwone flagi.

Jak wspominał strz. Tadeusz Baczyński „Damian" z Obwodu VII „Obroża", używało się powszechnie radiostacji krótkofalowych pracujących w systemie radiotelegraficznym, wysyłających depesze alfabetem Morse'a. Wykorzystanie radiostacji fonicznych koordynowanych przez całe zespoły w warunkach walk ulicznych było fenomenem wojennym.

HALO! TU BŁYSKAWICA

Po kilku dniach żmudnej pracy uruchomiono Błyskawicę. 8 sierpnia w eter popłynęła zapowiedź: „Halo! Tu Błyskawica, Stacja Nadawcza Armii Krajowej w Warszawie na fali 32,8 m". Komendantem radiostacji przez całe powstanie i dwa dni dłużej był ppor. Jan Gieorgica „Grzegorzewicz". Studio nadawcze zorganizowano w kompleksie Pocztowej Kasy Oszczędności u zbiegu ulic Jasnej i Świętokrzyskiej na trzecim piętrze, od podwórka. Aparaturę radiostacji, a także urządzenia umożliwiające kierowanie technicznym procesem emisji programu oraz jego kontrolę (amplifikatornia) umieszczono w pierwszym pokoju. W sąsiadującym pomieszczeniu usytuowano studio. Antena mierząca 31 m została rozciągnięta między kominami w taki sposób, by w chwili niebezpieczeństwa szybko ją ściągnąć. Antenę rezerwową rozpięto na budynku znanego przedwojennego wydawnictwa Gebethnera i Wolffa na rogu ulic Sienkiewicza i Zgody.

eprasa.pl e7683f73ec


Obsługa techniczna radiostacji Błyskawica

Za pracę Błyskawicy odpowiadał ppor. Stanisław Zadrożny „Pawlicz", który był jej szefem programowym. Jego zastępcą została ppor. Zofia Rutkowska „Ewa". Jako spikerów można było usłyszeć Zbigniewa Świętochowskiego „Krzysztofa" i kpr. pchor. Mieczysława Ubysza „Wilka". Ponadto w skład zespołu weszli m.in.: ppor. Jerzy Ronard-Bujański „Zwornik", ppor. Stanisław R. Dobrowolski „Goliard", ppor. Zbigniew Jasiński „Rudy", ppor. Filip Trzaska „Siedlecki", ppor. Bohdan Wasiel „Zajączek", Aleksander Maliszewski „Piotrowski", Stanisław Sachnowski „Zygmunt" i inni. Siedziba redakcji znajdowała się nad lokalem gastronomiczno-rozrywkowym Adria w budynku Towarzystwa Riunione Adriatica di Sicurtà (ul. Moniuszki 10).

Audycje 20-30 minutowe i godzinne z budynku PKO były emitowane kilka razy dziennie na falach krótkich (32,8 m, 52,1 m) i średnich (224 m, 251 m). Składały się z dziennika, przeglądu prasy, reportażu, wiersza, muzyki oraz piosenek indywidualnych artystów lub chóru. Poprzedzała i kończyła je puszczana z płyty melodia „Warszawianki". Były do początku września (do zbombardowania przez Niemców Elektrowni oraz Poczty Głównej) retransmitowane przez radiostację Burza. Oprócz audycji polskich emitowano programy angielskie, niemieckie, francuskie.

Niezależnie od ekipy Stacji Nadawczej AK dzień później pracę rozpoczął zespół Polskiego Radia. Po ciężkich doświadczeniach pierwszego tygodnia powstania i szczęśliwej ucieczce z rąk Niemców grupie radiowców udało się dotrzeć na swoje stanowiska. Redakcja PR, podobnie jak ekipa BIP, została umieszczona w gmachu przy ulicy Moniuszki 10. O godz. 9 zespół wyemitował swoją pierwszą audycję (trwała 15 min): „Halo, tu Polskie Radio Warszawa. Halo, tu Polskie Radio Warszawa. Nadajemy pierwszą audycję polską". Ekipę tworzyli: Edmund Rudnicki „Konopka", Maria Ponikowska „Maria", Joanna Gorczycka, Zenon Skierski „Zenon", spikerzy: Jeremi Przybora, Stefan Stojecki, komentator Edmund Osmańczyk „Gor", dziennikarze: Stanisław E. Bury, Jaromir Ochęduszko, Jan Waśniewski, Łukasz Witkowski, muzyk Olgierd Straszyński „Wesołowski". Stałymi elementami audycji 20-minutowych trzyczęściowych na falach krótkich i dwuczęściowych na falach średnich były: „Dzień walki", „Wiadomości z Warszawy" bądź „Wiadomości z Polski", „Przegląd prasy", polityka lub reportaż. Od 13 sierpnia nadawano „Skrzynki poszukiwań". Z powodu braku radioodbiorników „Biuletyn Informacyjny" apelował do czytelników: „Wystawiajcie głośniki radiowe w otwartych oknach – głównie na parterze i niższych piętrach domów!". Tak robiono.

Nie sposób się nie domyślić, że między zespołami BIP a Delegatury doszło do sporu o czas antenowy. Konflikt zażegnano 16 sierpnia. Polskiemu Radiu przyznano 100 proc. czasu emisji na falach średnich i 40 proc. (40 min) na falach krótkich. Stacja Nadawcza AK otrzymała w użytkowanie 60 proc. czasu (60 min) na falach krótkich, a na falach średnich mogła nadawać tylko dywersyjne audycje niemieckie. Ponadto dzień później do ekipy PR oddelegowano legendarnego „Kuriera" por. Zdzisława Jeziorańskiego „Jana Nowaka" oraz ppor. Adama Truszkowskiego „Tomickiego" przygotowujących audycje anglojęzyczne. Od tej pory programy w tym języku emitowało tylko Polskie Radio. Warto dodać, że z zespołem od połowy drugiego tygodnia sierpnia współpracował oficer RAF Brytyjczyk John Ward, który przekazał z powstańczej Warszawy do swojej ojczyzny alfabetem Morse'a ponad 100 depesz.

POD OSTRZAŁEM

Jak wspominał po latach konstruktor radiostacji Burza strz. Włodzimierz Markowski „Rybka": „Szukać radiostację jest bardzo łatwo, wystarczy samolot puścić jeden i on dokładnie po sile sygnału, jaki odbiera, dokładnie do około jednego metra może namierzyć, gdzie ona się znajduje. To było bardzo niebezpieczne zadanie, obsługa tych radiostacji i ta praca". Działalność zespołów radiowych odbywała się w napięciu, często pod ostrzałem artyleryjskim wroga. 18 sierpnia w budynek przy ul. Moniuszki, gdzie mieściły się obie powstańcze redakcje, trafił 600-milimetrowy pocisk najcięższego niemieckiego moździerza samobieżnego Karl-Gerät. Szczęśliwie nie wybuchł, ale w myśl przeświadczenia, że nie powinien tu już ponownie uderzyć, postanowiono 23 sierpnia przenieść z gmachu PKO w to miejsce radiostację Błyskawica. Nadawanie programów obu redakcji zostało przerwane 3 września w konsekwencji zbombardowania Elektrowni. Radiostacja wznowiła nadawanie 8 września, będąc już zainstalowana w budynku przedwojennej ambasady sowieckiej przy ul. Poznańskiej 13. Jej uruchomienie było możliwe dzięki bliskiemu sąsiedztwu zaopatrzonego w aparaturę prądotwórczą kompleksu Związku Spółdzielni Mleczarsko-Jajczarskich (ul. Hoża 51), gdzie powstała nawet powstańcza elektrownia polowa.

Peregrynacje radiostacji nie skończyły się jednak. Postępująca niemiecka ofensywa i towarzyszący jej wzmożony ostrzał artyleryjski wpłynęły na decyzję o kolejnej przeprowadzce.

Fot. Joachim Joachimczyk „Joachim", Zbiory MPW

eprasa.pl e7683f73ec



Bombardowanie na skrzyżowaniu ulic Jasnej i Moniuszki 4 września filmują Stefan Bagiński „Stefan" (z lewej) i Antoni Wawrzyniak „Antonio" (z prawej)

13 września radiostacja trafiła na I piętro Biblioteki Publicznej m.st. Warszawy przy ul. Koszykowej, skąd następnego dnia rozpoczęła emisję obu cykli programowych ograniczonych już jednak do dwóch codziennych dziesięciominutowych audycji, nadawanych w godzinach 9.30 oraz 22. Ponadto ekipa PR przygotowywała wciąż programy angielskie. Radiostacja zakończyła swoją aktywność dwa dni po podpisaniu Układu o zaprzestaniu działań wojennych w Warszawie, kończącym powstanie. 4 października o godz. 19.20 wyemitowana została ostatnia audycja Błyskawicy, trwająca 10 min, po czym komendant radiostacji Jan Gieorgica „Grzegorzewicz" zniszczył aparaturę uderzeniem młotka.

Radiostacja nadała 122 audycje w języku polskim oraz ok. 77 programów anglojęzycznych. Stanowiła nie tylko narzędzie przekazywania informacji, lecz także forum opiniotwórcze i kulturalne. Audycje kształtowały postawy patriotyczne i podtrzymywały na duchu. To za pośrednictwem Błyskawicy wicepremier i delegat rządu Jan Stanisław Jankowski 1 września powiedział słowa, które są dziś mottem ekspozycji stałej Muzeum Powstania Warszawskiego: „Chcieliśmy być wolni i wolność sobie zawdzięczać".

Warto dodać, że już od 17 sierpnia Brytyjczycy prowadzili regularny nasłuch programów. Wykorzystywały je w swoich serwisach europejskie i amerykańskie agencje radiowe i wydawnictwa prasowe.

FILM Z DNIA NA DZIEŃ

Powstanie było rejestrowane na taśmie filmowej przez kilkunastu reportażystów. Referat filmowy Podwydziału Propagandy Mobilizacyjnej „Rój" BIP KG AK działał pod kierunkiem reż. Antoniego Bohdziewicza „Wiktora". W jego składzie działali pracownicy BIP, doświadczeni przedwojenni filmowcy, weterani wojny 1939 r. (Stefan Bagiński „Stefan", Roman Banach „Świerk", Wacław Kaźmierczak „Wacek", Edward Szope, Ryszard Szope, Antoni Wawrzyniak „Antonio", Henryk Vlassak „Wania", Jerzy Zarzycki „Pik") oraz realizatorzy wykształceni w konspiracji (Andrzej Ancuta „Coeur", Stanisław Bala „Giza"). W powstaniu działała też trzyosobowa ekipa dysponująca upoważnieniem szefa „bipowskich" Tajnych Wojskowych Zakładów Wydawniczych (reż. Jerzy Gabryelski „Orski", operator Seweryn Kruszyński i asystent Kazimierz Pyszkowski) oraz ekipa J. Ronarda-Bujańskiego „Zwornika" pracująca przy sztabie Okręgu Warszawa AK, której działalność nie jest bliżej znana.

Filmowcy docierali do linii frontu, a także nagrywali życie codzienne żołnierzy oraz mieszkańców. Dzięki nim na taśmie filmowej uwiecznione zostały prace powstańczych piekarń, jadłodajni, a także działalność drukarni, rusznikarni i wytwórni granatów, polowe msze święte, śluby, pogrzeby, alianckie lotnicze zrzuty zaopatrzeniowe. Operatorzy uchwycili w kadrze życie pogorzelców, walkę z żywiołem ognia, życie i atmosferę panującą w schronach. Nagrane zostały prace powstańczych służb medycznych, funkcjonowanie patroli megafonowych, działalność Harcerskiej Poczty Polowej, a także potworne zbrodnie niemieckie na bezbronnych cywilach. Filmowano Śródmieście, Wolę, Powiśle, Stare Miasto, Mokotów.

Warunki pracy były bardzo trudne, a filmowcy ryzykowali życie. Przeważnie używali łatwiejszych w obsłudze, ale narażonych na częste uszkodzenia kamer reporterskich i co najmniej jednej statywowej, bardzo nieporęcznej, wymagającej ciężkiego akumulatora i zestawu lamp. Dokumentaliści nie otrzymywali od dowództwa specjalnych poleceń ani informacji o akcjach bojowych. Nie opracowywali planów zdjęciowych. Działania wojskowe filmowano często przypadkowo. Spośród walk powstańczych przykład pracy reporterów może stanowić zdobycie 20 sierpnia budynku Polskiej Akcyjnej Spółki Telefonicznej przy ul. Zielnej 37/39, które było filmowane na żywo od początku do końca. Inne zachowane do naszych czasów materiały ukazujące spektakularne polskie zwycięstwo, czyli opanowanie 23 sierpnia kompleksu Komendy Policji i Kościoła pw. Świętego Krzyża, zostało wyreżyserowane po akcji z udziałem jednak uczestników walk.

Zrealizowany przez operatorów materiał dostarczano do laboratorium filmowego przy ul. Leszczyńskiej 6 na Powiślu, gdzie był montowany przez Wacława Kaźmierczaka i Antoniego Bohdziewicza w powstańczą kronikę filmową pt. „Warszawa walczy!". Powstały trzy części kroniki, ich premiery organizowane co tydzień 15, 21 i 28 sierpnia miały ok. 9 tys. widzów. Ponadto zorganizowano pokazy specjalne: kroniki nr 1 dla prasy (13 sierpnia) oraz pokaz wszystkich trzech części dla dowództwa AK i władz cywilnych (30 sierpnia). Filmy te, trwające po kilkanaście minut, były wyświetlane codziennie

Fot. Sylwester Braun „Kris", Zbiory MPW

eprasa.pl e7683f73ec

– jak donosiła „Rzeczpospolita Polska" – na ogólnych pokazach w śródmiejskim kinie Palladium przy ul. Złotej 7/9. Zakończyły się 3 września, jak wynika z relacji st. strz. Leszka Proroka „Modrzewia" i publikacji „Robotnika". W czasie II wojny światowej nie spotykano sytuacji, by w warunkach ciężkich walk ulicznych produkowano filmy i oglądano je już „w ciągu dwunastu godzin" – jak wspominał Jerzy Zarzycki. Na kronice wyświetlonej po raz pierwszy 21 sierpnia były sceny ze zdobycia gmachu PAST-y z poprzedniego dnia. Materiały spotykały się z wielkim aplauzem i zainteresowaniem. „Biuletyn Informacyjny" pisał: „Pozostanie dokumentem, a dla nas – dzisiejszych widzów – jest już dużym wzruszeniem".



Kolporterka prasy przekazuje egzemplarz „Biuletynu Informacyjnego" przy barykadzie na skrzyżowaniu ulic Tamka i Solec

Fot. Michał Stabrowski „Lubicz", Zbiory MPW

PRASA NAWET DLA DZIECI

Powstańcze życie prasowe było eksplozją intelektualną, ideologiczną i kulturową. Obok tytułów prasowych drukowane były przeróżne gazety ścienne, druki okolicznościowe, jednodniówki, afisze, ulotki. Każde ugrupowanie polityczne od prawa do lewa chciało przemówić słowem drukowanym do swoich zwolenników, sympatyków czy potencjalnych adherentów. Gazety wydawały dzielnice, rejony, partie polityczne, organizacje wojskowe, a nawet oddziały wojskowe.

Prasa nie była regularna. Wiele wydawnictw pojawiało się nagle i równie szybko po publikacji kilku numerów kończyło funkcjonowanie z powodu zniszczenia drukarni bądź opuszczenia jej. Największy jednorazowy nakład egzemplarzy miały „Biuletyn Informacyjny" (20–28 tys.), „Rzeczpospolita Polska" (5–10 tys.), „Robotnik" (5–10 tys.), „Walka" (6 tys.), „Barykada Powiśla" (3–5 tys.). Zdaniem Władysława Bartoszewskiego światło dzienne w powstaniu ujrzały co najmniej 134 tytuły prasowe, według Ryszarda Bzinkowskiego było ich 167. Szacuje się, że powstańcza działalność prasowa spoczywała w rękach blisko 250 dziennikarzy.

Prasa stała się podstawowym przekaźnikiem najważniejszych informacji. Na jej łamach publikowano rozkazy, odezwy, zarządzenia i komunikaty dowództwa oraz władz cywilnych. Informowano o działalności poczty, godzinach i falach nadawania audycji radiowych, punktach poboru wody pitnej, szpitalnych punktach zabiegowych, punktach zbiorczych dla zaginionych dzieci oraz miejscach zbioru produktów spożywczych dla dzieci i niemowląt. Ponadto ogłaszano apele dla krwiodawców oraz przedstawiano listy osób zaginionych. Do ważnych tematów goszczących na łamach prasy należały kwestie sanitarne oraz działalność władz cywilnych i Obrony Przeciwlotniczej, a także sprawy bezpieczeństwa społecznego i walki z pożarami. Za pośrednictwem prasy piętnowano wszelkie patologie (pijaństwo, przemoc, kradzieże, rabunki, prostytucję, dekownictwo, paskarstwo). Publikowano wyroki Wojskowego Sądu Specjalnego wydawane na burzycieli porządku, dezerterów, kolaborantów. Pisano o sytuacji na frontach światowych, podawano informacje z zagranicy, publikowano doniesienia dotyczące życia na różnych ziemiach polskich. Interesowano się postawą zagranicy wobec powstania, pisano o cudzoziemcach w szeregach powstańczych.

Dużo miejsca poświęcono na informacje frontowe z różnych dzielnic Warszawy, podkreślając przede wszystkim największe powstańcze sukcesy. Pisano o postępach ofensywy niemieckiej i o śmierci bohaterów: kpr. Antoniego Godlewskiego „Antka Rozpylacza", kpt. Jana Jaroszka „Proboszcza", Zbigniewa Banasia „Banana" i in. Pisano o lotniczych zrzutach materiałowych sowieckich i alianckich. Interesowano się relacjami aliancko-sowieckimi oraz polsko-sowieckimi. Ważne miejsce na łamach prasy zajmowała publicystyka i reportaże. Ewenementem była działająca na Żoliborzu prasa dziecięca („Jawnutka", „Dziennik Dziecięcy") niosąca otuchę, treści patriotyczne i próbująca pomóc najmłodszym w zrozumieniu powstania i rozgrywających się wokół tragedii.

Żołnierz Zgrupowania „Żaglowiec" kpr. pchor. Włodzimierz Hermanowski „Junosza" powiedział, że działalność prasy „była ogromną pomocą dla naszego ducha walki". A z kolei Janusz Krasicki, wówczas dwunastolatek przebywający z rodziną w Śródmieściu południowym, wspominał: „Ta lektura powstańczej prasy wyrobiła [we] mnie jakieś przeświadczenie, że właściwie cała Polska walczy".

Funkcjonowanie powstańczych mediów było przykładem umiejętnego wykorzystania wiedzy technicznej i skutecznej działalności przy niedoborach sprzętu. Warto zwrócić uwagę na fenomenalną organizację kompetentnych zespołów i ich fachowość. Mimo klęski, media wyszły z tej bitwy zwycięsko. Nie zostały zagłuszone przez wroga, a ich oddziaływanie sięgnęło przestrzeni międzynarodowej.

eprasa.pl e7683f73ec



Uroczysta akademia z okazji 15 sierpnia na podwórzu kamienicy przy ul. Marszałkowskiej 156

Fot. Joachim Joachimczyk „Joachim", Zbiory MPW

Śpiewali na barykadach

Podczas jednej ze swoich mów Cyceron stwierdził, że „inter arma silent Musae", co należy przetłumaczyć, że podczas wojny milkną muzy. Antyczny mistrz się mylił. Podczas Powstania Warszawskiego na ulicach miasta można było znaleźć wielu artystów



RAFAŁ BRODACKI

Początek powstania zastał przedstawicieli warszawskiego środowiska artystycznego rozsianych po różnych punktach miasta. Wielu z nich zostało zaskoczonych rozpoczęciem walk i dołączało do najbliższych oddziałów. Szybko jednak rozpoczęli organizować działalność kulturalną skierowaną do żołnierzy i cywilów.

LEGITYMACJA OD „KOWALIKA"

W tym samym czasie jawną działalność kulturalną rozpoczęły agendy cywilnego pionu Polskiego Państwa Podziemnego. Warto tu wspomnieć o kierowanym przez Józefa Zarembę Dziale Kultury i Sztuki, wchodzącym w skład Departamentu Oświaty i Kultury Delegatury Rządu RP na Kraj. Do chwili rozpoczęcia powstania Dział Kultury i Sztuki składał się z trzech wydziałów: oświaty dorosłych, wydawnictw i artystycznego. Kierownikowi tego ostatniego podporządkowano zespoły zawodowe gromadzące specjalistów z zakresu muzealnictwa, archiwistyki, bibliotek, muzyki oraz sztuk plastycznych, a także literatury i teatru.

Obok cywilnych struktur artystycznych na ulicach walczącego miasta działali twórcy podporządkowani kierowanemu przez kpt. Tadeusza Żenczykowskiego „Kanię" Wydziału Propagandy Biura Informacji

eprasa.pl e7683f73ec

i Propagandy KG AK. 18 sierpnia 1944 r. dowódca Powstania Warszawskiego płk Antoni Chruściel „Monter" wydał rozkaz numer 17. Na jego podstawie wszelka działalność artystyczna na terenie Warszawy została podporządkowana Wydziałowi Propagandy BIP KG AK. 31 sierpnia ukazało się zarządzenie dotyczące obowiązku rejestracji w Wydziale Propagandy wszelkich imprez kulturalnych, takich jak koncerty, odczyty, przedstawienia itp.

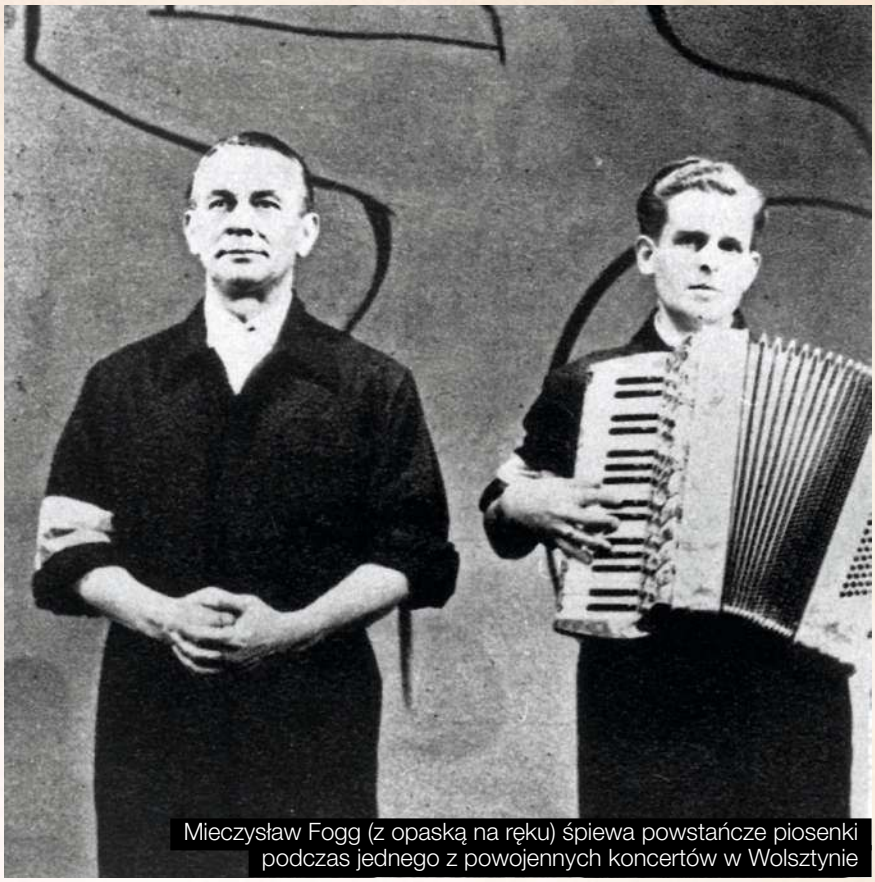
Każdy twórca artystyczny, który chciał występować przed frontem żołnierzy, musiał być zaopatrzony w legitymację sygnowaną przez „Kowalika". W samym tylko Śródmieściu wystawiono 48 takich dokumentów. Nie chodziło o cenzurę, lecz o to, żeby uniemożliwić wejście w struktury artystyczne ludzi powszechnie uznanych za niegodnych występowania przed wojskiem. Ta wstępna weryfikacja miała im uniemożliwić wejście w struktury powstańcze. Gdyby bowiem im się udało, mogliby próbować zatrzeć swoją niecną działalność z okresu okupacji, dążąc do upamiętnienia siebie jako patriotycznie nastawionego artysty występującego przed szeregami powstańczymi.

Jak się oblicza, do 22 sierpnia 1944 r. zorganizowano co najmniej 35 koncertów, z czego prawie połowa była wynikiem oddolnej aktywności samych artystów. Odbywały się one w najróżniejszych miejscach. Artyści pokazywali swój kunszt w mieszkaniach prywatnych, w kwaterach powstańczych, sztabach, gospodach żołnierskich i jadłodajniach cywilnych, szpitalach. Znane są nawet przypadki dawania koncertów na placówkach położonych bezpośrednio na linii frontu!

Największym wydarzeniem artystycznym w czasie Powstania Warszawskiego było Święto Żołnierza 15 sierpnia. Na terenach opanowanych przez powstańców zorganizowano wtedy akademie połączone z podniosłymi mszami polowymi. Z kolei 3 września odbyły się uroczystości upamiętniające wybuch II wojny światowej.

PIOSENKARZE I POECI

Pośród artystów była m.in. Mira Zimińska, która od trzeciego dnia powstania



Mieczysław Fogg (z opaską na ręku) śpiewa powstańcze piosenki podczas jednego z powojennych koncertów w Wolsztynie

Fot. Autor nieznany/MPW

śpiewała piosenki patriotyczne, podtrzymujące powstańców na duchu. Miała opracowany cały repertuar piosenek, do których teksty pisali m.in. Andrzej Nowicki i Tadeusz Sygietyński. Za tego ostatniego w późniejszych latach wyszła za mąż. Zimińska koncertowała w wielu miejscach, m.in. w gmachu liceum im. Stanisława Staszica, które wtedy mieściło się przy ul. Polnej. Zdarzało jej się też przybywać do gmachu Politechniki Warszawskiej, gdzie swoje kwatery mieli żołnierze z 3 Batalionu Pancernego AK „Golski".

W szeregach tej formacji służył też Mieczysław Fogiel, znany bardziej pod nazwiskiem Fogg, wtedy starszy strzelec o pseudonimie Ptaszek. Odbywał regularną służbę wartowniczą na ul. Lwowskiej. Szybko się zorientował, że to nie jego powołanie. Zgłosił się więc do dowódcy batalionu kpt. Stefana Golędzinowskiego „Golskiego" i poprosił o przeniesienie. Chciał służyć w sposób, w jaki umiał najlepiej – śpiewając. Dowódca batalionu nie był jednak zbyt chętny pozbyć się Fogga z szeregów. Kazał mu zapomnieć o śpiewaniu i nakazał powrócić do służby wartowniczej.

Fogg był jednak uparty. W końcu zdołał przekonać „Golskiego", żeby ten pozwolił mu śpiewać. „Ptaszek" wraz z Mirą Zimińską i innymi artystami miał stworzyć zespół artystyczny. Ich zadaniem było przemieszczać się z miejsca na miejsce i dawać radość ludziom. Oddziałowymi artystami opiekował się strz. z cenz. Janusz Wakar „Jurgis".

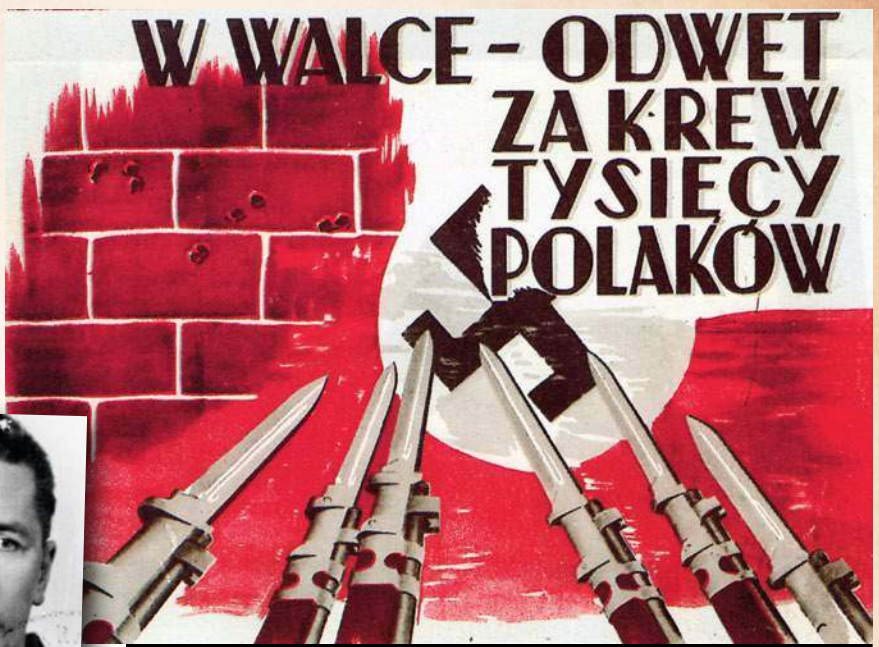
Działalność zespołu była podporządkowana Biuru Informacji i Propagandy KG AK. Każdorazowo śpiewacy otrzymywali rozkaz zorganizowania uroczystości w konkretnych miejscach. Zazwyczaj były to kwatery żołnierskie lub szpitale. Wkrótce działalność kierowanego przez „Jurgisa" zespołu rozszerzyła się na cały teren zajęty przez Batalion „Golski" oraz przez okoliczne oddziały. Jak wyliczył łącznik z BIP, sam Fogg zaśpiewał 104 razy.

Była to liczba oficjalna. Nieoficjalna zapewne jeszcze większa, jako że

eprasa.pl e7683f73ec

„Ptaszek", znany przed wojną piosenkarz, był częstokroć zatrzymywany w przygodnych miejscach i proszony o zaśpiewanie choćby jednej piosenki. Rzadko odmawiał. Za to, że tak dzielnie podtrzymywał na duchu żołnierzy i cywilów, otrzymał Złoty Krzyż Zasługi z Mieczami.

Nie byli to jednak jedyni artyści, którzy podówczas przebywali w walczącym mieście, a zespołów artystycznych było dużo więcej. Ppor. Bronisław Rutkowski „Korycki" zorganizował chór rewelersów. Działała także drużyna śpiewacza pod dowództwem Zbigniewa Krukowskiego. Zygmunt Laskowski sformował kwartet. Zdołali oni zebrać pod swoimi auspicjami najwybitniejszych przedstawicieli ówczesnej muzyki. Pośród nich byli nie tylko piosenkarze, lecz i znani kompozytorzy oraz poeci. Używający podówczas pseudonimu „Janosik" Jan Ekier grał utwory Chopina. Z okazji Święta Żołnierza 15 sierpnia dał niezapomniany koncert w auli głównej Politechniki Warszawskiej. On także skomponował melodię do powstańczej piosenki „Szturmówka", do której tekst ułożył poeta Stanisław Ryszard Dobrowolski „Goliard". On też napisał słowa do innej piosenki pt. „Warszawskie dzieci".



Plakat autorstwa Stanisława Tomaszewskiego „Miedzy", obok on sam poniżej powstaniec przyglądający się plakatowi w powstańczej Warszawie

Fot. MPW





Fot. Joachim Joachimczyk „Joachim"/MPW

Pośród żołnierzy walczących z bronią w ręku zdarzali się poeci. Choćby Krzysztof Kamil Baczyński „Krzyś", uznawany obecnie za jednego z najwybitniejszych poetów tworzących w okresie okupacji. Działalność literacką łączył ze służbą konspiracyjną w Batalionie „Zośka". 27 kwietnia 1944 r. brał udział w wykolejeniu pociągu na linii Tłuszcz–Urle. Przechowywał też część broni oddziału. Ukończył szkołę podchorążych rezerwy Agricola ze stopniem kaprala podchorążego. Podczas powstania, odcięty od macierzystego oddziału, dołączył w okolicach pl. Teatralnego do Batalionu „Gozdawa". Zginął 4 sierpnia 1944 r. podczas obrony Pałacu Blanka.

Nie sposób zapomnieć o plut. pchor. Józefie Szczepańskim „Ziutku". Swój szlak bojowy, jako dowódca drużyny w Batalionie „Parasol", rozpoczął na Woli, gdzie brał m.in. udział w obronie kompleksu Młynów Michlera przy ul. Wolskiej. Tam też napisał swoją sławną piosenkę pt. „Pałacyk Michla, Żytnia Wola". Kiedy ze swoim oddziałem był zaś na Starym Mieście, napisał swój drugi słynny wiersz – „Czerwona zaraza". Dał w nim upust swojej rozpaczy, kiedy się dowiedział, że Armia Czerwona stanęła na przedpolach Pragi.

W okresie Powstania Warszawskiego zdążył napisać jeszcze kilka wierszy. Przetrwały one dłużej niż on sam. 1 września 1944 r. został bowiem ciężko ranny na ul. Barokowej podczas osłaniania odwrotu powstańców ze Starego Miasta. Wyniesiony kanałem do Śródmieścia. Tam zmarł z powodu ran 10 września 1944 r. Powstania nie przeżyli też poeci Tadeusz Gajcy i Zdzisław Leon Stroiński. Obaj polegli 16 sierpnia zasypani gruzami jednej ze staromiejskich kamienic.

eprasa.pl e7683f73ec

PLASTYCY DLA DZIECI

W ramach Wydziału Propagandy BIP KG AK sformowano w Śródmieściu Grupę Plastyków. Kierowany przez ppor. Mieczysława Jurgielewicza, używającego pseudonimu prof. Henryk, oddział opracowywał m.in. plakaty powstańcze. Sam „prof. Henryk" opracował m.in. plakat zachęcający do walki w szeregach AK. On także zaprojektował afisz z hasłem „Mleko dla dzieci – one musza przetrwać".

Plakaty malował także kpr. Stanisław Tomaszewski „Miedza". Jest on autorem tego ze sławnym hasłem „W walce – odwet za krew tysięcy Polaków". Kapral „Miedza", wraz z ppor. Marianem Sigmundem, zaprojektował całą serię powstańczych znaczków. Ilustracje i grafiki tworzyli też inni. Warto tu wspomnieć m.in. Jana Szancera, znanego grafika i rysownika, który m.in. zaprojektował oprawę graficzną do jednego z numerów „Biuletynu Informacyjnego". Oprócz tego działający w BIP plastycy służyli swoją wiedzą i umiejętnościami podczas tworzenia opraw do różnych uroczystości powstańczych.

Równie intensywnej działalności nie rozwinął tworzony w ramach BIP KG AK Teatr Żołnierski ani muzycy z referatu muzycznego. Dołączyli oni do innych oddziałów podległych Biuru Informacji i Propagandy. Takie były chociażby losy Olgierda Straszyńskiego „Wesołowskiego", który współpracował z redakcją radiostacji Błyskawica.

W zespole obsługującym stację foniczną Armii Krajowej byli także członkowie referatu literackiego Wydziału Propagandy BIP KG AK. Stanisław Dobrowolski „Goliard", autor tekstu do sławnych powstańczych piosenek „Warszawskie dzieci" i „Szturmówka", pisał wiersze, które puszczano w eter. Jego kolega z referatu Aleksander Maliszewski był reporterem. We wrześniu do ekipy radiostacji Błyskawica dołączył ppor. Tadeusz Mikulski „Krasicki", w konspiracji szef referatu wydawniczego Wydziału Propagandy BIP KG AK.

Stacja AK Błyskawica była jedyną podówczas działającą stacją nadawczą nadającą bezpośrednio z pola walki. Oprócz informacji dotyczących sytuacji bojowej na falach radiowych nadawano także audycje kulturalne.



Operator Ryszard Szope (po prawej w berecie) z bratem Edwardem podczas posiłku w kwaterze filmowców przy ul. Szpitalnej 8

Fot. Henryk Vlassak/MPW



Powstańczy fotoreporterzy na podwórzu kamienicy przy ul. Wilczej 69

Fot. Stanisław Bala „Giza"/MPW

FILMOWCY I FOTOGRAFOWIE

W powstaniu brały także udział ekipy Filmowych Sprawozdawców Wojennych, którzy byli zgrupowani w referacie filmowym Wydziału Propagandy BIP KG AK. Nakręcili oni ponad 300 tys. m taśmy filmowej. Najciekawsze fragmenty stały się podstawą do zmontowania trzech edycji kronik powstańczych, które były wyświetlane w kinie Palladium przy ul. Złotej 7/9.

Do naszych czasów przetrwały jedynie fragmenty z nakręconych filmów. Około 6,6 tys. m wywiózł na Zachód oficer BIP KG AK por. Zdzisław Jeziorański „Jan Nowak", nazywany też Kurierem z Warszawy. Część nakręconych materiałów przetrwała także ukryta pod podłogą jednego z garaży przy ul. Wilanowskiej. Obok filmowców na ulicach miasta można także było spotkać Polowych Sprawozdawców Wojennych, którzy wykonali setki zdjęć dokumentujących przebieg Powstania Warszawskiego. Warto pamiętać o por. Eugeniuszu Lokajskim „Broku" z kompanii Koszta czy por. Stefanie Bałuku „Kubusiu", który miał za sobą służbę m.in. w Batalionie „Pięść", których fotografie zachowały się do dziś.

eprasa.pl e7683f73ec

Odbić BGK, przebić się na Pragę

Budynek centrali BGK przez cały okres Powstania Warszawskiego zajmowali Niemcy. Niezwykły plan przejęcia budynku przywołuje w swoich wspomnieniach jeden z powstańców, walczący w okolicy gmachu. Wynika z nich, że siedziba centrali BGK mogła mieć podziemne połączenie z Dworcem Głównym lub tunelem kolejowym pod Al. Jerozolimskimi

W dzienniku bojowym prowadzonym przez kpt. Lucjana Fajera ps. Ognisty (1904-1984), zastępcy dowódcy Batalionu „Gozdawa", pod datą 29 września 1944 r. znajdują się zapiski dotyczące gmachu BGK przy Al. Jerozolimskich. W związku z odkryciem przez jednego z oficerów „Gozdawy" na rogu ul. Brackiej i Al. Jerozolimskich (po parzystej stronie) wejścia do podziemnego tunelu kolejowego łączącego Dworzec Główny (obecnie Dworzec Śródmieście) z wylotem na Powiśle, 26 września 1944 r. dowództwo kompanii „Gozdawa" opracowało plan przebicia się na Pragę przez tunel kolejowy. Plan zakładał opanowanie tunelu kolejowego oraz gmachu BGK, a następnie nocną ewakuację Al. 3 Maja (obecnie odcinek Al. Jerozolimskich pomiędzy skrzyżowaniem z Nowym Światem i mostem Poniatowskiego) oraz kolejowym tunelem w kierunku ul. Solec. Następnym krokiem miało być przebicie się na brzeg Wisły pomiędzy mostem Poniatowskiego, a mostem kolejowym i stamtąd na praski brzeg Wisły.

Zostały sporządzone plany uderzenia. 30 września kpt. Gozdawa wysyła ściśle tajny meldunek następującej treści: „Nawiązując do mego wczorajszego planu akcji bojowej poprzez tunel, melduję, że wejście do tunelu już odkryłem i wobec tego plan podany przeze mnie można już zrealizować, a mianowicie:

1) Opanowanie wylotu tunelu przy moście Poniatowskiego z jednoczesnym uderzeniem naziemnym i podziemnym na BGK, a następnie Muzeum Narodowe i stworzenie przy wylocie tunelu i Alei 3 Maja przyczółka mostowego, albo

2) Uderzenie naziemne nocne na BGK, z jednoczesnym wdarciem się do tego obiektu przejściem podziemnym tunelu kolejowego i opanowanie BGK, albo

3) Stworzenie przy wejściu do tunelu kolejowego silnej placówki, która by całkowicie uniemożliwiła Niemcom korzystanie z tunelu.

W wypadku zrealizowania punktu 1 względnie 2 należałoby uprzednio przygotowanym materiałem wybuchowym wybudować w tunelu natychmiast silna barykadę od strony Dworca Głównego. Melduje, że dojście do tunelu znajduje się w naszych rękach i jest bardzo wygodne (schodki). Meldując o powyższym proszę Pana Kapitana o przedstawienie mego planu wyższemu Dowództwu, ponieważ nie mam potrzebnych ku temu środków i odpowiednio silnych oddziałów w dyspozycji. Z uwagi na możliwość zorientowania się Niemców, ze dojście do tunelu jest nam znane, proszę o potraktowanie mego meldunku jako bardzo pilny". Tego samego dnia nadeszła od-



Fot. Henryk Poddębski | 43/0719/F

powiedź podpisana przez dowódcę Zgrupowania „Sosna" kpt. Kmitę: „Sprawę przejścia utrzymać w maksymalnej tajemnicy. Rozpracowaniem uderzenia na szerszą skalę – z wykorzystaniem tej drogi zajmiemy się jutro. Dzisiaj wieczorem będę u Pana o godz. 21 celem obejrzenia dojścia".

W ostatnim meldunku w tej kwestii, wysłanym do dowódcy Zgrupowania „Sosna" 1 października 1944 r., kpt. Gozdawa napisał m.in., że „jedno z dwóch przejść do wiadomego obiektu zostało ubiegłej nocy zasypane, jedno zaś nadal pozostaje wolne. Wobec powyższego istnieje pewność, że to miejsce odwiedzane jest również przez Niemców od dołu, ewentualnie wykorzystywane jest przez szpiegów niemieckich". Pod datą 1 października kpt. Lucjan Fajer w swoim dzienniku zapisał, że „w ostatnich trzech dniach wypadki potoczyły się tak szybko, ze sprawa projektowanego przebicia się naszych oddziałów na Pragę została widocznie przez wyższe dowództwo odłożona ad acta". W nocy z 2 na 3 października 1944 r. Powstanie Warszawskie zakończyło się podpisaniem aktu kapitulacji.

Z cytowanych we wspomnieniach dokumentów wynika więc, że istniało podziemne połączenie siedziby centrali BGK z Dworcem Głównym lub tunelem kolejowym.

Po zakończeniu walk Niemcy przystąpili do rabunku budynku BGK. 30 mln zł, które w znajdowało się w skarbcu, wywieźli do Krakowa, a po kapitulacji do Austrii, gdzie słuch o nich zaginął. Gmach centrali jako jeden z niewielu nie został wysadzony w powietrze przez wojska niemieckie, które dzieła metodycznego niszczenia Warszawy kontynuowały niemal do wkroczeniem oddziałów I Armii Wojska Polskiego 17 stycznia 1945 r.

eprasa.pl e7683f73ec



Grupa powstańców z kompanii „Janusz” Batalionu „Harnaś” i żołnierze Korpusu Bezpieczeństwa przy barykadzie na skrzyżowaniu Siennej z Wielką

Kto pilnował porządku w powstańczym państwie

Do najpoważniejszych wykroczeń czasu powstania należały dzikie rekwizycje dokonywane przez wojskowych i rabunki przeprowadzane przez szabrowników. Ale dobra współpraca organów wojskowych i cywilnych, pozwalająca zwalczać przestępczość pospolitą i spekulację, spychała te zjawiska na margines

eprasa.pl e7683f73ec



PAWEŁ BRUDEK

Powstanie Warszawskie wybuchło pod koniec piątego roku niemieckiej okupacji. Tak długi czas pozwolił przywódcom Polskiego Państwa Podziemnego na przygotowanie teoretycznych i prawnych podstaw systemu porządku publicznego na wypadek powszechnego powstania przeciwko okupantom. Dążono do skutecznej ochrony żołnierzy przyszłej insurekcji i cywilnej ludności. Zadanie organizowania bezpieczeństwa w mieście powierzono zarówno strukturom cywilnym, jak i wojskowym. W ramach Armii Krajowej podstawową komórką mającą zaradzić chaosowi na tyłach była Wojskowa Służba Ochrony Powstania (WSOP) oraz polowa żandarmeria wojskowa. Specjalne zadania przewidywano również dla Wojskowego Korpusu Służby Bezpieczeństwa (WKSB).

Bezcenne doświadczenia gromadził intensywnie działający w czasie okupacji podziemny wymiar sprawiedliwości, a zwłaszcza konspiracyjne sądownictwo. Intensywnie do pracy w przyszłej oswobodzonej stolicy przygotowywała się Okręgowa Delegatura Rządu Rzeczypospolitej Polskiej na Warszawę, jako zwierzchnik cywilny z ramienia Rządu na Wychodźstwie w Londynie. Kontrolą bezpieczeństwa miały się zajmować Wydział Bezpieczeństwa Departamentu Spraw Wewnętrznych, Inspektorat Główny Państwowego Korpusu Bezpieczeństwa (policja konspiracyjna) oraz Komenda PKB miasta Warszawy, obok nich zaś wyspecjalizowane jednostki kontrwywiadowczo-śledcze, takie jak Urząd Śledczy PKB miasta stołecznego Warszawy i „Start" – Ekspozytura Urzędu Śledczego Delegatury Rządu i Komendy Głównej AK.

W Armii Krajowej pracowano również nad organizacją służby jenieckiej (obozy zbiorcze, oddziały pracy przymusowej), co umożliwiło późniejsze wykorzystanie do pracy niemieckich jeńców po wybuchu walk, zapewnienie im kwater, aprowizacji i opieki medycznej. Do skutecznej organizacji życia na zapleczu walk przywiązywano wielkie znaczenie, bo również od tego zależało zwycięstwo w powstaniu.

OPANOWANIE CHAOSU

Chaos, z którym przyszło się zmierzyć strukturom bezpieczeństwa, wynikł z ich zbyt późnej mobilizacji do powstania. Według Stanisława Salmonowicza wpłynęła na to nagłość samej decyzji Komendy Głównej AK, by powstanie rozpoczynać 1 sierpnia, oraz przeniesienie godziny jego wybuchu na 17.00 z dotychczas ustalonych godzin nocnych. Kierownictwo Delegatury Rządu powtarzało, że władze cywilne potrzebują przynajmniej 12 lub 24 godzin od chwili opanowania stolicy przez Armię Krajową, by zdążyć uruchomić cywilną administrację.

Niespodziewany wybuch opóźnił wejście do akcji Państwowego Korpusu Bezpieczeństwa. Sytuację pogorszyły wadliwy przepływ informacji i słaba koordynacja działań na szczeblu średnich struktur AK i Okręgowej Delegatury Rządu. Zbyt późno mobilizowały się również żandarmeria AK oraz WSOP. W ten sposób zaprowadzanie bezpieczeństwa na opanowanych terenach wydłużyło się aż do 10 sierpnia. Tylko dzięki ogromnej pracy organizacyjnej w okresie poprzedzającym powstanie kryzys został na większości terenów opanowany i wytworzył się ład, który dotrwał do końca powstania.

Podstawowym źródłem zagrożenia dla stanu bezpieczeństwa były ataki Niemców, których bombardowania destabilizowały sytuację, powodując wybuchy paniki, chaotyczną ucieczkę ludności i szerzenie przez nią nastrojów defetystycznych; fala uchodźców wywoływała również konflikty z tymi, którzy mieli ich teraz przyjmować. Trudno ocenić skalę destabilizujących działań ze strony niemieckich dywersantów, tzw. gołębiarzy, terroryzujących ludność, oraz niemieckiej agentury na terenach powstańczych (volksdeutsche służący w niemieckich jednostkach wojskowych i policyjnych, konfidenci gestapo).

Kluczową sprawą był stopień zorganizowania się w terenie instancji wojskowych i cywilnych. Przestępczość pospolita była praktycznie wyeliminowana na terenie, gdzie samorządy domowe i komitety blokowe ściśle współdziałały z PKB (jako policją Delegatury Rządu na Kraj) oraz z AK. Najlepiej to zafunkcjonowało na Powiślu oraz na Żoliborzu (cywilne władze dzielnicy powołały tam milicję w postaci Straży Bezpieczeństwa). Znaczącą rolę odgrywała kwestia składu społecznego dzielnicy i sytuacja uciekinierów z innych dzielnic, których należało otoczyć opieką.

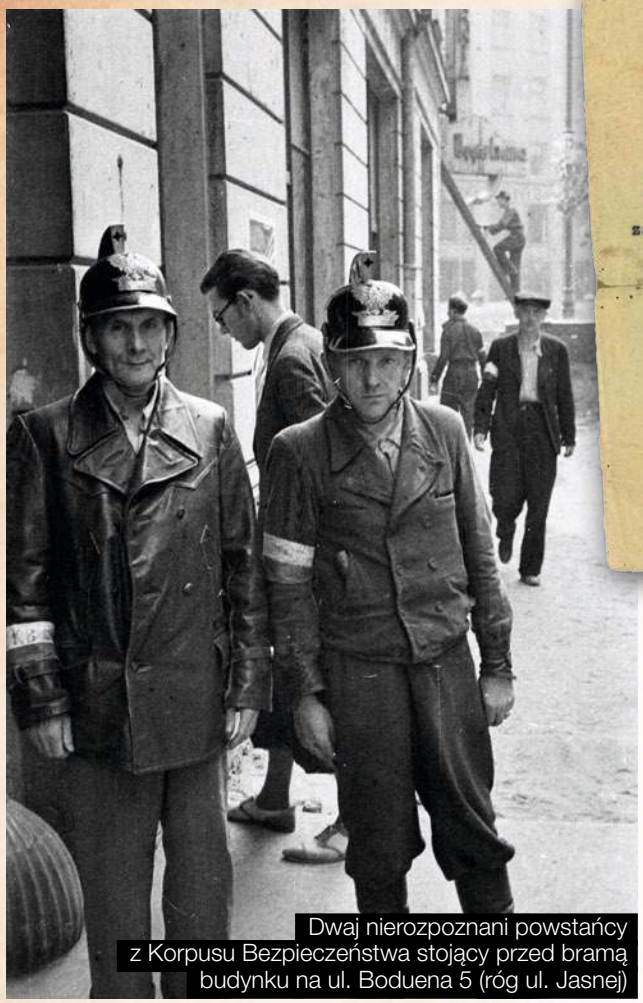
W POWSTAŃCZYCH REALIACH

Warunkiem sprzyjającym bezpieczeństwu była dobra współpraca organów wojskowych i cywilnych, pozwalająca zwalczać przestępczość pospolitą i spekulację. Zjawiska te, choć obecne i wywierające wpływ, to zdaniem Janusza Marszalca zawsze stanowiły margines. Pojawiały się jednakże nieprzewidziane wcześniej konflikty między służbami (Marszalec opisuje przypadki przetrzymywania w komisariatach PKB pracowników kontrwywiadu AK, z kolei w aresztach żandarmerii polowej AK funkcjonariuszy PKB) oraz podejrzliwość, która mogła skutkować zatrzymywaniem i przesłuchiwaniem zwykłych cywilów. Drastyczną formą samowoli były samosądy na volksdeutschach. Kwestie ścigania domniemanych zdrajców zostały jednakże uregulowane stosownymi procedurami przez krzepnące władze wojskowe, służby policyjne i sądy.

Do najpoważniejszych wykroczeń czasu powstania należały dzikie rekwizycje dokonywane przez wojskowych i rabunki przeprowadzane przez szabrowników. W Śródmieściu kradzieżom zapobiegano, wprowadzając stałe legitymowanie w bramach i przejściach obcych przez członków służb porządkowych złożonych z miejscowych lokatorów. W Śródmieściu Południowym obcych – czyli uciekinierów – było najmniej, z uwagi na trudność przedostawania się przez Aleje Jerozolimskie, nacisk Niemców na tę dzielnicę również był najsłabszy. Utrzymywała się dyscyplina, lecz złamał ją oficer kontrwywiadu AK Czesław Mekiński „Gryf Pomorski",

Fot. Marian Grabski, „Wywrotowiec", MPW

eprasa.pl e7683f73ec



Dwaj nierozpoznani powstańcy z Korpusu Bezpieczeństwa stojący przed bramą budynku na ul. Boduena 5 (róg ul. Jasnej)

Fot. Marian Grabski „Wyrwa", MPW



Warszawa, dnia 26.8.44

KOMISARJAT XI

146/44

Zaświadczam, że P. Gazda Józef

zam przy ul. Piwna XI 47a jest Owiany do służby

Zastępca

P.K.B. i o.r. jako Komendanta Domu ... 47a przy

Ul. Piwna XI 47a.

Niniejsze zaświadczenie jest ważne do odwołania.

Kierownik XI Komisariatu P. K. B.

/-/ Serafinek dem.

porucznik.

Fot. Z archiwum rodzinnego Marzanny de Latour

który poza aresztowaniami volksdeutschów i konfidentów dopuszczał się rabunków i nielegalnych likwidacji. Ekscesom grupy Mekińskiego kres położył Wojskowy Sąd Specjalny, który aresztował go wraz z 18 podkomendnymi. Mekiński oraz jego dwóch podwładnych zostało skazanych na śmierć. Wyrok wykonano.

Przestępczość na Powiślu udało się ukrócić dzięki dobrej samoorganizacji mieszkańców. Wielkie problemy wywoływały napady uzbrojonych grup na Czerniakowie. Władze cywilne i żandarmeria polowa AK były na tyle słabe, że społeczeństwo Czerniakowa samo zorganizowało grupy samoobrony. Uzbrojone oddziały lokatorów działające w porozumieniu z dowództwem AK zaprowadziły porządek, w dzielnicy powołano także Wojskowy Sąd Specjalny. Działania te zabezpieczyły wnętrze dzielnicy i pozwoliły AK na zorganizowanie skutecznej obrony przed skoncentrowanym szturmem niemieckim.

Trudna sytuacja pod względem bezpieczeństwa panowała na przeludnionych terenach północno-zachodniego Śródmieścia, gdzie panowały ciężkie warunki pod względem aprowizacji i zakwaterowania zaostrzone przez przybycie fali uchodźców. Słaba i pozbawiona inicjatywy administracja cywilna nie radziła sobie zwłaszcza z pogorzelcami. Dochodziło tam do rabunków, zburzone domy stały się łatwym łupem dla szabrowników. Szczególnym problemem na Śródmieściu stały się zaniedbania kwatermistrzostwa w zakresie zdobycia zaopatrzenia dla ciężko doświadczonych żołnierzy, którzy przebili się ze Starego Miasta. Wygłodniali żołnierze dokonali samowolnej rekwizycji żywności w sklepie Braci Pakulskich po sterroryzowaniu żandarmów i funkcjonariuszy PKB. Zaangażowanie tych żołnierzy na pierwszej linii i poprawa w zaopatrywaniu walczących pozwoliły na zażegnanie kryzysu.

Narastającym zjawiskiem było podszywanie się szabrowników pod wojsko; znajomość terenu pozwalała im na składowanie zrabowanych przedmiotów w odpowiednio przygotowanych kryjówkach. Chaos zwiększały fale uciekinierów, w których tłumie łatwo było się ukryć.

Stare Miasto jest przykładem dzielnicy w ogromnym stopniu narażonej na oddziaływanie niemieckiej broni, a zarazem odznaczającej się wysoką dyscypliną wśród mieszkańców i dobrym funkcjonowaniem służb porządkowych w postaci Milicji Powstańczego Pogotowia i Socjalistów. Napięcie wywołane życiem w sytuacji ciągłego oblężenia i szok wskutek narastających strat ludzkich doprowadziły jednak ludność na skraj wytrzymałości psychicznej i fizycznej, co objawiało się samowolnym wywieszaniem przez cywilów białych flag, a nawet próbami rozbierania barykad powstańczych, co mogło mieć fatalne skutki dla obrony dzielnicy. Dodatkowym czynnikiem podminowującym nastrój był zakaz dowódcy obrony Starego Miasta płk. Karola Ziemskiego „Wachnowskiego" ewakuacji kanałami dla osób bez ważnych przepustek. Rozkaz zrozumiały z wojskowego punktu widzenia (utrzymanie drożności kanałów jako ostatniej drogi ewakuacji) doprowadził jednak do poważnych starć ludności z pilnującą włazów żandarmerią na czele z mjr. Włodzimierzem Kozakiewiczem „Barrym" i desperacji, objawiającej się decyzją wielu tysięcy mieszkańców, by za zgodą powstańczego dowództwa przejść przez niemieckie linie podczas krótkotrwałego zawieszenia

eprasa.pl e7683f73ec

broni. Strona powstańcza wiedziała, że ludność stanowi dla Niemców źródło informacji na temat sytuacji militarnej na tyłach pierwszej linii. Obawiano się także, że masowa ewakuacja cywilów może doprowadzić do załamania się morale żołnierzy. Brutalne incydenty między ludnością a władzami powstańczymi na Starym Mieście pod koniec sierpnia były najostrzejszymi tego typu zdarzeniami w powstaniu, jednakże, co podkreśla Janusz Marszalec, nigdzie nie doszło do masowych wystąpień i celowego działania cywilów przeciwko powstańczej władzy.

Ludność staromiejska zarazem wykazała się ogromną odpornością na skutki życia w samym środku walk; podobne doświadczenia miała ludność Mokotowa, która jednakże w ostatniej dekadzie września ulegała załamaniu, samowolnie wywieszając białe flagi. Przypadki takie władze zwalczały, zrywając flagi i aresztując sprawców. Tam również niezdolni już do dalszej egzystencji w piwnicach ludzie opuścili dzielnicę w toku wynegocjowanej od Niemców przerwy w walkach i skoordynowanej ewakuacji.

W sytuacji braku zmasowanych ataków niemieckich na Żoliborz powstańcze organa bezpieczeństwa osiągnęły tam najwyższy stopień rozwoju. Załamywanie się nastrojów i demoralizacja ujawniły się tam dopiero pod koniec powstania. Źródłem największych problemów byli tzw. barakowcy –ludzie z marginesu społecznego, pozbawieni dachu nad głową po spaleniu przez bomby baraków na ul. Felińskiego, którzy koczowali w starym forcie Sokolnickiego. Dochodziło tam do jawnego sabotowania władzy powstańczej i ataków na zamożniejszą ludność cywilną Żoliborza. Po stwierdzeniu, że szajki przestępcze w tym rejonie rabują broń ze zrzutów sowieckich przeznaczoną dla powstańców, przystąpiono do akcji jej odbierania. Oddziały Wojskowe Polskiej Partii Socjalistycznej oraz żandarmeria AK staczały wręcz potyczki z uzbrojonymi rabusiami. Jednocześnie zapewniano opiekę nad cywilami masowo chroniącymi się w forcie przed bombardowaniami, tuż przy dowództwie i szpitalu powstańczym.

MORALE ŻOŁNIERZY

Zasadniczą wagę dla kwestii bezpieczeństwa publicznego w powstańczej Warszawie miało morale powstańców. Armia powstańcza przeszła w toku dwumiesięcznej insurekcji poważną ewolucję – od ideowej i bohaterskiej ochotniczej formacji zbrojnej, nabierającej kształtu w trakcie działań i zdyscyplinowanej w zróżnicowanym stopniu, do armii karnej i sprawdzonej w warunkach skrajnie ciężkiej walki ze zdeterminowanym przeciwnikiem. Stanisław Salmonowicz twierdzi wręcz, że tak wysokie morale, jakim odznaczała się AK w takich realiach, było nie do osiągnięcia w jakiejkolwiek innej armii podczas II wojny światowej. Postawa ta zależała jednakże od jakości dowodzenia – najlepsze były jednostki mające charyzmatycznych dowódców, którzy narażali swoje życie na równi z żołnierzami. Uśmierzało to objawy paniki czy niesubordynacji. Zauważalne są przy tym niekiedy drakońskie kary za naruszenia dyscypliny w AK stosowane przez kontrwywiad, prokuraturę wojskową, PKB i poszczególnych dowódców, nie zawsze usprawiedliwione okolicznościami.



Wejście do kamienicy Boduena 4, gdzie mieściła się Komenda Główna OW-KB (Organizacji Wojskowej-Korpus Bezpieczeństwa)

Fot. Marian Grabski „Wyrwa", MPW

Karność AK oraz jej dobra współpraca z cywilami były warunkami nieodzownymi dla funkcjonowania powstańczego państwa. Wzbierająca katastrofa humanitarna stanowiła dla tej współpracy ciężką próbę: pod koniec powstania ze strony niektórych zdesperowanych cywilów dały się słyszeć najcięższe możliwe oskarżenia pod adresem AK. Powszechna gotowość do pracy dla powstania na początku insurekcji zanikła, doprowadzając do ostrych incydentów z cywilami przy egzekwowaniu przez żandarmerię obowiązku pracy. Wizerunek AK do końca walk w oczach ludności, przy całym jej krytycyzmie wobec dowództwa, koncentrował się na czci jej bohaterstwa. Gorzej oceniano służby tyłowe, na czele z żandarmerią, oskarżaną o dobre „urządzanie się" na tyłach, grabieże i brutalność wobec bezbronnych, przy jednoczesnym braku profesjonalizmu.

PRÓBA CHARAKTERÓW

Janusz Marszalec nazywa Powstanie Warszawskie „wielką próbą charakterów", przez którą mieszkańcy miasta i wojsko przeszli z godnością, co pozwoliło na walkę przez 63 dni. Dotyczy to przede wszystkim stanu bezpieczeństwa i organizacji życia na tyłach, którego utrzymanie w tragicznej rzeczywistości było osiągnięciem zarówno organów bezpieczeństwa, jak i samorzutnej dyscypliny i poświęcenia cywilów.

Gwarancją ładu okazał się patriotyzm, integrujący bardzo zróżnicowane społeczeństwo Warszawy 1944 r., z wyjątkiem widocznej, acz stosunkowo nielicznej grupy świadomie zagrażającej porządkowi i uprawiającej często w sposób zorganizowany przestępczość. Szabrownictwo, czyli de facto współudział w grabieniu – i przy tej okazji – niszczeniu materialnych dóbr Warszawy nie osiągnęło wielkich rozmiarów. Zjawisko to utrzymało się jeszcze przez kilka lat po wojnie, będąc plagą życia społecznego w Warszawie i w Polsce.

eprasa.pl e7683f73ec

Rozwijamy się dla Ciebie!

Każda złotówka, którą przeznaczasz na gry liczbowe LOTTO, **to 19 groszy dla sportu i kultury**

TOTALIZATOR SPORTOWY

12 PONAD MLD

Przekazane na Fundusz Rozwoju Kultury Fizycznej
od 1994 roku

#WygrywamyRazem

#RazemDlaSportu | **#RazemDlaKultury**

2 PONAD MLD

Przekazane na Fundusz Promocji Kultury
od 2003 roku

Graj w punktach LOTTO i na lotto.pl

LOTTO · Lotto · Eurojackpot · Ekstra Pensja · Super Szansa · Multi Multi · Mini Lotto · Kaskada · Keno · Zdrapki

eprasa.pl e7683f73ec



W rytmach sierpnia

Metallica na Narodowym, Bonnie Tyler i Top of the Top w Operze Leśnej. Od Szczecina po Lublin festiwale i spotkania, które bawią, ale też łączą – z historią, tradycją i ludźmi wokół. Jak wspólne śpiewanie w Warszawie czy finał Lata z Radiem na Festiwalu w Krakowie. Sierpień ma naprawdę wiele do zaoferowania nie tylko urlopowiczom

Fot. Shutterstock

eprasa.pl e7683f73ec



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA



OFF Festival 2019, (2–4 sierpnia), Dolina Trzech Stawów, Katowice

Nie sposób zestawienia sierpniowych wydarzeń nie zacząć od tego, co będzie się działo w Warszawie z okazji 75. rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego.

Poza oficjalnymi uroczystościami program – rozpisany od 26 lipca do 5 sierpnia – pozwala się odwołać do przeszłości także rodzinnie, wspólnotowo. Tak jak w akcji muzycznej „Warszawiacy śpiewają (nie)zakazane piosenki", która 1 sierpnia co roku wypełnia po brzegi plac Marszałka Józefa Piłsudskiego, okolicznościowiej Masie Powstańczej, czyli przejeździe rowerami szlakiem Batalionu „Parasol" (3 sierpnia), Marszu Pamięci (5 sierpnia) oddającym hołd poległym cywilnym mieszkańcom stolicy.

Rocznicowe obchody przypominają też o miejscu, nawet dla warszawiaków nieoczywistym – kopcu Powstania Warszawskiego na Czerniakowie. Usypywanym w latach 1946–1950 z gruzu zniszczonej stolicy, ale zrewitalizowanym dopiero na 60. rocznicę godziny „W". Dziś do pomnika z 15-metrowym znakiem Polski Walczącej można wejść po najdłuższych, liczących 400 stopni, schodach w Warszawie.

RÓŻNE BRZMIENIA

Początek sierpnia, co zrozumiałe, dla wielu łączy się z Warszawą, ale to też czas innych wydarzeń. Jeszcze przez cztery pierwsze dni miesiąca we Wrocławiu będzie trwać 19. Międzynarodowy Festiwal Filmowy Nowe Horyzonty. Równolegle, po obu malowniczych stronach królowej polskich rzek, w Kazimierzu Dolnym i Janowcu nad Wisłą, artystyczną różnorodność proponuje 13. Festiwal Filmu i Sztuki Dwa Brzegi. Nie zabraknie w jego programie muzyki, która wyraźnie dominuje w sierpniowych wydarzeniach.

Najgłośniejszy ma szansę stać się występ zespołu Metallica. Grupa świetnie czuje się w Polsce, skoro od 1987 r. – kiedy dosłownie zatrzęsła katowickim Spodkiem – odwiedza nasz kraj po raz dwunasty! Tym razem można jej będzie posłuchać na PGE Narodowym. To drugie spotkanie formacji ze stolicą. Fani liczą, że po pięciu latach od poprzedniego występu w tej przestrzeni organizatorzy poprawili akustykę.

Założony 38 lat temu heavymetalowy zespół na pewno „dołoży do pieca" 21 sierpnia, tymczasem tydzień wcześniej w Sopocie odbędzie się Top of the Top Sopot Festival (13–16 sierpnia).

W Operze Leśnej wystąpi ponad 70 artystów, także zagranicznych. Wśród nich m.in. Jennifer Paige z hitem „Crush", jamajska wokalistka Diana King z „Shy Guy" czy Maggie Reilly, pamiętana z hitu „Moonlight Shadow" wykonywanego z Mikiem Oldfieldem. Gościem specjalnym będzie Bonnie Tyler, świętująca podczas koncertu „Forever Young" 50 lat na estradzie.

Polska scena przedstawi się w szerokim, muzyczno-wiekowym spektrum. Od Maryli Rodowicz i Perfectu, przez Edytę Górniak, Agnieszkę Chylińską, Kayah i Wilki, po Ewę Farnę, Michała Szpaka czy wreszcie Roksanę Węgiel.

Ostatni wieczór (16 sierpnia) zostanie oddany młodym artystom i ich, głównie nastoletnim, fanom. Koncert ten będzie można zobaczyć w serwisie player.pl. Wcześniejsze relacje pojawią się na antenie TVN.

CZAS KONTRASTÓW

Również młodych odbiorców przyciągnie (2–4 sierpnia) do Doliny Trzech Stawów, OFF Festival 2019 Katowice. – Najpierw akustyczne, oniryczne marzenia, później chłosta industrialnym techno. Nasz festiwal zbudowany jest z kontrastów – tak w skrócie przedstawiają program organizatorzy. Podkreślają też, że podobnie jak o muzykę, troszczą się o naturę. Nie bez powodu katowicka impreza nosi tytuł Najbardziej Ekologicznego Festiwalu w Europie. Pozostając w tym nurcie, festiwalowa brama stanie się w tym roku artystycznie wykreowanym centrum recyklingu. Organizatorzy postarali się też, by w strefie gastronomicznej dominowały potrawy wegańskie i wegetariańskie, a na samą imprezę można było łatwo dotrzeć rowerem.

Dla rodziców z małymi dziećmi (bo i o takich uczestnikach pomyślano) przygotowano zarówno miejsce pod sceną (tu uwaga od organizatorów: „koniecznie zadbajcie o ochronę słuchu najmłodszych!"), jak i strefę relaksu i edukacji, zwaną Piaskoffnicą. Integralną częścią imprezy jest Kawiarnia Literacka. W tej edycji ma stawiać w różnych konfiguracjach pytanie „dlaczego?".

Rozpiętość atrakcji, a więc szansę na spędzenie rodzinnego czasu, który da satysfakcję każdemu uczestnikowi, niesie też Lato z Radiem Festiwal, który 9–10 sierpnia zawita do Stalowej Woli. Wystąpią m.in. Kortez, Perfect, Muniek Staszczyk i Sławek Uniatowski. Zagrają również Kapela ze Wsi Warszawa i Chopin University Big Band. Równocześnie dużo dziać się będzie wokół sceny, w licznych tematycznych strefach, gdzie i artyści, i radiowi dziennikarze, i oczywiście publiczność mają szansę na kameralne spotkania.

eprasa.pl e7683f73ec

FESTIWALOWE MAGNESY

Poza widowiskowymi arenami i dużymi rozgłośniami swoją obecność – nie tylko na muzycznej mapie – zaznaczają latem także mniejsze ośrodki. 3–4 sierpnia pod patronatem rycerskiej kadry Polski rozpocznie się XXII Międzynarodowy Turniej Rycerski o Miecz Kasztelana Zamku w Ogrodzieńcu. Zapowiadają się emocjonujące: walki bohurtowe, turniej miecza długiego, zapasy, bieg dam, pokazy konne i wielka bitwa o most. Pełną listę imprez rycerskich i rekonstrukcyjnych, które mogą uatrakcyjnić rodzinne wakacje, znaleźć można na stronach historia.org.pl.

Wracając jednak do muzyki i promowania poprzez nią „małych ojczyzn". Po raz dziesiąty na hard rock i heavy metal zaprasza Cieszanów Rock Festiwal (województwo podkarpackie, tegoroczna edycja: 15–17 sierpnia). Oprócz atrakcji muzycznych uczestnicy mogą liczyć na dodatkowe strefy aktywności, w tym m.in. kąpielisko, miejsce zabaw i edukacji oraz sportów, a także przestrzeń na pokazy fireshow.

Na miejskiej plaży nad jeziorem Ukiel od 15 do 17 sierpnia odbywać się będzie 6. Olsztyn Green Festival 2019. Rozbudowana impreza dla uczestników w każdym wieku, solo i rodzinnie, promująca zdrowy styl życia i wypełniona muzyką pop & rock (wystąpią m.in. Krzysztof Zalewski, Mrozu, Katarzyna Nosowska, Mela Koteluk, Lao Che i Paweł Domagała).

Weekend wcześniej u podnóża Gór Stołowych do rodzinnego spędzanie czasu w rytmach reggae zachęca 21. Festiwal Regałowisko w Bielawie (8–10 sierpnia). Koncerty odbywają się nad leżącym na obrzeżach miasta Jeziorem Bielawskim, przystosowanym zarówno do uprawiania najróżniejszych sportów wodnych, jak i plażowania na piasku. Dla najmłodszych przygotowano festiwalową strefę dziecka. Na dużych i małych czekać też będzie strefa gier planszowych.

OGIEŃ I TRADYCJA

Gdy nad Jeziorem Bielawskim rozfalują się rytmy reggae, na drugim końcu Polski, nad Wałami Chrobrego niebo rozbłyśnie feerią fajerwerków. – Jak zwykle czeka nas wybuchowa rywalizacja firm pirotechnicznych z różnych zakątków świata, mnóstwo dobrej muzyki, a przede wszystkim fantastyczna zabawa – zapewniają organizatorzy XII Międzynarodowego Festiwal Sztucznych Ogni Pyromagic 2019 (9–10 sierpnia).

Tydzień później (16–18 sierpnia), w zupełnie innym klimacie, na Starym Mieście w Lublinie odbędzie się Jarmark Jagielloński, czyli spotkanie z tradycyjną muzyką i sztuką ludową. Na festiwal zapraszani są starannie dobierani, wyjątkowi artyści, twórcy ludowi i rzemieślnicy – z Polski, Ukrainy, Słowacji, Białorusi, Litwy czy Węgier. Nie zabraknie spektakli, prezentacji i warsztatów prowadzonych przy stoiskach rzemieślników, odsłaniających np. możliwości plecionkarstwa nie tylko z użyciem wikliny, ale i słomy, rogożyny, korzenia sosny czy liści kukurydzy. Na dzieci czeka jarmarkowe podwórko „pełne gier i zabaw z czasów, kiedy jeszcze nikt nie słyszał o telefonie komórkowym". Przewodni temat – pszczelarstwo – będzie się przewijać w ludowej sztuce, obrzędach, tradycji i współczesności.

Jednym z najważniejszych punktów programu są występy muzyczne odbywające się zarówno na dużej scenie festiwalu podczas nocnych potańcówek, jak i za dnia na uliczkach Starego Miasta. Wyjątkowo zapowiadają się koncerty, w których artyści współczesnej sceny spotykają się w tradycyjnym repertuarze z muzykami wiejskimi. W tym roku Dorota i Henryk Miśkiewicz staną na scenie z panią Janiną Pydo i towarzyszącą jej kapelą, Katarzyna Groniec wystąpi z Zespołem Śpiewaczym z Dobrowody, a Brodka zmierzy się z muzyką z Beskidu Żywieckiego.

Tradycja – choć w tym przypadku browarnicza – towarzyszyć będzie 49. Ogólnopolskiemu Świętu Chmielarzy i Piwowarów „Chmielaki 2019" (23–25 sierpnia). Najstarszy festiwal piwny w Polsce na trzy dni wyłącza z ruchu centrum Krasnegostawu. Wokół Rynku Miejskiego i na terenie nowo odrestaurowanego Dworku Starościńskiego rozrasta się strefa zarówno wielkich browarów, jak i stanowisk regionalnych oraz domowych. „Chmielaki" to także koncerty (na dwóch scenach do późnych godzin wieczornych) oraz dodatkowe atrakcje, w tym m.in. Półmaraton Chmielakowy, Ogólnopolski Zlot Paralotniarzy „Chmieloty", wybory Miss Chmielaków, kiermasz twórczości ludowej, Korowód Chmielakowy czy zlot zabytkowych samochodów.

RADIO W AKCJI

Mocnym akcentem na zakończenie wakacji będzie przystanek Lato z Radiem Festiwalu 2019 w Krakowie. Dwa ostatnie dni sierpnia wypełni 18 koncertów i atrakcje w różnych punktach miasta. W piątek zagrają: Smolik/Kev Fox, The Dumplings, Barbara Wrońska i Przyjaciele, Król, Przybysz-Przybysz, Muniek z zespołem, Mazolewski/Porter, Fisz Emade Tworzywo, Nosowska, Voo Voo. W sobotę: Orkiestra Polskiego Radia w Warszawie, Chopin University Big Band, Anita Lipnicka, Mela Koteluk, Skubas, Julia Pietrucha i Daria Zawiałow. W strefach festiwalowych (muzycznej, familijnej i relaksu) znajdzie się wiele ciekawych propozycji. Większość wydarzeń można śledzić na bieżąco dzięki streamingom na portalu Polskiego Radia i transmisjom, ale można też wziąć w nich udział. Na wszystkie imprezy wielkiego finału wakacji z „Latem z Radiem" wstęp jest wolny.



Festiwal Sztucznych Ogni Pyromagic 2019, (9–10 sierpnia), Szczecin

Fot. Shutterstock

eprasa.pl e7683f73ec

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Stalin i jego rewia śmierci

Canal+ zaczął pokazywać „Śmierć Stalina". Premiera filmu przed dwoma laty wywołała ożywienie, wszak główny bohater i jego epoka to wciąż zaległość kina – i rosyjskiego, i zachodniego, z wielu różnych powodów.

Scenariusz napisał i film wyreżyserował Armando Iannucci, autor zabawnego serialu „Figurantka", o fikcyjnej wiceprezydent USA. Tu wziął się do realnej historii kraju i systemu, wszechstronnie zbadanego, a jednak trudno zrozumiałego dla Zachodu. Ja „Zagadką śmierci Stalina" Abdurachmana Awtorchanowa zaczytywałem się jeszcze jako student. Więc bałem się nastawienia, jakie ujawnił amerykański producent, kiedy mu wypomniano nieścisłości w filmie o starożytnym Rzymie. „Who cares?" – odpowiedział. Wśród czterech krajów produkujących film nie ma USA, aktorzy są przeważnie angielscy, ale dziś tak robią wszyscy.

„Gazeta Telewizyjna" orzekła, że wszystko się z grubsza zgadza, tylko skrócono czas zdarzeń. Faktycznie Stalin umarł w marcu 1953 r. Ławrentija Berię koledzy zabili w czerwcu. W filmie robią to w dniu pogrzebu Stalina, co poważnie zmienia historię. Ale od nieścisłości się roi. Twórcy mają kłopot z rozróżnieniem między Komitetem Centralnym a Biurem Politycznym. Rozumiem, że zredukowali liczbę członków ścisłego kierownictwa, ale dlaczego marszałek Żukow jest w momencie śmierci Stalina potężnym szefem sztabu generalnego, kiedy dopiero po tej śmierci wrócił z wygnania do Moskwy? Wiaczesław Mołotow (w tej roli jeden z Monty Pythonów Michael Palin) nie był w 1953 r. ministrem spraw zagranicznych. A historię prawdziwą da się pokazać.

Gorzej jeszcze, że portret partyjnych aparatczyków bywa niezgodny z duchem epoki. Byli wulgarni, ale nie opisywali rzeczywistości językiem zachodnich polityków, o wiele większą rolę przywiązywali do rytuałów. A już historia pianistki Judiny ślącej Stalinowi liścik z obelgami to absurd, zwłaszcza jeśli sprawia ona po tym akcie wrażenie, jakby nic się nie stało. Tak się nie zachowuje samobójca.

Zarazem... Nie ma tu teorii spisku (Beria mordujący Stalina), za to uchwycono klimat surrealistycznego absurdu, w którym codzienne życie sąsiaduje z aresztowaniami, torturami, grozą i śmiercią. Realny jest dramat kierownika radia, który po telefonie Stalina, żądającego przysłania płyty z pewnym koncertem, odkrywa, że w ogóle go nie nagrano. Prawdziwy jest ustawiczny wyścig do informacji, do uszu ważniejszych od siebie, panika, z jaką załatwia się nawet rzeczy drobne – bo one też mogą być kluczem do przetrwania.

Są i smaczki. Nikita Chruszczow odwiedza Mołotowa w bloku z popsutą windą. Mają wszystko, a materii nie są w stanie w swoim systemie okiełznać. W polskiej dyskusji pojawiały się wątpliwości, czy zbyt komediowy ton nie osłabia wymowy historii. Pokazuje się nam przecież jądro zła. Ja jednak nazwałbym to groteską. Mam wrażenie, że wszystkie rozluźniacze przypominają, iż system był koszmarny, ale



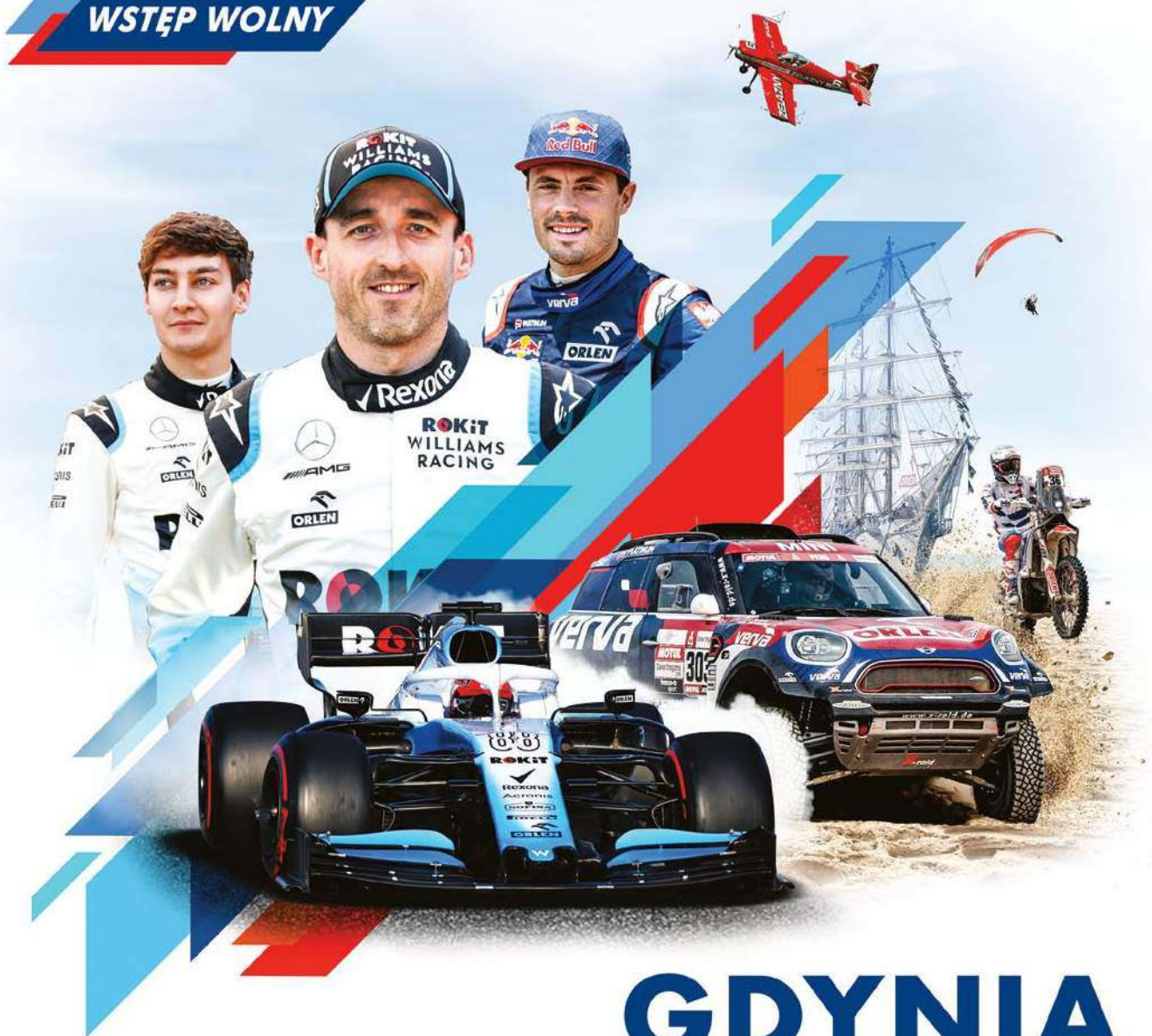
i absurdalny. Taki sens mają najlepsze role: Steve'a Buscemiego (Chruszczow) czy Jeffreya Tambora (doskonały Gieorgij Malenkow).

Tylko jak tę rewię śmierci pogodzić z tendencją zachodniej popkultury, obecną zawsze, a dziś jeszcze mocniejszą, aby rehabilitować zachodnich i niektórych wschodnich komunistów, także z tamtej epoki, także agentów, szpiegów? Przecież oni pełną parą tę rewię śmierci obsługiwali. Z tego powodu muszę sprzyjać temu filmowi, choć wątpię, aby stał się powodem głębszego namysłu.

33/0719/F

verva street racing

WSTĘP WOLNY



GDYNIA

24-25 sierpnia 2019

ORLEN

ROKiT WILLIAMS RACING OFFICIAL PARTNER

Team ORLEN

www.vervastreetracing.pl

eprasa.pl e7683f73ec



Ptak z przetrąconym skrzydłem

Wojciech Stanisławski

Budapeszt nie poddał się nawet po klęsce 1956 r.

Powieści i filmy traktujące o grupie przyjaciół zmierzających ku dorosłości przez chaszcze liceum, o nastoletnim kozaczeniu, absolutnej beztrosce i pierwszych śmiertelnie poważnych wyborach mają jeden haczyk: otóż im jest się starszym, tym łatwiej przełknąć wszystkie ich płycizny, niedociągnięcia i oczywistości, tonąc w ciepłej mgle sentymentu. „Siedzieliśmy krzesło w krzesło z Bohdanem Tomaszewskim – pisze o sytuacji tego rodzaju klasyk wśród nostalgików, czyli Leopold Tyrmand na stronach »Dziennika 1954«, wspominając włoski melodramacik »Domani è troppo tardi« – i jęk rozdzierał nam piersi: »Przecież to było wczoraj! Dopiero wczoraj! Zaledwie wczoraj!«. Po prawdzie, to było dwadzieścia lat temu, te rozgrzane, nieprzytomne biegi przez wiosenne ulice; wczesne, wielkomiejskie wieczory, których nigdy już się później tak nie kocha i nie pragnie jak wtedy; pierwsza białość uda spod szlafroka pokojówki od sąsiadów, już nigdy potem tak oślepiająca. Nic dziwnego, że pokazany następnie dokument brytyjski o zdobyciu Mount Everest uczynił na nas pośledniejsze wrażenie. Wspinaczka, aparaty tlenowe, nepalscy tragarze, te rzeczy”.

Tyrmand rzadko się myli; tak właśnie bywa, a im głośniej i dłużej terkoce łańcuch lat, tym trudniej o krytycyzm. Broniąc się, jak mogę, przed tym iście wielorybniczym hakiem, lojalnie ostrzegam: na stronach „Chłopców z placu Moskwy” próżno szukać doskonałości powieści modernistycznej, pętli fabularnych i gier słownych, prowadzenia czytelnika na niebotyczne wyżyny w ślad za kręcącym piruety piórem. To powieść prawdziwie popularna, pięćset z okładem stron napisanych na jednym oddechu narratora, idealny materiał na scenariusz filmowy – a jeśli przeczytamy raz jeszcze najbardziej dramatyczne strony, uda nam się nawet dostrzec między wierszami dyskretną zapowiedź sequelu: niewykluczone, że kropka nie została postawiona nad i, być może ktoś, kto miał zginąć, jednak nie zginął... Ta refleksja przyjdzie jednak do głowy po kilku godzinach, które przelecą niepostrzeżenie tak jak przeleciało tych 10 czy 30 lat od matury; z lektury powieści Zsolta Berty ockniemy się nad ranem albo na stacji końcowej metra, nieprzytomni i rozmarzeni, powtarzając bezradnie „Tak było”.

Czyniąc tak, oddamy jej sprawiedliwość – „Chłopcy z placu Moskwy” są bowiem, niezależnie od trybutu płaconego sentymentom i schematom, poruszającą powieścią o wchodzeniu w dorosłość i świetnym portretem złych, chociaż na pozór spokojnych lat kadarowskiej małej stabilizacji. Węgry tamtej długiej dekady między egzekucją Imrego Nagya a praską wiosną nie są obecne w masowej wyobraźni tak silnie jak powstanie 1956: jedynie ci, którzy mieli okazję wysłuchać wspomnień ambasadora Ákosa Engelmayera mogą wiedzieć cokolwiek o ówczesnej fascynacji „bratanków” polskim autostopem i bigbitem.



Zsolt Berta, „Chłopcy z placu Moskwy”, tłum. Daniel Warmuz, Rytm, 2019

Teraz czytelnicy prozy Berty dowiedzą się więcej o klimatach dobrze znanych w PRL (podzielone przez kwaterunek mieszkania w zapuszczonych kamienicach, poranna kawa pita z wyszczerbionych szklanek, pralka wirnikowa zepsuta już w chwili zakupu), ale i o niezwykłym trwaniu różnych pamięci w Budapeszcie czasów Kádára: w jednym mieszkaniu na ścianie wisi zdjęcie stryja, który zginął na froncie wschodnim, w Zakolu Donu, w drugim rokrocznie obchodzi się urodziny syna i brata, który zginął na budapeszteńskiej barykadzie, a najśmielszym wybrykiem szkolnym jest napisanie na tablicy poprawnego arytmetycznie, ale nader ryzykownego politycznie (jeśli przeczytać je jako datę) równania: (2+3-1+0) + (1+9) : 5 = 6.

eprasa.pl e7683f73ec

W tym świecie, siermiężnym i zniewolonym, ale w kręgu rodziny, kumpli i tytułowego placu (w oryginale – Kalefu) nadal przytulnym niczym serial „Cudowne lata" dorastają postaci, które są niczym typy idealne powieści o kręgu szkolnych przyjaciół: silny i wierny Gyula, nieśmiały Słoniol, starszy o dwa lata Ákos, młodsza o dwa lata Katy, a przede wszystkim uwodzicielska Emő, dziewczyna o perłowych włosach – no i Rika... Tyle że cudowne lata szybko się kończą. Nastolatki, które przymierzały się do dorosłości, testując granice za pomocą środków tak prostych jak długie włosy, szybka piłka, łyk palinki, zaczynają się zderzać z systemem coraz mocniej i coraz boleśniej, od pierwszego milicyjnego gwizdka czy pałki aż do tragedii. Znamy to dobrze: czasem wystarczy do tego butelka wina owocowego wypita na placu Zamkowym po zdanej maturze.

Powieść Berty można by więc postawić obok innych książek, opisujących buntowników bez powodu zza żelaznej kurtyny – od wspomnień Władimira Bukowskiego, przez „Grupy na wolnym powietrzu" Eli Barbura, po niezapomniane czeskie „Będzie gorzej" Jana Pelca. Chłopcy z placu Moskwy zaszli jednak na tej drodze najdalej: trafili nie tylko do aresztu, więzienia, psychiatryka czy grobu, skończyli nie tylko z wilczym biletem. Stali się przedmiotem prowokacji węgierskiego Urzędu Bezpieczeństwa Państwa, myszą, z którą bawił się kot, kolejnym ogniwem inwigilacyjnego montażu, trwającego od chwili zdobycia władzy przez komunistów. Opis śledztw, procesu, ale przede wszystkim gry, której skala stopniowo się ukazuje naszym oczom, należy do najbardziej przejmujących części książki. To dobrze, że w Polsce została ona wydana przez oficynę o tak dramatycznej historii jak Rytm.

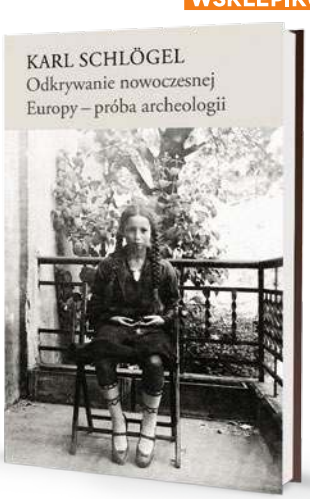
W tym wszystkim główny bohater – Zsolt Cseke – którego nie sposób nie polubić: kochliwy i dzielny, niezłomny i bezradny, kajakarz i poeta, skrzyżowanie amatora bitnika i pełnego esprit Antka z „Madame" Libery. Jeśli, rozpoczynając lekturę, wzdychaliśmy za „słodkim ptakiem młodości", teraz widzimy go, jak po wyjściu z więzienia idzie starszy o lata, samotny i zdradzony: rzekłbyś, ptak ze złamanym skrzydłem.

Sejsmolog Europy Środkowej

Portret Moskwy roku 1937, zatytułowany „Terror i marzenie", wydany w Polsce przed siedmiu laty, kazał wielu czytelnikom czekać z ciekawością na kolejne prace niemieckiego historyka i socjologa, którego ciekawią, jak zwykło się to ujmować, „narodziny nowoczesności" – a szczególnie ich odbicia w losie i kształcie miast. W osobie Schlögla mamy do czynienia z drugim pokoleniem entuzjastów „środkowoeuropejskości". W odróżnieniu jednak od Milana Kundery czy Györgya Konráda nie poprzestaje on na wychwalaniu fenomenu świata u zbiegu czterech imperiów: jest jak uczeń proroków, który stara się spisać i zrozumieć jak najwięcej z objawień, z trzciną w ręku spiesząc po ulicach Königsberga/Kaliningradu, Witebska i Brna, by zmierzyć tamtejsze studzienki kanalizacyjne, wysokościowce i nieliczne zachowane wille.

Spora część tych szkiców jest jak żywcem wzięta z łamów „Zeszytów Literackich" (dwa z nich zdążyły się tam zresztą ukazać): są niczym melancholijna przechadzka po garderobie teatralnej, z obfitością sukien, ról i nazwisk, które można przykładać do twarzy w pociemniałych lustrach. „Och, Chagall! Ach, popatrz, Lukács!": cienie, odbicia, nuty zwietrzałych perfum mnożą się w przestronnym wnętrzu. Część to na poły wypominki, na poły dziennikarski rekonesans: swoisty spis inwentarza Czerniowców sporządzony przez Schlögla w roku 1988 jest ciekawy nie przez to, co mówi o tym fascynującym mieście, lecz jako zapis doświadczeń zachodniego intelektualisty, który z trudem trafił na peryferia upadającego sowieckiego imperium, zapis bezmiaru wzajemnego niezrozumienia. Czasem jednak wśród tych koronek i plumaży błyśnie ostrze włóczni: dzieje się tak, kiedy Schlögel opisuje senne, mieszczańskie miasta u progu XX w. i niepojęty los, jaki je czekał. Nic nie wyraża go lepiej niż bieg życia dziewięciolatki w sutych, rudych warkoczach, uchwyconej przez fotografa na balkonie rodzinnego domu: radzę doszukać się w metryczce książki, kto zacz.

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL



Karl Schlögel, „Odkrywanie nowoczesnej Europy – próba archeologii", tłum. Tomasz Ososiński i Anna Wołkowicz, Wydawnictwo Słowo/Obraz Terytoria, 2019

eprasa.pl e7683f73ec



Bez poprawności politycznej

Craig Zahler jest w pewnym stopniu reżyserem o wrażliwości konserwatywnej. Hołduje wartościom, o których dzisiejsze kino zapomina. Męstwo, przyjaźń, poświęcenie – o tym są brutalne i szokujące dla wrażliwego widza dzieła 46-letniego pisarza i filmowca.

W znakomitym westernie „Bone Tomahawk" Zahler w centralnym punkcie umieścił głęboko wierzącego chrześcijanina walczącego z plemieniem Indian kanibali. W „Blok 99" uderzył wątkiem antyaborcyjnym. Wszystko ukrył w sosie B-klasowego kina exploitation. Zahler uwielbia się bawić gatunkami kina. Za pomocą szoku i kontrowersji chce powiedzieć coś ważnego o świecie. W filmie „Krew na betonie" na warsztat bierze policyjne kino kumplowskie. Dwóch gliniarzy zostaje zawieszonych za brutalne potraktowanie bandziorów. Wyjęty ze świata Harry'ego Callahana stary wyga (Mel Gibson) jest zmęczony systemem, który nie akceptuje bezkompromisowości starej szkoły. Mieszka w podłej dzielnicy. Jego córka jest prześladowana przez czarnoskórych chuliganów, a żona cierpi na ciężką chorobę. Jego 20 lat młodszy partner (Vince Vaughn) to pedantyczny smakosz życia, pragnący się oświadczyć swojej pięknej dziewczynie. Boi się jednak, że nie utrzyma jej z pensji „psa", parafrazując Pasikowskiego. Zawieszeni przez przesiąkniętego strachem przed politpoprawnymi mediami naczelnika (Don Johnson jako Sonny Crocket za biurkiem) postanawiają zrobić skok na gangusów kradnących złoto.

Tylko szkielet tej historii jest „pulpowy". Zahler znów w gatunkowe kino wkomponowuje opowieść o Ameryce. Przez cały czas przewija się wątek Safari, w które gra na komputerze ze swoim bratem gangster (Tory Kittles). Ameryka to dżungla, gdzie wygrywa silniejszy? To zbyt banalne. Zahler wbija więc szpilę w rządzącą Ameryką poprawność polityczną. Gliniarze zostają zawieszeni, bo byli „zbyt mało delikatni", choć wyeliminowali bandziorów handlujących prochami pod szkołami. „Dziś oskarżenie o rasizm jest jak oskarżenie o bycie komunistą w latach 50." – mówi jeden z gliniarzy. Lewica jest jak senator McCarthy? Gong Zahlera godny igrania z romantycznym wizerunkiem „Rdzennych Amerykanów" w jego wybitnym westernie z 2015 r.! Zabawne, że „Krew na betonie" była po premierze oskarżana o rasizm. Pewnie przez słowa żony starego gliniarza (Laurie Holden) mówiącej, że zanim zamieszkała w dzielnicy z czarnoskórymi chuliganami, była liberałką. Cóż, Zahler uderzył w stół. Nożyce politpoprawności się odezwały.



VOD/DVD

Jest to jednak przede wszystkim opowieść o męskiej przyjaźni i poświęceniu. Para gliniarzy, robiąca złą rzecz, jest wyjęta z kina Jean-Pierre'a Melville'a. Ma w sobie romantyzm i mrok postaci z kina francuskiego mistrza gatunku. Kobiety u Zahlera potrzebują ochrony mężczyzn (seksizm!), a nawet najgorsi łajdacy dotrzymują słowa danego wrogowi (zuchwały patriarchalizm!).

Kino Zahlera jest pełne przemocy i przeciąga widza po krwawym betonie. Nie zapomina jednak reżyser, że nawet epizodyczne ofiary mają imiona i tożsamość. Ten twórca brutalnego, męskiego kina ma w sobie wiele empatii. To czyni go kimś zupełnie innym niż Quentina Tarantino.

„KREW NA BETONIE", REŻ. S. CRAIG ZAHLER, DYSTR. MONOLIT/CINEMAN.PL



Kino

Cień Putina

Czy można żyć w cieniu imperium? Szczególnie imperium putinowskiego? To pytanie przewija się przez cały poruszający dokument Karola Starnawskiego. Inspirowany znakomitą książką Tomasza Grzywaczewskiego „Granice marzeń" (z Dawidem Wildsteinem napisał scenariusz) film pokazuje historie zwykłych ludzi dotkniętych krwawym rosyjskim imperializmem. Przez losy rodzin z Górnego Karabachu, Gruzji i Ukrainy rozumiemy, że za geopolitycznymi grami kryje się realny dramat jednostek. To jest największa siła tego poruszającego obrazu. Twórcy patrzą nie na wielką politykę Kremla, Waszyngtonu i Brukseli, ale na zwykłych ludzi naznaczonych putinowskim cieniem. Ich marzenia, rodzinne więzy i „szarość życia" są przetrącone wojnami celowo inspirowanymi przez pragnącego wielkości rosyjskiego niedźwiedzia. „Cienie imperium" przypominają nam, że w posowieckich republikach koniec zimnej wojny nigdy nie nastąpił, a tlący się żar putinowskiego zagrożenia może podpalić cały kontynent.

„CIENIE IMPERIUM", REŻ. KAROL STARNAWSKI, DYSTR. FUNDACJA DZIAŁAŃ ARTYSTYCZNYCH I FILMOWYCH „RUCHOME OBRAZY"

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl e7683f73ec

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca

Shaftów trzech


VOD

„Mizoginistyczna i wulgarna obraza dla inteligencji". Tak nowego „Shafta" określa polski recenzent, jeden z tych wyjątkowo wrażliwych na przestrzeganie norm politpoprawności. Jasne, że ten film jest głupiutki, banalny, wulgarny i pełen przemocy. Takie były wszystkie „Shafty" kręcone od lat 70. XX w. Czy jednak pokazywany na polskim Netflixie film, który miał w czerwcu premierę w amerykańskich kinach, jest mizoginiczny? To zarzut godny „śnieżynki" wychowanej w bańce poprawności politycznej, którą obraża najmniejszy żart z feminizmu i razi w oczy z siłą młota Thora wizerunek kobiety potrzebującej twardego i opiekuńczego samca u swego boku.

Pierwszy „Shaft" (1971) został oparty na książce Ernesta Tidymana i jest najsłynniejszym przedstawicielem gatunku blaxploitation, czyli niskobudżetowych brutalnych filmów obsadzanych wyłącznie przez czarnych aktorów. Richard Roundtree w trzech filmach i serialu wcielił się w policjanta Johna Shafta, będącego czarną wersją Brudnego Harry'ego. W 2000 r. ikona afroamerykańskiego kina śp. John Singleton w roli Shafta obsadził Samuela Jacksona. Po prawie dwóch dekadach Jackson powraca do roli. Tym razem Shaftów jest trzech i, zasypując międzypokoleniowe bariery, robią wielką drakę w Harlemie.

Doprawdy trzeba zupełnie nie rozumieć zbudowanej na komiksowym maskulinizmie serii, by zarzucać nowej wersji celową pogardę dla kobiet. Ba, „Shaft" z 2019 r. pokazuje przemiany obyczajowe, jakie dotknęły Amerykę ostatnich dwóch dekad. JJ Shaft Jr (Jessie Usher) jest analitykiem komputerowym w FBI. Ubiera się jak biały modniś z Gapa (dzieciaki biorą go za pracownika kawiarni w Apple), mieszka w trendy lofcie w SoHo i nie lubi broni. Ma też żal do ojca Johna Shafta (Jackson), że ten pozwolił na rozpad rodziny 25 lat wcześniej. Gdy ktoś zabija jego przyjaciela, a FBI nie chce oddać mu śledztwa, zwraca się z pomocą do pracującego jako prywatny detektyw ojca. Do pomocy biorą... dziadka Johna Shafta I (Richard Roundtree)!

Prościutka jak drut i głupiutka jak retrokino akcji ery VHS historia jest idealnie niezobowiązującą letnią rozrywką, w której mamy jednak urocze mrugnięcia okiem do widza zwracającego uwagę na przemiany socjologiczne w zachodniej cywilizacji. „Mam gdzieś, którą płeć biję. To ty jesteś mizoginem, jak zwracasz uwagę na płeć w walce" – krzyczy do syna Shaft, upominany co chwila przez Shafta milenialsa, że już nie wolno dziś używać słowa „czarnuch" (w oryginalnych filmach wszyscy się zwracają do siebie „nigga"). W końcu przekonuje syna (lewak krzyknie – o zgrozo!) do broni i nakłada na niego słynny skórzany płaszcz, ale zdaje sobie sprawę, że męstwo polega nie tylko na mordobiciu, lecz również na odpowiedzialności za rodzinę.

Chciałbym, by ten film stał się pilotem serialu bawiącego się wizerunkiem twardziela z czarnego kina z ostatnich czterech dekad. Postać Johna Shafta jest do tego idealna, skoro sam Quentin Tarantino twierdzi, że jego bohaterowie z „Django" Broomhilda „Hildi" von Schaft i Django Freeman to przodkowie linii rodzinnej Johna Shafta...

„SHAFT", REŻ. TIM STORY. FILM DOSTĘPNY NA NETFLIXIE

Dokument w trzech aktach

Oglądajcie ten niezwykły dokument w kinie z jak najlepszym dźwiękiem. Zdobywca Oscara i jeden z najlepszych rzemieślników w Hollywood Ron Howard skonstruował dokumentalną operę podzieloną na trzy akty. „Pavarotti" to znakomite połączenie fenomenalnych operowych arii maestro Luciano z obrazami z jego codziennej egzystencji. Dzięki pracy trzykrotnego zdobywcy Oscara za dźwięk Chrisa Jenkinsa nie jest to zwyczajny dokument o życiu legendarnego śpiewaka, ale kawał doskonale skrojonego technicznie muzycznego kina. Howard przeprowadza nas od życia skromnego nauczyciela z Modeny, przez triumfy z Trzema Tenorami, aż po serie dobroczynnych koncertów „Pavarotti i przyjaciele". Opowieść o Luciano oparta jest na sile jego głosu, a nie nudnej hagiografii. Howard wypełnia testament Pavarottiego, popularyzując operę wśród masowego odbiorcy popkultury. Luciano byłby z Amerykanina dumny.


Kino

Fot. mat. prasowe

„PAVAROTTI", REŻ. RON HOWARD, DYSTR. BEST FILM

eprasa.pl e7683f73ec



Czas na drugą odsiecz wiedeńską, by ocalić Kościół

Zmarginalizowanie Kościoła jest rozpisane na etapy. Myślę, że wkraczacie teraz w Polsce w decydujący etap tej walki

Z Anthonym Murphym, założycielem The Lumen Fidei Institute i redaktorem naczelnym irlandzkiego dwutygodnika „The Catholic Voice", rozmawia Jakub Maciejewski

eprasa.pl e7683f73ec

Co się stało z niegdyś katolicką Irlandią?

Anthony Murphy: Jeszcze 30 lat temu wpływ katolicyzmu był bardzo widoczny, co przekładało się na istnienie wielu zdrowych, silnych rodzin, z których składało się społeczeństwo. Choć były oczywiste i codzienne problemy, z jakimi rodzice i dzieci musieli się zmagać, to największą bolączką okazał się brak partii politycznej, która reprezentowałaby interesy chrześcijan. Gdy przyszedł boom ekonomiczny i wszyscy odczuwali korzyści z rosnącej gospodarki, to żadne ze środowisk parlamentarnych nie potrzebowało zabiegać o głosy katolików. Ludzie byli spokojniejsi o swój byt, więc prowadzone równolegle neomarksistowskie kampanie kulturowe zaczęły trafiać na podatny grunt. Zwłaszcza młode pokolenie zaczęło ulegać przekonaniu, że skoro mamy dobrobyt, to i zobowiązania wobec wspólnoty są mniejsze, że można oczekiwać od życia zaspokajania wszystkich swoich potrzeb. Skoro masz dobrą pracę, piękne mieszkanie i możesz jeździć na wakacje w dowolne miejsce na świecie, to po co ci Bóg? Utarło się przekonanie, że wolno wszystko, co nie krzywdzi nikogo, a to jest zawieszenie poprzeczki społecznych wymogów niezwykle nisko. I w tej sytuacji nastąpił atak na Kościół.

Jaki atak?

W mediach wybuchła opowieść o serii przypadków molestowania seksualnego przez duchownych katolickich. Oczywiście ten problem nie dotyczył tylko Kościoła, ale media tak to przedstawiały. Choć wiele przykładów pochodziło z dalekiej przeszłości, to wrażenie ludzi było takie, że to przypadki współczesne, nagminne i powszechnie ukrywane. Trudno oprzeć się wrażeniu, że te trzy czynniki wystąpiły po sobie w sposób nieprzypadkowy – pomyślność finansowa obywateli zachęciła do ataku na wartości i promowanie antykultury, a gdy konsumpcjonizm stał się odpowiednio silny, nastąpiło uderzenie w Kościół.

U nas także te trzy czynniki zostały spełnione, po wzroście dobrobytu i stopniowym sączeniu antywartości film „Tylko nie mów nikomu" wywołał falę oskarżeń o ukrywanie pedofilii przez Kościół.

W Irlandii ta kampania medialna zniszczyła wpływy Kościoła, hierarchowie kompletnie stracili wiarygodność. Doskonale rozumiem potrzebę przeprosin ze stronny winnych przestępstw i nadużyć, ale gdy Kościół jako instytucja kaja się tysiąc razy w odpowiedzi na oskarżenia, niektóre nieprawdziwe, to ludzie w końcu dają się przekonać, że to katolicyzm jest wszystkiemu winny.

> Kiedy gniew społeczeństwa został skierowany na Kościół, większość irlandzkich hierarchów nabrała wody w usta. To były początki katastrofy

Politycy ocenili, że poparcie społeczne jest po stronie atakujących i zamiast rzetelnie informować o śledztwach, dali przyzwolenie na nagonkę wobec duchowieństwa. Nawet państwowa telewizja kłamała – później przychodziło jej płacić odszkodowania za fałszywe oskarżenia, ale spójny przekaz przedstawiający Kościół jako siedlisko nadużyć seksualnych już został wysłany do społeczeństwa. Zdarzały się nawet przypadki, gdy opłacano ludzi, którzy zeznawali przeciw księżom pod dyktando mediów. Ten atak był przeprowadzony na potężną skalę, a polityka wiecznego przepraszania prowadziła donikąd.

Jak się bronił Kościół?

To było najgorsze – prawie wcale się nie bronił. Ze smutkiem muszę opowiedzieć o złej roli biskupów w tej sprawie. To oni jako pasterze swoich wspólnot dysponowali narzędziami, by się bronić. Nikt jednak nie śmiał powiedzieć, że przypadki pedofilii były zazwyczaj przypadkami homoseksualizmu. Przez wcześniejsze lata ludzie byli karmieni propagandą o tolerancji, o nieszkodliwości ideologii LGBT, wszystkich sceptyków zaś określano homofobami i oskarżano o używanie mowy nienawiści. Kiedy więc gniew społeczeństwa został skierowany na Kościół, większość hierarchów nabrała wody w usta. Episkopat się poddał. To były początki katastrofy wszystkich Irlandczyków, po tym nastąpiły bowiem rozpad struktury społecznej i osłabienie rodzin. Można powiedzieć, że zmienił się styl bycia, rozluźniły się więzi społeczne, a takie zatomizowanie zawsze oznacza większą podatność na medialne i polityczne manipulacje.

Kiedy zdaliście sobie sprawę, że przegrywacie cywilizacyjną bitwę?

Upadek ładu nastąpił w ciągu 10 lat. Jak już wspominałem, nie mieliśmy katolickiej partii w parlamencie, brakowało też massmediów o konserwatywnym światopoglądzie, a więc ludzi karmiono liberalnymi i neomarksistowskimi treściami pochodzącymi z prasy, telewizji czy portali internetowych o międzynarodowym kapitale. I strasznym sygnałem o topnieniu katolicyzmu w moim kraju była zmiana retoryki Kościoła, który przestał potępiać grzech w obawie przed krytyką. Środowiska LGBT pokonały ostatnią w sferze publicznej przeszkodę do głoszenia swoich treści. Dziś większość Irlandczyków formalnie pozostaje katolikami, ale jest to coraz bardziej wypłukiwane z treści. Jeśli nie słyszymy od swoich pasterzy „tak-tak, nie-nie", to wiara staje się zestawem płytkich emocji. Ludzie zaczęli wierzyć, że do zbawienia wystarczą pogoda ducha i harmonijne życie, więc im, zwłaszcza młodemu pokoleniu, msze św. wydawały się zbędne. Ich zdaniem wystarczyło przytulić bliską osobę w ogrodzie i uśmiechać się do ludzi. Niektóre katolickie stowarzyszenia zaczęły wywieszać tęczowe flagi, bo skoro liczą się swobodnie zdefiniowana „miłość" i „akceptacja", to co stoi na przeszkodzie?

eprasa.pl e7683f73ec

U nas też wielu biskupów jest dalekich od niezłomności. Łatwiej to jednak wyjaśnić ich wcześniejszą miękką postawą w czasach komunistycznych, ale dlaczego w Irlandii okazali się oni tak słabi?

Postanowienia Soboru Watykańskiego II zostały różnie zinterpretowane i lewe skrzydło episkopatu wykorzystało to na swój sposób. U was nie było takich warunków, księża w reżimie komunistycznym musieli być bardziej jednoznaczni niż w świecie demokratycznym. Promowanie wiecznie uśmiechniętego, miękkiego katolicyzmu w czasach spokoju musiało przynieść złe owoce w czasach próby. Nawet gdy niektórzy duchowni głosili stanowcze kazania i odwoływali się do obrony wiary, to trafiali na opór ze strony własnych przełożonych. Gdy lokalna społeczność albo dziennikarze uznawali księdza za kontrowersyjnego, biskup rzadko kiedy stawał w jego obronie. A przecież było też wielu wiernych, którzy chcieli, aby jasno określono, czy np. akceptować polityków popierających aborcję i małżeństwa homoseksualne. Rozkład zaczynał się powoli, a gdy obóz konserwatywny został rozmiękczony, nastąpił zdecydowany atak.

Twierdzi pan, że promowanie ideologii LGBT i gender to nie jest drugoplanowa bitwa ani problem zastępczy, ale kluczowy atak na wspólnotę narodową.

Zmarginalizowanie Kościoła jest rozpisane na etapy. Liberalizacja obyczajów i dobrobyt materialny pozwalają odwrócić uwagę od spraw wiary. Promowanie LGBT to bardzo ważny etap, bo przygotowuje lewicę do oskarżenia Kościół o pedofilię, a episkopat nie chce się bronić, skoro społeczeństwo już zaakceptowało homoseksualizm. Wtedy laicyzacja państwa jest już tylko kwestią czasu. Myślę, że wkraczacie teraz w decydujący etap tej walki.

A może to konieczność dziejowa, że w świecie postępu, nowoczesności i luksusów wiara musi osłabnąć i zmienić swoją formułę.

Nasi wrogowie chcą, żebyśmy tak myśleli. Tymczasem w dzisiejszym świecie pojawiają się takie wyzwania, w których brak drogowskazu opartego na Biblii prowadzi ludzi do zagubienia. Spójrzmy, co dzieje się po osłabieniu Kościoła – społeczeństwo się laicyzuje, słabną rodziny, rodzi się coraz mniej dzieci. I co dalej? Wtedy rządy państw zapraszają emigrantów, żeby wypełnić luki na rynku pracy, a to wcale by nie było potrzebne, gdyby nie rozmiękczanie społeczeństwa! To z kolei skutkuje napływem muzułmanów, a polityka nawracania islamu na ateizm czy uczenie go multikulturalizmu to polityka samobójcza.

Patrząc na przypadek Kościoła w Polsce, trudno się oprzeć wrażeniu, że brakuje nam współcześnie wybitnych hierarchów, którzy chcieliby poprowadzić wiernych tak jak Prymas Tysiąclecia kard. Stefan Wyszyński.

Dziś jest bardzo trudno o takie przewodnictwo, nie tylko dlatego że wyrosło całe pokolenie biskupów niewykazujących się, nazwijmy to delikatnie, przesadną odwagą, ale też z powodów strukturalnych. Od kilku dekad trwa osłabianie pozycji prymasów i w ogóle wybitnych jednostek w Kościele. Konferencje episkopatu przypominają mi w swojej strukturze sowieckie Politbiuro, gdzie nie ma pewności, kto za co jest odpowiedzialny ani kto zaproponował dane sformułowanie. Podczas określania wspólnego stanowiska silni biskupi muszą pracować ze słabymi, których niekiedy jest więcej i którzy mogą forsować swoje kunktatorskie propozycje. Pamiętajmy, że konferencje episkopatu to nie tylko hierarchowie, ale też setki ludzi w administracji kościelnej, które w całej swej masie też mają wpływ na stanowisko Kościoła. W takich dyskusjach coraz więcej miejsca znajduje się dla wizerunku chrześcijaństwa, a mniej dla samego Słowa Bożego.

Jednak na przestrzeni wieków obserwujemy, że wiara katolicka słabnie. Czy tak w głębi serca wierzy pan, że ten trend można odmienić i że laicyzacja oraz ateizm mogą się jeszcze cofnąć?

Historia naszej cywilizacji jest nieprzewidywalna i nieraz się zdarzało, że w chwilach zwątpienia następował zwrot. Przede wszystkim pamiętajmy, że to walka duchowa, ona rozgrywa się powyżej nas, między Niebem a piekłem, w której zwycięstwo będzie należeć do tego pierwszego. To przeświadczenie pomoże nam zachować spokój w tej walce codziennej, którą toczymy na ziemi. Co prawda od czasów rewolucji francuskiej coraz trudniej o skuteczną obronę Kościoła, ale i to się czasem zdarza. Zresztą w dawnych czasach katolicy także czuli się przytłoczeni przeciwnikiem, tak jak muzułmańskim imperium osmańskim w XVI i XVII w., które zostało złamane przez katolickich Hiszpanów w morskiej bitwie pod Lepanto i przez waszych przodków pod Wiedniem.

Jak powtórzyć Lepanto i Wiedeń w XXI w.?

Przeciwko nam stoją potężne międzynarodowe siły zaangażowane w przemysł filmowy, muzyczny, w promowanie stylu życia zgodnego z oczekiwaniami producentów. Liberalizacja społeczeństw jest wprost wspierana przez George'a Sorosa, który przeznacza na to setki miliony dolarów na całym świecie. Jakkolwiek mało spektakularnie to zabrzmi, to trzeba bronić rodzin. Państwo powinno wspierać rodziny nawet do tego stopnia, by matka miała możliwość porzucenia pracy i zajęcia się domem. Tak Viktor Orbán zrobił na Węgrzech i tak dzieje się teraz u was, ale sytuacja wymaga jeszcze więcej pracy. Silne rodziny powinny się zrzeszać w lokalnych wspólnotach, spotykać się ze sobą choćby na wspólnych zabawach dla dzieci, wymieniać się doświadczeniami, informować o zagrożeniach. Należy zwalczyć przekonanie, w którym kobieta robiąca karierę zawodową jest lepsza i bardziej zaradna niż matka w wielodzietnej rodzinie. Nie ma niczego bardziej chlubnego niż macierzyństwo i równocześnie niczego trudniejszego – to wychowywanie potomstwa jest największym wyzwaniem i zaszczytem.

57/0519/F

eprasa.pl e7683f73ec



APLIKACJA BANKOWA IKO PO RAZ KOLEJNY NAJLEPSZA NA ŚWIECIE

Bank Polski

100 1919/2019

Aplikacja mobilna IKO PKO Banku Polskiego jest zwycięzcą rankingu Retail Banker International z lutego 2019 r., obejmującego aplikacje mobilne 100 banków z całego świata.

eprasa.pl e7683f73ec

P jak program Platformy Obywatelskiej



Dr Hanna Karp, medioznawca

PO ogłosiła nareszcie skład swoich koalicjantów. List wyborczych – gdy powstawał tekst – jeszcze nie było, ale to i tak już – jak na możliwości Grzegorza Schetyny – bardzo dużo. Lider Platformy zapowiedział, że jego partia w jesiennych wyborach pójdzie z demokratami i patriotami. Cokolwiek miałoby to znaczyć, ma zapowiadać nową jakość i perspektywę w polskiej polityce.

WSZYSCY PISZĄ PROGRAM PO

Zanim zarys programu (czyli tzw. sześciopak) się pojawił, tak jak niegdyś premierowi Kaziowi Marcinkiewiczowi wszyscy szukali pracy, tak do niedawna wszyscy pisali program Platformy Obywatelskiej. Zawodowcy i wolontariusze. „Niereżimowe" media chętnie udostępniały łamy. Kibicowały każdemu, kto chciał przychylić nieba przyszłym zwolennikom dawnej partii Donalda Tuska.

Szczególnie poruszające było zaangażowanie w sprawę aktorów i ludzi świata filmu, którzy w wolnych chwilach kreślili wizje lepszej Polski. O stanach uczuciowych cierpiącej na bezsenność w nowej Polsce zrozpaczonej Krystyny Jandy już niegdyś na tych łamach nieco wspominałam, dziś warto zwrócić uwagę na inną osobistość. Otóż szczególnie wzruszyła mnie Joanna Szczepkowska. Pamiętamy ją nie tylko z tego, że ogłosiła w kraju koniec komunizmu, ale i z tego, że w 2010 r. podczas premiery sztuki w reżyserii Krystiana Lupy „Persona. Ciało Simone" pokazała widzom odsłonięte pośladki i opuściła scenę. Środowiska teatralne nie zostawiły na aktorce suchej nitki – a ona protestowała przeciw wpływowym teatralnym koteriom. W 2013 r. została oskarżona o homofobię, przypisywano jej poglądy dyskryminujące osoby homoseksualne, a rok później, po 15 latach pisania, utraciła felietonową rubrykę w „Gazecie Wyborczej". Wtedy, jak mówiła: „Poczuła na własnej skórze, jak nietolerancyjni są ludzie mówiący o tolerancji i jak bezwzględnymi metodami operują".

POLITYCZNY PLAN SZCZEPKOWSKIEJ

Jednak jej „Szkic Nowej Polski" to coś zupełnie innego. Jak zastrzega aktorka, nie jest on zalążkiem partii, lecz „spisem myśli i propozycji, rodzajem ziarna". Jest wizją kraju, w jakim aktorka chciałaby żyć. „Wszystko trzeba przewartościować" – zaznacza. I na początek informuje, że celebrytka za wzięcie udziału w otwarciu butiku dostaje 8 tys. zł. „Tego rodzaju zarobki oraz programy propagujące konsumpcyjny tryb życia trzeba uznać za szkodliwe jak smog. Sieją chaos moralny" – pisze aktorka. Dalej zauważa, że: „Skacząc na kanapie, luzak zarabiając na wygłupianiu się, staje się milionerem, a nauczyciel nie ma z czego żyć". A dlaczego tak jest? Jest i odpowiedź: „Bo ten świat właśnie doprowadził do kompletnego rozleniwienia i dał impet prawicowym ekstremom". I co postuluje artystka, by zaradzić złu? „Przestańmy być klientami komercji. Kościół powinien mieć takie miejsce, jakie miał w stanie

eprasa.pl e7683f73ec

wojennym. Nieść pomoc, a nie sięgać po władzę" – czytamy. Skąd tu nagle wziął się Kościół? Trudno zgadnąć. Ale może dlatego, że jak pisze Szczepkowska, jej „Szkic Nowej Polski" „idzie daleko"? Postuluje „na przykład prohibicję wśród księży". Kto miałby ją wprowadzić? „Wierni" – informuje aktorka. Neguje też warszawską kartę LGBT, proponuje „ingerencję wiernych" (to chyba chodzi o katolików?) w działalność organizacji ONR i tak dalej. Aktorka ma plan „wyprowadzenia nas na spokojne wody". I zapewnia, że będzie to możliwe, „jeśli zrobimy ostry skręt".

Jej manifest odbieram jako niezwłoczną potrzebę przyjścia w sukurs partii Grzegorza Schetyny. Artystka znana z kompulsywnej potrzeby partycypacji w życiu politycznym sufluje zaprzyjaźnionej partii swoje pomysły. Są one o niebo lepsze niż chociażby propozycja zbitej z dech strefy relaksu na pl. Bankowym. Platforma powinna podziękować aktorce za pomysły i zaprosić na listy wyborcze.

EPOKOWE POMYSŁY PROF. KRÓLA

Podobnie jak Janda nie może spać po nocach zatroskany biernością kolegów i dalszym losem ojczyzny prof. Marcin Król. Jako weteran o walki o wolną Polskę, m.in. autor eseju „Byliśmy głupi", po latach odbiera kraj jako terytorium Zła. Ostrzega i prosi swoich bliskich, jak on pogrążonych w rozpaczy perspektywą ostatecznego tryumfu świata zła, pogardy, kłamstwa i zdeprawowania ducha, by „nie polemizowali, nie krytykowali nie wchodzili na terytorium zła". A wszystko, być może „dzięki odwołaniu do dobrej strony ludzkiej natury", wróci na dawne stare dobre tory. I nie trzeba do tego żadnego programu. Bo „zło, nienawiść trzeba leczyć dekadami", a tymczasowe wyjście z choroby może nastąpić „przez odmówienie uczestnictwa w sporze". „Cóż bardziej nonsensownego niż polemika z kłamstwem i podłością! I jakże to dla nas groźne, bo łatwo ulec samemu upodleniu (...). Zejdźmy z ringu, niech biją się z cieniem" – woła profesor.

Zamiast zwykłego partyjnego programu proponuje „program odnowy duchowej". Powiada, aby nauczyć się, że „od drugiego człowieka możemy oczekiwać minimum przyzwoitości, i na tym opierajmy naszą nadzieję". Nowa opowieść prof. Króla, jak sam powiada, „ma dotyczyć jednostki, a nie państwa". Jednostce wskazuje zbawiennie trzy środowiska: naturalne, społeczne, polityczne. Profesor chce ruszyć „do przodu z nową opowieścią". Jest przekonany, że „chętnych do pomocy na pewno nie zabraknie". Z pewnością wcześniejszy manifest Szczepkowskiej jest tego żywym dowodem.

Zarysowany program prof. Króla nie narodził się od razu. Ten był z 7 lipca br. Tydzień później, 14 lipca, na łamach „Gazety Wyborczej" profesor zdecydowanie żąda jeszcze od polityków, by przywrócili „nam, ludziom, zainteresowanie polityką". Uściślijmy, że nie chodzi o polityków w ogóle, ale polityków specjalnych, wyjątkowych, polityków tzw. Koalicji Obywatelskiej Nadziei. Profesor wkracza na obszary głębokiej teologii – oprócz tego, że przywołuje jedną z głównych chrześcijańskich cnót, daje się poznać jako znawca demonologii. Powiada: „Diabeł pragnie, byśmy oddali politykę państwu, władzy. A my – przeciwnie – powinniśmy być anarchistami i odzyskać władzę dla siebie". Żeby nie było wątpliwości, iż odwołanie do diabła, to tylko retoryczny chwyt, zapewnia: „Jestem liberałem i zwolennikiem równego traktowania osób LGBT, jestem przeciwko hierarchii kościelnej w obecnym stanie i tak dalej". Jak refren powtarza swój postulat: „Przywrócić zainteresowanie polityką". Cały artykuł redakcja „Wyborczej" zatytułowała „KOALICJA OBYWATELSKIEJ NADZIEI". Tak, żeby nie było wątpliwości, w kim redaktorzy gazety pokładają swój ratunek.

BUNT CHAMSTWA WOBEC ELIT

Marcin Król, historyk idei, swoją nadzieję na dobre utracił nie – jak wydawać by się mogło – w roku 2015, po wyborach prezydenckich, kiedy Bronisław Komorowski – typowany w sondażach na zwycięstwo w pierwszej turze – przegrał wyścig do pałacu prezydenckiego z Andrzejem Dudą, czy po wyborach parlamentarnych, gdy Prawo i Sprawiedliwość utworzyło rząd. Nastąpiło to w listopadzie 2016 r., kiedy wybory prezydenckie w Stanach Zjednoczonych Hillary Clinton przegrała z Donaldem Trumpem. Pogrążony w rozpaczy profesor wyniki wyborów zarówno w Polsce, jak i w Stanach Zjednoczonych nazwał w jednym z wywiadów „buntem chamstwa wobec elit". Przerażony diagnozą dziennikarz dopytywał: „Naprawdę chce pan użyć słowa »chamstwo«?". „Tak, ono oddaje sprawę, na pewno nie słowo »idiota«" – odpowiedział natychmiast rozmówca. Dziennikarz nie dał za wygraną i dalej drążył: „Pan mówi tak, jakby to »chamstwo« było problemem. Tyle że problem jest z elitami, które żyją w matriksie stworzonym przez media i sondaże, nie dostrzegając, jak zmieniła się rzeczywistość". To pytanie całkiem wyprowadziło uczonego z równowagi: „Ale to nie jest tak, że elity oderwały się od rzeczywistości. Jest odwrotnie – to rzeczywistość oderwała się od elit. W tym sensie, że za pomocą istniejących narzędzi nie umiemy mierzyć tej rzeczywistości". Całość tej fascynującej rozmowy redakcja opatrzyła nagłówkiem: „Marcin Król: Wygrana Trumpa to triumf chamstwa i koniec zachodniego świata. Nadchodzą barbarzyńcy!".

To żałosne, że od czasu tamtej rozmowy i powyborczego szoku po wygranej Donalda Trumpa w myśleniu Marcina Króla tak niewiele się zmieniło. Można nawet powiedzieć, że stan tunelowej recepcji rzeczywistości się nasilił. Z tą różnicą, że barbarzyńców z 2016 r. dziś nazywa „diabłem". Jak na liberała i zwolennika LGBT to może jednak jest pewien postęp? Zwłaszcza że rzeczywistość wciąż się od profesora i jego kolegów, bezlitośnie i beznadziejnie (sic!) odrywa.

Dowód alienacji i zagubienia, by nie powiedzieć, popis żenującego prostactwa, daje także związany z Platformą Obywatelską, były rzecznik rządu Jerzego Buzka, członek KRRiT poprzedniej kadencji, Krzysztof Luft. Opublikował niedawno na Twitterze bzdurę miesiąca o treści: „Ks. Tymoteusz Szydło, syn Beaty Szydło, będzie celebrował msze po łacinie, tyłem do wiernych. To symboliczne – Sobór Watykański II jest w polskim Kościele katolickim kwestionowany, tak jak w państwie polskim kwestionowana jest demokracja liberalna. Oddalamy się od świata". Oto przemówił przedstawiciel elity – no comments...

eprasa.pl e7683f73ec



Wszystkie chwyty dozwolone

Fot. AP/EastNews

Przy okazji odbywających się w Polsce wyborów często da się słyszeć narzekania, że stosowane są u nas chwyty, które pasują raczej do Rosji niźli do rozwiniętych demokracji. Przyznam, że te utyskiwania wydają mi się mocno naciągane, bo świadczą o tym, iż nie doceniamy pomysłowości rosyjskich urzędników i specjalistów od wygrywania wyborów



MAREK BUDZISZ

Jesienią tego roku odbędą się w wielu rosyjskich miastach wybory do tamtejszych rad, wybierani będą też merowie, a w kilku guberniach, w tym tak ważnej jak petersburska, gubernatorzy. Chcący w nich kandydować przez cały czerwiec zbierali podpisy, a następnie zmagali się z lokalnymi komisjami wyborczymi i przeżywali przy okazji rozmaite przygody, których opis pozwoli nam zrozumieć, czy opatrywanie polskich wyborów epitetami, iż przypominają podobne, tyle że rosyjskie, jest uprawnione.

NUMER Z LISTAMI, A RACZEJ Z NUMEREM

W moskiewskim 45. okręgu wyborczym chce kandydować jeden z liderów opozycji Ilja Jaszyn. Podobnie jak inni niezależni i opozycyjni kandydaci musiał zebrać odpowiednią liczbę podpisów (zależy od liczby osób uprawnionych do głosowania w danym okręgu). W przypadku Jaszyna minimum to 4 507 podpisów. Zbieranie nie szło łatwo, a – co najważniejsze – podpisy musiały się znaleźć na specjalnych formularzach, których wzór jest precyzyjnie określony przez komisję wyborczą. W prawym dolnym rogu na każdej karcie musi widnieć numer rachunku bankowego komitetu wyborczego kandydata, który zbiera podpisy. Komitet Jaszyna zamówił druk formularzy zgodnych z zatwierdzonym wzorem w sprawdzonej, jak mówi w wywiadzie dla „Nowej Gaziety", drukarni. Ale kiedy podpisy już zebrano, to się okazało, że w środku 24-cyfrowego numeru bankowego nastąpiło to, co my nazywamy czeskim błędem. Zamiast 738 wydrukowano 783. Ale nie na wszystkich arkuszach, a jedynie na jakichś 10 proc. To oznacza, że zebrane na nich podpisy mogłyby zostać przez komisję wyborczą

eprasa.pl e7683f73ec

odrzucone, bo formularze były nieprawidłowe i mogły wprowadzić wyborcę w błąd. Jak to się stało, że ta sama firma, drukując kilkaset formularzy, w części popełniła taki błąd? Przecież trzeba było specjalnie po to naświetlać nową kliszę – mógłby zapytać retorycznie moskiewski opozycjonista. Kiedy poprosił w drukarni o wyjaśnienia, usłyszał, że to po prostu pomyłka. Czy brzmi to wiarygodnie?

Z innych sztabów wyborczych napływają informacje o jeszcze jednej metodzie stosowanej przez „nieznanych zleceniodawców". Otóż do kandydata zgłaszają się ludzie – młodzi wolontariusze chcący wspomóc zbieranie podpisów. I są przyjmowani, bo ludzi jest mało i każdy się przyda. Biorą oni karty do zbioru podpisów i po kilku dniach przynoszą wypełnione. Jeśli kandydat jest zbyt ufny, to może się na tym przejechać, bo zdarzało się, że podpisy wyborców na kartach były sfałszowane. Czy ktoś zaplanował całą operację, nie wiadomo. Ważne jest to, że w końcowym rachunku sztab kandydata jest pewny, iż ma wymagane poparcie udokumentowane podpisami, nie zbiera już tak intensywnie, a w efekcie nie przechodzi ich skrupulatnej weryfikacji w komisji wyborczej.

PRZEJECHAŁ STARUSZKĘ

Ten sam Jaszyn ujawnił też inny manewr „nieznanych sprawców". Ktoś zaczął kolportować plotkę, że „opozycjonista Jaszyn przejechał staruszkę na pasach i uciekł z miejsca wypadku". Przed jedną ze stacji metra stanął nawet młody mężczyzna, jak sam twierdził, naoczny świadek wydarzenia, który widział Jaszyna siedzącego za kierownicą oddalającego się samochodu. Trzymał w ręku tablicę, za pomocą której informował potencjalnych wyborców opozycjonisty, jaki to z niego szubrawiec. I wtedy podszedł do niego Jaszyn (a wszystko zostało sfilmowane i nagranie, można obejrzeć na facebookowym koncie opozycjonisty), pytając się, czy rzeczywiście widział sprawcę. „Tak, na własne oczy widziałem" – odpowiedział młodzian. „Czy to rzeczywiście był Jaszyn?" – pyta opozycjonista, nie ujawniając jeszcze swojej tożsamości. „Jak najbardziej to był Jaszyn we własnej osobie" – słyszy w odpowiedzi. W tym momencie wyciąga dowód osobisty, mówi, że to on jest Jaszynem i czy to jego demonstrujący widział uciekającego z miejsca wypadku.

Nieco skonsternowany „świadek" wyciąga w tym momencie telefon, chowa tablicę i dzwoni do nieznanego Koli czy Wani, mówiąc – na nagraniu słychać to dokładnie – że właśnie podszedł do niego Jaszyn, wylegitymował się i co on ma w tej sytuacji robić? „Uchadi" (uciekaj) – słyszy w odpowiedzi.

WYBORY BĘDĄ, ALE KIEDY, TO JESZCZE SIĘ OKAŻE

Myliłby się ten, kto czytając ten śródtytuł, myślał, że chodzi o manewrowanie przez władze terminem wyborów i wyznaczaniem takiej daty, która według rachub rządzących może być dla nich najkorzystniejsza. W Petersburgu, gdzie też jesienią będą wybory, wymyślono bardziej zaawansowany wariant tego triku. Otóż zgodnie z rosyjskim prawem, aby kandydat mógł zbierać podpisy, musi się zarejestrować i dopiero potem ma 30 dni na skompletowanie list. Ale co, jeśli lokalna komisja wyborcza, a w Rosji, niezależnie od decyzji zapadających w centralnych organach, to na szczeblu lokalnym wydaje się zarządzenia w sprawie wyborów do lokalnych ciał przedstawicielskich, „zapomni" ogłosić termin, który już biegnie, ale jeszcze nikt o tym nie wie, tzn. nikt z obywateli nie wie, bo ci, co mają wiedzieć, są poinformowani. Taki manewr zastosowano w kilkunastu komisjach w Petersburgu, sporo osób chcących kandydować dowiedziało się z opóźnieniem, mieli więc mniej czasu na zbieranie podpisów. Skarżyli się nawet do centralnej Komisji Wyborczej i apelowali, aby w takiej sytuacji jej szefowa Ełła Pamfiłowa unieważniła wybory do niektórych rad w północnej stolicy Rosji, ale niewiele wskórali, bo się okazało, że wszystko jest w porządku. Ale to nie był koniec ich problemów, bo władze zastosowały kolejny manewr, który roboczo możemy nazwać:

CO ZROBIĆ, GDY DEMOKRACJA W ROSJI JEST TAK POPULARNA

W Petersburgu, ale nie tylko, bo praktykę taką odnotowano i sfilmowano również w uralskim Jekaterynburgu, do komisji wyborczych ustawiły się długie kolejki chcących zarejestrować się kandydatów. Pewne zdziwienie budziło wśród obserwatorów to, że często byli to dość muskularnie zbudowani młodzi mężczyźni (Petersburg) lub młode dziewczęta (Jekaterynburg). Wkrótce potem wyjaśniło się, że petersburscy młodzieńcy, którzy poczuli taki demokratyczny zew, uczęszczają do jednej z miejscowych szkół wojskowych. Ale kolejka się ustawiła, a komisja – bo przecież wiadomo, że Rosja to państwo prawa – skrupulatnie rozpatrywała przedłożone dokumenty. I w efekcie na jednego chcącego się zarejestrować poświęcała od dwóch do trzech godzin. Dni mijały, a zwolennicy opozycji nie mogli się zarejestrować i przystąpić do zbierania podpisów.

Co ciekawe, kiedy w Jekaterynburgu pojawiła się przed jedną z komisji ekipa reporterów telewizyjnych chcąca porozmawiać z młodymi kobietami zamierzającymi kandydować, to one, co trochę dziwne w przypadku polityków zabiegających o rozgłos i dbających o to, aby media dużo o nich pisały, odwróciły się twarzami do ściany i nie chciały pokazać swego oblicza.

URZĘDNIK TEŻ MOŻE SPORO

Kiedy już chcący kandydować w wyborach municypalnych przedstawiciel opozycji lub choćby kandydat niezależny, tzn. nieznany władzom, zbierze podpisy, to znów musi się ustawić w kolejce, aby złożyć listy. Proste, niekoniecznie. Dlaczego? W kilkunastu przypadkach w Petersburgu pojawiała się nagle grupa wysportowanej młodzieży, która z tej kolejki kandydata po prostu wyrzucała. Wzywanie policji nic nie zmieniało, bo ta albo nie chciała przybyć z pomocą, albo robiła to ślamazarnie, albo po jej odjeździe napastnicy wracali.

W Petersburgu doszło nawet do tego, że zdesperowani kandydaci w kilku komisjach zatamowali w ramach protestu ruch na sąsiednich ulicach, ale wówczas strażnicy porządku szybko się pojawili.

Ale to nie koniec niespodzianek. Jak już swoje się odczeka, to może się okazać, że komisja właśnie zakończyła pracę, bo zmieniono grafik jej dyżurów i trzeba się pojawić następnego dnia, ale gwarancji, że uda się złożyć dokumenty, też nie ma. Taka właśnie przygoda spotkała

eprasa.pl e7683f73ec

chcącego kandydować w Petersburgu Maksima Maksimowa z Partii Wzrostu. Otóż pojawił się on rano około siódmej przed drzwiami komisji. Zaraz potem uformowała się za nim spora kolejka, Maksimow był jednak spokojny, jako że stał na jej czele. Kiedy już po dwóch godzinach otworzono drzwi urzędu, to Maksimowa spotkało niemiłe powitanie. Nie dość, że się dowiedział, iż wcale nie jest pierwszy w kolejce, to na dodatek zaraz potem komisja oświadczyła, że nie przyjmie od niego papierów. Trzeba było wzywać policję i specjalistów z miejskiej komisji wyborczej, pod nadzorem których do godz. 18.30 udało się mniej więcej połowie oczekujących złożyć dokumenty. I tyle. Wkrótce potem przewodnicząca komisji gdzieś się zawieruszyła, a pani sekretarz źle się poczuła i trzeba było przerwać pracę.

Ale nawet jeśli taki niepożądany opozycjonista zbierze niezbędne podpisy i złoży dokumenty, to dla władzy nie wszystko jest jeszcze stracone. W historii rosyjskiej demokracji zdarzało się, że właśnie zmieniono adresy niektórych osób, które poparły kandydującego opozycjonistę w okręgu, i z trudem zgromadzone podpisy okazywały się nieważne, bo przecież opatrzone były złym adresem. W trakcie ubiegłorocznych wyborów prezydenckich w Petersburgu okazało się, że część osób uprawniona do głosowania zapewne w wyniku ludzkiej pomyłki została przeniesiona do innego okręgu. Pół biedy, jeśli po sąsiedzku, ale np. niektórzy zostali przerzuceni nawet, jak się okazało, na Ałtaj. Dochodziło w sumie do zabawnych sytuacji, takich jak w przypadku senator Narusowej, prywatnie matki kandydatki Sobczak, i byłej pierwszej damy Petersburga, która w dzień głosowania nie mogła odnaleźć swego nazwiska na liście uprawnionych w komisji, w której zawsze oddawała głos.

Borys Wiszniewski, deputowany miejski liberalnego Jabłoka, zwraca uwagę mediów na jeszcze jeden chwyt stosowany przez miejskie komisje wyborcze, zwłaszcza w tych okręgach, gdzie kandydują dobrze widziani przez władze, ale niezbyt popularni kandydaci. Otóż komisja znajduje jakieś drobne uchybienie w dokumentacji kandydata opozycji – opisuje sytuację Wiszniewski – takie, które zgodnie z prawem wyborczym może zostać skorygowane. Ale w świetle zapisów ustawy komitet wyborczy może to zrobić najpóźniej na trzy dni przed posiedzeniem komisji, na którym rejestrowani są kandydujący, a to ona ma obowiązek wysłać mu stosowne wezwanie. I co komisja robi? Zamiast skorzystać z telefonu lub poczty elektronicznej wysyła tradycyjny list. Wezwanie dochodzi, tylko że już nie ma czasu, aby usunąć usterkę i kandydat może zostać skreślony.

> Jeśli nawet niepożądany opozycjonista zbierze niezbędne podpisy i złoży dokumenty, to dla władzy nie wszystko jest jeszcze stracone. W historii rosyjskiej demokracji zdarzało się, że nagle zmieniano adresy niektórych osób, które poparły kandydującego opozycjonistę, a wtedy zgromadzone podpisy okazywały się nieważne, bo opatrzone były złym adresem

Takie posunięcie wymaga urzędniczej finezji, ale można też prościej, o czym opowiada mediom przewodnicząca regionalnego komitetu partii Sprawiedliwa Rosja w Petersburgu Marina Szyszkina: – Twierdzą, że nasi kandydaci nie złożyli kompletu dokumentów, mimo iż sami podpisali oświadczenie o ich przyjęciu – opisuje sytuację, jaka spotkała jednego z aktywistów jej formacji.

O podobnych chwytach mówi szef lokalnego komitetu wyborczego zwolenników Aleksandra Nawalnego Aleksandr Szurszew. Kandydaci jego formacji złożyli wymagane dokumenty i dostali potwierdzenie o ich przyjęciu podpisane przez jedną z miejskich komisji wyborczych. Tylko że potem zmieniono jego pierwszą stronę i na tej podstawie, twierdząc, że dokumenty są niekompletne, odmówiono rejestracji.

Liderzy partii, komitetów wyborczych czy sami kandydaci liczą, że zostaną uwzględnione ich odwołania do sądów i komisji wyborczych wyższych szczebli i w efekcie ich nazwiska pojawią się na kartach wyborczych. Nawet jeśli tak się stanie, a co do tego nie ma pewności, to czas, który mogliby przeznaczyć na pozyskiwanie funduszy i prowadzenie kampanii, muszą tracić w korytarzach sądów i przedpokojach urzędów. Partia władzy nie ma takich problemów.

Do tego dochodzą tradycyjne, choć już trochę ograne chwyty wyborcze. W Moskwie w wyborach do miejskiej Dumy nie ma już kandydatów Jednej Rosji, partia władzy zniknęła, kandydują jedynie niezależni. Podobnie wśród uczestniczących w wyborach na stanowiska gubernatorów obecnie sprawujących ten urząd. Brak ludzi powiązanych z partią władzy – wszędzie niezależni, wysunięci przez własne, oczywiście społeczne, komitety. Znacznie wzrosło też zainteresowanie wyborami świata kultury. Przede wszystkim w wydaniu pop, ale to też się liczy. W Moskwie w wielkiej liczbie kandydują piosenkarze, aktorzy, sportowcy, celebryci.

Jeszcze kampania się nie zaczęła, jeszcze nie wiadomo, kto będzie konkurował z politykami wysuniętymi przez władze. Jeszcze wiele należałoby napisać o dostępie do mediów, możliwości wieszania plakatów, kłopotów z wynajmowaniem sal i uzyskiwaniem zgód na odbywanie przedwyborczych wieców i spotkań. Problemy związane z finansowaniem kampanii to odrębna historia. Dalece niepełny opis tego, co się dzieje w Rosji, dedykuję wszystkim, którzy są zdania, że polskie procedury demokratyczne szwankują i upodabniamy się do wschodniego sąsiada.

eprasa.pl e7683f73ec



Fot. Andrzej Wiktor

Matka Europy?

Urodzona w Brukseli, zrobiła karierę w niemieckiej polityce u boku kanclerz Angeli Merkel. Jako minister obrony uwikłała się w głośny skandal. Kim właściwie jest nowa przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen?

„Urodziłam się w Brukseli, w samym sercu Unii Europejskiej. Mój ojciec służył Europie z całych sił. W duchu byłam Europejką, zanim stałam się Niemką i obywatelką Dolnej Saksonii" – tymi słowami była szefowa niemieckiego MON i matka siedmiorga dzieci Ursula von der Leyen apelowała do europosłów, by poparli jej kandydaturę na szefową Komisji Europejskiej. „Kto na mnie odda głos – przekonywała – odda głos nie na Niemkę, ale Europejkę zdolną godnie reprezentować Stary Kontynent w zglobalizowanym świecie". W końcu von der Leyen, co jest rzadkością dla niemieckich polityków jej pokolenia, spędziła jedną trzecią swojego życia poza ojczyzną. Urodzona w 1958 r. w Brukseli, gdzie jej ojciec Ernst Albrecht, późniejszy premier Dolnej Saksonii, pracował jako unijny urzędnik, dorastała w Belgii, studiowała w późnych latach 70. w Londynie (pod pseudonimem Rose Ladsen, co miało ją chronić przed terrorem Frakcji Czerwonej Armii-RAF), a następnie jako młoda matka i lekarka spędziła kilka lat w Kalifornii, gdzie jej mąż Heiko von der Leyen wykładał medycynę na uniwersytecie w Stanfordzie.

eprasa.pl e7683f73ec



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Od 1990 r. jest członkiem CDU. Do niemieckiej chadecji wstąpiła w chwili, gdy jej ojciec wycofywał się z polityki po przegranych wyborach i trzech kadencjach jako premier drugiego co do wielkości kraju związkowego Niemiec. Rok później ukończyła doktorat z medycyny na uniwersytecie medycznym w Hanowerze. Przez całe lata 90. „Różyczka" – jak twierdzi dziennik „Die Welt", tak nazywali ją rodzice – pięła się mozolnie po szczeblach lokalnej polityki w Dolnej Saksonii, aż w 2003 r. została ministrem ds. społecznych, kobiet, rodziny i zdrowia landu, rządzonym wówczas przez Christiana Wulffa. Uchodziła wtedy za polityk nieco elitarną, zarówno z powodu własnego pochodzenia – z bogatej mieszczańskiej rodziny Albrecht, której korzenie sięgają XV w. – jak i rodziny jej męża, zamożnych przedsiębiorców o arystokratycznym rodowodzie. W Brukseli uczęszczała do elitarnej European School of Brussels, gdzie nauczyła się płynnie mówić po francusku.

Jej polityczna kariera nabrała tempa, gdy kanclerz Niemiec Angela Merkel wzięła ją pod swoje skrzydła i w 2005 r. wciągnęła do rządu wielkiej koalicji z CDU i SPD. W roli minister ds. rodziny, emerytów, kobiet i młodzieży.

ARMIA DORADCÓW

Jako minister ds. rodziny polityk, która należy do ewangelicko-luterańskiego Kościoła, zwróciła na siebie uwagę wieloma prorodzinnymi reformami, jak zwiększenie liczby miejsc w żłobkach i przedszkolach oraz podwyższenie zasiłku wychowawczego (Elterngeld). W 2009 r. została ministrem pracy, w 2010 r. wiceprzewodnicząca CDU, a w 2013 r. szefową MON. Ze względu na jej bliskość z Angelą Merkel, pracowitość i ambicję spekulowano, że może ona zastąpić kanclerz na czele niemieckiego rządu. Zabrakło jej jednak poparcia w partii, więc przez lata pozostawała tą, która „mogłaby" zostać kanclerzem, a może nawet sekretarzem generalnym NATO.

Potem, w 2016 r., wybuchła afera wokół jej pracy doktorskiej. Zarzucono jej plagiat. Ostatecznie pozwolono jej zachować tytuł doktorski, choć jej Alma Mater mówiła o „poważnych brakach" w cytowaniu źródeł. Wtedy była już od trzech lat ministrem obrony i jej gwiazda zaczęła powoli blaknąć. Chwalona na forum NATO za „twardą postawę" i to, że zawsze mówi z głowy (w trzech językach), zamiast czytać z kartki, wyraźnie nie radziła sobie jednak z modernizacją Bundeswehry, którą sama postawiła sobie za cel. Zamiast tego byli uchodźcy w koszarach (a żołnierze w namiotach w lesie), kursy o gender oraz LGBTQ i oskarżenie Bundeswehry w 2017 r. o to, że „ma problemy z prawicowym ekstremizmem" po aferze z „ksenofobicznym" żołnierzem, któremu udało się zarejestrować jako syryjski uchodźca i który miał planować zamach. Dowództwo Bundeswehry nigdy jej tego nie wybaczyło.

Potem było już tylko gorzej. Na początku 2018 r. ukazał się raport sporządzony dla Bundestagu, z którego wynikało, że niemiecka armia nie jest w stanie wykonać podstawowych zadań. Duża część z posiadanego nowoczesnego sprzętu, m.in. czołgi Leopard 2, śmigłowce NH-90 i Tiger, samoloty Eurofighter i Tornado, jest bowiem niesprawna. Pod koniec 2017 r. Niemcy nie dysponowali też ani jednym sprawnym okrętem podwodnym, choć na stanie marynarki jest sześć jednostek. A z 14 samolotów transportowych A400M żaden nie był w pełni zdolny operacyjnie.

Raport został upubliczniony w internecie przez niemieckich dziennikarzy, m.in. Christiana Thielsa z telewizji ARD. Zaczęto oskarżać von der Leyen o nieudolność, a wręcz o doprowadzenie Bundeswehry do stanu rozsypki. Na to nałożyła się afera wokół żaglowca szkolnego niemieckiej marynarki wojennej „Gorch Fock", którego remont miał kosztować 50 mln, a w rzeczywistości będzie kosztować ponad 130 mln euro. I nie wiadomo, czy na tym się skończy. Von der Leyen udało się wprawdzie wywalczyć podwyżkę budżetu obronnego, ale wypadła ona skromnie. Zbyt skromnie, bo wciąż brakuje środków na remont i eksploatację uzbrojenia. Na domiar złego w ubiegłym roku wybuchł skandal wokół kilkuset milionów euro, które była już szefowa MON wydała na zlecenia dla zewnętrznych firm eksperckich, w tym dla firmy doradczej McKinsey, dla której pracowała sekretarz stanu w MON Katrin Suder. Pod koniec grudnia ub.r. zaczęto mówić o konieczności powołania komisji śledczej w tej sprawie i pojawiły się zarzuty o nepotyzm. Niewykluczone, że von der Leyen jako szefowa KE będzie musiała zeznawać przed tą komisją. Oficerowie sztabu nieustannie się skarżyli, że w MON jest „zbyt wielu cywilów, bystrych wprawdzie, ale nieznających się zupełnie na obronności".

PONADNARODOWA NIEMKA

W Komisji Europejskiej to raczej nie będzie stanowiło problemu. Tam von der Leyen będzie otoczona przez bystrych cywilów, którzy podobnie jak ona wierzą w ideę wspólnej armii europejskiej. Tę ideę forsowała, odkąd została ministrem obrony Niemiec, i zawdzięcza temu m.in. poparcie prezydenta Francji Emmanuela Macrona, wielkiego zwolennika wspólnej europejskiej armii, w wyścigu o następstwo dla Jeana-Claude'a Junckera. „Dziś nadszedł wielki dzień dla Europy" – oświadczyła 13 listopada 2017 r., gdy ruszyła stała wojskowa współpraca strukturalna (PESCO), w której udział biorą 23 państwa członkowskie UE (z 28). To pasuje do obrazu, który usiłuje kreślić, „ponadnarodowej Niemki", żywego przykładu udanej europejskiej integracji.

Czwórkę swoich dzieci wysłała na wymianę studencką poprzez program Erasmus – jedno do Poznania, a pozostałe do Madrytu, Londynu i Paryża. Jak podkreślił Carol Masala, wykładowca na uczelni Bundeswehry w Monachium, w rozmowie z „Neue Zürcher Zeitung", trudno znaleźć innych polityków zajmujących się obronnością w Europie, którzy by się „w podobnym stopniu angażowali na rzecz współpracy obronnej w UE". Według niego przyjaciele armii europejskiej siedzą raczej w berlińskim MSZ niż w MON, które trady-

eprasa.pl e7683f73ec

cyjnie trzyma z NATO. Von der Leyen złamała z tą tradycją.

Jako szefowa Komisji, jak przekonuje, chce prowadzić Europę z „odwagą i śmiałością pionierów". Podczas przemówienia w PE mówiła ponadto o gospodarce, globalizacji oraz zmianach klimatycznych. Ale także o wartościach europejskich, takich jak praworządność. Nic nie wskazuje jednak na to, że będzie forsowała tę ostatnią sprawę zbyt ostro. Uchodzi bowiem za polityka bardziej koncyliacyjnego niż konfrontacyjnego.

Jean-Claude Juncker upolitycznił KE, dążąc do poszerzenia jej kompetencji kosztem Rady UE i Parlamentu Europejskiego. W przypadku von der Leyen istnieje nadzieja, że będzie wprost odwrotnie i siła decyzyjna w pełni wróci do państw członkowskich. Sama metoda wyboru niemieckiej polityk na to wskazuje. Wybrany miał zostać jeden z głównych kandydatów europejskich partii – chadek Manfred Weber lub socjalista Frans Timmermans. Po to właśnie wprowadzono system Spitzenkandidaten (głównych kandydatów). Decyzja zapadła jednak w negocjacjach między państwami, które nie były gotowe zrezygnować z tej prerogatywy, nawet w wymiarze symbolicznym. Unia Europejska to gra interesów państw narodowych. Wszystko inne, w tym dywagacje o Stanach Zjednoczonych Europy, to mrzonki. To zmusi von der Leyen zresztą do odegrania roli arbitra między sprzecznymi interesami w UE skupionymi coraz bardziej w regionalnych blokach.

To, że jest Niemką, nie zadziała wcale na korzyść Berlina, bo nie będzie on mógł za jej pomocą forsować swoich interesów. Byłoby to zbyt czytelne. A chadek Martin Selmayr, sekretarz generalny KE i autor planu relokacji uchodźców według kwot, odchodzi wraz z Junckerem. A to przy jego pomocy – w dyskretny sposób – Merkel wpływała na Komisję. Jedyne niebezpieczeństwo, które istnieje, to to, że bardziej doświadczeni politycy unijni, jak wyżej wymieniony Timmermanns, jeśli znów wejdzie w skład KE, otorbią von der Leyen i ograniczą jej pole manewru. A to oczywiście, biorąc pod uwagę słabość, którą wykazała jako szefowa niemieckiego MON, jest niewykluczone.

ARBITER MIĘDZY NOWĄ A STARĄ UNIĄ?

Byłoby jej zresztą trudno zbytnio forsować zasady praworządności, bez względu na to, co mówiła i mówi, w końcu we własnym resorcie sama słabo ich przestrzegała i to będzie na niej ciążyło. Trudno będzie jej także zapomnieć o tym, że bez głosów tych strasznych populistów z Polski i Węgier nie zostałaby wybrana na szefową KE (przewagą zaledwie dziewięciu głosów), a jej dalsza polityczna kariera w Niemczech po aferze doradczej stanęła pod znakiem zapytania.

Jako próbę mediacji i pewien gest pojednawczy należy odczytać wizytę von der Leyen (po Paryżu i Berlinie), w miniony czwartek w Warszawie, podczas której temat praworządności nie został w ogóle poruszony. A także wywiady, których udzieliła niemieckiemu „Süddeutsche Zeitung" oraz „Gazecie Wyborczej", w których sygnalizowała gotowość do kompromisu ws. migracji, do dialogu z Polską i Węgrami, a obcinanie funduszy za naruszanie praworządności uznała za „środek ostateczny". Zdaniem von der Leyen pęknięcie między wschodem a zachodem ma „emocjonalny aspekt". I to pęknięcie należy załatać. „Wielu mieszkańców krajów Europy Środkowej i Środkowo-Wschodniej ma poczucie braku pełnej akceptacji" – oceniła niemiecka polityk. „Jeżeli debaty są toczone w tak ostry sposób, jak się to dzieje obecnie, to prowadzi to do tego, że kraje i narody uważają, że krytyka uderza w nie jako całość, chociaż krytykowane są tylko poszczególne braki. Ważne jest to, by debata stała się bardziej rzeczowa" – mówiła. W 2017 r. brzmiało to jeszcze inaczej. Wtedy mówiła o wsparciu dla „ruchu oporu w Polsce". Ale to były inne czasy i inna rola.

Jaką więc von der Leyen będzie szefową Komisji? To czas pokaże. Będzie ona miała w o wiele trudniejsze zadanie niż Juncker. Parlament Europejski jest całkowicie rozproszony, nie jest pewne, że uda jej się wypracować ofertę dla każdej grupy politycznej i te oferty z sobą pogodzić. Jeśli nowa szefowa KE będzie narzędziem interesów wyłącznie Francji i Niemiec, przyspieszy dezintegrację Unii, w przeciwnym razie pozostaje jej rola arbitra pomiędzy coraz bardziej sprzecznymi i coraz wyraźniej artykułowanymi interesami, a to jest pozycja doprawdy nie do pozazdroszczenia. Niektóre zachodnioeuropejskie media widzą w niej już nową „matkę Europy". W końcu jest przekonaną Europejką oraz matką, i to sporej gromadki dzieci.



MARIOLI I STANISŁAWOWI BORTKIEWICZOM

szczere wyrazy współczucia
z powodu śmierci

Mamy
i Teściowej

Joanna i Jacek Kurscy

eprasa.pl e7683f73ec

Wolność przyszła z Polakami



Weterani 2. Korpusu Polskiego przed bramą św. Stefana w Ankonie

„Stajemy wśród naszych braci, których ciała przyjęła włoska ziemia. Tam gdzie spoczywają nasi bohaterowie, tam jest Polska”



MARCIN WIKŁO

Stoimy na dziedzińcu bazyliki w Loreto, gdzie 75 lat temu polscy żołnierze zaciekle walczyli z Niemcami, by otworzyć sobie drogę na Ankonę. Weterani, którzy są z nami, to już bardzo wiekowe osoby, ale w oku widać błysk, gdy prosimy o opowieść o Kampanii Adriatyckiej. – Zapier...my tymi czołgami, a Niemcy przed nami wieją, aż się kurzy! – mówi podekscytowany mjr Otton Hulacki. Mimo grubych słów nie ma w tej opowieści ani krzty wulgarności, jest za to emocja młodego pancerniaka, który ma do wykonania rozkaz. Celem była Ankona, bardzo ważny port na wschodnim wybrzeżu Włoch. Gdyby się udało, otworzyłoby to aliantom drogę na Bolonię i dalej w głąb kontynentu. – Walki były rzeczywiście ostre, a teren nieprzyjazny. Ale nam się udało – dodaje kpt. Władysław Dąbrowski. Pytamy o kolegów, którzy tutaj polegli. – Przeżywam zawsze te chwile, gdy idę na ich mogiły i mogę odmówić za nich pacierz. Byliśmy przecież tak zżyci. Byliśmy z sobą tylko dwa lata, a taka w nas była energia... – dodaje kpt. Dąbrowski. Opowiada o miejscowej ludności, która nastraszona przez Niemców początkowo odnosiła się do Polaków z dużą rezerwą. – Wmówili im, że wraz z czarnymi beretami, a takie mamy my, dopiero przyjdzie prawdziwe zdziczenie. Przedstawiano nas jako potworów, którzy – nie żartuję – będą się żywili piersiami kobiet – opowiada kapitan. Jakież było zdziwienie Włochów, gdy zamiast tego spotkali życzliwych młodych chłopaków dzielących się z nimi racjami żywnościowymi.

– Weterani 2. Korpusu Polskiego mają pełną świadomość, że stawali zawsze po stronie dobra w walce ze złem, które tutaj było uosobione przez narodowosocjalistyczną III Rzeszę. To są niezwykłe momenty – dla nich wspomnień, a dla nas poczucia dumy. Z tego, że jesteśmy Polakami, że jesteśmy w miejscach, które wyzwalane były przez żołnierza polskiego, w miejscach niezwykle ważnych również dla naszej cywilizacji – mówi Jan Józef Kasprzyk, szef Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych. To na jego zaproszenie goszczą we Włoszech weterani i ich bliscy.

Zdjęcia M. Czutko

eprasa.pl e7683f73ec


Kpt. Władysław Dąbrowski opowiada o walkach o Loreto

BOMBA W BAZYLICE

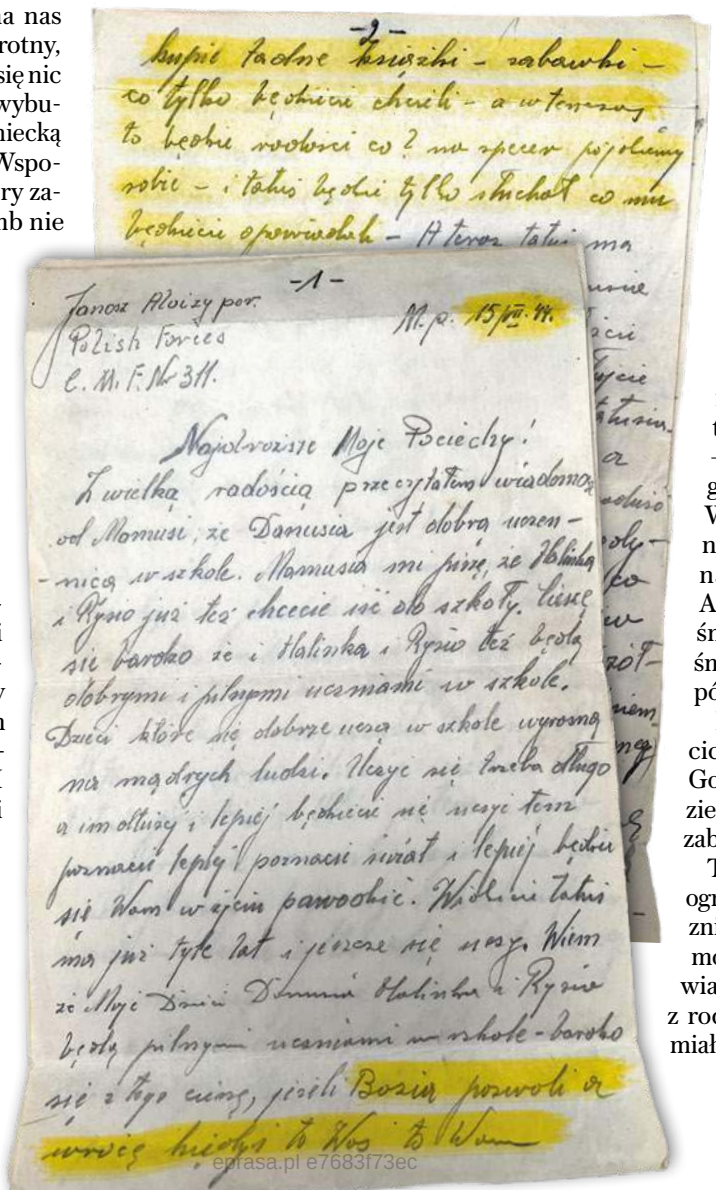
Nasza grupa zwiedza bazylikę w Loreto – Sanktuarium Świętego Domku. Tutaj mieści się kamienny, wysoki na trzy metry, dom Maryi przeniesiony w średniowieczu z Nazaretu. W nim figurka Matki Bożej Loretańskiej. Przewodnik, polski zakonnik, ze szczegółami opowiada, ile zaangażowania wkładają Niemcy w odbudowanie i utrzymanie bazyliki. O tym, że najpierw ją zburzyli, nie mówi, co powoduje irytację wśród naszych weteranów.

– Niemcy nie mogli się pogodzić z tym, że zdobyliśmy klasztor, i za wszelką cenę chcieli nas stąd wykurzyć – opowiada ppłk Marian Tomaszewski, uczestnik całej kampanii włoskiej 2. Korpusu Polskiego pod dowództwem gen. Władysława Andersa. – W swojej bezsilności w końcu zrzucili na nas bomby. Los bywa jednak przewrotny, a Pan Bóg sprawiedliwy, bo nam się nic nie stało, domek Maryi ocalał, a wybuchy zniszczyły tylko kaplicę... niemiecką – opowiada ppłk Tomaszewski. Wspomina jeszcze jeden moment, który zapadł mu w pamięć. Jedna z bomb nie wybuchła, ale wpadła do krypty pod domkiem. – Ugasiliśmy ją my, polscy żołnierze, a potem z narażeniem życia rozbroiliśmy jednotonowy niewybuch. Gdyby nie szybka reakcja wtedy, dzisiaj byśmy się w tym miejscu nie spotkali – mówi z rozczarowaniem, że historia tej walki przekazywana jest turystom tak wybiórczo.

Minister Kasprzyk dodaje: – To pokazuje wprost, że wymiar tej walki tu na Półwyspie Apenińskim był nie tylko militarny, oni bili się o coś więcej. O przywrócenie świata wartości, które zostały podeptane najazdem niemieckim w 1939 r., gdy Niemcy sprzymierzone z Sowietami rozpoczęły II wojnę światową. Nasi weterani bardzo mocno to podkreślają, mówili to też pod Monte Cassino, mówią i tutaj: myśmy przywracali normalność, przywracaliśmy świat wartości łacińskich, chrześcijańskich tak barbarzyńsko podeptanych przez tych spod znaku swastyki.

Bazylika jest imponująca, spore wrażenie robią otaczające domek kaplice. Obok wspomnianej niemieckiej jest i kaplica polska. A w niej imponujące freski na sklepieniu, jeden przedstawia „Cud nad Wisłą", drugi obraz to „Sobieski pod Wiedniem".

– Jestem naprawdę szczęśliwy, że to miejsce ocalało. Naprawdę szczęśliwy – mówi mjr Hulacki. Po bazylice jest wożony na wózku inwalidzkim. Jego 97-letnie nogi już odmawiają posłuszeństwa, ale umysł ma jasny, a myśli błyskotliwe. I chętnie się nimi dzieli. Kolejny postój podczas naszej podróży to okazja do rozmowy, nie tylko z dziennikarzami. Barwną opowieść dostanie każdy, kto znajdzie się w zasięgu wzroku krnąbrnego pancerniaka.


-2-
-1-
Janosz Alojzy por.
Polish Forces
e. M. F. Nr 311.
M.p. 15/VII. 44.
Najdroższe Moje Pociechy!
Z wielką radością przeczytałem wiadomość od Mamusi, że Danusia jest dobrą uczennicą w szkole. Mamusia mi pisze, że Helinka i Rysio już też chcecie iść do szkoły. Cieszę się bardzo że i Halinka i Rysio też będą dobrymi i pilnymi uczniami w szkole.
Dzieci które się dobrze uczą w szkole wyrosną na mądrych ludzi. Uczyć się trzeba długo a im dłużej i lepiej będziecie się uczyć tem [illegible] lepiej i poznacie świat i lepiej będzie się Wam w życiu pawodzić. Widzicie Tatuś ma już tyle lat i jeszcze się uczy. Wiem że Moje Dzieci Danusia Halinka i Rysio będą pilnymi uczniami w szkole - bardzo się z tego cieszę, jeżeli Bozia pozwoli to wrócę [illegible] do Was i Wam

LIST OD TATUSIA

Przez cmentarz w Loreto idziemy razem z panią Danutą Kołodziejską, emerytowaną nauczycielką geografii z Grudziądza. Gdzieś tutaj leży jej ojciec. Szukamy mogiły, dokładnego miejsca nie pamięta, ostatnio była tu 19 lat temu. – Trochę inaczej to wyglądało, między grobami były rabatki białych i czerwonych róż. To musi być gdzieś tutaj, na lewo od krzyża... – mówi kobieta, rozglądając się niepewnie. W końcu jest. Na skromnym kamiennym krzyżu napis: „por. JANOSZ Alojzy, 14 Baon strz.", i data śmierci: 17.7.1944. Jesteśmy tutaj dokładnie 75 lat później.

Pani Danuta szepcze cicho: – Tatusiu, tatusiu.. Gołymi rękami bym cię z tej ziemi wyjęła, żeby cię tylko zabrać do domu...

Ta wyprawa to dla niej ogromne emocje. Kładziemy znicze i kwiaty i po krótkiej modlitwie zaczyna mi opowiadać o ojcu. – Ja jedna z rodzeństwa go pamiętam, miałam siedem lat, gdy zginął.

epfasa.pl e7683f73ec


Danuta Kołodziejska przyjechała na grób ojca po 19 latach


Anna Zakrzewska, wnuczka dowódcy pułku, który zdobył Ankonę

Brat i siostra byli zbyt mali. Miał poczucie humoru, fajny był... – mówi ocierając ukradkiem łzy. Pokazuje też list, który Alojzy napisał do dzieci. Data – 15 VII 44 – wskazuje, że zrobił to zaledwie dwa dni przed śmiercią. „[...] jeżeli Bozia pozwoli i wrócę kiedyś do Was, to Wam kupię ładne książki, zabawki, co tylko będziecie chcieli – a wtenczas to będzie radości, co? Na spacer pójdziemy sobie i tatuś będzie tylko słuchał, co mu będziecie opowiadali" – czytam na pożółkłych kartkach. Jest też relacja z pola walki, bo „pewno chcecie wiedzieć, co tatuś porabia". Por. Janosz pisze, że jest znów na froncie. „Z innymi żołnierzykami bijemy szwabów, ile się tylko da – ale też nam się jeszcze odgryzają i często do nas strzelają". Pani Danuta najbardziej zwraca uwagę na fragment o okopach, mówi, że ojciec musiał czuć zbliżającą się śmierć. „Musimy cały dzień siedzieć w swoich dziurach, tatuś wykopał sobie taką głęboką na 1 i pół metra – taki grób...".

Ten list i inne dokumenty, m.in. zawiadomienie o śmierci porucznika Janosza, to najcenniejsze rodzinne pamiątki. Jest też kilka fotografii, tatuś sam albo z innymi żołnierzykami. Dlaczego przez tyle lat nie przyjeżdżała na grób ojca? Tak się czasem w życiu składa. Nie zawsze można sobie na to pozwolić, zazwyczaj z prozaicznych powodów. Teraz korzysta z uprzejmości Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych, który umożliwia jej tę podróż.

Między grobami chodzą też spokojnym krokiem dwaj postawni mężczyźni. Sylwetki wojskowych, to widać z daleka. Przemek Kopij i Andrzej Furman, pierwszy już w cywilu, drugi jeszcze w służbie zawodowej. Z niektórych grobów zbierają po małej garstce żwiru i wsypują go do butelki. – Niedługo minie piąta rocznica śmierci naszego przyjaciela, tutaj leżą jego towarzysze broni, pomyśleliśmy, że sypniemy na jego mogiłę ziemię z Loreto – mówią. Przyjaciel, o którym opowiadają, to Tomasz Skrzyński, jeden z najmłodszych w Pułku Ułanów Karpackich. Tak się złożyło, że to on pierwszy wszedł do zdobywanej przez Polaków Ankony. Po wojnie dbał o pamięć o pułku, wydając m.in. czasopismo „Ułan Karpacki", kilka lat temu przekazał ten obowiązek – bo tak to traktował – młodszym kolegom. Zaprzyjaźnili się, po jego śmierci zobowiązanie stało się jeszcze bardziej wiążące. – Służyliśmy w jednostce pancernej w Gubinie, która podjęła tradycje ułańskie. Traktujemy to bardzo poważnie. Mimo że nie jest łatwo, bo to nie jest nasza praca zawodowa, to pismo wychodzi i będzie wychodzić – opowiada Przemek.

Jest jeszcze chwila, by pochodzić między grobami w Loreto. Leży tutaj m.in. ppor. Adolf Bocheński, wielki polski myśliciel, pisarz i publicysta. Ale przede wszystkim żołnierz tego samego Pułku Ułanów Karpackich. Zginął 18 lipca 1944 r. podczas zdobywania Ankony.

Uroczystości w Loreto są bardzo dostojne. Sztandary, także włoskie, asysta wojskowa, modlitwa ekumeniczna. I zapadający w pamięć fragment homilii: „Stajemy wśród naszych braci, których ciała przyjęła włoska ziemia. Faktem jest, że tam gdzie spoczywają nasi bohaterowie, tam jest Polska. [...] Przybywamy tutaj, aby patrząc na te liczne mogiły, powiedzieć tym, którzy tu spoczywają, że wasza wiara jest świadectwem dla nas. Wasz trud i krew wylana na morderczym szlaku są mocnym fundamentem najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Wasza odwaga motywuje nas do stawiana sobie celów wysokich, budujących przyszłość naszej ojczyzny".

PLAC ZAMIAST ULICY

Gdy dzień później podjeżdżamy pod bramę św. Stefana w Ankonie, przez którą do miasta weszli polscy żołnierze, południowe słońce daje się wszystkim mocno we znaki. Na szczęście krzesełka, na których mają usiąść weterani, udaje się zmieścić w skrawku cienia pod murem. Na murze tablica wspominająca wydarzenia z 18 lipca 1944 r.: „[...] le vittoriose truppe del Secondo Corpo Polacco entrarono at Ancona" (tłum.: zwycięskie wojska Drugiego Korpusu Polskiego wkroczyły do Ankony").

Przechodzimy przez tę bramę z Anną Zakrzewską, wnuczką mjr. Stanisława Zakrzewskiego, dowódcy Pułku

eprasa.pl e7683f73ec

Ułanów Karpackich, który zdobył miasto. – Jestem zaskoczona, że ten napis jest tylko po włosku. Zrobimy wszystko, by była tutaj tablica także w naszym języku – mówi pani Anna. Dodaje, że to ważne, szczególnie dla następnych pokoleń. Jest tutaj po raz pierwszy, przyjechała wraz z prawnukami majora Zakrzewskiego, Stanisławem i Zuzią. Jest także Michał, kuzyn z Wielkiej Brytanii, gdzie emerytowany wojskowy ponad 20 lat temu zmarł. Dla nich historia walk o Ankonę, które otworzyły aliantom idącym spod Monte Cassino drogę na Bolonię, jest wciąż żywa, ale czy za kilka lat ktoś będzie pamiętał o tym, kto tę bitwę wygrał? Po wyzwoleniu ulica prowadząca od bramy św. Stefana otrzymała nazwę Pułku Ułanów Karpackich. Teraz ulicy już nie ma, ale za to jest plac 2. Korpusu Polskiego.

Podczas uroczystości dało się odczuć, że Włosi są Polakom naprawdę wdzięczni za bohaterstwo i poświęcenie w bitwie o Ankonę. Że – jak to ujął Jan Józef Kasprzyk – „pamiętają, kto dał im wolność". I za to dziękował, przyznając medal „Pro Patria" burmistrz Ankony Valerii Mancinelli. Odznaczenie przeznaczone jest dla wszystkich mieszkańców Ankony, którzy dbają o polskie pamiątki w ich mieście.

ŁĄCZENIE ŚRODOWISK

Podróże w miejsca walk polskich żołnierzy w ich rocznice to w zasadzie pielgrzymki. Bo dla osób, które brały w walkach udział, te miejsca są uświęcone krwią kolegów. Od tamtego czasu mija właśnie 75 lat, oni byli wtedy dwudziestolatkami. Rachunek jest prosty, ci, którzy jeszcze żyją, dobiegają setki.

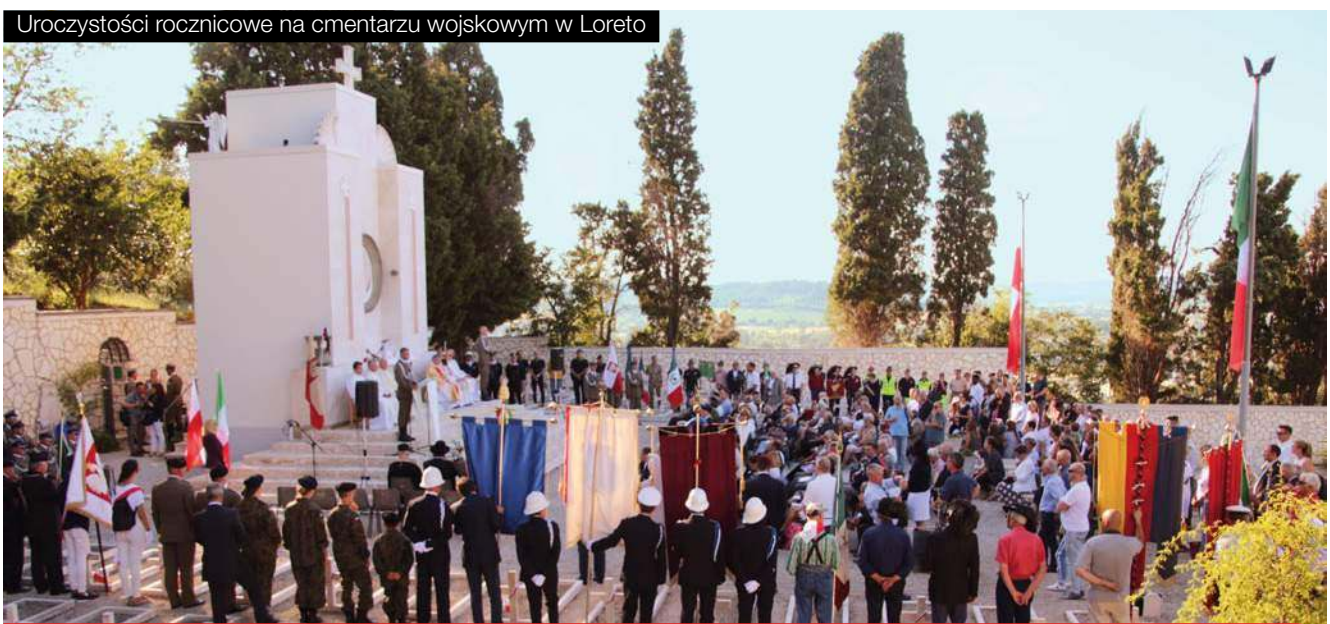
– To jest działanie w dwie strony, bo oni się cieszą, że my słuchamy ich historii, że chcemy, aby byli docenieni, a my mamy możliwość obcowania z bohaterami, bohaterami wolności Rzeczypospolitej i wolności Europy i świata – mówi z dumą Jan Józef Kasprzyk.

Kierowany przez niego urząd ma jeszcze jeden cel – łączenie środowisk kombatanckich. Dlatego z tymi najstarszymi w podróż zabierani są także członkowie ich rodzin, dziennikarze, ale i zasłużeni działacze z czasów walki z komuną. Jurek Stopa jest przewodniczącym Stowarzyszenia Represjonowanych w Stanie Wojennym Regionu Świętokrzyskiego. Staszek Kowalski reprezentuje Stowarzyszenie „Radomski Czerwiec '76", w swoim mieście prowadzi salę pamięci. Bardzo mu zależy, by mówić o historii w ogóle – i o tej starszej, i o tej nowszej. Ale przede wszystkim, mówić prawdziwie. Każdy z nich ma swój życiorys, swoją historię. Wszyscy z uznaniem patrzą na weteranów 2. Korpusu Polskiego.

– Oni są jak stal. To widać choćby teraz, przystosują się do każdych warunków. Jak jest zadanie stać w słońcu, to będą stali. Niemcy mieli cholernego pecha, że na nich trafili – mówi z uśmiechem Jurek. I zastanawia się, co to będzie, jak ich już nie będzie. Jakie będę te obchody.

Jan Józef Kasprzyk: - To ostatnie momenty obcowania z żywymi świadkami tej historii, mam tego świadomość. Ale bardzo cieszymy się, że jeszcze z nami przyjeżdżają, bo to są najlepsi ambasadorowie polskiej sprawy. Dzięki nim możemy opowiedzieć naszą historię i zaświadczyć o naszym wkładzie w dzieje Europy i świata. A ten wkład jest przeogromny, zawsze staliśmy po stronie dobra.

Uroczystości rocznicowe na cmentarzu wojskowym w Loreto



18 lipca 1944 r. o godz. 14.30 ułani karpaccy i 2 Batalion Strzelców Karpackich wkroczyły do Ankony. Niemiecka 278 Dywizja Piechoty została rozbita. Zdobycie miasta i portu ułatwiło aliantom prowadzenie dalszych działań na Linii Gotów.

Podczas walk o Ankonę poległo 39 oficerów i 338 szeregowych 2. Korpusu Polskiego. W całej dwumiesięcznej kampanii adriatyckiej poległo ponad tysiąc polskich żołnierzy. Wszyscy spoczywają na Polskim Wojennym Cmentarzu w Loreto.



eprasa.pl e7683f73ec

Cud na dachu świata

Nie tylko włoskie, lecz i światowe media rozpisują się na temat brawurowej akcji na Gaszerbrumie VII (6 995 m n.p.m.). W czteroosobowej ekipie ratującej ciężko rannego włoskiego wspinacza – oprócz Denisa Urubki i Kanadyjczyka Dana Bowiego – byli także szczecinianin Janusz Adamski i Jarosław Zdanowicz z Białegostoku. „La Gazzetta dello Sport" nazwała ich „czterema najlepiej przygotowanymi wspinaczami na świecie"



Fot. profil FB Denis Urubko, Shutterstock



JAROMIR KWIATKOWSKI

Najkrócej rzecz się miała tak: wielki sukces dwóch włoskich himalaistów na dziewiczym Gaszerbrumie VII. Dramat jednego z nich podczas zejścia. I zakończona sukcesem brawurowa akcja ratunkowa czwórki wspinaczy, którzy trzy dni wcześniej zdobyli Gaszerbrum II (8 035 m n.p.m.).

ZNOSILI RANNEGO W NOCY

Choć Gaszerbrum VII nie ma 7 tys. m n.p.m. i zalicza się do wierzchołków bocznych masywu górskiego Gaszerbrum w Karakorum, na granicy Chin i Pakistanu, do 20 lipca 2019 r. pozostawał niezdobyty. W tym dniu stanęło na nim dwóch włoskich wspinaczy – Francesco Cassardo i Cala Cimenti.

Niestety, radość z sukcesu nie trwała długo. Podczas schodzenia Cassardo odpadł od ściany i zsunął się kilkaset metrów. Na szczęście przeżył, ale złamana kość udowa i uraz szyi uniemożliwiły mu zejście do bazy o własnych siłach. Cimenti szybko dotarł do partnera na wysokość ok. 6 300 m n.p.m. Przez całą noc utrzymywał kontakt radiowy ze swoją partnerką Eriką, podając informacje o stanie zdrowia Cassardo. Przekazał, że jest przytomny i świadomy tego, co się stało. Cimenti otrzymywał również od lekarzy instrukcje, dzięki

eprasa.pl e7683f73ec

którym udało mu się opatrzyć i zabezpieczyć ciężko rannego partnera.

Z pomocą ruszyli Denis Urubko i Dan Bowie, którzy działali w pobliżu – 18 lipca stanęli na szczycie Gaszerbrum II. Urubko przyniósł dla Cassardo butlę z tlenem, który natychmiast podano rannemu. „Powiedzieli, że zmierza tu też dwóch Polaków" – relacjonował na Facebooku Cimenti. Początkowo media nie podawały ich nazwisk, wkrótce jednak okazało się, że to Janusz Adamski i Jarosław Zdanowicz, którzy również zdobyli w tym samym dniu Gaszerbruma II. Oni także dotarli szczęśliwie do miejsca akcji.

Początkowo ekipa ratunkowa miała zabezpieczać Włochów do przylotu śmigłowca. Jednak tradycyjnie został on opóźniony przez pakistańską biurokrację. By go przyspieszyć, interweniowała włoska ambasada w Pakistanie. Inna sprawa, że ekipa Askardi Aviation była zaangażowana w ewakuację ośmiu odmrożonych himalaistów spod K2 i Broad Peaku.

W tej sytuacji wspinacze nie mieli wyjścia. „Ponieważ helikopter nie przybywa, postanowiliśmy ruszyć. Prawdopodobnie będziemy iść całą noc, by przetransportować Francesco w bezpieczne miejsce" – relacjonował Cimenti.

Wspinacze unieruchomili rannego Cassardo i zbudowali prowizoryczne sanie, na których go położyli. Jak podaje „Kurier Szczeciński", to Adamski i Zdanowicz nieśli narty, których użyto do zbudowania sań.

W niedzielę po godz. 20 czasu polskiego Anna Piunowa, redaktor naczelna portalu Mountain.ru, który na bieżąco podawał doniesienia z Karakorum, przekazała, że grupa ratunkowa, z Denisem Urubką na czele, zniosła poszkodowanego do obozu I.

„Cała czwórka doprowadziła Francesco do pierwszego obozu (6 200 m) i dostała tlen. Czekamy na jutrzejszy helikopter. Don, Janusz i Jarosław dokonali cudu" – relacjonował Urubko.

W poniedziałek 22 lipca po godz. 5 polskiego czasu Cimenti napisał w mediach społecznościowych, że jego partner wspinaczkowy znajduje się już w maszynie, która leci w kierunku szpitala w Skardu. Przy okazji podjęto również wymagającego pomocy Rosjanina Konstantina Sidorowa, który przebywał w obozie I na Gaszerbrumie II.

Pozostali wspinacze rozpoczęli schodzenie.

POLSCY BOHATEROWIE

Urubko, który miał obywatelstwo radzieckie i kazachskie, a obecnie rosyjskie i od 2015 r. polskie, jest uważany za jednego z najwybitniejszych współczesnych himalaistów. Zimą 2018 r. wraz z Polakami – Adamem Bieleckim, Jarosławem Botorem i Piotrem Tomalą – uratowali Francuzkę Élisabeth Revol na Nanga Parbat (8 126 m n.p.m.). Za tę akcję, która odbiła się szerokim echem nie tylko w środowisku himalaistów, wspinacze otrzymali francuską Legię Honorową.

Kilka słów o polskich uczestnikach akcji ratunkowej na Gaszerbrumie VII.

Janusz Adamski pochodzi ze Szczecina. W 2007 r., wraz z dwoma partnerami, ukończył zdobywanie Korony Ziemi, zostając ex aequo trzecim Polakiem, po Leszku Cichym i Annie Czerwińskiej, który wszedł na najwyższe szczyty wszystkich kontynentów. Na Evereście był dwa razy: w 2006 r. (osiągnął szczyt m.in. z Martyną Wojciechowską) i 11 lat później (trawers z północy na południe, wejście bez tlenu). Jest też podróżnikiem, miłośnikiem sportów ekstremalnych, nurkiem i pilotem motoparolotniowym. Wspólnie z kolegami dokonał pierwszego polskiego przejazdu autami terenowymi dookoła jeziora Bajkał. Razem z Andrzejem Ziółkowskim przepłynęli pneumatycznymi kajakami prawie tysiąc kilometrów po niebezpiecznych afrykańskich rzekach Lulua, Kasai i Kongo. Jest zdobywcą nagrody zbiorowej „Travelera" za podróż roku 2011 – Projekt „Afryka Nowaka" (wyprawa po Afryce śladami podróżnika Kazimierza Nowaka).

Jarosław Zdanowicz pochodzi z Białegostoku. Gaszerbrum II, który zdobył bez tlenu 18 lipca 2019 r., to jego pierwszy ośmiotysięcznik. W esemesie przesłanym do redakcji białostockiego „Kuriera Porannego" napisał: „Wczoraj [chodzi prawdopodobnie o dzień 23 lipca – przyp. J.K.] po godz. 12 uratowaliśmy życie włoskiemu narciarzowi, któremu odmówiono pomocy". Wcześniej wszedł m.in. na Ama Dablam w Himalajach (6 812 m n.p.m.).

PIOTR TOMALA: WIELKI SZACUNEK DLA POLAKÓW

Piotr Tomala, członek Narodowej Zimowej Wyprawy na K2, uczestnik słynnej akcji ratunkowej na Nanga Parbat, a od ubiegłego roku także szef programu Polski Himalaizm Zimowy im. Artura Hajzera, zna Denisa Urubkę, jak podkreśla, dosyć dobrze. Z Danem Bowiem w 2010 r. byli na równoległych wyprawach na Cho Oyu (8 201 m n.p.m.), więc także miał możliwość go poznać.

– To niezwykle mocni, wytrenowani wspinacze i do każdej wyprawy przygotowują się na 100 proc. – podkreśla Tomala w wypowiedzi dla tygodnika „Sieci". – Nie inaczej było też z pewnością tym razem. Trzy dni po zdobyciu szczytu ośmiotysięcznego to minimalny czas, by organizm był w stanie się zregenerować, a ich aklimatyzacja była najlepsza z możliwych. Znając obu panów, nie dziwię się, że ruszyli z pomocą, bo to jest coś, co leży w naturze prawdziwego wspinacza.

Adamskiego i Zdanowicza Tomala nie zna osobiście. – Ale wielki szacunek dla nich, że mimo mniejszego doświadczenia również ruszyli z pomocą. Pomoc drugiemu człowiekowi w górach leży w naturze polskich wspinaczy.

Pytam, jak ocenia to, że uczestnicy akcji ratunkowej postanowili nie czekać na przylot śmigłowca, tylko transportować w dół rannego Włocha na prowizorycznych saniach, do tego w nocy.

– Myślę, że ta decyzja była najlepszą z możliwych – uważa szef programu Polski Himalaizm Zimowy. – Również z tego powodu, że pakistańscy piloci nie są szkoleni do akcji powyżej bazy i zabierania ludzi „ze ściany", a rzeczą normalną jest, że zabierają rannych z bazy. Ekipa ratunkowa z pewnością dotarła do miejsca, z którego była możliwa ewakuacja w sposób bezpieczny. A to, że wspinacze działali w nocy, nie ma większego znaczenia. Przy świetle księżyca i czołówek nie ma problemu, by bezpiecznie się przemieszczać w dół. Zwłaszcza że droga w trudnych miejscach powinna być wcześniej zaporęczowana przez Włochów.

eprasa.pl e7683f73ec

Czy PO rozda działki na Księżycu?

Ekspert ekonomiczny Platformy Obywatelskiej dr Andrzej Rzońca na forum programowym PO-KO znów próbował wytłumaczyć Polakom, że żaba ma sierść, i wszyscy, którzy twierdzą inaczej, się mylą



JANUSZ SZEWCZAK

Przewodniczący Platformy Grzegorz Schetyna w swym programowym wystąpieniu, czyli mózgowej burzy, mówił o zdrowym rozsądku w PO-KO. Mimo ewidentnych sukcesów gospodarczych i finansowych Polski, wysokich wskaźników i notowań w różnych światowych rankingach, wzroście PKB w I kw. o 4,6 proc., najniższym bezrobociu od 30 lat czy wreszcie zakupie ok. 120 ton złota przez NBP doktor Rzońca, cień prof. Leszka Balcerowicza, ogłosił, że „Polska gospodarka jest chora, ale choroba dopiero się ujawni, jak przyjdzie kryzys", i właśnie dlatego Platforma w proteście przeciw „rozdawnictwu PiS"... jeszcze dołoży po 500–614 zł, i to nawet tym Polakom, którzy zarabiają po 4,5 tys. zł.

Jak widać, nic nie będzie dane, co będzie przez PO obiecane, bo oni już mogą tylko obiecywać, żadnej siły sprawczej w gospodarce ani finansach Polski na szczęście już nie mają i długo mieć nie będą. To nie polska gospodarka jest chora, doktorze Rzońca, to Platforma i totalna opozycja oraz neoliberalne recepty szoku bez terapii im. prof. Balcero-

eprasa.pl e7683736

wicza były i są ciężko chore, a wasze recepty dla polskich finansów i gospodarki wręcz zabójcze. Tym razem loża szyderców z PO-KO słuchała doktora bez entuzjazmu i z niedowierzaniem, a na twarzach polityków Platformy i Nowoczesnej widać było jedynie smutek, zwątpienie, a nawet strach, bo nikt już z nich nie wierzy, że ich „nowy porządek gospodarczy" kiedykolwiek nastąpi.

Hasło Andrzeja Rzońcy i PO – „Żeby praca się opłacała" – wydaje się wyjątkowo absurdalne w wydaniu tego właśnie środowiska. Przypomnijmy choćby wypowiedzi wicepremier rządu PO-PSL Elżbiety Bieńkowskiej, że „tylko idiota lub złodziej pracuje za 6 tys. zł". Dr Rzońca mówił też o spadku zarobków nauczycieli w momencie podwyżki wynagrodzeń dla tej grupy zawodowej o 15 proc., na tym poziomie od bardzo dawna niewidzianej, oraz o tym, że Platforma nie pozwoli wzmocnić pozycji polskiej firmy petrochemicznej w Europie w wyniku połączenia Orlenu z Lotosem. Problem w tym, że Komisja Europejska może na to pozwolić, bo Unia chce wspierać fuzję firm europejskich, by łatwiej mogły konkurować na rynku światowym. Tak oto baja ostatnia nadzieja ekonomiczna Platformy. Może warto PO i jej przewodniczącemu przypomnieć fraszkę Jana Kochanowskiego „Na Baltazara": „Nie dziw, żeć głowa, Baltazarze, chora. Siedziałeś wedle głupiego doktora".

Propozycje programowe PO-KO: dobrej szkoły, dobrze funkcjonujących szpitali, krótkiego oczekiwania na wizytę u specjalisty, dobrej płacy i tym podobne ogólniki, to zbiór pobożnych życzeń i oczywistości, z którymi rząd PO-PSL nie uporał się przez osiem lat swoich rządów. To wszystko już było i nic z tego nie wyszło. Gnuśność, lenistwo i brak jakiegokolwiek intelektualnego wysiłku ze strony totalnej opozycji jest aż nadto widoczny, a propozycje wyborcze to istny groch z kapustą. Na dodatek każdy z polityków PO-KO mówi co innego nawet w kwestiach tak zasadniczych jak wiek emerytalny czy program 500+. Platforma nadal nie rozumie i pewnie nigdy nie zrozumie, że równie ważna jak realny, prospołeczny i prorodzinny program jest wiarygodność, a tę oszuści tracą raz na zawsze.

> Teraz sztabowcy PO-KO na czele z posłem Krzysztofem Brejzą ubzdurali sobie, że w Polsce jest gigantyczna drożyzna

Teraz sztabowcy PO-KO na czele z posłem Krzysztofem Brejzą ubzdurali sobie, że w Polsce jest gigantyczna drożyzna i alarmują, że Polacy przestali jeść warzywa i owoce oraz że ceny pietruszki, koperku, kapusty i ziemniaków wywołają armagedon, drugą Grecję i załamanie gospodarcze. Już nie program 500+ jest dramatem, ale inflacja, która w czerwcu wyniosła 2,6 proc. (choć staniały odzież, telewizory, ubezpieczenia samochodowe OC). Otóż GUS liczy inflację, badając nie tylko ceny warzyw i owoców, lecz jeszcze ok. 1,4 tys. innych produktów. Na razie żadnych poważnych zagrożeń ani w polityce pieniężnej, ani w poziomie stóp procentowych, ani w stabilności cen nie ma. NBP i RPP skutecznie kontrolują tzw. cel inflacyjny, który mieści się pomiędzy 1,5 a 3,5 proc. w skali roku. Dodatkowo bank centralny był w stanie przez ostatnie lata zgromadzić ok. 30 mld euro i w latach 2018–2019 kupić dla polskich rezerw walutowych blisko 120 ton złota, i – co jeszcze ważniejsze – ogłosił, że połowę sprowadzi do kraju, na co czekały pokolenia Polaków.

Oczywiście kraj, który rozwija się szybko (w tempie 4,5–5,1 wzrostu PKB), w którym podwyżki płac w skali roku to średnio 7 proc., a na rynek trafia ok. 40 mld zł więcej niż rok wcześniej (tzw. piątka Kaczyńskiego), z przyrostem rezerw złotowych w NBP w stosunku do 2017 r. o prawie 46 mld zł, gdzie pieniądz gotówkowy wraz z kasami banków na koniec grudnia 2018 r. osiąga poziom 219 mld zł, co daje wzrost pieniądza gotówkowego o 20 mld zł w stosunku do roku 2017, o rosnącej dynamice spożycia publicznego o 6 proc. i wzroście nakładów brutto na środki trwałe w I kw. br. o 12,6 proc., z pewnością nie jest obrazem nędzy, rozpaczy i ubóstwa, jak chciałaby totalna opozycja, choć wymienione tu czynniki mogą dawać niewielki efekt inflacyjny.

Choć Polakom daleko jeszcze do pełnej satysfakcji, to jednak dzisiaj mają więcej pieniędzy w portfelu i chętniej je wydają, nakręcając koniunkturę i konsumpcję. Problem w tym, że według PO-KO pieniądze te trafiają dzisiaj nie do tych co dawniej, ale głównie do polskich rodzin, w tym rodzin wielodzietnych. Ceny żywności rosną na całym świecie z powodu anomalii pogodowych i gigantycznej spekulacji wielkich koncernów i banków, a nie z powodu zmiany klimatu. Ocieplenia i zlodowacenia bywały i będą, żywność i lekarstwa zawsze były i nadal będą towarami strategicznymi. Dlatego trzeba mieć własne fabryki farmaceutyczne, które Platforma tak chętnie wyprzedawała podmiotom zagranicznym (np. Polfy), własny przemysł rolno-przetwórczy i polskie sieci handlowe, czego PO nigdy nie popierała. Rosnąca sprzedaż mieszkań za gotówkę, nowych samochodów, pełne hotele, pensjonaty czy ośrodki wypoczynkowe w górach i nad morzem, wyprzedane wycieczki zagraniczne, pełne koszyki zakupów w hipermarketach to raczej nie jest dowód na załamanie gospodarcze, drożyznę i biedę, o czym chcą nas przekonać sztabowcy Platformy Krzysztof Brejza i Bartosz Arłukowicz.

Oczywiście daleko nam jeszcze do pełnej satysfakcji z osiąganych zarobków, do pełnej sprawności polskiej służby zdrowia czy wymiaru sprawiedliwości, ale postęp w stosunku do okresu rządów PO-PSL jest ogromny, a kierunek zmian wydaje się sensowny i – co najważniejsze – akceptowany przez Polaków, bo władza wreszcie zaczęła być wiarygodna, w przeciwieństwie do obecnej opozycji. Oby tamte czasy – lat 2007–20015, gdy rządziła dzisiejsza totalna opozycja – nigdy już nie wróciły. Od „Zielonej Wyspy" zawsze lepszy jest „Przylądek Dobrej Nadziei".

Fot. Shutterstock

eprasa.pl e7683f73ec



Fot. Archiwum

Wędrówki za pięknem

Zachwyt, otwarty umysł, zdolność do podziwu to są wspaniałe dary Pana Boga, pomocne w życiu bardziej, niż nam się wydaje. Warto je pielęgnować, warto je rozwijać

Z ks. Andrzejem Ziółkowskim, misjonarzem, rozmawia Piotr Słabek

Wakacje to okres odpoczynku od pracy, szkoły, od zatłoczonego miasta. Gdzie spędzasz ten czas. Gdzie ładujesz akumulatory?

Ks. Andrzej Ziółkowski: W rodzinnym miasteczku nad rzeką Bóbr. Mam tu kajak i jeśli pogoda sprzyja, to z moją siostrą Arlettą pływamy pod prąd i z prądem [śmiech]. Wyobraź sobie, że rzadko można spotkać kajakarzy na Bobrze.

Dlaczego?

Bo ta rzeka ma dość wartki nurt i trudno się płynie pod prąd.

To dlaczego nie urządzacie spływu, tylko podpływ?

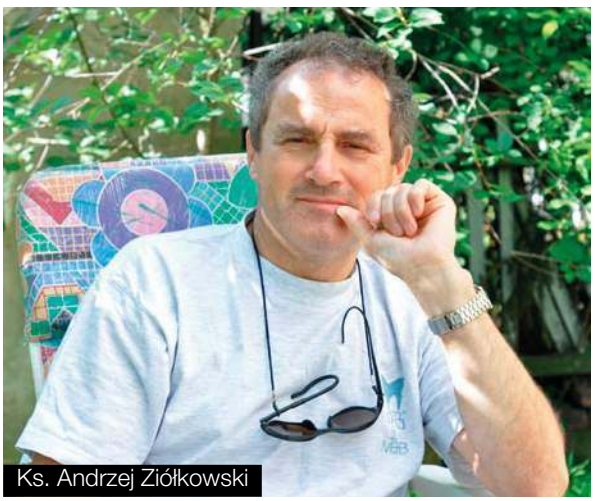
A jak wrócić z powrotem? Lepiej jest wytężyć siły, porządnie machać wiosłem, podpłynąć parę kilometrów w górę rzeki, a potem... ach! Piotrze, co za cudowne chwile, gdy się siedzi w kajaku, płynie z nurtem, zanurza rękę w chłodnej wodzie, po drodze można podpłynąć do brzegu, wysiąść z kajaka, popływać, zjeść drugie i „trzecie" śniadanie. Zanurzyć się w ciszy, posłuchać śpiewu ptaków, klęgoru żurawi, klekotu bocianów, plusku ryb, szumu łabędzich skrzydeł, trzepotu dzikich kaczek... To jest coś cudownego! Wprost uwielbiam taki odpoczynek. W kilka dni pobytu nad Bobrem „resetuję się", wracam do życia, nabieram optymizmu. Co więcej, wtedy naprawdę dochodzę do siebie po zmęczeniu od zatłoczonego miasta, codziennych zajęć, napięcia, stresu.

Czytałem o badaniach, które udowadniały, że człowiek nie jest przystosowany do życia w zatłoczonych mia-

eprasa.pl e7683f73ec

stach. Skutkiem życia w wielkiej metropolii jest przewlekły stres, a później wiele chorób cywilizacyjnych. Super, że masz takie możliwości, ale nie każdy może pływać po Bobrze.

Owszem, ale czy nie uważasz, że ludzie często chwalą cudze, a swego nie znają? Wciąż pędzą gdzieś daleko, do innych krajów, a nawet na inne kontynenty. Oczywiście to ich wybór, ale czasem zapominają, że za miedzą są wspaniałe miejsca na odpoczynek: czyste, ciche, spokojne, bezpieczne. Tam naprawdę można się skupić na rozmowie z Bogiem, medytacji, modlitwie brewiarzowej. Uwielbiam się modlić jutrznią w chłodzie poranka, a nieszporami przy zapachu maciejki.


Ks. Andrzej Ziółkowski

Doskonale uchwyciłeś „ducha brewiarza", jeśli można tak powiedzieć. To przecież jest modlitwa uświęcenia czasu i jego naturalnego rytmu, dnia i nocy, światłości i ciemności. Idealnie jest się modlić jutrznią o świcie i nieszporami o zmierzchu, blisko natury – taki jest sens tych modlitw. Ty nie masz z tym problemu, ale są ludzie, którzy w wakacje „odpuszczają" sobie modlitwę i niedzielną mszę.

Wiesz co, rozumiem ich. Też czasami bardziej odczuwam bliskość Stwórcy w lesie, gdy zbieram grzyby, jagody, gdy jestem gdzieś nad strumieniem, w górach, w dolinach niż... podczas niedzielnej mszy świętej, w czasie której wierni tak naprawdę uczestniczą w liturgii z przyzwyczajenia; są obecni, ale tylko ciałem, a nie duchem – nie śpiewają, nawet „i z duchem Twoim" nie powiedzą, czekają, kiedy liturgia się skończy.

Jak myślisz, czy to jest kwestia osobowości celebransa?

Nie tylko. To jest też problem wspólnoty, efekt przyzwyczajenia się do liturgii, a nawet – powiem bardzo brzydko – znudzenia się mszą. Często zdarza mi się usłyszeć od ministrantów: „Proszę księdza, czy może tak ksiądz zrobić, żeby dzisiaj nie było kazania?".

W jednym z kościołów w centrum Krakowa specjalnie ogłoszono, że jedna z mszy świętych w niedziele będzie bez kazania – na tę Eucharystię przychodziło więcej wiernych niż na inne. Nie tylko ministranci tego pragną...

Tak, wiem o tym, bo też się spotkałem z taką prośbą ze strony starszych. Zatkało mnie!

I co zrobiłeś?

Umówiłem się z nimi, że niedzielne kazanie będzie trwało trzy minuty.

I co?

Dotrzymałem słowa. Na końcu homilii powiedziałem: „Już kończę, bo obiecałem mówić tylko trzy minuty". Efektem było to, że pewna pani głośno powiedziała: „Może ksiądz mówić dłużej, bo fajnie się księdza słucha".

Proszę, otrzymałeś od niej piątkę z homilii!

Tak, cenię sobie tego typu uwagi. Są bardzo potrzebne. Tak sobie myślę, że my wszyscy musimy wciąż się uczyć, jak rozmawiać z Bogiem, przeżywać liturgię. Jeśli będziemy tylko zwracać uwagę na osobę celebransa, na jego tembr głosu, błędy podczas homilii, źle sformułowane ogłoszenia duszpasterskie, fatalną pracę organisty, to wtedy, przyznam szczerze, taka wakacyjna msza jest nudna, smętna, męcząca. Pozwól, że zapytam: jak się przez to przebić? Jak szukać motywacji do głębokiego przeżycia wakacyjnej liturgii?

Może warto gdzieś wyjechać, zostawić na jakiś czas swoją parafię, swój kościół, posłuchać innego księdza. Przecież podróże kształcą, czyż nie? Widzę wielu ludzi, którzy często podróżują, i mam wrażanie, że inaczej patrzą na Boga, Kościół, modlitwę, księdza, uczestników liturgii, parafian.

Jeśli jest tylko okazja, to jak najbardziej! Jednak nie wszyscy mogą wyjechać, nie wszystkich na to stać, nie wszyscy mają na to siły i ochotę. Przypominam sobie pewną starszą panią, która każdego ranka przychodziła na mszę świętą. To były wakacje w latach 70. ubiegłego wieku. Byłem wtedy ministrantem. Lubiłem uczęszczać na poranną Eucharystię. Bardzo często było tak, że na mszy byliśmy we trójkę: ks. Jerzy, ta pani i ja. Ona była po prostu zatopiona w modlitwie, zawsze przyjmowała Komunię Świętą. Ileż to razy ks. Jerzy mówił mi: „Patrz na tę kobietę i ucz się od niej". Przed wejściem do kościoła podchodziła najpierw do krzyża misyjnego, obejmowała go i całowała. Po liturgii czyniła to samo. Początkowo mnie to śmieszyło, ale z czasem to mnie „dogoniło".

Może ona była „mniszką"?

Nie wiem. Pytałem kiedyś o tę panią moją mamę. Dowiedziałem się, że była osobą bardzo skromną, cichą, delikatną. Dziwna rzecz, bo ilekroć jestem u mamy na wakacjach i idę do kościoła, to swym duchem widzę ją przy misyjnym krzyżu. Tyle lat minęło, a ja wciąż pamiętam tę panią z wakacyjnych wędrówek na poranną mszę świętą.

Duże wrażenie zrobił na mnie film Paola Sorrentino „Wielkie piękno". Opowiada o człowieku, który spędził życie na poszukiwaniu piękna. Czy sądzisz, że dla wakacyjnych podróży to dobry cel?

eprasa.pl e7683f73ec

Nie znam tego obrazu, ale ostatnio oglądałem francuski film pt. „Sześć miesięcy nad Bajkałem". Historia Sylvaina Tessona. Opowiada o wewnętrznie zagubionym Francuzie, który ma wszystko, ale odczuwa wewnętrzną pustkę. Wyruszył nad Bajkał i tam w samotności poszukuje sensu życia. Zapamiętałem scenę, jak ów samotnik pije wódkę, wpatrując się w... ikonę. W tym filmie jest tylko parę „religijnych okruchów". Tak naprawdę „religią" jest dzika, surowa, piękna natura. I samotność. Bohater odkrywa w tej samotności piękno, natchnienie, ale... tęskni za człowiekiem. Doświadcza, czym jest jedność z naturą, ciszą, czym jest samotność i tęsknota za człowiekiem.

Czy nie jest tak, że do Boga wiodą trzy ścieżki: piękno, dobro i prawda?

O tak! Jak najbardziej. Uważam, że podczas wakacji można tego doświadczyć, tylko... trzeba tego chcieć. I tu tkwi problem. Bo jak tego doświadczyć? Jak to uczynić, gdy w każdej chwili świat „wciska się" w nasze wnętrze poprzez ogromną ilość wiadomości, obrazów, komentarzy. Co więcej, świat mediów bardzo często burzy Piękno, które dał nam Stwórca.

> Rodzice mnie uczyli, aby szanować wszelkie maleńkie stworzenia. Pamiętam, że miałem taki czas życia, że bałem się, iż nadepnę mrówkę albo jakiegoś chrząszcza

Wakacje to doskonała sposobność, by bliżej obcować z literaturą i z naturą. Gdzieś przeczytałem, że do abby Antoniego przyszedł człowiek zaliczany do mędrców i zapytał: „Jak możesz to znieść ojcze, że jesteś pozbawiony pociechy płynącej z ksiąg?". On zaś powiedział: „Moją księgą, filozofie, jest natura bytów i zawsze mam ją pod ręką, gdy pragnę poznać słowa Boże". Jak rozumieć przytaczane słowa św. Antoniego Wielkiego?

Trudne pytanie. To tak jakby siedzieć przy źródle i mieć do wyboru dwie opcje poznania chłodu i smaku źródlanej wody. Pierwsza opcja, to opis naukowy, z książki; druga opcja – samemu zaczerpnąć dłonią wodę ze źródła i skosztować.

Gdzie są lepsze warunki do modlitwy: w kościele czy w lesie, nad jeziorem czy w górach?

Wszędzie. Uważam, że wszystkie miejsca są doskonałe do tego, aby rozmawiać z Bogiem. Wszędzie też można sprawować Eucharystię, ale czynimy to w określonym czasie, w sytuacjach koniecznych. Mamy tak wiele poświęconych miejsc, w których Eucharystia jest godnie sprawowana. Jeśli ktoś ma poważne problemy z uczestnictwem w Eucharystii w swojej parafii, to... niech nie ustaje w poszukiwaniu Trójjedynego gdzie indziej. Być może odnajdzie Go niedaleko.

Wakacje to okazja do nowych znajomości i przyjaźni, które mogą prowadzić do pogłębienia życia z Bogiem.

Cudownie jest, gdy dzieci bawią się z rodzicami w chowanego, w berka, w podchody. Raduje się serce rodziców, gdy dzieci wraz z nimi przeżywają liturgię Eucharystii, potem wspólnie szykują posiłek, spacerują, odpoczywają w cieniu drzew, zbierają jagody, grzyby.

Jest taki kierunek „pedagogika przygody". Jeśli coś długo pamiętamy, to głównie to, z czym były powiązane nasze przeżycia. Kontakt z przyrodą może sprawić, że wiele pięknych przeżyć zapamiętamy na całe życie. Czy nie wydaje ci się, że „katecheza wakacyjna" – poznawanie śladów Boga w przyrodzie – może o wiele bardziej przemówić do dziecka i człowieka dorosłego niż tradycyjna katecheza i kazania?

Najlepiej, jak dziecko razem z mamą i tatą pochyli się nad maleńką mróweczką i wspólnie będą śledzić zmagania tej małej istotki, gdy dźwiga sosnową igłę. Ja tak czyniłem. Rodzice mnie uczyli, aby szanować wszelkie maleńkie stworzenia. Pamiętam, że miałem taki czas życia, że bałem się, iż nadepnę mrówkę albo jakiegoś chrząszcza. Chrabąszcze zaś łapaliśmy i wrzucaliśmy dziewczętom za koszule! [śmiech]. Dawno nie widziałem chrabąszczy... nie wiem, może już wyginęły?

Twoi rodzice mieli doskonałe podejście do przyrody. Każde dziecko od najmłodszych lat fascynuje się tym, co spotka w przyrodzie, jest jakby „chodzącym zachwytem". Każda mrówka, dżdżownica, chrząszcz to przedmiot podziwu. Dziecko swoje reakcje wzoruje na zachowaniu rodziców, są dla niego jak wyrocznia. Jeśli mama lub tata powie: „To jest fuj". „W tej chwili wyrzuć to paskudztwo". To niestety taki typ reakcji utrwali się w dziecku.

Zachwyt, otwarty umysł, zdolność do podziwu, to są wspaniałe dary Pana Boga, pomocne w życiu bardziej, niż nam się wydaje. Warto je pielęgnować, warto je rozwijać. My, którzy wciąż doświadczamy cudownej natury, odkrywamy piękno w sobie i w przyrodzie. Gdy jesteśmy z nią za pan brat, gdy ją szanujemy, to ona odkryje nam piękno Tego, kto ją stworzył – Boga.

Moim zdaniem właśnie zachwyt jest antidotum na zgorzknienie, zawiedzenie, beznadzieję i ciągłe narzekanie, myśli depresyjne. Jedna z definicji depresji mówi, że jest to niezdolność do cieszenia się, do zachwytu.

Czytelnikom tygodnika „Sieci" życzę, aby czas urlopu, wakacji spędzili w cudownej scenerii pięknej przyrody; aby odetchnęli głęboko czystym powietrzem, zachwycili się śpiewem ptaków, wstali przed świtem, aby zobaczyć wschód słońca, delektowali się jego zachodem, a nade wszystko, aby wciąż odkrywali i podziwiali Stwórcę w pięknie stworzeń.

eprasa.pl e7683f73ec



Przejeżdżamy przez tereny najczystszej przyrody, łapiemy liście przez okno, a ponieważ nie ma szyb, poparzyłyśmy się pokrzywami. Boli? Wcale. Dlaczego? Bo wszystko tu jest fantastyczne!

Wąskim torem z Przeworska do Dynowa

Kaja Gliwa mieszka w Krakowie. Kolejką wąskotorową „Pogórzanin" z Przeworska do Dynowa na Podkarpaciu podróżuje z córkami Utą i Idą. Pochodzi z nieodległego Jarosławia, zna tę wąskotorówkę z dzieciństwa. – Cały czas uciekamy w takie nieskażone miejsca, a możliwość przejechania przez nie w wolnym tempie to coś cudownego!



JAROMIR KWIATKOWSKI

PIĘKNA I ATRAKCYJNA

Kolejka już nie wozi, jak 100 lat temu, ludzi do pracy ani buraków do przeworskiej cukrowni. Pełni wyłącznie funkcję atrakcji turystycznej. – Chodzi o to, by pasażerowie mogli się zrelaksować, odpocząć – podkreśla Paweł Tworek, kierownik Przeworskiej Kolei Dojazdowej (PKD).

Relaksowi sprzyja to, że ponad 46-kilometrowa trasa – prowadząca przez malownicze tereny Podgórza Rzeszowskiego i Pogórza Dynowskiego – jest przez wielu uważana za najpiękniejszą wąskotorową linię w Polsce. Podróż zaczynamy w dolinie rzeki Wisłok, następnie kolejka pokonuje długie i proste odcinki między polami uprawnymi. Za stacją zwaną „środkową Kańczugą" mijamy dwa długie stalowe mosty nad rzeką Mleczką. Innym ciekawym zjawiskiem są tory położone w bliskiej odległości od domów mieszkalnych, co tworzy wrażenie, że właśnie przejeżdżamy przez czyjeś podwórko lub ogród. Zaczynają się też ostre łuki i wysokie podjazdy. Gdy mijamy Jawornik Polski, zaczyna się las, który kończy się przejazdem przez jedyny w Polsce i najdłuższy w Europie tunel kolejki wąskotorowej (długości 602 m) w miejscowości Szklary. Po wyjeździe z tunelu kolejka powoli zjeżdża w dół doliny rzeki San, a my możemy podziwiać przepiękne krajobrazy Pogórza Dynowskiego z kolejnym ciekawym obiektem – mostem kamiennym.

– Tunel w Szklarach jest niesamowitą atrakcją turystyczną. Dlatego uruchamiamy dodatkowy kurs – z Dynowa do Jawornika Polskiego i z powrotem – dla tych, którzy nie mają tak dużo czasu, by przejechać całą trasę, a chcą doświadczyć jazdy przez ten tunel – podkreśla Paweł Tworek. I dodaje: – A poza tym nigdzie w Polsce nie ma tak dużych promieni skrętów, że podczas pokonywania łuku można zobaczyć przód i tył pociągu.

Szczególną frajdę, zwłaszcza w pogodne dni, sprawia przejazd tzw. letniakami – odkrytymi wagonami, które mają dach, lecz nie mają szyb, dzięki czemu obcowanie z przyrodą jest jeszcze bardziej intensywne, bo można

Fot. Jaromir Kwiatkowski

eprasa.pl e7683f73ec

ją nie tylko zobaczyć, ale się w niej zanurzyć, bo jest na wyciągnięcie ręki.

Podróż w jedną stronę trwa 2 godz. i 45 min, co – odliczywszy postoje – daje średnią prędkość 20 km/h. Tak wolna jazda w nieskażonej przyrodzie również potęguje intensywność doznań.

Regularne kursy odbywają się w sezonie letnim, od 1 maja do końca września. Pociąg odjeżdża ze stacji Przeworsk Wąski w soboty o godz. 10 i w niedziele o 9. Powrót do Przeworska ok. 18. W tygodniu jest możliwość grupowego wynajęcia pociągu na kurs poza rozkładem.



Lokomotywę prowadzi maszynista Waldemar Hołowaty z Przeworska

Fot. Jaromir Kwiatkowski

STRES MASZYNISTY

Lokomotywę prowadzi maszynista Waldemar Hołowaty z Przeworska. Wpuszcza mnie do swojego „królestwa", a nawet pozwala zatrąbić. Sygnał uruchamia się specjalnym przyciskiem umieszczonym, dla wygody kierującego, pod nogą. Używanie sygnału jest konieczne, bo pociąg przejeżdża najczęściej przez przejazdy niestrzeżone, a ludzie są bardzo pomysłowi w podnoszeniu ciśnienia maszyniście.

– Praca jest bardziej stresująca niż na normalnych torach – opowiada pan Waldemar. – Ludzie nie zdają sobie sprawy z tego, co robią. Śmieją się, że co tam taka ciuchcia! Nieraz się zdarzało, że kobieta z dzieckiem przebiegała przed samym zderzakiem. Albo chłopak na rowerze stoi na przejeździe. Nagle rusza, przejeżdża tuż przed pociągiem i się śmieje. A w człowieku nerwy „chodzą" później przez całą drogę – denerwuje się maszynista.

Takich stresujących sytuacji pan Waldemar miał, jak wspomina, bardzo wiele. – Ale nie zabiłem nikogo – podkreśla.

W kabinie maszynisty jest bardzo głośno. – Ta lokomotywa to i tak w miarę cicho idzie, bo są takie, w których w ogóle nie da się rozmawiać – podkreśla pan Waldemar. – Jak się cały dzień w takim miejscu przesiedzi, to wieczorem ma się dość.

Jeździ na tej trasie od 1982 r., z kilkuletnią przerwą. Z zawodu jest kierowcą ciężarówek. Zatrudnił się na kolei w stanie wojennym, bo ratowała od wojska. Przyszedł, jak mówi, na chwilę i... został. Pochodzi z kolejarskiej rodziny od pokoleń. Ojciec miał 49 lat, kiedy dostał zawału w parowozie. Pan Waldemar zajął jego miejsce.

PODRÓŻ SENTYMENTALNA

Paweł Tworek uważa, że między kolejką Przeworsk – Dynów, zwaną potocznie „Dynówką", a słynną bieszczadzką ciuchcią, jest ta różnica, że w Bieszczady turyści przyjeżdżają dla nich samych, a kurs kolejką zaliczają „przy okazji", natomiast do Przeworska – dla samej kolejki.

Nasz kurs (13 lipca – przyp. aut.) ma niemal pełny stan „na pokładzie". Jak mnie zapewnia obsługa „Pogórzanina", w sezonie to norma.

– Ludzie mają okazję oderwania się od codzienności, poobcowania z naturą, zobaczenia widoków, które z samochodu trudno zauważyć – uważa Aleksandra Pakla, opiekująca się pociągowym barkiem z kawą, napojami, lodami i słodyczami. Pracuje tu od miesiąca.

Państwo Arleta i Krzysztof z 2,5-letnim Askaniuszem i roczną Orestą przyjechali z Pruszkowa, mama pani Arlety mieszka na co dzień w Mielcu. Przejazd przeworską kolejką podpowiedział im kolega. Zdecydowali się głównie z powodu fascynacji syna koleją. – Jego wszystkie bajki są związane z ciuchciami – śmieje się pan Krzysztof. I dodaje: – Rekreacyjnie to bardzo fajny teren, czujemy się jak w górach. Pogoda też dopisała, więc jesteśmy bardzo zadowoleni.

Dla pana Stanisława ze Szczecina, podróżującego z żoną Eugenią (oboje są już na emeryturze), to sentymentalna podróż do czasów dzieciństwa i młodości. – Chciałem sobie przypomnieć swoje dawne wędrówki po tych terenach – zaznacza pan Stanisław. I dodaje: – Widzę ogromne zmiany na lepsze, domy piękne, zadbane. W 1959 r., już po akcji „Wisła", przechodziłem przez wysiedlone wioski ze zrujnowanymi cerkwiami.

– Podziwiam tę dziewiczą zieleń i podgórski krajobraz, dla mnie bardzo ciekawy, bo u nas są zupełnie płaskie tereny – dodaje pani Eugenia. – Kiedy się przyjedzie z dużej aglomeracji, to się taki krajobraz szczególnie docenia. Jest tu niesamowicie, trochę jak w bajce...

– Do tego ten stukot kół... Styki torów nie są łączone, więc muszą od czasu do czasu stuknąć, kiedy kolejka przez nie przejeżdża. Jest ona utrzymana w stanie pierwotnym, a możliwość przejazdu taką właśnie, starą kolejką, bardzo przyciąga ludzi – uważa Dominik Bejster, prezes Przeworskiego Towarzystwa Kolei Wąskotorowej, które pomaga w utrzymaniu kolejki, stara się kultywować tradycje kolejarskie oraz zbiera pamiątki związane z linią Przeworsk – Dynów.

Trzeba dodać: przyciąga turystów nie tylko z Polski, lecz także z zagranicy. Często jest to sentymentalna podróż do miejsc, skąd wywodzili się rodzice czy dziadkowie.

BOBRY I WANDALE

– Utrzymanie kolejki jest kosztowne – przyznaje Paweł Tworek. Bardzo potrzebne jest dofinansowanie, zwłaszcza że obecny stan torowiska nie pozwala

eprasa.pl e7683f73ec



Potrzeba pół miliona złotych, aby uruchomić parowóz z dworca w Dynowie

Fot. Jarosław Kwiatkowski

na zwiększenie prędkości pociągu do 30 km/h, a niektóre historyczne budynki są w stanie ruiny. Powiatu przeworskiego nie stać na takie utrzymanie linii, jakbym sobie marzył – podkreśla kierownik PKD. – Starostwo złożyło do marszałka województwa wniosek o jej dofinansowanie kwotą 20 mln zł. Dzięki tym środkom moglibyśmy w przyszłym roku rozpocząć prace remontowe, zaczynając od miejsc, gdzie torowisko jest w najsłabszej kondycji.

Innym problemem jest to, że część trasy przebiega przez obszar chronionego krajobrazu, na którym znajdują się żeremia bobrów.

– Bobry bardzo niszczą nam nasyp, kopią pod torami tunele, a my musimy cały czas dowozić kamień, utwardzać – informuje kierownik PKD. – Chcieliśmy zabezpieczyć nasyp stalowymi grodziami, ale właśnie ze względu na to, że jest to obszar chronionego krajobrazu, nie dostaliśmy zgody na ochronę torowiska w ten sposób. Jest to dla nas utrudnienie, ale trzeba jakoś żyć w zgodzie z naturą.

Na stacji w Dynowie stoi – jako pomnik – parowóz Px48-1734. Wymaga generalnego remontu.

– Jest rozkradany przez złomiarzy, wandale wybijają w nim szyby, wrzucają do środka śmieci, rozbijają lampy, piszą po nim sprejem – wylicza kierownik. – Dlatego chcę zabrać parowóz do Przeworska, bo tu dysponujemy monitoringiem.

Do tego, by można było dopuścić parowóz do eksploatacji, potrzeba ok. 500 tys. zł. Taki parowóz rewelacyjnie komponowałby się z dwoma oryginalnymi wagonami polskiej produkcji z 1951 r. (jeden znajduje się w Przeworsku, drugi w Dynowie). – To takie kolejowe klasyki, po prostu piękne – zachwyca się kierownik PKD. Na co dzień nie są eksploatowane, ale można je wynająć na przejazdy grupowe poza regularnymi kursami.

ZIMĄ? DLACZEGO NIE

Pawłowi Tworkowi marzy się, by oba te wagony pojechały kiedyś podczepione do dynowskiego parowozu.

– Turyści, np. z Austrii czy Czech, dzwonią i pytają, czy mamy parowóz – opowiada kierownik PKD. – Dla nich przejażdżka lokomotywą napędzaną ropą nie jest atrakcją. Dla miłośników kolejnictwa maszyna parowa jest czymś niesamowitym. Gdybyśmy uruchomili parowóz i podczepili do niego te dwa wagony, to żadna kolejka w Polsce nie miałaby takiego zestawu.

Inny pomysł na uatrakcyjnienie przejazdów to uruchomienie okolicznościowych kursów, np. w czasie ferii zimowych. – Jeżeli nie byłoby śnieżnych zim i zasypanego torowiska, a tunel w Szklarach by nie zamarzł, to nie wykluczam, że kilka takich kursów uruchomimy – zaznacza Paweł Tworek.

Wiesław Walat, zastępca wójta gminy wiejskiej Dynów, wiceprezydent Rzeszowa w latach 1999–2002, uważa, że kolejka powinna być perełką na turystycznej mapie Podkarpacia: – Z Rzeszowa dojeżdża się tu w niecałą godzinę. Uważam, że to powinny być tereny wypoczynkowe dla aglomeracji rzeszowskiej. Na razie jednak nie są wystarczająco rozpropagowane.



Fot. fot. Renata Kwiatkowska

Pomysł budowy linii kolejowej Przeworsk–Dynów pochodzi jeszcze z czasów cesarstwa austro-węgierskiego. Miała ona dostarczać buraki do wybudowanej przez księcia Andrzeja Lubomirskiego cukrowni Przeworsk oraz przewozić z ziemi brzozowskiej płody rolne, drewno, żwir i kamień. Budowa rozpoczęła się w 1900 r. Całkowite oddanie do eksploatacji i oficjalne otwarcie linii długości 46,2 km miało miejsce 8 września 1904 r. (w tym roku będzie uroczyście obchodzona 115-rocznica powstania kolejki – przyp. aut.). Początkowo myślano o kolei normalnotorowej, o rozstawie szyn 1 435 mm, ale ostatecznie powstała wąskotorówka o rozstawie 760 mm (w latach 50. XX w. zmieniono go na 750 mm).

Przeworską wąskotorówką wożono nie tylko towary, korzystali z niej także pasażerowie, głównie osoby dojeżdżające do pracy do Przeworska. W pierwszym pełnym roku eksploatacji (1905) kolejka przewiozła 45 tys. pasażerów, a tuż przed wybuchem wojny (1913) – już 110 tys. Także w 1913 r. wprowadzono do użytku jeden wagon pierwszej klasy, choć i tak ponad 90 proc. pasażerów decydowało się na podróż wagonami trzeciej klasy. Wzrastała także liczba przewożonych ładunków i towarów – z 25,8 tys. ton w 1905 r. do 48,9 tys. w roku 1911.

Po wojnie linią zarządzały Polskie Koleje Państwowe. W 1986 r. wycofano trakcję parową. Wkrótce zawieszono regularny ruch pasażerski. 30 września 1991 r. kolejka została wpisana do rejestru zabytków. W 2001 r. administrowanie linią przejęło Stowarzyszenie Kolejowych Przewozów Lokalnych w Kaliszu. Obecnie właścicielem linii jest powiat przeworski, a starostwo oddało ją w zarząd Powiatowemu Zarządowi Dróg. Linia Przeworsk–Dynów, jako wydział PZD, funkcjonuje pod nazwą Przeworskiej Kolei Dojazdowej.

eprasa.pl e7683f73ec

Odkurzacz EasyClean Li Gardena



Odkurzacz, zwłaszcza ten ręczny i bezprzewodowy, to prawdziwy przyjaciel domu, który pomaga posprzątać najbardziej niedostępne miejsca. Czy wyobrażacie sobie, żeby takie urządzenie pomogło także w uprzątnięciu bałaganu w... ogrodzie lub na tarasie? EasyClean Li Gardena odkurzy brud zarówno w domu, jak i wokół niego. Wszechstronny i bezprzewodowy odkurzacz EasyClean Li może sprzątnąć zarówno mokre, jak i suche odpady, np. mokrą ziemię na chodniku po deszczu albo piasek w garażu. Jest mały, lekki i wygodny, a więc szybko i łatwo odkurzy dowolną powierzchnię. Ma wbudowany mocny akumulator, dzięki któremu poradzi sobie nawet z ciężkimi kawałkami wilgotnej ziemi zalegającymi np. na tarasie. Ponadto wbudowany filtr gwarantuje dużą moc, nawet w przypadku bardzo drobnych elementów takich jak kurz czy sierść psa na dywanie. Nie wymaga też wielu prac konserwacyjnych i jest bardzo prosty w użyciu i ładowaniu. Zawiera szeroki wybór dysz i szczotek, co dodatkowo ułatwia czyszczenie np. wnętrza samochodu czy bagażnika. Odkurzacz EasyClean Li Gardena można przechowywać w uchwycie naściennym ze zintegrowaną ładowarką, dzięki czemu zajmuje niedużo miejsca i zawsze jest pod ręką. **Cena: ok. 400 zł**

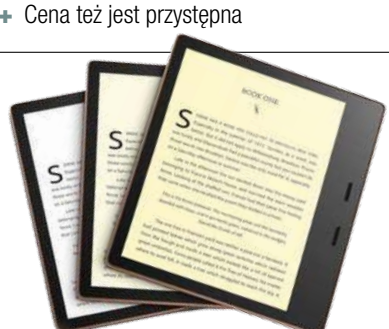
Plusy i minusy

+ Produkt sprawia wrażenie praktycznego i przydatnego
+ Cena też jest przystępna

Hulajnoga elektryczna Fiat 500

Hulajnogi elektryczne są coraz bardziej popularne w naszym kraju, nic dziwnego, że znane marki wchodzą na ten rynek, a przy okazji do Polski, gdzie trafiła pierwsza hulajnoga marki Fiat – model F500-F80. To jedyna hulajnoga elektryczna na rynku, która ma tylny napęd pozwalający nie tylko na szybszy start, ale także umożliwiający bardziej precyzyjne pokonywanie zakrętów. Hulajnoga została wyposażona w silnik o mocy 250 W oraz akumulator 36V 6AH, co w krótkim czasie pozwala osiągnąć maksymalną prędkość 25km/h i na pełnym naładowaniu baterii pokonać dystans do 20 km. Dopuszczalne obciążenie 100 kg pozwala na korzystanie z urządzenia zarówno młodzieży, jak i osobom dorosłym. Model F500-F80W został wyposażony w duże, 8-calowe koła, dzięki którym bez problemu będziemy się mogli komfortowo poruszać nawet po nierównym podłożu i pokonywać niewielkie przeszkody terenowe. Pojazd ma zapewniający stabilną i bezpieczną jazdę tylny napęd, elektroniczny hamulec oraz amortyzację przedniego koła. Hulajnoga waży niewiele ponad 11 kg i jest łatwa w transporcie. Urządzenie składa się w prosty sposób, dzięki czemu jego przechowanie lub przewożenie jest o wiele bardziej komfortowe. **Cena: 1599 zł**





Czytnik e-booków Kindle Oasis

Najnowszy Kindle Oasis to kolejna już odsłona czytnika e-booków firmy Amazon. Główną różnicą w stosunku do wcześniejszego modelu jest lepsze podświetlenie ekranu, poza tym nadal mamy 7-calowy ekran, wodoszczelność i obsługę funkcji Audible. Czytnik będzie dostępny od 24 lipca w dwóch wariantach. Ceny: model z 8 GB pamięci – 230 euro i z 32 GB pamięci – 260 euro. **zapowiedź**

Przygotował ***Paweł Gadaczek***

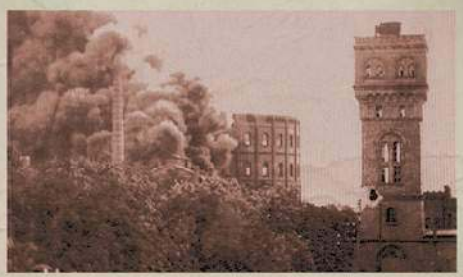
22/0619/F

eprasa.pl e7683f73ec

GAZOWNICY
W OBRONIE WARSZAWY



Teren Gazowni Warszawskiej w 1939 r. Obecnie znajduje się tu siedziba PGNiG SA.



Pożar Gazowni Warszawskiej po bombardowaniu.

W czasie II Wojny Światowej na terenie Gazowni Warszawskiej dochodziło do licznych akcji sabotażowych, działała tam także komórka organizacji podziemnej zajmującej się pomocą Żydom w gettcie warszawskim. Po wybuchu Powstania Warszawskiego gazownia została odcięta od miasta, ale nadal pracowała. Na terenie zakładu znalazło schronienie wielu Powstańców i Mieszkańców Warszawy, którym wydawano zaświadczenia o zatrudnieniu ze wsteczną datą, aby w razie niemieckiej rewizji nie zostali rozpoznani.



W czasie działań wojennych oraz podczas Powstania Warszawskiego zginęło wielu pracowników Gazowni Warszawskiej. Ich pamięci poświęcona jest tablica wmurowana w ścianę budynku wieży ciśnień na Woli. Znajduje się na niej 57 nazwisk tych, którzy zginęli w obozach koncentracyjnych, bądź zostali rozstrzelani na Woli.

Tablica pamięci na terenie Centrali PGNiG SA przy ul. M. Kasprzaka 25 w Warszawie.

CZEŚĆ ICH PAMIĘCI!

PGNiG

Ogród z pestek i resztek

Nie wyrzucaj resztek warzyw. Zrób z nich ogródek i wykorzystaj raz jeszcze. To może być wspaniała i piękna przygoda



O tym, że z odpadków warzyw może coś jeszcze wyrosnąć, przekonałam się na wsi, gdy obierałam pod drzewem ziemniaki. Nie wszystkie obierki uprzątnęłam. Po kilku miesiącach okazało się, że u babci w dziwnym miejscu pojawiły się trzy krzaczki z przepięknymi fioletowymi kwiatkami o żółtych środkach. Nikt ich tam nie sadził i babcia zachodziła w głowę co to. Krótkie rodzinne śledztwo doprowadziło nas do tego, że moje bałaganiarstwo i niedbalstwo zaowocowały. I to dosłownie. Obierki wykiełkowały i babcia miała własne kartofelki. Wielkości orzechów włoskich wprawdzie, ale w tym przypadku nie chodziło o kwintale.

Od tamtej pory ciągle eksperymentuję z roślinami. Lubię sprawdzać, czy coś mi wyrośnie z pestki albo piętki. Mam na parapecie istną dżunglę, a właściwie mieszaninę roślin egzotycznych i swojskich, które rosną sobie ramię w ramię w świetnej komitywie: trzy palmy daktylowe, dorodne awokado i trawę cytrynową, imbiry, asparagusa, pomidory, bazylię i miętę wyhodowane ot tak, z pęczków, niezliczone czosnki i różnej maści cebule, z których wyrasta las szczy-

piorów, czosnek niedźwiedzi (podarunek od znajomej, która wykopała go z lasu i przywiozła do mnie; rośnie średnio, bo ja mam sosny, a on woli wilgotniejsze klimaty, ale co roku wychodzi z ziemi). No i nacie. Te uwielbiam – mam pietruszkę, marchewkę, seler, brukiew. A nad wszystkim góruje sałata rzymska w wazonie, która podskubana od dołu i wstawiona do wody wypuściła korzenie i dorosła do rozmiarów dziewanny. Wkrótce spodziewam się kwitnienia. Na pomysł takiego ogrodu wpadłam dzięki pani od przyrody, która kazała dzieciom wyhodować fasolę. Nasz jaś wyrósł prawie taki wielki, jak w bajce o magicznej fasoli, co natchnęło mnie do kolejnych działań. Niech dziecko wie, że można w taki sposób zazielenić dom i mieć własne warzywa czy zioła do sałatek.

NAJPROSTSZE W UPRAWIE SĄ CEBULKI

Wkładamy je do wody albo do ziemi w doniczce i po kilku dniach pojawia się zielony szczypior. Ja porobiłam sobie kompozycje cebulowo-czosnkowe, a córcia chodzi i je podgryza.

Równie dobrze radzą sobie dymki – gdy kupujemy pęczek z białymi końcówkami, ścinamy tylko zielone, a końcówki wkładamy do szklanki z wodą, a kiedy wypuszczą korzenie – przesadzamy do ziemi i mamy pyszny szczypior. Rosną szybko, są niemal bezobsługowe. Tak samo można na parapecie hodować pory.

Sałata to moja duma. Mam plantację rukoli, która wyszła z donicy i powoli, razem z bluszczykiem kurdybankiem i oregano zajmie cały trawnik. Pozwalam jej się panoszyć, bo taka zimująca w gruncie jest jędrna i ostrzejsza niż sklepowa. Używam jej do posypywania pomidorów i do omletów, które zyskują genialny smak. Niedawno dołączyła do niej sałata rzymska, kupiona z myślą o moich afrykańskich ślimakach. Zabrałam je wraz z sałatą na wakacje, żeby ślimaki codziennie dostawały listek. Sałata stała w kubku i nagle okazało się, że puściła korzenie. Wróciła więc z nami do domu. Już na moim tarasie zaczęła rosnąć wzwyż. Ma dobrze ponad pół metra wysokości, a ja czekam, na co jeszcze ją stać.

NA PĘCZKI

Z roślinami kupowanymi w pęczkach trzeba się pogimnastykować, ale warto. Piękną purpurową bazylię nakłaniałam do kiełkowania dobry tydzień (najpierw gałązki oczyściłam z liści, zostawiłam tylko te na czubku, a łodyżki wstawiłam do kieliszków z wodą), ale udało się, jest już w ziemi. Podobnie zrobiłam z odmianą tajską oraz przedziwną miętą o kudłatych listkach.

WARZYWA KORZENIOWE TO KOLEJNE WYZWANIE

Pietruszki i selery rosną szybko, a ich natki zna chyba każdy. Łatwo je uprawiać w doniczkach, trzeba tylko kupić takie, które rokują, że wyrośnie z nich nać, a więc z zieloną końcówką. Ścinamy wtedy górę korzenia wraz z tą minipalemką i wkładamy do wody albo od razu do ziemi. Po kilku dniach wypuszczają liście, które możemy sobie podskubywać. Ostatnio udało mi się namówić na wypuszczenie liści buraka mangolda oraz brukiew. Obie rośliny wyglądają obłędnie.

PRZYBYSZE Z EGZOTYCZNYCH REGIONÓW SĄ KAPRYŚNI

Nie zawsze i nie każdemu się udadzą. To nie kwestia tzw. ręki, ale chyba po prostu szczęścia. Wiadomo, w swoich ojczyznach mają więcej słońca i znacznie lepszą wilgotność powietrza. Ale ja spróbowałam i mam. Najłatwiej wyhodować trawę cytrynową. Jeśli pęczków nie trzymano w chłodniach – wstawiona do wazonu wkrótce wypuści jasnozielone dekoracyjne jadalne wąsy. Ładnie kiełkuje imbir, zwłaszcza gdy trochę wcześniej podsechł. W ogóle zauważyłam, że niektóre rośliny, które zostały przesuszone, walczą potem o przetrwanie ze zdwojoną mocą. Napęczniałe oczka urywamy od korzenia i wkładamy do ziemi, przysypując niemal do końca. Podlewamy, zraszamy, a roślina wkrótce zacznie się wyciągać do słońca.

> Lubię sprawdzać, czy coś mi wyrośnie z pestki albo piętki. Mam na parapecie istną dżunglę, a właściwie mieszaninę roślin egzotycznych i swojskich, które rosną sobie ramię w ramię w świetnej komitywie

Z awokado była wielomiesięczna zabawa i cackanie, zanim łaskawie ożyło. Zachęciła mnie do nich koleżanka, która ma całą plantację awokadosów w różnych stadiach rozwoju. Zaleciła tylko, żebym się uzbroiła w cierpliwość.

Obrana ze skóry pestka (ważne, żeby to zrobić, bo inaczej będzie skrępowana i nie pęknie, a jak nie pęknie, nie wypuści korzenia i spektakularne osiągnięcie ogrodnicze przejdzie koło nosa) siedziała przez dwa miesiące mniej więcej w specjalnym wazonie do kiełkowania cebul hiacyntów i ani drgnęła. Była podlewana letnią wodą, osłaniana przed chłodem i kotami, które myślały, że to piłka i próbowały ją podwędzić. Kiedy już wkurzyła mnie do tego stopnia, że chciałam ją wyrzucić, nagle zaczęła pękać, a ze środka wysunął się palowy korzeń. Po kolejnych tygodniach wypuściła do góry coś zielonego, jakby kiełek. Gdy korzeń zaczął się rozwijać, ostrożnie przesadziłam mojego cudaka do ziemi – musi mieć wysoką doniczkę, bo korzeń ma prosty i długi. Teraz jest bardzo dorodnym krzaczkiem z okazałymi skórzastymi listkami.

Mam też trzy palmy, które są wynikiem eksperymentu. Postanowiłam sprawdzić, czy daktyle, na które namówił mnie sprzedawca, są rzeczywiście naturalnie suszone. Trzy pestki wetknęłam więc do doniczki, a one zaczęły sobie żyć własnym życiem. Są niezwykłe i niesamowicie odporne – zimują na dworze i znoszą upały, przy których inne rośliny padają.

Anna Monicka

Fot. Anna Monicka

eprasa.pl e7683f73ec

ARKADIUSZ GOŁĘBIOWSKI AKTOR

Najwięcej widać od środka

Aktorstwo to podróże. Odbywane w czasie i przestrzeni. Także te wewnętrzne, kiedy mamy możliwość stania się kimś innym. Właśnie ta wewnętrzna podróż, to wszystko, co można w nią tchnąć, czego można się nauczyć, ale też czego trzeba się oduczać (a to jest o wiele trudniejsze), sprawia, że nie zamieniłbym aktorstwa na żadną inną pracę.

Urodziłem się i mieszkam w Warszawie, ale realia serialu „Leśniczówka", w którym teraz gram, nie są mi obce. Jestem szczęśliwym posiadaczem kawałka własnego lądu, porośniętego drzewami, które staram się pielęgnować.

Poza tym mój tata pochodził ze wsi. Spod Zamościa.



Fot. Archiwum

Pamiętam z dzieciństwa, że „maluchem" – wypakowanym po brzegi, łącznie z wielkim bagażem na dachu, który musiał mocno „ściągać" na zakrętach – jechało się do dziadków cały dzień, ale jak się już dotarło na miejsce... Ta przestrzeń, ten zapach i przede wszystkim otwartość ludzi... To było coś pięknego.

Parę lat temu grałem w serialu TVP „Pogodni", do którego zdjęcia kręcone były w Zamościu. Wspaniale odrestaurowanym. W pełni zasługującym na nazwę Padwa Północy.

Po śmierci taty, jeśli już jadę w jego rodzinne rejony, to zatrzymuję się w Lublinie, gdzie przeniosła się większa część rodziny. W tym mieście też widzę ogromne zmiany. Tętni życiem. Również kulturalnym. Mnóstwo w nim młodych ludzi, a wraz z nimi perspektyw na przyszłość.

Odkąd pamiętam, czułem w sobie ducha odkrywcy. Miałem 15 lat, gdy w pojedynkę poleciałem do Frankfurtu. Na miejscu czekali znajomi rodziców, ale w samolocie byłem sam. I te mnóstwo dokumentów, które trzeba było załatwić przed wylotem, a na niemieckim lotnisku wrażenie spokoju emanujące z ludzi. Kontrastowało to z napięciem, pogonią za podstawowymi dobrami, które pod koniec lat 80. czuło się w Polsce.

Po tym wyjeździe odwiedzałem kolejne europejskie kraje. Wyruszałem w drogę, by poczuć klimat, ducha miejsc, które chciałem zobaczyć oczami żyjących w nim ludzi.

W Paryżu wolałem wypić w ulicznej kafejce kawę do croissanta, niż stać w kolejkach do obleganych zabytków. Oczywiście docierałem i tam, jednak nie to było priorytetem. Jeśli tylko mogłem, dawałem sobie więcej czasu. Florencję, którą widziałem już wcześniej, udało mi się poznawać od środka przez dziesięć dni. To pozwala na zupełnie inny odbiór.

Byłem już w większości europejskich państw (nie dotarłem tylko do Norwegii, Irlandii i części państw byłej Jugosławii), gdy ruszyłem do kraju mojej praprababki. Miała na imię Praxeda, mieszkała pod Zamościem i była Greczynką.

Pierwszego spotkania z Grecją (i hotelu zarezerwowanego w biurze podróży) nie wspominam dobrze, chociaż podczas tej wyprawy udało mi się zobaczyć Meteory i uczepione do tych wielkich skał monastyry. Zupełnie inaczej wyglądała kolejna podróż – do Aten. Osiem dni na łodzi (kręciliśmy na niej film z greckimi aktorami). Codziennie w innym porcie. Każda wyspa miała swoją specyfikę. Usłyszałem wtedy coś, co mocno zapadło mi w pamięć. Gdy dopytywałem o sirtaki, taniec spopularyzowany za sprawą filmu „Grek Zorba", jeden z greckich aktorów powiedział mi: „Tu nie kroki są ważne. Zamknij oczy, poczuj w sobie wolność i tańcz". W tym tkwi sedno i sens. Także moich podróży.

Chciałbym wrócić do Portugalii, którą widziałem bardzo krótko, i poczuć fado. Kiedy poznawałem tę muzykę, brzmiała zbyt nostalgicznie, ale może nie był to ten właściwy czas.

Nie ciągnie mnie popularna Tunezja. Na Wyspach Kanaryjskich byłem miesiąc temu. Podobały mi się Karaiby, ale to dlatego, że znalazłem w nich właściwą perspektywę, bo z poziomu pięciogwiazdkowego hotelu cały świat jest taki sam.

Jeśli uda mi się znaleźć tego lata kilka wolnych dni, chciałbym spojrzeć „od środka" na Kretę.

Jolanta Gajda-Zadworna

eprasa.pl e7683f73ec

SŁODKO-SŁONY

Chili w domu i w kosmosie

ANNA MONICKA



Rzodkiewki, sałata, buraki, groszek – kosmonauci w stacjach badawczych eksperymentują z uprawianiem różnych warzyw. Wkrótce dołączy do nich papryka. Paprykę chili, którą chcą wysłać w listopadzie naukowcy z NASA, jest tak niezwykła, że warto jej poświęcić kilka słów i nie wysyłać z misją na Marsa, tylko kupować i jeść w domu.

„Zdrowa" to chyba niewłaściwe słowo. Jest wybitna – ma mnóstwo witamin C i B, beta-karotenu, błonnika, cennych związków mineralnych (wapnia, żelaza, magnezu, potasu), a do tego przyspiesza produkcję endorfin, nazywanych hormonami szczęścia. Dająca ostrość kapsaicyna jest jednym z najsilniejszych leków, jakie dała nam natura – niszczy komórki rakowe i zapobiega powstawaniu kolejnych, hamuje chorobę wieńcową i rozwój miażdżycy, zbija cholesterol, przyspiesza spalanie tłuszczu, bo aż o 30 proc. przyspiesza metabolizm, pomaga przy migrenach, ma działanie znieczulające.

Odmiana, jaką wybrali Amerykanie – espanola – rośnie na dużych wysokościach, ma krótki okres wegetacji i łatwo ją zapylać. Powinna urosnąć i na innych planetach, gdy dotrą tam pierwsi osadnicy z naszej zupełnie wyniszczonej przez ludzi Ziemi.

Znam kilka osób, które surowej papryki jeść nie mogą, żadnej, nawet po obraniu ze skórki. Jest zbyt ciężkostrawna. Ale od czego są ogień, garnek i patelnia? Paprykę słodką można upiec i podawać z oliwą, czosnkiem, octem balsamicznym – w takiej postaci smakuje chyba najlepiej. Można ją trzymać w kamiennym garnku w lodówce lub zawekować.

Ostra najlepiej mi smakuje na słodko. Siekam chili bez pestek, podsmażam na odrobinie oliwy (już sam zapach natychmiast wkręca się w zatoki, więc dobrze mieć pod ręką chusteczki do nosa), a potem zalewam miodem i jeszcze raz podsmażam. Tym pikantnym sosem polewam sałatki owocowe, zwłaszcza takie, w których znajdują się ananas i mango (oba te owoce to latem połączenie doskonałe), smaruję kurczaka lub indyka przed pieczeniem, dodaję odrobinę do rosołu, gdy jesienią zaczyna mnie łamać w kościach. A gdy dopada mnie przeziębienie – zajadam to lekarstwo łyżeczką. I gorąco je polecam wszystkim.

WILCZYM OKIEM

Najdroższe danie świata

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Jeżeli ktoś myśli, że najdroższym daniem świata jest omlet z białej trufli albo stek z gigantycznego tuńczyka wylicytowanego przez japońską restaurację, to się myli. Pewnego dnia Kleopatra, ostatnia królowa Egiptu, zaśmiała się z Antoniusza, który popisywał się przed nią wystawnością swoich uczt, i powiedziała, że spożyje danie warte dziesięć milionów sestercji. Antoniusz podjął zakład. I przegrał. W trakcie uczty Kleopatra zażądała bowiem naczynia z octem, rozpuściła w nim jedną z bezcennych pereł i wypiła.

Chociaż dokładna kwota, wymieniona przez Kleopatrę, nie jest pewna, musiała być gigantyczna, co wiemy dzięki autorom starożytnym. Podstawą dania, które miała zamiar spożyć, była perła, jedna z dwóch znajdujących się w kolczykach egipskiej królowej. Pisząc o tych perłach, Pliniusz użył słów następujących: „[...] dwie perły, największe po wszystkie czasy", które otrzymała Kleopatra od „królów wschodnich", a królowie wschodni byle czego na pewno Kleopatrze nie dali.

Dziesięć milionów sestercji stanowiło wówczas w przybliżeniu jedną tysięczną PKB Rzymu. Jeżeli przyrównać PKB Rzymu do PKB USA, największego obecnie imperium świata, Kleopatra miała spożyć danie warte kilkanaście miliardów dolarów. Oczywiście, z różnych względów jest to porównanie bardzo orientacyjne, tak czy inaczej była to jednak suma niewyobrażalna.

Nie sądzę, żeby perła rozpuszczona w occie była smaczna. Abstrahując od kulinarnych ekstrawagancji, perły są arcyciekawym wytworem natury. Do niedawna na terenie naszego kraju w Sudetach, w zimnych, natlenionych, czystych i ubogich w wapń potokach, występował małż skójka perłorodna *Margaritifera margaritifera* (w latach 80. uznano ją za gatunek wymarły na terenie Polski; skójki te najbliżej naszych granic spotyka się jeszcze w Niemczech i Czechach). Co któraś ze skójek zawierała piękną, różową perłę, a było ich w regionie na tyle dużo, że w XVII w. nad rzeką Kwisą działała szlifiernia pereł.

Chociaż skójki perłorodne bywały jadane – w przeciwieństwie do historii z Egiptu, nie zjadano pereł, lecz mięso małży, i nie na ucztach, lecz w okresach głodów i wojen. Do ich wymarcia przyczyniło się co innego, mianowicie rabunkowe połowy i późniejsze zanieczyszczenia wód.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl e7683f73ec



Naprawdę jaka jesteś?

Rozpad opozycji na trzy bloki niesie zagrożenia, ale ma sporo dobrych stron. Najważniejszą jest zmuszenie cwaniaczków do ideowego określenia. To może nawet punkt przełomowy polityki III RP. Dotąd wystarczyło wrzeszczeć, że przeciwnik zły i brzydki, a my fajni i świat nas kocha. Przy totalnym wsparciu zaprzyjaźnionych mediów rządy „tym krajem" wydawały się zabetonowane na wieczność. A tu siurpryza: PiS spełnia wyborcze obietnice (poza jedną) i dotychczasowy wrzask nie wystarcza, jednak trzeba mieć jakiś program.

Rozpuknął się więc (po)twór antypisizmu, karty na stół. Ciekawe, jak antysystemowy Paweł Kukiz uzasadni swój mariaż z arcysystemowym PSL? Ale może czas nadszedł, by arcykoniunkturalistów przytulić? I przekabacić na polskość? Trzeba zmienić Polskę na serio i na trwale – w niemal wszystkich dziedzinach. Do tego potrzebna jest większość konstytucyjna. Więc nie śmieję się z Pawła.

Ale jeszcze ciekawsze są konwulsje lewicy. Cokolwiek słowo „lewica" dziś w Polsce znaczy. Tego właśnie nie wiadomo, ale mam nadzieję, że upadek potworka eurokoalicji zmusi cwaniaków i ideowców do wyrazistego określenia, jakich zmian chcą w Polsce, a więc politycznie kim są.

Po to, by Zandberg nigdy nie dogadał się z Kaczyńskim, bo razem byliby zbyt silni – wchodzi Biedroń. By współczucie lewicowe nie połączyło się ze współczuciem prawicowym – wrzuca się rewolucję obyczajową

Mamy trzy zasadnicze nurty. Po pierwsze, stary postkomunistyczny beton, broniący peerelowskich zniewoleń, zbrodni i rzekomych osiągnięć jak własnych biografii. Na czele cyniczny wesołek Czarzasty, w swej przewrotności i środowiskowej lojalności mimo wszystko ktoś. Po drugie, lewacka inżynieria cywilizacyjna, plan przerobienia narodu na miliony rozbieganych egoistów i samotników stanowiących zwierzynę łowczą dla koncernów i aktywistów LGBT. Na czele samozachwycony Biedroń („gej z natury jest łowcą, stara się mieć jak najwięcej partnerów"). Ma megawsparcie brukselskiej sitwy, ale to polityczny pajac, nikt. I trzeci nurt, ideowy. W mojej kategoryzacji – lewica właściwa. Ci, którzy – przynajmniej wedle deklaracji – chcą bronić słabszych, wykluczonych, oszukiwanych, bezbronnych, bezradnych. Na czele kosmaty niedźwiedź Zandberg. Mimo wszystko dotąd stosunkowo wiarygodny, ktoś. Cztery lata temu zbyt dobrze wypadł w telewizji, dzięki czemu SLD walnęło czołem o próg wyborczy i PiS rządzi samodzielnie. Ale trwanie na poziomie 2 proc. niedźwiedziowi się znudziło. Czy wejście w alianse z oportunistyczną postkomuną i rozdokazywanymi transwestytami pozwoli mu bronić bezbronnych wobec ekonomicznego wyzysku? Czy arcykorporacyjni cynicy betonowo-tęczowi pozwolą mu zawalczyć o słabych i krzywdzonych?

A może nowa lewicowa koalicja jest kolejną realizacją starego planu kolonizowania niepokornych? Przecież gdyby ekonomiczna lewica znalazła metody współdziałania z prospołeczną (współczującą!) i jedyną dziś aktywną w tej mierze prawicą, stałaby się groźna. Zwłaszcza w długiej perspektywie. Dla korporacji, banków i nowego światowego ładu, w którym demokrację zastępują reguły rynku, czyli dyktat prezesów. Po to, by Zandberg nigdy nie dogadał się z Kaczyńskim, bo razem byliby zbyt silni – wchodzi Biedroń. By współczucie lewicowe nie połączyło się ze współczuciem prawicowym – wrzuca się rewolucję obyczajową. Prawa homoseksualistów, aborcję, eutanazję, seksualizację dzieci – jako synonimy nowoczesności i rzekomej lewicowości. I wtedy prawica (przynajmniej jeszcze polska) rzuca się Reytanem, że nie pozwoli. Rozwałka wykonana. Zamiast reprezentować interesy milionów pracowników, emerytów, niepełnosprawnych, wykluczonych, wyrzucanych z mieszkań, okradanych przez banki, Zandberg będzie walczył o naukę masturbacji w przedszkolach i rozkawałkowywanie bezgłośnie krzyczących dzieci w łonach matek. Taka ma być ta nowa polska lewica?

Jeśli naprawdę bronisz Adrianie wyzyskiwanych i oszukanych, stań naprzeciw korporacji i banków. Tylko co na to powiedzą twoi nowi, tęczowo-betonowi i prokorporacyjni kamraci? Jeśli naprawdę bronisz najsłabszych, bezbronnych i pozbawionych głosu, przecież powinieneś zacząć od obrony nienarodzonych dzieci.

Jeśli ta prawdziwa, uczciwa polska lewica pójdzie za Biedroniem, bulgotać będzie w lewackiej niszy reanimowana przez korporacyjne i brukselskie fundusze. Jeśli zaś pójdzie za głosem serca, ma szansę być ludziom potrzebna.

Maciej Pawlicki

69/0519/F

eprasa.pl e7683f73ec

Logistyczna strategia

Ocena Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju po dwóch latach jej funkcjonowania jest na pewno pozytywna. Można też dostrzec pola, gdzie wymaga ona uzupełnienia czy wskazania nowych zadań. Jednym z nich jest obszar logistyki

Sektor logistyczny ma szansę być kołem zamachowym polskiej gospodarki. Już teraz jego znaczenie jest bardzo duże. Według GUS branża transportu i magazynowania stanowi 7 proc. PKB Polski (2017), ale nie jest to całość współczesnej logistyki, tak więc ten wskaźnik jest z pewnością wyższy i sięga przynajmniej 10 proc. W wielu rozwiniętych krajach logistyka to nawet 15–20 proc. PKB i Polska ma potencjał, aby taki pułap osiągnąć i wejść na jeszcze szybszą ścieżkę rozwoju.

Można śmiało postawić też tezę, iż umiejętne sterowanie przez państwo rozwojem tej branży pozytywnie wpłynie na realizację podstawowych celów SOR, czyli po pierwsze, wejście Polski na ścieżkę trwałego wzrostu gospodarczego coraz silniej bazującego na wiedzy, danych i doskonałości organizacyjnej. Chodzi tu m.in. o takie obszary jak reindustrializacja, rozwój innowacyjny firm i ekspansja zagraniczna. Drugi cel to rozwój kraju „społecznie wrażliwy i terytorialnie zrównoważony", a trzeci to usprawnienie instytucji państwowych, aby służyły wzrostowi gospodarczemu. W SOR dużo uwagi poświęcono rozwojowi transportu, ale trzeba na ten sektor spojrzeć szerzej, jak na część logistyki, bez której niemożliwe będzie zrealizowanie rządowej strategii, z czego wielu ekspertów nie zdaje sobie jeszcze sprawy.

Tymczasem logistyka jest niezwykle istotna, gdyż bez niej nie można zrealizować nie tylko żadnego procesu gospodarczego, lecz i społecznego. Widać to choćby na przykładzie wykluczenia komunikacyjnego dużej części Polski, gdzie ludzie są pozbawieni dostępu do kolei i połączeń autobusowych, które teraz trzeba pieczołowicie i dużym kosztem odbudowywać, bo inaczej te gminy stracą możliwość rozwoju.

To mały przykład, ale uzmysławia nam znaczenie logistyki dla całej gospodarki, gdyż teraz o sukcesie ekonomicznym miasta, powiatu, regionu czy kraju decyduje właśnie poziom obsługi logistycznej procesów gospodarczych, a nie to, ile firm czy jakie branże w nich działają. Globalizacja – czy to się komuś podoba, czy nie – spowodowała bowiem, że konkurencję między przedsiębiorstwami zastąpiła konkurencja między łańcuchami dostaw. I dotyczy to zarówno zapewnienia producentom surowców i podzespołów, jak i kanałów dystrybucji gotowych wyrobów lub usług.

Polska również musi postawić na logistykę, jeśli chcemy utrzymać, a nawet przyspieszyć tempo rozwoju gospodarczego. Dlatego konieczne jest opracowanie i wdrożenie najpierw Narodowej Strategii Rozwoju Logistyki, której narzędziem realizacji będzie Krajowy System Wsparcia Logistycznego. Jego skrojenie będzie adekwatne do potrzeb logistycznych Polski, a te może określić tylko państwo. Elementami systemu będą nie tylko porty morskie, drogi, linie kolejowe, lotniska (w tym projektowany Centralny Port Komunikacyjny), terminale intermodalne, centra przeładunkowe, magazyny, lecz również sieć informatyczna czy porty śródlądowe, które dopiero zamierzamy zbudować, oraz odpowiednie rozwiązania prawne. Niezbędnym działaniem będzie powołanie Krajowego Operatora Logistycznego, który zorganizuje i będzie zarządzał procesami logistycznymi w Polsce.

Te wszystkie czynniki muszą zadziałać jednocześnie, abyśmy wykorzystali dogodne położenie Polski na skrzyżowaniu europejskich szlaków handlowych, czerpiąc z tego owoce w postaci szybszego wzrostu gospodarczego Polski i rosnącego poziomu dochodów Polaków. Dobrze funkcjonująca logistyka przyczyni się do podniesienia poziomu usług społecznych, takich jak ochrona zdrowia, edukacja, nauka, opieka socjalna itd. Bez logistyki nie może dobrze funkcjonować nie tylko gospodarka, lecz żadna inna dziedzina życia, co warto mieć na uwadze.

Czesław Warsewicz,
prezes PKP Cargo SA



WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Chyba drugi Luter


www.wojciechreszczynski.pl

Życzyłbym sobie, aby Bartosz Bartosik nie manipulował formą tekstu, upodabniając go do prawdziwego kościelnego dokumentu

Z dziennikarskiego, tym razem przykrego, obowiązku muszę odnotować bezczelną i prowokacyjną publikację drugiego Lutra, red. Bartosza Bartosika, w internetowej edycji czasopisma „Więź". Dlatego na wstępie aż prosi się przypomnienie, że to „katolickie" pismo zostało założone w 1958 r. decyzją Biura Politycznego PZPR. W stanie wojennym było zawieszone, a po wznowieniu pierwszym redaktorem naczelnym był Tadeusz Mazowiecki, wieloletni poseł na Sejm PRL, ostatni premier komunistycznej władzy. Na łamach „Więzi" możemy przeczytać, że czasopismo to „pragnie służyć odnajdywaniu tego co wspólne, pojednaniu, przezwyciężaniu uprzedzeń i stereotypów" itd., itp., czego to papier, a dziś ekran komputera cierpliwie nie zniesie. Tymczasem „Więź" jest jak „Gazeta Wyborcza", ta sama dziennikarska kasta jednakowo obłudnie zatroskana o los polskiego społeczeństwa, a szczególnie o kondycję polskiego Kościoła katolickiego.

5 lipca br. ukazało się oświadczenie Rady Konferencji Episkopatu Polski ds. Apostolstwa Świeckich w sprawie narzucenia ideologii LGBT. Kościół przypomina, że każdy człowiek ma obowiązek szanować innego człowieka, w tym ludzi spod znaku LGBT, ale musi to działać w obie strony. „Ogromnym niesmakiem, smutkiem, troską o przyszłość, a nawet poczuciem zagrożenia napawają zwyczajnych ludzi zachowania i słowa aktywistów tego środowiska i wspierających je dziennikarzy. Niby walczą o wolność, tolerancję i szacunek, ale bez tolerancji, z pogardą wobec myślących inaczej i z agresją". W tym duchu jest to oświadczenie. Poza tym w dokumencie znajdujemy słowa podziękowania dla pana Tomasza, zwolnionego z firmy IKEA za cytowanie Biblii, zaniepokojenie faktem zaangażowania się wielu firm i korporacji w propagowanie ideologii LGBT, w tym także podobną aktywność wielu nauczycieli. Jest też prośba do rodziców o niepozostawianie dzieci samym sobie, gdyż „wasze dzieci nie są niczyją własnością, są wasze". Oświadczenie biskupów jest mądre, wyważone i bardzo konkretne. Dowodem są kolejne niepokojące wydarzenia, jak choćby to, o którym wspomina małopolska kurator oświaty Barbara Nowak. Jedna z wychowawczyń instruowała uczniów w sprawie gejowskiego seksu. Na dobranoc czytała dzieciom poradnik, w którym przypomina się, że „jeden stosunek seksualny nie wystarczy, aby być gejem, musi być ich więcej".

W tym czasie doszła też sprawa matki wychowującej samotnie córkę Zosię, która w wieku pięciu lat postanowiła zostać chłopcem, Bartkiem. Matka ta, mająca poważne kłopoty finansowe, jest już pod opieką środowisk LGBT, które ogłosiły, że oto mamy w Polsce pierwszy przykład dziecka transseksualnego. Wbrew faktom, ludzkiej empirii i naturze za wszelką cenę chcą nam wmówić, że istnieje coś takiego jak „płeć kulturowa".

Trzy dni po opublikowaniu wspomnianego oświadczenia polskich biskupów ukazuje się na stronie internetowej „Więzi" i równocześnie w „Gazecie Wyborczej" list sygnalizowany jako „ewangeliczny list biskupów w sprawie osób LGBT i praw pracowniczych". Czytamy w nim: „Jesteśmy wdzięczni wszelkim osobom, działaczom, duszpasterzom, wspólnotom i organizacjom, które w życiu kościelnym i świeckim działają na rzecz duchowego rozwoju i aktywizacji osób LGBT". W dalszej części niby-listu biskupów zebranych na Konferencji Episkopatu Polski przypomina się nam, że Kościół nie potępia grzesznika, tylko jego grzech, a czytanie Pisma Świętego nie może być wybiórcze, tak jak nie może być wybiórcze jego cytowanie. To z pewnością aluzja do tych cytatów, które w wewnętrznej poczcie Ikei przytoczył pan Tomasz, nieakceptujący obowiązku promowania ruchów LGBT, za co został zwolniony z pracy. Na zakończenie, już małym drukiem, pseudodziennikarz „Więzi" wyjaśnia, że nie jest to prawdziwy list polskich biskupów, ale powstał w reakcji na oświadczenie biskupów z 5 lipca, a autor „życzyłby sobie i wszystkim, aby dokumenty polskich hierarchów kościelnych zawierały treści bardziej ewangeliczne, a mniej publicystyczne".

A ja bym sobie życzył, aby Bartosz Bartosik nie manipulował formą tekstu, upodabniając go do prawdziwego kościelnego dokumentu, oraz aby zaprzestał pouczania biskupów, księży i wiernych, czym jest Ewangelia, katolicyzm i jak go należy rozumieć. Co i jak czytać i cytować, co jest ewangeliczne, a co publicystyczne.

Panu Bartosikowi radzę, aby założył własną sektę religijną, mianował się biskupem i nauczał swoich wiernych, jak ten z durszlakiem czy raczej cedzakiem na głowie, biskup kościoła szalejącego potwora spaghetti czy coś podobnego.

Drugi Luter to idealny kandydat do nagrody SDP Hiena Roku.

eprasa.pl e7683f73ec

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Gra Sromotkin



Witold Gadowski

Codziennie rano wstaje i spogląda na układ kart, przybiera rozmaite postaci i wciela się w nie, aby gra toczyła się dalej. Kiedy gra mu nie idzie, łapie blat antycznego stolika i usiłuje go natychmiast wywrócić. Niezmiennie jednak, ale fachowo, dostaje pięścią w pysk.

Książę bije bez emocji, tak jak leje się w mordę chama, aby – jego dialektyką – przemówić mu do rozsądku. Książę robi to już z niejakim ociąganiem, wynikającym ze znudzenia powtarzającą się czynnością, która nie przynosi najmniejszej ekscytacji. Cham musi dostać w mordę rzecz to jasna i nieodzowna, książę się tym nie pasjonuje. Po prostu pilnuje reguł gry...

* * *

Tego ranka udało się jednak chamowi zerwać ze stołu obrus i wytrzeć nim opaskudzone przez psie łajno cholewy. Dostał w pysk – a jakże, ale z mniejszą już siłą niż zwykle.

„Słabnie książę, coraz więcej mi więc wolno" – wywnioskował cham.

I tak dzień po dniu rozbestwiał się coraz mocniej, coraz luźniej trzymały go książęce wędzidła. Chodził co prawda jeszcze z rozbitym nosem – bo nawet słabnący pan potrafił zdzielić w ryj z kunsztem podpatrzonym u lorda Byrona. Jednak nie było to już to samo co kiedyś. Doszło nawet do tego, że cham wyknocił się na stół...

* * *

To nie jest gra Kropotkin, którą z lubością uprawiał Pan Cogito. Jak pamiętacie, najbardziej chciał w niej być – pomagającym w ucieczce księcia anarchistów – doktorem Orestesem Weimarem, chciał być rozmaitymi postaciami z gry. Nigdy nie pragnął jednak wcielić się w postać samego Kropotkina. Nie chciał zamieszkać w historii. Pan Cogito był człowiekiem z czasów wstydu i subtelności. Cham jest dziecięciem swojej epoki. Niestety wypadło, że jest ona naszym czasem. Cham ma twarz upudrowaną, jest Biedroniem, jest każdym, kto dziś przyciąga ciężebną uwagę. Książę zniedołężniał, a wraz z nim świat. Nie potrafi już utrzymać chama w szacunku dla świętych ksiąg ludzkości.

Pan Cogito nie chciałby być już żadną z postaci tej gry. Toczy się ona na śmietniku, gdzie cham obgryza resztki uczty. Na jego palcach pysznią się kradzione sygnety, stroi małpie miny do lusterka, dłubie w zębach. Jest kobietą o nieogolonych nogach, która wulgarnie pali papierosa i chleje przemysłowo warzone piwsko. Śmierdzi brukselskim sromem i przypudrowaną syfułą. Śmierdząca gra dzisiejszych czasów, której reguł pilnuje wyzwolony cham.

Strzelamy do wroga brylantami...



Lech Makowiecki

Tymi słowami prof. Stanisław Pigoń oddał pośmiertny hołd 22-letniemu Krzysztofowi Kamilowi Baczyńskiemu. Ale nie tylko. Te „brylanty" to długi ciąg nazwisk młodych, pięknych, niezwykle utalentowanych poetów i pisarzy – żołnierzy Armii Krajowej. W większości maturzystów z 1939 r. Trzebiński (21 lat) i Bojarski (21) zginęli z rąk Niemców w 1943 r. za złożenie wieńca pod pomnikiem Mikołaja Kopernika z okazji 400-lecia śmierci astronoma. Gajcy (22), Szczepański (22), Stroiński (22) polegli w pierwszych dniach powstania warszawskiego.

Bywam jurorem w konkursach poetyckich i nie zdarzyło mi się jeszcze natrafić na poezję tak wielkiego formatu tworzoną przez 20-latków! Erudycja, niezwykła wrażliwość, oczytanie, wszechstronna wiedza. Zaiste – przedwojenna matura równać by się mogła dzisiejszym doktoratom. O ile poezję Baczyńskiego genialnie wyśpiewała Ewa Demarczyk, po strofy Gajcego sięgnął Norbert „Smoła" Smoliński (płyta „Contra Mundum"), o tyle Józef Szczepański („Ziutek") spopularyzował się sam. Wszyscy znają piosenki „Pałacyk Michla", „Chłopcy silni jak stal", a zwłaszcza profetyczny i wizjonerski zarazem wiersz „Czerwona zaraza".

Żal mi nie tylko tych przerwanych brutalnie młodych istnień. Szkoda mi arcydzieł literatury i poezji, które mogłyby dzięki nim powstać. Żałuję zwłaszcza tragicznie zatrzymanego ciągu pokoleń, któremu ci wspaniali, inteligentni, patriotyczni chłopcy daliby początek. W ich miejsce wtłoczono nam tu siłą „elity" Rosjan POP (Pełniących Obowiązki Polaków) i rodzimych kolaborantów sowieckiego systemu. I ta negatywna „praca u podstaw" daje dziś zatrważające efekty! Kiedy się zastanawiam nad kondycją „nadzwyczajnej" sądowniczej kasty, mizerią/upadkiem edukacji, degeneracją popkultury i postępującą demoralizacją społeczeństwa (z genderową ideologią LGBT na czele) – wiem, że zawdzięczamy to m.in. hekatombie totalnej II wojny światowej. I jej „totalnym", współczesnym wykwitom.

eprasa.pl e7683f73ec

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Tykocin forever!



Aleksander Nalaskowski

W Białymstoku burdy, bo ktoś nie pomyślał (albo sobie „politycznie" wykoncypował) i zrobił w sercu konserwatywnej, czyli normalnej, Polski marsz propederastyczny. Lotne brygady homoseksualne najechały stolicę Podlasia, bo chętnych do maszerowania z samej Białostocczyzny byłaby ledwie garstka. Najechały w jednym celu, aby drażnić, zagrać na nosie, dokuczyć białostoczanom, nadepnąć im na odcisk. Najechały z nadzieją, że zainfekują tę ziemię swoją „europejskością", „nowoczesnością" i „różnorodnością". Bo Polska ma być wszak europejska jak St. Pauli w Hamburgu, nowoczesna jak Petru i różnorodna jak Rabiej. Polska ma radośnie kopulować na wszystkie sposoby, oddawać się uciechom ciała, nie zważając na płeć ani wiek partnera. Z tym wypełzły na ulice Białegostoku legiony potencjalnych (?) nosicieli HIV i pospolitych głupców. Słyszałem, jak nastolatka w tęczowej pelerynce wołała do koleżanki: „Chodź, idziemy ich wku...ć". Tym „ich" byłem zapewne ja i miażdżąca większość ludzi. Mnie przed zbokami nic nie chroni, ale oni są chronieni z wszystkich stron.

A gdy już homoseksualno-faszystowskie marsze zawładną polskimi miastami, to zawsze zostanie nam Podlasie

Ekstremum jednak wywołało ekstremum i posypały się jajka, pomidory, a nawet butelki i kamienie, a w końcu ciosy. Władze miasta musiały wiedzieć, że do tego może dojść. Jeśli prezydent nie był tego świadom, to znaczy że ma deficyty wykluczające go ze sprawowanego urzędu. Ponosi całkowitą odpowiedzialność za to, co się stało. Moim zdaniem powinien odpowiadać karnie. Uderzył w podlaską duszę i dumę, sprowadził strukturalne niebezpieczeństwo. Myślę, że z rozmysłem i za sprawą suflerów.

Aliści w oddalonym 20 km Tykocinie było już normalnie, czyli jak zwykle na Podlasiu. Auta z rejestracjami z całej Polski, i nie tylko z Polski. Tłum ludzi podziwiał miasteczko perełkę niezwykle sprawnie od jesieni zarządzane. W niedzielnym kościele na wszystkich nabożeństwach tłumy, w maleńkiej, ale już „kultowej" pierogarni ogonek czekających na wolny stolik, oblężone lodziarnie, a po uliczkach snuli się rekonstruktorzy – fani historii, dawnej broni i barwy. Nad wszystkim unosił się duch normalnej rodziny, tej zapisanej w konstytucji, a nie w chuciach Dehnela czy Biedronia albo zapowiedziach kompletnie pogubionego już Schetyny, który ze zmiany zdania z dnia na dzień zrobił znak firmowy swój i swojej formacji. Powinien chyba wieczorem zapisywać na kartce, co powiedział, aby pamiętać nazajutrz.

Akurat odbywał się festiwal muzyczny „Królewskie śpiewanie". Kilka znakomitych występów zwieńczonych niedzielnym koncertem orkiestry Sinfonia Viva. Tłum melomanów w każdym wieku wypełniał szczelnie dziedziniec zabytkowego Alumnatu. Na ostatnim koncercie wiele osób stało. Wasz felietonista też. Obok młoda zakonnica słuchała z zamkniętymi oczami doskonałych aranżacji muzyki filmowej i klasycznej.

Opatrzność bodaj też słuchała, bo zapomniała posłać obecny niemal wszędzie tego dnia na Podlasiu deszcz. Ocknęła się po koncercie i wtedy lunęło jak z cebra.

Ale to było święto. Bo w poniedziałek ludzie poszli normalnie do pracy. Większość do pracy w polu. Wszak pomału już czas żniw. Będą harować od rana do wieczora, reperować maszyny uszkodzone w polu, tłusto jeść i niewiele spać. I tak aż do niedzieli, kiedy na spalone karki ubiorą białe koszule, nie bacząc na upał, zawiążą krawaty, wdzieją marynarki, wzują niedzielne buty i pójdą do kościoła, potem z dziećmi na lody... Może znów się trafi jakaś atrakcja historyczna albo muzyczna, a może ponownie przyjedzie cyrk?

Nie idealizuję Podlasia. Znam jego konflikty, problemy, zmagania. Poznałem tu różnych ludzi. Mądrych i głupich, porządnych i ochlapusów, cichych i plotkarzy. Ale w nich wszystkich, prawie wszystkich dodam asekuracyjnie, jest jakiś gen przyzwoitości. Podlascy uczniowie od lat są w czołówce krajowej (1. lub 2. miejsce!) pod względem wyników egzaminów gimnazjalnych i maturalnych. Dlaczego? To proste, bo tu jest wstyd się źle uczyć, bo rzetelna praca (a zatem i nauka) są w cenie. To taki codzienny patriotyzm. Zapewne dla rozmaitych, nienawykłych do pracy Czarzastych czy innych Cimoszewiczów to czysty nazizm.

A gdy już homoseksualno-faszystowskie marsze zawładną polskimi miastami, polską ścianą zachodnią i terenami centralnymi, gdy tęczowe flagi będą powiewać obok europejskich na polskich urzędach, to zawsze zostanie nam Podlasie, z którego będziemy mogli przeflancować normalność na resztę Polski.

eprasa.pl e7683f73ec

PRZEZ ŚWIETLIK

Skecze z Komsomołu

Ostatnio byłem „na kabarecie”. Było średnio śmiesznie, a najsmutniejsze było to, że ten sam repertuar owego kabaretu widziałem ze trzy lata temu w telewizji. Problem wykonawców jeżdżących ciągle z tym samym repertuarem, jak nie przymierzając piosenkarka Kayah, jest dużo szerszy i zdecydowanie wykracza poza obszar kultury popularnej. Dotyka zdecydowanie także kultury medialnej, czyli kabareciarzy i stand-uperów, dla niepoznaki zwanych publicystami politycznymi.

I nie będzie o Tomaszu Lisie. Będzie o najważniejszych mediach świata. Światowe agencje informacyjne AP i Reuters zaniepokoiły się perspektywą ingerencji Kremla w amerykańskie wybory prezydenckie (a to już za rok). Wspominał o tym szef FBI. Ileś mediów to podchwyciło z sugestią, że przecież ingerencja rosyjska miała wpływ na ostatnie wybory. Trump, jak przystało na typowego rosyjskiego człowieka, wzmacnia obecność USA w Polsce, utrzymuje sankcje, ogranicza obecność rosyjską w Syrii i na Kaukazie, więc wiadomo, że Putin znowu go wybierze.



Wiktor Świetlik

W PRL narrację narzucała „Trybuna”. Amerykanie mają gazet tysiące, ale też jakby mieli jedną

A teraz Trump powtarza się w Wielkiej Brytanii. Jeszcze nie ma informacji, że Boris Johnson to ruska agentura, ale to kwestia czasu. Na razie dowiadujemy się, m.in. z „New York Timesa”, „Wall Street Journal” i „Washington Post”, że Johnson to typ nieprzewidywalny, że ma niszczycielską skłonność do improwizacji, że w czasach brexitu taki gość pogrąży Albion w chaosie. Co ciekawe, wszystkie teksty o Johnsonie prawie identyczne. W ZSRR narrację narzucała jedna gazeta – „Prawda”, w PRL – „Trybuna”. Amerykanie mają gazet tysiące, ale też jakby mieli jedną. Nie inaczej jest w Niemczech. Proszę biegłą w mowie teutońskiej znajomą o prasówkę: „Handelsblatt”, „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, „Süddeutsche Zeitung”, „Die Welt”, wszyscy zaniepokojeni. Konserwatywny, nieceniący wartości unijnych, podobny do Trumpa (nawet fizycznie), wywodzący się z oligarchii (a nie rewolucji młodych maoistów z 1968 r.) itd.

Nie wiem, jaki jest Johnson. Czytałem lata temu jego teksty w konserwatywnym „Spectatorze”. Były bardzo ciekawe. W internecie można znaleźć jego książkę porównującą Cesarstwo Rzymskie z Unią Europejską, a raczej tłumaczącą, dlaczego Unia Rzymem się nie stanie. Dowcipna i inteligentna. Ma ogromne doświadczenie i wywodzi się z wielu pokoleń brytyjskich i tureckich polityków. Ale tak naprawdę jedna rzecz do niego mnie przekonuje na razie – jak cały ten medialny konglomerat, różniący się tylko nagłówkami, kogoś tak solidarnie atakuje, ciągle odtwarzając swój stary hejterski skecz, to trzeba spróbować na tego kogoś spojrzeć od całkiem innej strony.

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia

REKLAMA





56/0619/F

eprasa.pl e7683f73ec

Czy wreszcie ktoś uratuje Gretkowską?



Jerzy Jachowicz

„We wszystkich demokratycznych krajach w Europie rządy wspierają własne elity kulturalne, do których ze względu na wykształcenie – skończyłam filozofię na Uniwersytecie Jagiellońskim – oraz wkład w rozwój literatury europejskiej, moje książki tłumaczone są na wiele języków, również się zaliczam. W Polsce rząd zachowuje się niczym najeźdźcy, okupujący nasz kraj. Niszczy i szkaluje elity kultury i świata nauki" – to fragment rozwinięcia pytania prejudycjalnego do Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej w Luksemburgu, jakie skierowała Manuela Gretkowska, honorowa przewodnicząca Partii Kobiet.

W przyszłym tygodniu wniosek polskiej pisarki ma być rozpatrywany przez Trybunał. Brzmi on: – Wnoszę, aby decyzją Trybunału Sprawiedliwości wprowadzić w Polsce prawo, wedle którego władza, a więc rząd centralny, będzie wyłaniany w wyniku autonomicznej decyzji elit kulturalnych i naukowych, w drodze wewnętrznego plebiscytu. Podobnie tworzone byłyby władze regionalne.

Oto inne fragmenty uzasadnienia: „Większość zwykłych wyborców w Polsce to ludzie otumanieni przez religię chrześcijańską. Jej przerażająco niski poziom intelektualny serwowany przez prostych duchownych sprawia, że dla sprytnych i nieuczciwych polityków staje się zręcznym środkiem manipulacji i zniewalania społeczeństwa. Obecnie rządząca partia dzięki takim zabiegom została właśnie wybrana. Przy ogromnej przewadze najbardziej prymitywnej części społeczeństwa. Skuszono je do poparcia »kiełbasą« wyborczą, w postaci specjalnego dodatku pieniężnego na dzieci oraz dogmatem o wiecznym zbawieniu. Lider rządzącej partii, podobnie jak Hitler, osiągnął władzę w demokratycznych wyborach, wykorzystując gloryfikację religii jako narzędzie fałszywej propagandy. Kiedy już zdobył władzę, może wprowadzać swobodnie ustawy antydemokratyczne, niszczące wolność, łamiące praworządność i sprawiedliwość. Za chwilę ten wybór może się powtórzyć. Ratujmy elity!" – zakończyła wniosek.

Ręczny dopisek autorki wniosku: „Dla wyjaśnienia tylko dodam, że wejście do elit zawdzięczam własnemu talentowi i imponującemu dorobkowi twórczemu".

CO MNIE WZRUSZA

Wspomnienia utrwalone na zawsze



Katarzyna Łaniewska

Ważne wspomnienia, które do tej pory noszę w sobie, są związane z warszawskim Mokotowem. Pochodzą z mojego dzieciństwa, czasów okupacji, Powstania Warszawskiego i powrotu do Warszawy.

Obrazy, które noszę w sobie, pochodzą sprzed 80 lat. Pamiętam doskonale moje mieszkanie na Odolańskiej, układ mebli. Pamiętam ojca, który leży w łóżku, a ja go gładzę po głowie, bo mówił, że go boli. Pamiętam ludzi, którzy przyjechali pod dom w czarnych, skórzanych, świecących płaszczach i kapeluszach – gestapo. Przyjechali go aresztować. Pamiętam, jak stałyśmy z mamą, babcią i bratem na klatce schodowej, kiedy wychodził. W połowie piętra pomachał do nas ręką. Ostatni raz go wtedy widziałam.

Potem lata okupacji, bez ojca. Stół wigilijny z pustym krzesłem. Pamiętam wędrówki do szkoły z tornistrem i Niemca na rogu, który sprawdzał, co ja tam niosę. Miałam książkę od niemieckiego, bo mama kazała mi się uczyć tego języka. Zobaczył i chciał mnie pogłaskać po głowie, ale pod ramieniem mu uciekłam, a jak odszedł kawałek, to splunęłam.

Pamiętam dni Powstania Warszawskiego. Ten pierwszy, gdy o godz. 17 biegłam ulicą z ziemniakami, które rozsypały mi się, kiedy padły pierwsze strzały. Następnego dnia mój brat otworzył klapę od pianina i zagrał: „Jeszcze Polska nie zginęła". A babcia miała przygotowaną biało-czerwoną flagę z prześcieradła i czerwonej poszwy.

Później wygnanie z Warszawy i powrót. Pamiętam Warszawę, która była i której nie było. Na moich oczach się odbudowywała.

Moja pierwsza szkoła. Piekarnia. A w zimie ślizgawka. Moje jazdy na buforach tramwajowych. Potem wspomnienia z szkoły nr 121 – pierwsze wagary i pierwsze zauroczenia chłopakiem o imieniu Andrzej. Moje liceum Narcyzy Żmichowskiej. I maturę, kiedy przed egzaminem ustnym, babcia mówi: „Dziś pranie". Stałam przy wyżymacze. Odpowiedziałam: „Babciu, ja mam maturę!". Odparła: „Matura nie matura, a prać trzeba". Maturę zdałam.

Potem losy rzuciły mnie na Ochotę, gdzie zdałam do Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej. Pamiętam, cała komisja siedziała za stołem z paprotkami, ktoś odstawił paprotkę. Przedstawiłam się: Nazywam się Katarzyna Łaniewska. Odparł, że z takim nazwiskiem trzeba się nauczyć litery „ł". Zdałam. Mój pierwszy angaż to Teatr Polski. Tam był mój ślub, wesele i stamtąd jechałam rodzić swoją córkę.

Widzę te obrazy. A teraz często zapominam, co był wczoraj lub przedwczoraj. Pamięć ludzka to pamięć wielkich przeżyć małych dzieci i młodości.

eprasa.pl e7683f73ec



Poczta Polska usprawnia odbiór e-zakupów

Do końca października br. Poczta Polska odda do użytku 200 automatów do odbioru przesyłek. Pierwsze już działają. To kolejny etap rozwoju sieci Odbiór w Punkcie, dzięki której klient sam decyduje, kiedy i gdzie zgłosi się po swoje internetowe zakupy

Pierwsze automaty zostały uruchomione w lipcu. Stawiając na prostotę i łatwość obsługi, Poczta Polska wybrała model, który idealnie sprawdza się w praktyce. Samoobsługowe urządzenia do odbioru przesyłek staną zarówno w placówkach pocztowych, w wydzielonych strefach czynnych 24h/dobę, jak również w sklepach Biedronka. Takie usytuowanie ma zapewnić bezpieczeństwo i komfort odbioru paczek. W pierwszej kolejności z automatów będą mogli skorzystać mieszkańcy Warszawy, Krakowa, Trójmiasta, aglomeracji śląskiej, Łodzi, Poznania, Szczecina, Wrocławia i Rzeszowa.

Nowe automaty są uzupełnieniem budowanej przez Pocztę Polską sieci Odbiór w Punkcie, która jest największą tego typu w kraju i liczy obecnie ponad 11,6 tys. punktów (placówki pocztowe, Żabki i Freshmarkety, stacje PKN Orlen, saloniki i kioski Ruchu). Na tym nie koniec, spółka prowadzi rozmowy z różnymi sieciami i dostawcami, aby w przyszłym roku uruchomić kolejne maszyny.

– Dzięki naszej sieci click & collect klienci Poczty Polskiej mogą odebrać swoje paczki przy okazji robienia codziennych zakupów, kupowania prasy czy tankowania samochodu. To bardzo wygodne rozwiązanie, które idealnie wpasowuje się w potrzeby naszych klientów – mówi Przemysław Sypniewski, prezes zarządu Poczty Polskiej.

Działania Poczty Polskiej wpisują się w strategię spółki, która zakłada, że w perspektywie 2023 r. firma podwoi przychody związane z rynkiem KEP. W ciągu najbliższych kilku lat spółka szacuje, że łączne przychody z obszaru KEP, usług logistycznych i usług e-commerce przekroczą poziom przychodów z korespondencji tradycyjnej. W 2017 r. opracowano koncepcję rozwoju sieci logistycznej, aby dopasować ją do rosnącej liczby paczek zarówno w obsłudze krajowej, jak i ruchu zagranicznego. Spółka przygotowuje się do przekierowania swojej działalności z podporządkowanej do obsługi tradycyjnej korespondencji na firmę z dedykowaną obsługą przesyłek e-commerce: paczek, palet oraz listów priorytetowych. Wraz z rozbudową elementów infrastruktury logistycznej pojawią się inwestycje w systemy informatyczne i flotę pojazdów.

– Wszyscy operatorzy pocztowi dostosowują swoje usługi do potrzeb dynamicznie rozwijającego się rynku e-commerce. W sytuacji gdy spada wolumen tradycyjnej, papierowej korespondencji, szansą dla poczt narodowych jest świadczenie nowych usług. Poczta Polska, będąc jednym z liderów krajowego rynku, konsekwentnie dąży od umocnienia swojej pozycji – podkreśla Przemysław Sypniewski.

Dynamiczny rozwój sieci Odbiór w Punkcie potwierdza dane, z których wynika, że klienci sami chcą decydować o tym, kiedy zgłoszą się po swoje e-zakupy. Polacy coraz rzadziej chcą czekać, aż do ich drzwi zapuka kurier. Do tworzonej przez Pocztę Polską sieci click & collect tylko w pierwszym półroczu br. nadano prawie taki sam wolumen przesyłek jak w całym 2018. Co więcej, z roku na rok przybywa zwolenników automatów paczkowych. Z badania „E-commerce w Polsce 2016, 2017 i 2018", Gemius dla e-Commerce Polska wynika, że w 2016 r. tę formę ceniło sobie 46 proc. e-klientów, w 2017 r. było ich 50 proc., a w ub.r. – 55 proc.

Fot. Piotr Waniorski | 16/07/19/F

eprasa.pl e7683f73ec

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***



TRENDY I OWĘDY

Déjà vu dla masochistów

Przewodniczący Grzegorz Schetyna zapoznał elektorat z brakiem programu wyborczego.

Słuchając obietnic tuzów PO, kipiących żądzą posprzątania Polski po czterech latach mrocznych czasów PiS, człowiek wzdycha rozmarzony: ach, gdyby ta partia wybitnych fachowców mogła tak rządzić przez osiem lat!!! Polska byłaby krajem mlekiem i miodem płynącym... Wrrróć!



Ryszard Makowski

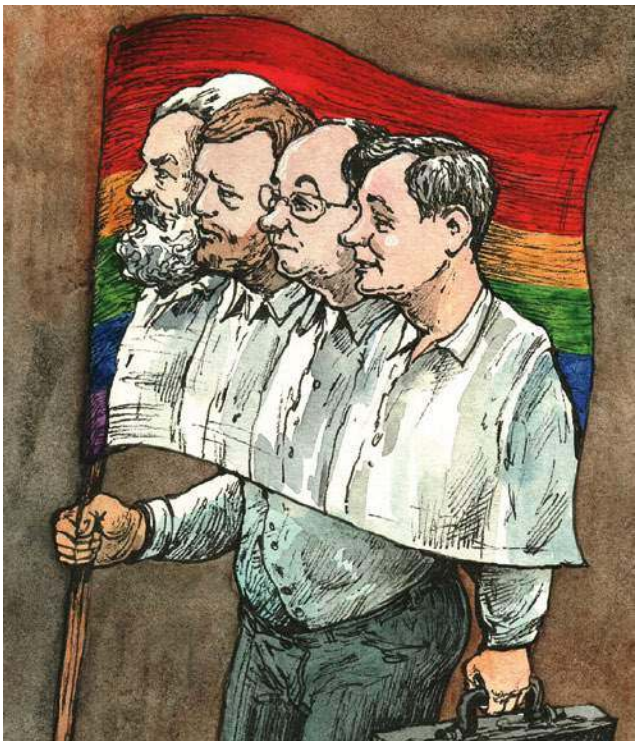
Wyborca ma ponoć pamięć złotej rybki, piszący te słowa też z powodu PESEL-u miewa luki wspomnieniowe, ale nie aż takie. Ci wizjonerzy mieli dwie luksusowe kadencje, kiedy korzystali z monopolu medialnego. Nie mąciło im żadne kodziarstwo, żadni Ubywatele, a Franka Timmermansa zachwycał stan naszej praworządności i demokracji. Grzegorz Schetyna ze swoim firmowym, acz kwaśnym uśmiechem oświadczył: „Na pokazywanie swojego programu czas przyjdzie po wyborach, dzisiaj najważniejsza jest kampania".

Ależ my ten program znamy! Bezrobocie 12 proc., 3 zł za godzinę, harówka przy szparagach w Niemczech, ok. 800 tys. niedojadających dzieci, którym oferowano „szczaw i mirabelki", zadłużenie Polski przez Jana V. Rostowskiego u banksterów na 370 mld, w czasie gdy mieliśmy największe dotacje z UE, pomniejszony 50 proc. uzysk dla zawodów twórczych, karuzele VAT-owskie na miliardy, wiek emerytalny od 67 lat nawet dla kobiet.

Cudownie! Ministerstwa w prezencie dla Pitery i Arłukowicza! Acha, zasiłek pogrzebowy też był łakomym kąskiem. Zmniejszono go o ponad 2 tys. Co ciekawe, ten program ma ze 20 proc. poparcia. Na szczęście coraz mniej obywateli chce być politycznymi masochistami.

eprasa.pl e7683f73ec

***Zawistowski prezentuje:* Lewica**



Wycinki z przeszłości

75. rocznica Powstania Warszawskiego to jednocześnie 15. urodziny Muzeum Powstania Warszawskiego. Był 31 lipca 2004 r., gdy śp. Lech Kaczyński – ówczesny prezydent Warszawy – bił w dzwon „Monter". Wśród gości zasiadły takie osoby, jak kanclerz Niemiec Gerhard Schröder, wicepremier Wielkiej Brytanii John Prescott oraz sekretarz stanu USA Colin Powell.

Na Muzeum Powstania Warszawskiego Powstańcy musieli czekać aż 60 lat. Powstało, bo śp. Lech Kaczyński potrafił jako pierwszy – w krótkim czasie – przełamać niemożności, opory, gnuśność. Wiedział, że Polska musi pamiętać o tamtym zrywie do wolności i niepodległości.

Warto przytoczyć słowa, które wtedy wypowiedział, a które dziś także wyznaczają kierunek działania polskich patriotów:

„Polska jako pierwsza przeciwstawiła się zbrojnie hitlerowskim Niemcom, choć proponowano jej inne wyjście. Niemieccy okupanci dokonali w Polsce gigantycznych zbrodni, zbrodni ludobójstwa. Prawie 200 tysięcy ludzi zostało zamordowanych w czasie Powstania Warszawskiego. Monstrualna zbrodnia Holokaustu dokonana na naszych ziemiach była całkowicie, w 100 procentach zbrodnią niemiecką, za którą odpowiada naród niemiecki. Muzeum Powstania Warszawskiego powinno być, podobnie jak Żydowskie Muzeum Holokaustu, wielką instytucją edukacyjną dla Polaków i innych narodów, ale także wielką instytucją broniącą prawdy o Polsce i przekazującą tę prawdę".

(mk)

Fot. MPW



Z Liceum Krzemienieckiego



Leszek Długosz

Niewielu cokolwiek wie o tej gromadce młodych poetów wywodzącej się akurat z Liceum Krzemienieckiego. Odcięły ich od pamiętania w kraju ich los tragiczny i historia. Zostali z Kresami po tamtej stronie. Ich, by tak rzec, „paralelni rówieśnicy" – poeci Powstania Warszawskiego – byli pamięcią otoczeni. Tamci, o których również można powiedzieć „utracone brylanty", młodzi, utalentowani, ideowi, oddani Polsce, najlepsi z najlepszych, poginęli, bywało i zamordowani bestialsko (Zygmunt Rumel rozerwany końmi przez banderowskich zwyrodnialców). Muszą być przywróceni naszemu pamiętaniu.

Wdzięczność wydawnictwu PIW za wydanie dwóch maleńkich zbiorów „poetów krzemienieckich". Szczególne podziękowania dla ich orędowniczki Bożeny Gorskiej i dla redaktora, autora tych opracowań, Karola Samsela.

Dziś polecam państwu mały wiersz Feliksa Łańcuckiego. Młodzieńcze to, lecz ileż zapowiadające porywy. Niestety, ta jego „długowieczność" miała potrwać 23 lata.

Feliks Łańcucki 1919–1942

„Jabłoń"

Jak młodo mi gibko, zielono i błękitnie
Szeroko i bezstronnie – tak ręce wiele warte
Że ciało mi drzewieje, sokami bucha, kwitnie
Korzeniem w ziemię wryte
Gałęziami w niebo wsparte

W korzeniach wieją wiatry, w gałęziach perlą ptaki
Żywica tryska z kory, dojrzała nieba słoneczność
A już jabłka płoną;
Tajemny wieloraki obrzęd owocowania
I bujna długowieczność.

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl e7683f73ec

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Zgoła niewakacyjnie

Choć jest lipiec, to chmur moc i pada. Można się zatem potroszczyć o świat.

A świat niepokoi się napięciami między USA a Chinami. Gra handlowa przeszła na poziom polityczny. Czy idzie o to, kto będzie hegemonem planety w nadchodzących dekadach? Także. I o co jeszcze?



PUNKT CIĘŻKOŚCI

Intuicja nam podpowiada, że punktem ciężkości, na którym trzeba skupić uwagę, nie jest spór USA-Chiny ani gra Zachód-(Daleki)Wschód, ale coś innego. Że wbrew rozmaitym wyobrażeniom najbardziej podstawowa gra przebiega na innym polu.

To gra człowieka z narzędziami stworzonymi, aby rozwiązywały nasze problemy. Gra ludzkich emocji i umysłów z naszymi „własnymi" technologiami. By jaśniej to ująć, wskażmy naturę zmian, jakim obecnie podlega świat.

NATURA ZMIAN

Są to – niestety! – zmiany wszechogarniające. Za szybkie. Za głębokie. Zbyt szerokim frontem idące. Przykładów jest wiele.

Microsoft, gigant technologiczny od systemu operacyjnego Windows i edytora tekstów Word, obecnych pewnie na większości komputerów planety, postanowił przeznaczyć 1 mld dol. na rozwój sztucznej inteligencji.

Pentagon już dysponuje laserowym systemem, który umożliwia zdalne odczytywanie rytmu pracy serca i w ten sposób jednoznaczne ustalanie, z kim mamy do czynienia. Rytm ten jest bowiem tak niepowtarzalny, jak odciski palców.

Neuralink to rozwiązanie Elona Muska, które ma umożliwić bezpośrednio podłączenie naszych(?) mózgów do smartfonów.

Aplikacja FaceApp do postarzania twarzy, wokół której szum powstał nie tylko w Polsce, uświadomiła, że już od dawna nie mamy kontroli nad dotyczącymi nas danymi.

Ogłoszona przez Facebooka kryptowaluta Libra może się przyczynić do dalszego wypłukiwania podstaw władzy państwowej – i to na skalę globalną.

Ta garść ilustracji ma uzmysłowić, że natura dzisiejszych zmian przekracza ludzkie oraz instytucjonalne, w tym państwowe, zdolności rozumienia i właściwego dostosowania się.

DOSTOSOWYWANIE SIĘ

Natura procesów społecznych oraz działań poszczególnych osób jest taka, że ciągle coś jest do czegoś dostosowywane. Dopasowywane.

Ogromna większość dostosowań ma charakter automatyczny, są sterowane przez podświadomość. Tylko malutka część jest świadomie planowana i realizowana. Dostosowania przebiegają w granicach „mocy obliczeniowych" umysłów ludzkich, niezależnie od tego, jak bardzo przez rozmaite narzędzia wspomaganych – rodzina/pamięć pokoleń, kartka/ołówek, stół/praca zespołowa, GPS/smartfon etc.

Dostosowania są niezbędne dla utrzymania równowagi społecznej. Bez tego światy ludzkie nie przetrwają. Ale gdy zdolności dostosowawcze zostają przekroczone, tworzą się szkodliwe...

...NIERÓWNOWAGI

Między tym co przewidywalne (wiedza/ład) a nieprzewidywalne (niewiedza/chaos). Między prawdą a fałszem oraz infoszumem: postprawda, fake newsy. Między bogatymi i potężnymi a ludem: nowe techniki inwigilacji. Między wolnością a prawem, innowacją a regulacją: ach te hulajnogi elektryczne na chodnikach miast. Między legalnym a nielegalnym: wycieki danych na masową skalę, szantaże cyfrowe. Między zamkniętością a otwartością: np. granice vs migracje. Między państwami a wielkimi firmami: np. lobbyści piszący prawo. Między likwidacją miejsc pracy a tworzeniem nowych: robotyka, AI. Wreszcie między obszarami tego, co bezpieczne i niebezpieczne.

Jasne, że napięcia zawsze były. Interesy potężnych i racje ludu zawsze się ścierały. Zawsze fałsz udawał prawdę. Zawsze gdzieś było za dużo ludzi, a gdzieś za mało. A jednak... Dziś kumulują się stare i „nowe" nierównowagi. Przynoszą napięcia, z którymi nie umiemy sobie radzić. Demokracja liberalna często tylko oliwy do ognia dolewa.

Mamy nową nieprzewidywalność. Kryzysy. Populizmy. Radykalizmy. Wstrząsy. Rozchwianie. Gdy pokojowe metody radzenia sobie z nieprzewidywalnością tracą skuteczność, uruchamiana jest przemoc jako sposób przywrócenia starych, sprawdzonych ram nieprzewidywalności.

MORATORIUM

Grę z technologią ludzkość może wygrać tylko w jeden sposób. Spowolniając jej rozwój.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja | 1/0719/F

eprasa.pl e7683f73ec

Już 5 sierpnia **SIECI** i raz w miesiącu do końca roku

SUKCESY

XX-lecia międzywojennego

1918–1939



Cykl dodatków o niezwykłych czasach budowania nowego państwa po 123 latach zaborów

PARTNER DODATKU

ORLEN

eprasa.pl/e7683f73ec

Lato na bogato

Loteriada

Ponad 1000 nagród

Weź udział w loterii od 1 lipca do 31 sierpnia 2019 r.

Kup Lotto lub Lotto Plus oraz inną dowolną grę liczbową za min. 8 zł



2 X PIENIĄDZE NA MIESZKANIE 300 000 zł*

9 X STYLOWY FIAT 500



18 X VESPA PRIMAVERA





27 X SAMSUNG GALAXY S10+



36 X THERMOMIX



45 X HULAJNOGA ELEKTRYCZNA XIAOMI



270 X TABLET GALAXY TAB A



100 X GALAXY WATCH ACTIVE



100 X KARTA PREZENTOWA 500 ZŁ



200 X SŁUCHAWKI



200 X GŁOŚNIK

Lotto | EuroJackpot | Ekstra Pensja | Multi Multi | Mini Lotto | Super Szansa | Keno | Lotto

Graj w punktach LOTTO i na lotto.pl

PAMIĘTAJ, ZACHOWAJ KUPON LOTERII PROMOCYJNEJ!

*Nagroda pieniężna w wysokości 300 000 zł z przeznaczeniem na zakup mieszkania. Z loterii wykluczone są loterie pieniężne (Zdrapki oraz Kaskada). Zapoznaj się z regulaminem na www.loteriada.pl. Okres sprzedaży promocyjnej trwa od 1 lipca 2019 r. do wyczerpania puli kodów promocyjnych przewidzianych przez organizatora, nie dłużej jednak niż do 31 sierpnia 2019 r. Organizator loterii: Totalizator Sportowy Sp. z o.o., ul. Targowa 25, 03-728 Warszawa. W przypadku pytań skontaktuj się z infolinią dostępną pod numerem: 459 595 955, czynną 7 dni w tygodniu w godzinach 8:00 – 20:00. Koszt połączenia zgodny z taryfą operatora.

eprasa.pl e7063173ec